



MAGGIE O'FARRELL
TEN DYSTANS
MIĘDZY NAMI

PRZEKŁAD
KONRAD MAJCHRZAK

DOM WYDAWNICZY REBIS POZNAŃ 2005



CZEŚĆ PIERWSZA

Budzi się i stwierdza, że leży plackiem w poprzek łóżka. Zaczyna intensywnie myśleć. Stojący na drugim końcu pokoju wiatraczek obraca się ku niemu i już po chwili, jak obrażony, ustawia się bokiem. Gdzieś obok furkoczą kartki książki, łączą się i rozdzielają. Mieszkanie wypełnia atramentowa poświata, błyski neonu tną sufit. Jest późny wieczór.

- Szlag by to - rzuca i gwałtownie unosi głowę. Jakiś mięsień czy ścięgno między łopatkami naciąga się dotkliwie. Jake klnie, sięga ręką do tyłu i maca bolące miejsce, po czym podnosi się z trudem i w samych skarpetkach, ślizgając się krokiem łyżwowym po podłodze jak po lodowisku, zmierza do łazienki.

Patrzy w lustro wstrząśnięty widokiem swojej twarzy. Czerwone pręgi odcisnięte na policzku i skroni przez zagięcia i fałdy pościeli nadały skórze dziwny, surowy wygląd. Włosy sterczą mu jak po egzekucji na krześle elektrycznym, widać, że urosły. Jak mógł zasnąć? Czytał, z brodą opartą na rękach, i ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, był ten mężczyzna z książki opuszczający się po drabince sznurowej w głąb nieczynnej studni. Spogląda na zegarek. Dziesięć po dziesiątej. Już jest spóźniony.

Zabłakana ćma natyka się na jego twarz, uderza rykoszetem w lustro, delikatny puder z jej skrzydeł pozostawia na szkle cętkowany ślad, widmo jej samej. Jake robi krok do tyłu, śledzi przez chwilę lot owada, po czym wyrzuca do

przodu złożone dłonie. Chybia. Ćma, wyczuwając zagrożenie, mknie spiralą w górę, ku światłu, Jake próbuje ponownie i tym razem ją chwyta, kruche, zdeorientowane ciało tłucze się w utworzonej przez jego dłonie klatce.

Mężczyzna szturcha łokciem dźwignię i otwiera okno. Uderza go ryk biegnącej dziewiętnaście pięter niżej ulicy. Wychyla się ponad sznurami z praniem i otwierając dłonie, wyrzuca ćmę w górę. Ta opada przez sekundę, oszołomiona obraca się wokół własnej osi, odzyskuje orientację i uchwyciwszy ciąg gorącego powietrza z pracującego piętro niżej klimatyzatora, znika.

Jake zatrzaskuje okno. Miota się po mieszkaniu, chwyta portfel, klucze, marynarkę, wkłada tenisówki zrzucone byle jak przy drzwiach. Winda nie przyjeżdża przez całe wieki, a kiedy wreszcie się pojawia, cuchnie potem i stęchlizną. Przy drzwiach, w holu wejściowym, siedzi na stołku dozorca. Nad nim zwieszają się falbanki czerwono-złoty dekoracji z okazji chińskiego Nowego Roku... włącznie z pyzatym dzieckiem o kruczoczarnych włosach jadącym na oklep na różowej śwince.

- *Gung hai fat choi* - mówi Jake, mijając mężczyznę.

- *Gung hai fat choi*, Jik-ah - odpowiada dozorca i odśmia się w uśmiechu szczerbate zęby. Klepie Jake'a po ramieniu i ten czuje pieczenie jak po oparzeniu słonecznym.

Na ulicy taksówki macą odbijające się w kałużach światło, przejeżdżające pod ziemią metro wstrząsa chodnikiem. Jake przechyla głowę, żeby popatrzeć na szczyty budynków. Rok Tygrysa następuje po Roku Wołu. Jako mały chłopiec, kiedy wybijała północ i zaczynał się nowy rok, wyobrażał go sobie pod postacią jakiegoś dziwnego mutantu uchwyconego w trakcie procesu przeobrażania.

Oddała się od swojego domu i omal nie wpada na maleńką staruszkę pchającą wózek ze złożonymi kartonami. Uskakuje w bok i kieruje się na południe, obok boisk do gry w koszykówkę i małej ulicznej kapliczki z bukietem wypalo-

nych trociczek; mija mężczyzn siedzących w lokaliku *yum chai* przy akompaniamencie stukotu kościanych tabliczek do madżonga, następnie zwarte rzędy osłoniętych motocykli, przechodzi tuż obok misternych pajęczyn bambusowych rusztowań i przyrestauracyjnych zbiorników, gdzie skazane na śmierć ryby wysilają skrzela, żeby wychwycić z mętnej wody choć odrobinę tlenu.

Jake nic z tego nie zauważa. Spogląda w górę na ciemniejące obłoki, nuci pod nosem, czuje powierzchnię chodnika pod cienkimi podeszwami tenisówek. Powietrze przepełnione jest zapachem kadzidła, dymu fajerwerków i soli.

Autobus ciągle nie nadjeżdża. Stella otula szyję szalikiem i stanawszy na palcach, patrzy w głąb ulicy. Samochody, samochody, taksówki, motocykle, pojedynczy rowerzyści, samochody i samochody. Podnosi wzrok na ekran, który ma ją rzekomo informować o tym, jak długo będzie czekać. Jest pusty.

Odsuwa mankiet płaszcza od rękawiczki, żeby sprawdzić godzinę. Dzisiaj pracuje na popołudniowej zmianie i spóźni się, jeśli jeszcze poczeka. Zastanawia się przez chwilę. Czy lepiej zostać i poczekać na autobus, który kiedyś w końcu przyjedzie, czy też pójść pieszo i odrobinę się spóźnić? Mogłaby pojechać metrem, ale do stacji jest jakieś dziesięć minut marszu, a przecież mogłoby się okazać, że ono też jest opóźnione. Pójdzie. Tak będzie chyba najszybciej.

Rzuca krótkie spojrzenie za siebie, żeby upewnić się co do autobusu, i rusza w drogę. Jest zimno, wyjątkowo zimno jak na tę porę roku, ziemia jest zmrożona, pokryta warstwą lodu, który chrzęści pod butami. Bezlistne gałęzie przecinają pod najdziwaczniejszymi kątami matową szarość nieba.

Wróciła do Londynu na kilka tygodni — ma nadzieję, że nie na dłużej — i pracuje w nocnym programie radiowym. Ma tutaj mieszkanie, kawalerkę na obrzeżach Kennington,

którą zazwyczaj komuś wynajmuje, kiedy kręci się po świecie. Miesiąc w Paryżu, kilka tygodni w Moskwie, pół roku w Helsinkach. Nie wie, gdzie się teraz wybierze - może do Rzymu, do Madrytu, Kopenhagi. Stella nie lubi przebywać dłużej w jednym miejscu.

Maszeruje na północ, w kierunku Tamizy, z jej ust wydobywają się obłoczki pary, jest zgrzana pod kilkoma warstwami odzieży. Kiedy wchodzi na Waterloo Bridge, miasto pęka na dwie części, a rzeka otwiera się przed nią. Gdzieś przeczytała, że most ten budowały wyłącznie kobiety, podczas drugiej wojny światowej. Dzisiaj jest opustoszały. Śmigają nim co prawda jadące na północ auta, ale chodniki po obu stronach jezdni na całej długości są puste.

Na skrzyżowaniu Jake wskakuje na tylną platformę turkoczącego tramwaju, który właśnie ruszył z przystanku. Dół pojazdu, mroczny i ponury, jest zatłoczony - ludzie zajęli wszystkie miejsca siedzące, inni stoją uczepleni biegnących pod sufitem drażków. Najbliżej Jake'a siedzi staruszek w kamizelce i spłowiałych spodniach; na kolanach trzyma klatkę. Ptak przechylił łepkę i ze swojej huśtawki czarnymi jak paciorki oczyma obserwuje Jake'a. Nad Chińczykami górują kiwające się w rytm ruchu tramwaju głowy dwóch białych z Zachodu.

Jake z tupotem wbiega na górny pomost. Siada na samym przedzie, wychyla głowę za okno, wystawia twarz na pęd powietrza i patrzy, jak stłoczone, oplątane neonami rudery dzielnicy Wanchai przechodzą w gładkie, betonowo-lustrzane gmachy ogromnego centrum handlowego.

Jake ma ciemne włosy, a jego skóra, jeśli jest wystarczająco długo wystawiona na działanie promieni słonecznych, uzyskuje niemal ten sam odcień, jaki ma skóra jego przyjaciela Hing Taia, natomiast oczy lśnią kolorem morskiej głę-

bi. Ma brytyjski paszport oraz brytyjską matkę i gdzieś tam także brytyjskiego ojca. Jake nigdy jednak nie oglądał Wielkiej Brytanii, nigdy nawet nie był w pobliżu Europy.

Daleko, na drugim końcu mostu, Stella zauważa samotną postać zmierzającą w jej kierunku. Mężczyzna. Pomniejszony odległością. Mogłaby podnieść rękę i zmieścić go w kręgu utworzonym przez palec wskazujący i kciuk. Jakby pociągani niewidocznym sznurkiem oboje idą i idą. On jest coraz bardziej konkretny, wreszcie staje się wysokim, zwalistym mężczyzną w zielonej marynarce.

Stella spogląda ponad powierzchnią rzeki na drugi brzeg, gdzie tkwi to ogromne koło naszpikowane światłami jak cecikinami, a ludzie niczym insekty mrowią się wzdłuż South Bank. Przenosi spojrzenie z powrotem na most, spogląda w stronę, w którą zmierza, i doznaje takiego wstrząsu, że aż się potyka. Żeby nie upaść, wspiera się na murze, a jej serce zwalnia i kołacze, jakby niepewne, czy ma bić dalej.

Stella zerka na brązowy, wzburzony nurt rzeki i ponownie przenosi wzrok na mężczyznę. Jest teraz znacznie bliżej i Stella zastanawia się, czy będzie tak rósł i rósł, aż zacznie nad nią górować, wielki i straszny jak mamidło górskie. Teraz mężczyzna, z rękoma wbitymi w kieszenie, patrzy prosto na nią.

Stella nie może uwierzyć w to, co widzi, to nie może się dzieć. On ma tę samą obrzękniętą, białoróżową skórę, tę samą gęstą rudą czuprynę i te same głęboko osadzone oczy.

Zupełnie jakby czas zwinął się w sobie, jakby minione lata połąkły same siebie. Stella wie, jak lepka byłaby ta skóra, gdyby zacisnęła na niej dłoń, wie, że te włosy mają szczególny zapach mokrego zwierzęcia. Mężczyzna jest już blisko, tak blisko, że mogłaby go dotknąć, i gdzieś w głębi jej gardła wzbiera krzyk.

- Wszystko w porządku, laluniu?

Jej dłonie w rękawiczkach zaciskają się na barierce. Mężczyzna jest Szkotem. Tak jak się spodziewała. Stella kiwa głową, znowu spogląda na rzekę, na jej rozedrganą powierzchnię.

- Na pewno? - dopytuje się mężczyzna. - Nie wygląda mi na to.

Stoi poza jej polem widzenia. Stella nie może oddychać, ma wrażenie, że płuca odmawiają przyjęcia powietrza.

Stella ponownie kiwa głową. Nie chce, żeby usłyszał jej głos. Ona musi się stąd wydostać. Nie patrząc na niego, zaczyna się poruszać, przesuwa dłonie po poręczy. Musi przejść bardzo blisko niego i czuje na włosach ruch powietrza wywołany jego oddechem; przechodzi ją dreszcz, całe jej ciało kurczy się pod wpływem tego oddechu.

- Skoro jest pani pewna - mówi mężczyzna. - To na razie.

Stella odwraca głowę, żeby zobaczyć, jak się oddala. Ten sam ociężały chód, szeroko rozstawione stopy, przygarbione masywne barki. Raz się odwraca. Zatrzymuje na chwilę. Potem idzie dalej. To na razie.

Z łoskotem przejeżdżają jedna za drugą dwie ciężarówki, powietrze wiruje. Stella rusza nierównym biegiem, poły jej płaszcz powiewają i łopoczą, daleko przed nią mającą budowlę miasta. W piersi czuje ostry, rwący ból, jakby coś siłą, zębami i pazurami, usiłowało się stamtąd wyrwać. Potyka się, dłońmi i kolanami łąduje na chodniku; zanim zacznie się podnosić, spogląda za siebie.

Mężczyzna zniknął. Rozpięty nad rzeką most jest całkowicie pusty.

Z wysiłkiem wstaje. Dłonie umazane ma tłustym brudem. Ostry lutowy wiatr przykleja jej do twarzy mokre od łez włosy. Rozgląda się, niepewna czego szuka.

Po drugiej stronie ulicy dostrzega zapalony prostokątny znak taxi. Z uniesioną ręką wbiega pomiędzy pojazdy. Jakiś samochód hamuje tak gwałtownie, że aż nim zarzuca.

- Proszę, zatrzymaj się - mamrocze do siebie, ze wzrokiem wlepionym w zbliżające się światło - proszę.

Taksówka zwalnia i zatrzymuje się. Stella podbiega do niej, otwiera drzwi i wsiada.

Jake schodzi z tupotem po schodach, kiedy tramwaj pokonuje podwójny zakręt przy wjeździe do Dystryktu Centralnego. Lubi czuć pod nogami tę raptowną pikującą zmianę kierunku, lubi tę chwilę, kiedy trzeba zaprzeć się mocno, żeby przeciwstawić się ruchowi w przeciwną stronę. Zeskakuje na jezdnię, przed nim piętrzy się potężna, asymetryczna, poszarpana sylwetka banku, przechodzi pod czarnym szkłem budynku, nad nim mruczą puste windy, jeżdżąc w kółko i nie przewożąc nikogo.

Wspina się stromizną Lan Kwain Fong, lawirując pośród gęstego już o tej porze tłumu. Po obu stronach brukowanej uliczki ciągną się bary i kluby, wszystkie wypełnione ludźmi z Zachodu, którzy pracują w kancelariach prawniczych, redakcjach gazet, szkołach, radiostacjach, działach informatyki wyspy Hongkong i każdego wieczoru wracają promem do swoich mieszkań na wyspie Lamma czy Landao, zatrzymawszy się najpierw tutaj, żeby wlać w siebie trochę alkoholu i spotkać się z przyjaciółmi. Jake raczej tu nie przychodzi, ale Mel i jej towarzystwo lubią to miejsce.

Jake często myśli o Hongkongu jako o zbiorniku, do którego przelewa się nadmiar pewnego typu mieszkańców Europy. Ludzie, którzy tu przybywają, mają jakiś konkretny powód, żeby zostawić domy i rodziny, na ogół taki, którego wołą nie ujawniać. Wszyscy oni pozostają w różnych stanach separacji, albo przed czymś uciekają, albo też poszukują jakiegoś nieuchwytnego elementu, który mógłby ich wreszcie usatysfakcjonować. W każdym razie mają nadzieję, że ta nieustanna świadomość niedosytu za morzami przestanie im towarzyszyć.

Zgodnie z teorią utrzymującą, że jeśli udasz się dostatecznie daleko, to możesz na zawsze uciec od siebie samego.

Na szczycie wzniesienia Jake skręca w lewo, do Iso-Bar. Tam wita go przeklimatyzowane, lodowate powietrze i ciasno upakowany tłum ludzi ze szklaneczkami w rękach. Jake rozgląda się po sali, próbując odnaleźć Mel. I Mel nagle wyrasta tuż przed nim. Ich oczy jeszcze się nie spotkały, ale ona już całuje go w policzek, pozostawiając pieczętkę ze szminki, i odwraca głowę do swoich przyjaciół.

- A nie mówiłam, że się spóźni? Nie powiedziałam, że się spóźni? - W ponurym półmroku jej twarz pływa przed jego oczyma. Delikatne, jasne, niemal bezbarwne włosy, ma ściągnięte w kucyk, jej ramiona mocno go obejmują.

- Przepraszam, przysnąłem - Jake wrzeszczy, przekrzykując muzykę. - Nie mam pojęcia, jak do tego doszło. Czytałem sobie i nagle...

- Widocznie byłeś zmęczony. - Mel uśmiecha się.

- T a k .

Wyswobadza się z jej uścisku, żeby przywitać się z pozostałymi. Kiwiają głowami i uśmiechają się, podnoszą do góry szklaneczki, a Lucy, najbliższa przyjaciółka Mel, obdarza go szybkim, zdawkowym pocałunkiem i ponownie odwraca głowę do mężczyzny, z którym rozmawiała. Ktoś podaje Jake'owi wysoką szklanekę, śliską od skroplonej wilgoci.

- J u t r o wybieramy się do Landao - Mel przekrzykuje hałas i uczepiwszy się ramienia Jake'a, nachyla się ku jednemu z kolegów - żeby zobaczyć Buddę. Jake ma ochotę powędrować po wzgórzach.

- Ty też się wybierasz? - pyta kolega z rozbawieniem w głosie.

- Owszem. - Mel kiwa potakująco głową i zerka na Jake'a. — Jeśli zechce mnie wziąć. — Ścisła jego ramię. — Wiesz, pomyślałam sobie, że powinnam spróbować.

- Przecież nie znosisz takich rozrywek.

Nina stawia telefon na podłodze obok siebie, wybiera numer kierunkowy Londynu, a potem numer abonenta. Pulsujący pomruk odległego sygnału dociera do niej po krótkiej chwili ciszy.

Czeka, trzymając słuchawkę przy uchu, marszczy brwi, wolną ręką rozkłada jedną z kanapek, które tego ranka przygotował dla niej Richard, wyciąga srebrzyste półksiężycy cebuli. Przecież on wie, że ona nie jada surowej cebuli. Słyszy elektroniczne sapnięcie, a po nim syk nagrania poczty głosowej: „Cześć, połączyliście się ze Stellą Gilmore z działu realizacji. Albo nie ma mnie teraz przy biurku, albo jestem w innym...”

Nina rzuca słuchawkę, składa ponownie kanapkę i gryzie jej róg.

- Jeszcze tylko dwanaście minut! - wykrzykuje Lucy, wpatrując się w tarczę swojego zegarka. - I wszyscy zmienimy się z kogutów w wieprez!

- Rzeczywiście, Jake? — Mel odwraca się do Jake'a z niepewną miną.

- Z wołu w tygrysa - mruczy mężczyzna - i nie dotyczy to nas, ale...

- Chodźmy do tamtego baru kawałek dalej! - mówi Lucy. - Tego z didżejem. No ruszcie się, idziemy.

Jednym haustem wypijają resztki drinków i kierują się do drzwi. Powietrze na zewnątrz jest ciepłe i miękkie, delikatna mżawka muska ich twarze. Tłum wypełnia ulicę, wszędzie wokół faluje morze głów. Jake musi przywrzeć do ściany, żeby przepuścić grupę japońskich chłopców. Lucy potyka się o krawężnik, wpada na Jake'a. Z drugiej strony Mel ściska mocno jego rękę. Po przeciwnej stronie ulicy grupa Brytyjczyków śpiewa *Auld Lang Syne*.

W londyńskim biurze zaczyna dzwonić telefon komórkowy. Dźwięk jest przytłumiony, jak gdyby aparat przykryty był jakąś kurtką, katalogiem czy torebką. W boksach dookoła kilka osób odwraca głowy, nasłuchuje i zastanawia się. Po chwili wszyscy już wiedzą, że to nie ich komórka, i wracają do przerwanych zajęć.

Dziewczyna, która dzieli pokój ze Stellą, ściąga słuchawki i spogląda na jej biurko. Fotel jest odsunięty od komputera. Poprzez miejsce, które zwykle wypełnia postać Stelli, jej wzrok sięga nierównej linii kominów i szerniałych, wybłyszczonych deszczem dachów Regent Street.

Czy powinna odebrać? Stella dość często zapomina zabrać aparat do domu. W ciągu minionej godziny dzwonił już kilkakrotnie. Komuś musi zależeć na skontaktowaniu się z nią. Telefon przestaje dzwonić równie raptownie jak zaczął. Dziewczyna nakłada słuchawki. Powie o tym Stelli, kiedy tylko przyjdzie.

Hałas na ulicy wzmagą się, zupełnie jakby ktoś podkreślił głośność. Ludzie krzyczą, śmieją się i powrzaskują. Mężczyzna naprzeciwko Jake'a trzyma w rękach małego, papierowego, kruchego smoka z odsłoniętymi zębami, z zionącymi ogniem nozdrzami. Jake zaczyna przepychać się przez tłum w kierunku baru. Mel idzie tuż za nim, a za nią drepcze Lucy. Pozostali zdążyli się wtopić w tłum. Coraz więcej osób wynurza się z lokali i zasila płynącą ulicą ludzką rzekę. Jake'a objają nieustannie czyjeś ramiona, łokcie, biodra, stopy. Wykręca głowę i spogląda w górę ulicy. Czy tam tłum jest mniej gęsty? Nie. Z sąsiednich uliczek dopływają nowe strumienie ludzi, a D'Aguilar Street zastawiona jest w połowie przez policyjną barierę. Jake czuje przyśpieszone, nieregularne bicie serca i ścisną mocno palce Mel.

Wszyscy się cisną i rozpychają. Jake nie pamiętał, jak egoistyczni stają się ludzie w podobnych sytuacjach. Trzech męż-

czyn, w jednakowych czerwonych kostiumowych kapeluszach, łokciami toruje sobie drogę, jeden z nich staje ciężko na jego stopie, wgniatając ją niemal w chodnik. Ulica coraz bardziej wypełnia się ludźmi. Jake'owi robi się nagle gorąco. Obraca głowę w jedną stronę, potem w drugą, nie może się zdecydować, dokąd i którądy powinni pójść. Mel coś do niego mówi, odwraca się, żeby ją usłyszeć, potyka się i prawie przewraca. Chwyta się pierwszej lepszej, najbliższej rzeczy — płaszcza stojącej z lewej strony kobiety - i dzięki temu odzyskuje równowagę. Kobieta obrzuca go szybkim, przestraszonym spojrzeniem, odwraca się jednak bez słowa, kiedy Jake ją przeprosza. Tłum napiera, ściska mu klatkę piersiową.

- Nie podoba mi się to - mówi Mel. - Jake, to mi się nie podoba.

- Wiem — odpowiada. - Spróbujmy...

Jego słowa giną gdzieś bez śladu, bo wszystko teraz toczy się lawinowo.

Tuż za nim mężczyzna niosący kilka butelek potyka się i przewraca. Butelki wylatują mu z rąk i lądują na ziemi. Szkło eksploduje, a piwo rozlewa się promieniście po bruku, tworząc pieniającą się ciemną plamę. Jake wciska się w zbity tłum na chodniku, pociąga za sobą Mel. Ze wzgórza splywa niepohamowana fala ludzi. Jake widzi, jak pochłania mężczyznę od butelek. Potem potyka się Lucy, zostaje z tyłu i znika, a nad jej głową zamyka się tłum.

Francesca jest w ogrodzie; nachyla się nad żmijowcem kupionym w szkółce w Arran, który, jak zauważyła, zaczął czernieć od mrozu. Francesca nienawidzi mrozu, nienawidzi go jeszcze bardziej niż lepkich mszyc, które latem mrowią się na jej różach, bardziej niż ozdobionych pomarańczową falbanką ślimaków, które najeżdżają jej nasturcje. Nie może się zdobyć na wykończenie ślimaków. Już sama myśl o truciu

ich jakimiś środkami chemicznymi czy posypywaniu solą wydaje jej się zbyt okrutna.

Wstrząsa nią dreszcz, więc otula się szczelniej rozpinanym swetrem Archiego. Nisko sklepienie edynburskie niebo zasnuwane jest chmurami delikatnymi jak puch na brzuchu gęsi. Dzisiejsze zimno ma metaliczny posmak śniegu. Jej ciało reaguje na elektroniczny tryl wcześniej niż mózg. Prostuje się i rusza w kierunku domu, zanim zdąży sobie uświadomić, co się dzieje. Telefon. To ten nowy telefon, który kupiła jej Stella.

Podnosi aparat i naciska przypadkowy guzik, ale tryl nie ustaje. Francesca wzdycha, sięga po wiszące na łańcuszku na szyi okulary i przygląda się uważnie przyciskom. Widzi jeden z maleńkim obrazkiem telefonu. Może to ten.

- Halo? - odzywa się niepewnie, pytająco.

- Ciągle jeszcze nie wykombinowałaś, jak odbierać ten telefon?

To Nina, jest tego prawie pewna. Przez telefon obie brzmią podobnie, żadna zaś nie ma zwyczaju się przedstawiać.

- Oczywiście, że umiem to robić - kłamie Francesca, grając na czas. Obraziłyby się, gdyby je pomyliła. - Byłam w ogrodzie i tyle.

- Aha. - Chwila milczenia, w której Francesca słyszy, jak jej rozmówczyni zaciąga się papierosem. Zatem Nina. - A w ogóle, to jak się miewasz?

- Och, świetnie - odpowiada Francesca. - No wiesz, ciągle zajęta. Twój ojciec poleciał do Monachium.

- Po co?

- Nie jestem pewna. Pewnie na jakąś konferencję.

- Słuchaj — oświadcza Nina — nie mogę teraz rozmawiać. Za pięć minut mam spotkanie. Zastanawiałam się tylko, czy przypadkiem nie rozmawiałaś dzisiaj ze Stellą.

- Stellą? - powtarza Francesca, zamyślając się. Stella jest tą, o którą nie musi się martwić. — Nie.

- Kiedy ostatnio z nią rozmawiałaś?

- W zeszłym tygodniu. A może to już dwa tygodnie...
- Ale nie dzisiaj?
- Nie. Dlaczego?
- Nieważne. Po prostu nie mogę jej złapać. Zostawiałam jej wiadomości, ale nie oddzwoniła. - Nina ponownie zaciąga się papierosem. - Zniknęła.

Francesca często czuje się nieco zagubiona, jeśli chodzi o relacje między jej dwiema córkami. Zawsze wydają się zbyt tajemnicze, zbyt hermetyczne, żeby mogła je pojąć.

- Mogła wziąć wolny dzień albo... - ożywia się zadowolona, że na to wpadła.

- Powiedziałyby mi - przerywa jej Nina.

Francesca nie wie, co powiedzieć.

- Nie wpadłabyś później? - mówi wreszcie, pamiętając, że kierowanie rozmowy na inne tory w przypadku Niny zawsze się sprawdza. - Może pokażą coś dobrego w telewizji. Ugotuję ci obiad.

- Dobrze - zgadza się Nina. - Postaram się.

Mel nie przestaje wykrzykiwać imienia przyjaciółki i próbuje się wyrwać trzymającemu ją kurczowo Jake'owi. Rozwrzeszczany tłum zionie mdłym zapachem potu, ostrym odorem piwa. Jake stara się nie wypuścić z uchwytu Mel, kiedy przepycha się do przodu w poszukiwaniu Lucy. Potem tłum zostaje rozkołysany kolejną ogromną falą i Jake czuje, jak ziemia usuwa mu się spod stóp i jak nurt ciał oddala go od Lucy, unosi razem z Mel ku witrynie baru i ludziom tańczącym w rytm muzyki, którą słyszą jedynie oni sami. Ludzka fala rzuca nim o zimną, chropawą ścianę, wyrwa mu Mel. Mężczyzna walczy, wbija łokcie w otaczające go ciała, żeby zdobyć odrobinę przestrzeni pozwalającej chwycić oddech, odpycha się stopami od ściany. W ściśniętych, pozbawionych powietrza płucach czuje żar.

- Mel! - krzyczy. - Melanie! - W tym hałasie nie słyszy nawet własnego głosu. Jakiś brodaty blondyn napiera mu na plecy, a filipińska dziewczyna uczepiona jego rękawa łąka rytmicznie. — Mel! — wrzeszczy ponownie i próbuje się obrócić.

Tłum znowu rusza falą, tym razem w innym kierunku, w dół; porywa go z sobą i Jake czuje coś pod stopami, coś miękkiego, uginającego się pod naciskiem. Ciało? W piersi czuje ostre ukłucie paniki, próbuje spojrzeć w dół, ale jest całkowicie unieruchomiony pomiędzy wrzeszczącą nastolatką z ufarbowanymi henną włosami i kobietą z wytrzeszczonymi oczyma. Patrzy w te oczy i widzi czerń rozszerzonych źrenic, widzi też uchylone usta w bezwładnie kołyszącej się głowie.

Jake wymachuje nogami i odchyła do tyłu głowę, walczy o odrobinę powietrza. Mżawka muska jego twarz. Wysoko nad nim kopuła nieba, czarna, niezgłębiona i obojętna, usiana srebrnymi punkcikami. Z daleka dochodzi go zawodzenie syren. Obok siebie natomiast słyszy rozdzierające wrzaski nastolatki, przechodzące w skamlenie. Czyjś niewyraźny, metalicznie brzmiący głos z megafonu w dwóch językach wzywa ich do zatrzymania się i zachowania spokoju. Z barów wokół sączą się dźwięki muzyki - z każdego inna. Daleko w porcie strzelają fajerwerki. W jego uszach łomocze krew. I to straszne milczenie kobiety z wytrzeszczonymi oczyma.

O wpół do piątej dziewczyna dzieląca pokój ze Stellą zaczyna się denerwować. Mają przecież razem wybrać gościa programu na następny tydzień; jedna z nich powinna przeczytać książkę, czy przynajmniej jakąś jej część, i napisać dla Jamesa listę pytań, które on wykorzysta w swoim wywiadzie; ci od *public relations* wydzwaniają nieustannie i próbują wcisnąć swoich klientów do programu i ona, Maxine, nie ma czasu, żeby zmontować wywiad z tego tygodnia, bo ciągle musi odbierać telefony. Gdzie ona się, do diabła, podziewa?

Dzwoni aparat używany przy realizacji programu. Wściekłym gestem podnosi słuchawkę.

- Halo, *James Karl Show*, mówi...

- Maxine — spokojny, ale bezceremonialny głos — przepraszam, tu...

- Nina - przerywa Maxine, a jej irytacja się wzmacnia. Siostra Stelli. Ten głos rozpoznałaby wszędzie. Jego właścicielka wydzwaniała jakieś dwadzieścia razy dziennie, na ogół bez żadnego konkretnego powodu. Maxine i jeszcze jedna kobieta od programu żartują sobie, że Nina nie zrobi sobie filiżanki herbaty bez konsultacji ze Stellą. - Nie ma jej tu - rzuca ostro.

- Tak też się domyśliłam - równie ostro reaguje Nina. - Wiesz, gdzie jest?

- Chciałabym wiedzieć. Miała być przed pierwszą, ale się nie pojawiła.

- A gdzie była rano?

- Nie wiem.

- Spotykała się z kimś?

- Nie mam pojęcia.

- O której wyszła wczoraj?

Maxine wzdycha. Akurat jej teraz potrzeba przesłuchiwania przez zbzikowaną siostrzyczkę Stelli.

- Nino - cedzi słowa - ja naprawdę mam tu urwanie głowy i...

- O której wyszła? - nalega Nina.

- Na miłość boską - mamrocze Maxine - nie wiem... w nocy... wpół do pierwszej. Może o pierwszej. Musiało to być już po zakończeniu programu.

Maxine słyszy pstryknięcie zapalniczki Niny.

- Mam coś przekazać? - pyta Maxine, nie przestając ani na chwilę obracać w palcach pióra. Musi wrócić do tego wywiadu... James się wścieknie, jeśli go nie skończy do piątej. Macha ręką do kobiety siedzącej za szybą w sąsiednim pomieszczeniu. Tamta wykonuje gest, jakby piła, proponując jej

w ten sposób kawę. Maxine kiwa głową i podnosi do góry kciuk.

- Nie - mówi Nina - nie trzeba - i wyłącza się.
- Ja też cię żegnam - rzuca Maxine w pustkę pokoiku.

I znów porywa go tłum i tym razem niesie w górę ulicy, nacisk staje się tak nieznośny, że w ogóle nie może zaczerpnąć oddechu. Oczy zachodzą mu mgłą, świat się rozmazuje, a od barku w dół pleców rozlewa się przenikliwy ból. Najważniejsze to nie upaść, powtarza sobie w kółko, utrzymać się na nogach, nie znaleźć na ziemi. Trzeszcza wysilone żebra, wydaje mu się, że w jego ciele nie ma już ani odrobiny tlenu, czuje mrowienie w zdrętwiałych nogach i jest przekonany, że to już koniec, że przyszedł na niego czas, że nic i nikt tego nie powstrzyma, a jednocześnie jego umysł staje się apatyczny i spokojny, i ciężki niczym roztopiony ołów.

Wypchnięty raptownie ze ścisku uderza w plecy jakiegoś człowieka.

- Może byś uważał, człowieku, co? - mężczyzna rzuca gniewnie, na moment tylko odwracając głowę od swojego towarzystwa.

Jake wlepia w nich wzrok. Popijają i rozmawiają. Natrafił na grupę ludzi, którzy nie wiedząc o niczym, wciąż zajęci są witaniem Roku Tygrysa.

- No, bo co byś zrobił, jakby klient zabrał cię do jednego z tych miejsc, gdzie na wystawie mają spłaszczone świńskie łby? - mówi mężczyzna, od którego się odbił.

Kobieta obok niego chichocze i odrzuca do tyłu głowę.

- Kiedy wejdiesz między wrony...! - wykrzykuje i wszyscy wybuchają śmiechem.

Jake czuje, jak ścisk maleje. Ciała ludzi odrywają się od niego. Zupełnie jakby przedziurawiono jakąś błonę: ludzkie strumienie zaczynają odpływać. Nogi uginają się pod nim, jakby były ze stopionego plastiku, bruk unosi się do góry. Kuca, wciąga z wysiłkiem powietrze do zmaltretowanych

płuc, świadom stojących wokół, gapiących się i mamroczących ludzi. Wydaje się, że nagle zaległa głęboka cisza.

Jake unosi głowę i spogląda w głąb ulicy.

W drodze do domu przez Meadows Nina wpada do Richarda, mija rząderek czekających pacjentów, rejestratorkę (która nigdy się do niej nie odzywa, bo Ninie zdarzyło się raz, na dorocznym przyjęciu medyków, nazwać ją tłustą krową) i wchodzi do jego gabinetu.

Richard wkłada właśnie z powrotem do pudełka jakieś dziwne stalowe przedmioty i czarną rurkę.

- Witaj, ślicznotko - odzywa się na jej widok i całuje ją w czoło, czego Nina nie znosi, ale nie chce wywoływać z tego powodu kłótni. - Co tu robisz?

- Przyszłam się z tobą zobaczyć. - Siada na służącej do badań leżance i zakłada nogę na nogę.

- J a k t o mi ło - mówi Richard, ona jednak zauważa, że mąż rzuca szybkie spojrzenie w kierunku zegara.

- Martwię się o Stellę - wyjaśnia.

- O? - Richard zbiera papiery na biurku w jedno miejsce, patrzy na monitor komputera.

- Poszła na wagary.

- Wagary? - powtarza, stosując starą sztuczkę, która ma świadczyć o tym, że słucha. Jednocześnie zapisuje coś na kartce. - Ale ona często to robi, prawda? To stanowi nieodłączny element... bycia Stellą.

- Co jest tym elementem?

- Znikanie. - Richard podnosi wzrok.

Nina widzi, jak mąż odkłada pióro, widzi, jak przypomina sobie, że musi postępować ostrożnie, kiedy mówi o jej siostrze. Na początku znajomości — lata temu — cisnęła mu w głowę otwieraczem do puszek, kiedy spytał, czy nie uważa, że Stella jest nieco kapryśna.

- Ale najpierw zawsze mi o tym mówi. Mam... - wzrusza nerwowo ramionami - ...mam uczucie, że coś się stało.

- Jestem pewien, że wszystko w porządku. - Richard podchodzi i gładzi ją po policzku. - Kiedy ostatnio z nią rozmawiałaś?

- Wczoraj wieczorem - odpowiada Nina i natychmiast żałuje swoich słów. Widzi, jak drgają mu usta, wyobraża sobie, jak w jego umyśle pojawia się diagnoza: histeria. - Ale od tego czasu zostawiłam jej całe mnóstwo wiadomości.

- Zjawi się - mówi Richard uspokajająco. - Nie sądzisz, że jest po prostu zajęta?

Nina nie odpowiada. Kładzie się na leżance, szpilki jej pantofli zaczepiają o papierowy podkład. Dłoń Richarda łąduje na jej biodrze. Przez cienki materiał spódnicy Nina czuje, jaka jest gorąca.

- Może trzeba cię przebadać - mówi Richard i palcem zaczyna przesuwac w górę rąbek spódnicy, odcisk na jego kciuku zahacza o pończochę.

Nina wpatruje się w sufit, wsłuchuje w szelest przykrywającego leżankę papieru, w tykanie sekundowej wskazówki ściennego zegara, w oddech Richarda.

- Nie - oświadcza, siada i obciąga spódnicę. - Muszę znaleźć Stellę.

Jake stoi przy melaminowym biurku, prawą ręką ściska mocno lewe ramię. W barku czuje nieznośny ból, świdrujący, gwałtowny, a ramię zwisa mu pod dziwnym kątem, odchylone od ciała, jakby należało do kogoś innego. Z rozcięcia na twarzy sączy się krew. Musi ją co chwilę wycierać rękawem, który pokrył się już pasiastym wzorem. Wokół kręcą się pielęgniarki, sanitariusze i personel paramedyczny, są zelektryzowani sytuacją i mają pełne ręce roboty.

- Melanie Harker. — Jake nachyla się nad biurkiem. — Czy jest tutaj?

- Proszę usiąść - odpowiada kobieta, w ogóle na niego nie patrząc. - Lekarz wkrótce pana przyjmie.

- Niepotrzebny mi lekarz - wyjaśnia. - Muszę ją znaleźć. - Oczy pieką go od białego światła. - A Lucy Riddell? Może ona tu jest?

- Proszę usiąść. - Recepcjonistka wbija w niego gniewne spojrzenie.

Kiedy poruszy zbyt szybko głową, ściany i korytarze wokół niego zaczynają się kołysać. Dla zachowania równowagi chwytą brzeg łuszczącego się biurka. Ręka trzęsie mu się jak staruszkowi. Nadal jest zaskoczony łatwością, z jaką wdycha i wydycha powietrze, wdech i wydech. Wydaje mu się, że już nigdy nie przestanie go to dziwić.

Za dwuskrzydłowymi drzwiami, na prowadzącym w obie strony korytarzu błyska biel lekarskiego kitla. Jake rusza za lekarzem, wspierając się ręką o ścianę.

- Panie doktorze - mówi, posuwając się niepewnie korytarzem, ślizgając się po błyszczącej, bladozielonej farbie - panie doktorze.

Lekarz rzuca mu krótkie spojrzenie przez ramię i nie zwalnia kroku.

- *M'goi, m'goi* — Jake przechodzi na kantoński - *gau meng ah*. Szukam Melanie Harker. Czy ona tu jest?

Lekarz staje i przygląda mu się, teraz już bardzo uważny, poruszony jak wszyscy, **kiedy gweilo** odezwie się po kantońsku.

- Melanie Harker - powtarza lekarz, nadal bacznie mu się przyglądając. — Tak. Jest tutaj. Widziałem ją niedawno. Ona jest... - Milknie. - Jest pan jej krewnym?

- Nie... tak... — Jake próbuje powiedzieć coś sensownego. Wciąga do zadziwiająco pojemnych płuc potężny haust powietrza. — Jest moją... moją dziewczyną. Jej rodzina jest w Anglii — udaje mu się wydusić z siebie. — W Norfolk — dodaje, nie wiedząc dlaczego.

Lekarz, z podkrążonymi od zmęczenia oczyma, wodzi po nim wzrokiem.

- Czy ktoś pana obejrzał? - pyta.

- Nie - Jake kręci niecierpliwie głową - ale nic mi nie jest. Muszę tylko wiedzieć...

- Nie wygląda pan najlepiej - mówi lekarz, wyjmując z kieszeni cieniutką latarkę i świeci nią w oczy Jake'a. Kiedy dotyka jego lewego ramienia, Jake wzdryga się, bo ten dotyk powoduje, że rozpalone ostrze bólu przesywa całą rękę od góry do dołu. - To trzeba koniecznie prześwietlić - mówi lekarz. - Ręka jest złamana. A pan jest w stanie szoku. Zatrzymamy tu pana. *Neihih ming m ming ah?*

- *Ngor ming*. Ale kiedy...

- Melanie Harker - przerywa mu lekarz - jest w stanie krytycznym. Leży na oddziale intensywnej opieki.

Jake wpatruje się w lampę na ścianie. Do jej wnętrza dostała się mucha i uderza o białe matowe szkło klosza. Wydaje mu się, że to się dzieje w jego głowie. Otwiera usta, żeby zadać pytanie, ale nie bardzo wie, jak ono mogłoby brzmieć.

- Sprawdzę, czy może ją pan odwiedzić - mówi lekarz łagodniejszym już głosem.

Stella siedzi na podłodze, plecami oparta o drzwi mieszkania, wciąż otulona płaszczem. Wszystko w tym pokoju wydaje się jej obce. Czy to ona kupiła ten obraz na ścianie, wazon, tamte książki? Czy należą do niej? Czy to jej życie czy kogoś innego? Czy to ona spędziła cały weekend na cyklowaniu, a następnie woskowaniu tego parkietu, z maską na twarzy? I niby dlaczego to robiła? Po co?

Za grubą, zieloną łodygą amarylisa dostrzega swoje odbicie w lustrze. Błada twarz jaskrawo kontrastuje z włosami. Stella ma smukłe dłonie ojca, zielone oczy i ciemne włosy matki oraz — co ku swojemu zdumieniu niedawno odkryła,

kiedy w mieszkaniu dziadków znalazła starą pożółkłą fotografię - twarz ciotecznej prababki z Isernii. Poplątanie i pomieszanie genów.

Znów dzwoni telefon, wzdryga się na jego dźwięk i odrywa wzrok od swojego odbicia. Skubie wypukłe szwy rękawiczek. Czwarty, piąty dzwonek, po szóstym włącza się automatyczna sekretarka i Stella słyszy sączący się w ciszę głos siostry.

Opuszcza głowę, dłońmi zasłania uszy.

Mel wygląda, jakby cała krew z niej odpłynęła. Jej skóra jest tak blada, że dziewczyna wtapia się w śnieżnobiałą pościel i ściany. Wszędzie wokół sapia i mrugają maszyny. Gdzieś w górze szumi klimatyzacja.

- Mel? - Jake bierze jej palce w swoje. Są suche i zimne, ot kilka luźnych kostek. Na jej drugiej ręce niczym krokodyle szczęki zaciśnięta jest szara plastikowa klamerka. - Mel, to ja - szepcze.

Jej oczy przesuwają się pod fiołkowo żyłkowanymi powiekami, a potem rzęsy oddzielają się od siebie. Mija kilka chwil, nim jest w stanie skupić na nim wzrok. Otwiera usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Jake widzi, jak nabiera powietrza i jak przełyka. Wszystko zajmuje jej tyle czasu i wymaga ogromnego wysiłku. Chce jej powiedzieć, że to nieważne, że nie musi nic mówić, kiedy ona, na wydechu, wymawia jego imię, a jej dłoń drga pod jego dłonią. A potem mówi coś bezgłośnie.

- Co powiedziałaś? - pyta szeptem, nachylając się jeszcze niżej. Pachnie inaczej niż zwykle. Pod cierpkim, aseptycznym zapachem szpitalnym wyczuwa jakąś kwaśną, dziwną woń, jakby czegoś, co zbyt długo przebywało w mroku.

- Lucy - szepcze Mel. - Lucy.

- Nie ma jej tutaj — mówi Jake i odwraca głowę. Kłamstwo przychodzi mu z trudem, nigdy nie umiał kłamać. Zawsze się obawia, że prawda rzuca się w oczy, że da się ją

odczytać z jego twarzy, jakby była tam wyświetlona. Lucy leży w kostnicy, kilka pięter poniżej łóżka Mel. - Zabrano ją do innego szpitala - wymyśla na poczekaniu. - Queen Mary, w Happy Valley.

Wzrok Mel wędruje po jego ciele, przesuwa się po gipsie na rękę, temblaku, sińcach na twarzy.

- A co z tobą? - pyta. Wymawiane osobno słowa rwą się, jakby każde należało do innego zdania.

- W porządku. - Jake kiwa głową. - Tylko złamanie. I zwichnięty bark. Nic mi nie będzie. Jak ty się czujesz?

Mel przesuwa głowę na poduszce i wzdycha; jej oddech pokrywa mgłą maskę tlenową. Jake widzi, jak w kącikach jej oczu wzbierają łzy i spływają, tworząc miniaturowe rozgałęzienia. Mel ponownie porusza ustami.

- Co mówiłaś? - Mężczyzna nachyla się i dotyka wargami jej policzka, odsuwa z czoła pasemko wilgotnych włosów.

- Boję się - słyszy odpowiedź. Nachyla się nad nią tak nisko, że widzi, jak jej język formułuje poszczególne słowa. - Jake, ja nie chcę... - Mel szuka wzrokiem jego oczu. - Nie chcę umrzeć...

- Nie umrzesz - zapewnia ją, zanim jeszcze zda sobie sprawę, że ona nie skończyła, że mówi dalej.

- ...nie będąc twoją żoną.

Jake nachylił się nad łóżkiem w salce oddziału intensywnej opieki medycznej mruga zaskoczony. Już ma zapytać „Co?“, ale się powstrzymuje. Słyszał przecież wyraźnie. Jej słowa wydają mu się tak dziwaczne, że jakaś głęboko skryta jego cząstka ma ochotę się roześmiać. Niemożliwe, żeby mówiła poważnie.

- Mel - zaczyna, nie mając pojęcia, co zamierza powiedzieć, co powinien powiedzieć. Bo co się mówi, kiedy człowiek usłyszy takie słowa? Od dziewczyny, którą zna zaledwie cztery miesiące?

- Nie chcę... nie potrafię znieść myśli — jej głos unosi się niczym liść na wietrze - że umrę, nie będąc... połączona z tobą. - Zaczyna szlochać, a wokół biegają ludzie, ich stopy śmigają po kafelkowej posadzce. — Nie zniosę tego bez...

Pielęgniarka poprawia maskę na twarzy Mel. Mel opiera się, usiłuje powiedzieć coś więcej, ale już pojawia się lekarz i majstruje przy urządzeniu, prosi, żeby nie mówiła i leżała spokojnie.

- Może... - zaczyna Jake, ale nie jest w stanie zebrać myśli. Oddałby wszystko, by móc się na chwilę położyć, przymknąć powieki i odgrodzić oczy od tego bezlitosnego światła, wyciągnąć się na wykrochmalonych prześcieradłach, robić to, co poleci mu jedna z tych pielęgniarek. - Może zobaczymy, jak będziesz się czuła jutro - mówi. Słyszy, jak nieprzekonująco brzmią jego słowa, i zauważa przerażenie w jej oczach.

- Wie pan, ona nie przeżyje tej nocy - łagodnie, ale z naciskiem odzywa się po kantońsku stojący po prawej stronie Jake'a lekarz.

Jake zwraca na niego spojrzenie. Cały czas rwący ból przenika jego ramię. Nagle robi mu się nieznośnie gorąco. Pownownie przenosi wzrok na Mel. Jej oczy płoną i lśnią.

- Przykro mi - mówi lekarz.

Stella trzęsie się z zimna, ma gęsią skórkę, szczęka zębami. Ogrzewanie jest wyłączone. Jakiś czas temu przechyliła się i włączyła światło. Wysoko nad nią pali się żółtawo żarówka. Stella nie ma pojęcia, która jest godzina. Wydaje jej się, że ten budynek, ba, całe miasto, gdzieś zniknęło, rozplynęło się, utonęło w ciemnościach nocy. Telefon zadzwonił dwa razy i umilkł. Sąsiedzi zza ściany mieli włączony bardzo głośno telewizor. Ale teraz i on zamilkł. Jest tak, jakby oświetlona klatka tego pokoju, odosobniona i osamotniona, unosiła się w mrokach przestworzy.

Stella zaciska mocno powieki. Musi być jakiś sposób, żeby nie pozwolić, aby to na zawsze zdominowało jej istnienie. Ile razy jej się to przydarzyło? Jak często dostrzega go w twarzy nieznanego, na ulicy, w pociągu, w barze, w windzie, po drugiej stronie sklepu? Te zdarzenia kaleczą jej życie niczym leje krasowe, wokół których niebezpiecznie eroduje ziemia.

Stella zrywa się z podłogi. Gwałtowny ruch powoduje, że mgła przysłania jej oczy, czuje ból w stawach. Małe, skrzydlate stworzenie krąży przez moment wokół jej głowy, po czym leci ku światłu. Stoi i obserwuje je przez chwilę i właśnie wtedy w jej głowie pojawia się ten pomysł. Dociera tam skądś z zewnątrz, raptownie jak piorun trafiający w przewodnik, i w tym samym momencie, w którym go sobie uświadamia, podejmuje decyzję.

Natychmiast zaczyna działać, jak zabawka z nakręconą do granic możliwości sprężyną, porusza się szybko i zbiera rzeczy: ubrania, żakiet, mapa, kompas, portfel, kilka książek. Z góry szafy ściąga torbę i wrzuca do niej ten cały stos, energicznie zasuwa zamek błyskawiczny.

Ksiądz zna Hing Taia. Wita Jake'a, wymawiając jego imię po swojemu, mówi, jak mu przykro z powodu tych kłopotów. Pielęgniarka o poważnej twarzy, w białym stożkowym czepku sterzącym na skręconych trwałą, gęstych czarnych włosach, pełni rolę świadka. Kiedy do pokoiku wsącza się pierwsze światło Roku Tygrysa, Jake kładzie jedną rękę na dłoni Mel, a drugą na czarnej, oprawnej w skórę księdze, w którą nie wierzy, i powtarza słowa przysięgi małżeńskiej.

Kiedy Stella otwiera drzwi auta, dostrzega na jego szybach szron. Siedzi przez kilka chwil i czeka, aż gorący nawiew na przednią szybę roztopi lodowe gwiazdki.

Klucze od mieszkania umieszcza w kopercie zaadresowanej do przyjaciółki. Na przedmieściach Londynu zatrzymuje się przy skrzynce pocztowej i wciska kopertę w szeroki czerwony pysk.

Zdumiewa ją, jak dużo jest samochodów na ulicach w środku nocy. Kiedy widzi tablicę z napisem „Szkocja, Północ”, mocno naciska pedał gazu i niemal się uśmiecha.

CZEŚĆ DRUGA

Stella rozcina nożem zaklejoną kopertę. Wysokiej klasy kremowy papier poddaje się i dzieli, jego brzegi strzępią się, jak szarpie. Kiedy wkłada do środka palce i wysuwa list, budynek wokół niej zaczyna drżeć.

Podnosi wzrok. Na schodach widzi parę pedantycznie zasznurowanych turystycznych butów. Przygląda im się przez chwilę, po czym upuszcza list, zsuwa się z fotela i wciska za balansującą na specjalnym stojaku wysoką roślinę o spiczastych liściach. Tego ranka Stella podała śniadanie, sprzątnęła kuchnię, odpowiedziała na dwa telefony w sprawie rezerwacji pokoi i nie ma najmniejszej ochoty wdawać się w jałową pogawędkę z którymkolwiek z gości.

Mężczyzna z czwórki przemierza sprężystym krokiem hol; ubrany jest jak na wyprawę polarną, na szyi kołysze mu się lornetka. Kiedy dociera do drzwi frontowych, wysuwa głowę jak żółw, ustawia poziomo dłoń, żeby sprawdzić, czy nie pada. Druga ręka, jak zauważa Stella, zajęta jest drapaniem jednego z pośladków. Dziewczyna marszczy nos, a z jej ust wrywa się zduszony chichot, który jak piłeczka pingpongową odbija się echem od ścian pustego hotelowego holu.

Mężczyzna przestaje się drapać i odwraca głowę. Stella wstrzymuje oddech, w myślach szuka pośpiesznie ewentualnego wyjaśnienia swojej obecności w tym ciasnym kącie za rośliną w doniczce. Mężczyzna jej nie zauważa. Zaczyna ją już boleć kark od tej niewygodnej pozycji, ale na wyjście stamtąd jest jeszcze za wcześnie.

Kiedy słyszy trzaśnięcie drzwi frontowych, prostuje się i przeciąga, unosi ramiona wysoko nad głowę, jej kręgosłup rozciąga się z trzaskiem na całej długości. Siada w fotelu i bierze do ręki list, kładzie go na blacie i wygładza grzbietem dłoni, rozprostowując esy-floresy matczyne go pisma.

Matka zawsze pisze wiecznym piórem. Stella wie, gdzie je trzyma - w najmniejszej szufladce z prawej strony biurka - i wie dokładnie, jak może wyglądać jej matka, kiedy opuszcza pokrytą nalotem, kruchą stalówkę w wilgotny otwór butelczki z atramentem. Widzi ją w najdrobniejszych szczegółach, tak samo wyraźnie jak swoje odbicie; matka ścisną gumkę, wypuszczając z pióra bąbelki powietrza, następnie napełnia pióro atramentem jak strzykawkę krwią. Francesca krzyżuje pod krzesłem nogi w kostkach, nakłada bibułę na suszkę, która ma swoje miejsce pośrodku biurka pod wykuszowym oknem, potem wykonuje ów szczególny gest, niczym dyrygent uciszający orkiestrę, pochyla się do przodu, przykładając stalówkę do nieskazitelnej bieli i zaczyna: *Najdroższa Stello.*

Stella spogląda na kartki: *Twój ojciec i ja*, czyta. Potem: *bardzo staramy się zrozumieć, dlaczego to zrobiłaś.* Opuszcza kilka linijek... *nie pojmujemy, jak można tak po prostu rzucić pracę, bardzo dobrą pracę, w Londynie...* obraca kartkę... *taki dziwny postępek...*

Podnosi wzrok, kieruje oczy za okno. Stąd może zobaczyć jak na dłoni całą dolinę - poprzez szarpane wiatrem drzewa widzi strumyk wijący się między płatami moczarów, łaty torfowisk, a dalej porozrzucane bezładnie domki w wiosce. Dzień jest jasny, po niebie mkną obłoki. Połyskująca powierzchnia jeziora marszczy się wzburzona wiatrem. Za hotelem teren jest bardziej kamienisty, dzikszys, ziemia podnosi się stromo w stronę gór, bystre potoki, wrzynając się w skałę, odnajdują drogę w dół. Stella rzadko wygląda przez tamte okna.

Odwraca się ponownie ku schodom, nad którymi wisi rząd obrazów wymalowanych gęstymi, ciemnymi barwami. Mężczyzna z nastroszonymi bokobrodami spogląda na nią gniewnie, przez ramię ma przerzuconego zająca z zamkniętymi oczyma. Zezowate dziecko nieokreślonej płci w szkockim berecie z pomponem pozuje, stojąc obok harfy. Stella zauważa, że nadgryziona przez mole jelenia głowa na szczycie schodów jest nieco przekrzywiona.

List wciąż tkwi pomiędzy jej palcami. *Ucałowania i wszystkiego dobrego*, kończy się. A potem te rozciągnięte zawijasy matczynego podpisu. *Ucałowania i wszystkiego dobrego*.

Stella pociera stopą o stopę, sprzączki sandałków zahaczają o siebie. Dłonie podłożyła pod uda. Żuje i połyka ostatni kęs tłustej kiełbasy. Talerz jest pusty, jeśli nie liczyć bobu. Wyjadała starannie wszystko wokół, a bób posuwała na brzeg, żeby przypadkiem niczego nie dotykał.

Z drugiego boku prostokątnego stołu jej babka wsparta na łokciach mówi coś o talerzykach na chleb. Naprzeciw Nina, z opuszczonymi oczyma, kroi swoje jedzenie na równe, geometryczne kawałki. Kiedy w powszedni dzień ich matka musi pracować, babka - ta szkocka babka, matka ich ojca - przychodzi, żeby się nimi zająć.

- Kto inny ugotowałby wam obiad? - pyta w taki sposób, że Stella wie, iż odpowiedź jest zbędna.

Pod stołem, pomiędzy ich nogami i nogami krzesel, snuje się bezszelestnie niewidoczny kot, ociera o łydki.

Ukradkiem i tak cichutko, jak tylko potrafi, Stella składa razem pochodzące z dwóch różnych kompletów nóż i widelce. Czubkiem widelca delikatnie stuka o porcelanę, ale może nikt tego nie słyszy, może nikt nie zauważy.

- Ależ, Archie, na pewno są jacyś koledzy, którzy mogą ci

pomóc z... - Stella słyszy sączący się w ciszę głos babki. Wzrok ma wbity w jednostajne plisy szkolnej spódniczki. Czuje na sobie spojrzenie górującej nad nią babki. A ściśle rzecz biorąc, babka patrzy na jej talerz.

- Nie jesz bobu, skarbie? - Głos babki jest melodyjny, pytanie rozmyślnie rzucone lekkim tonem.

Ojciec Stelli uprawia bób w przydomowym ogródku, co spotyka się z dezaprobatą sąsiadów, którzy uważają, że jest to odpowiednie miejsce na róże i fiołki alpejskie. Stella uwielbia go zbierać, wyplątywać nabrzmiałe strąki spośród masy splecionych liści; uwielbia je otwierać i znajdować w ich wnętrzu równiutkie rzadki ziaren spoczywające w srebrzystym runie. Jednak po półgodzinnym gotowaniu, wyjęte na talerz, są zupełnie odmienione; pomarszczona, stwardniała skórka lepi się do bliźniaczych, skrzypiących przy gryzieniu połówek. Smak jest mdły, nijaki, suchy. Nie może tego jeść, w żadnym razie, naprawdę nie może.

- Nie chcę - odpowiada Stella.

- Słucham cię? - Babcia Gilmore jest nadal boleśnie uprzejma.

- Może... - wtrąca nieśmiało ojciec, ale Stella dostrzega, jak babka ucisza go szybkim gestem.

- No dalej - babcia Gilmore nachyla się ku niej, bierze jej widelec i nabiera nań trzy zielone bryłki - tylko spróbuj. Może ci zasmakują.

Stella zaciska mocno wargi i kiedy widelec zawisa nad nią, odchyła się do tyłu na krześle.

- Otwórz usta.

W jej nozdrza wciska się woskowy, kompostowy zapach. Kręci głową.

- Stello, otwórz usta.

Dziewczynka wbija wzrok w trzy ziarna bobu. A może? Wyobraża sobie jednak ich przeraźliwy dotyk na wilgotnym,

ciepłym języku, bolesny wysięk ślinianek w głębi ust i żołądek natychmiast podchodzi jej do ściśniętego gardła. Dławi się, kaszle. Babka bezbłędnie wykorzystuje ten moment, bo już metal trzaska o jej zęby, a usta pełne są gumowatych, zielonych bryłek.

Stella ma odruch wymiotny, drażniąca ciecz wypełnia jej usta i bób wystrzeliwuje na obrus. Dziewczynka łka i palcami niczym krata w geście obronnym zasłania twarz.

- No cóż, nie zamierzam z tobą walczyć - oświadcza babka i z trzaskiem kładzie widelec na stole. - Będziesz tu siedzieć, dopóki nie skończysz tego, co masz na talerzu. - Zgarnia ze stołu wypluty bób i kładzie ponownie na talerzu Stelli. - To też. Wszystko.

Stella słyszy, jak ojciec coś mamrocze.

- Archie — mówi babka z ostrzegawczą nutą w głosie - ona musi się nauczyć.

Przez szpary pomiędzy palcami Stella widzi, jak babka sprząta talerze, jak ojciec dolewa wody do szklanki Niny. Kiedy się ściemni, ich matka wróci z kawiarni; będzie pachnieć papierosami, pianą z piwa i kawą, przyniesie kartonik *gelato di cioccolato* dla niej i *gelato di fragola* dla Niny. Za tarczą rąk robi się gorąco i bołą ją ramiona, ale nie opuści ich. Patrzy, jak inni wstają od stołu, jedno za drugim. Odchodząc, Nina rzuca jej szybkie, trudne do odszyfrowania spojrzenie.

Stella odejmuje wreszcie dłonie od twarzy. Wokół panuje cisza. Widzi babkę, która siedzi na krześle w ogrodzie i czyta gazetę. Gdzieś gra radio. W pokoju na górze słychać kroki. Wszyscy wydają się bardzo odlegli. Na parapecie siedzi odwrócony do niej pasiastym grzbietem kot. Nic z tego. Kot nie zje bobu. Stella w ogóle nie patrzy na talerz. Nie będzie tego jadła.

Potem za jej plecami z cichym westchnieniem otwierają się drzwi. Nie odwraca się. Zastanawia się tylko, czy to bab-

cia Gilmore. Wróciła, żeby ją wyzwolić? Czy żeby ją zrugać? Ale to Nina, bosa, stąpa na palcach po dywanie. Stella patrzy na nią, skórę na twarzy ma ściągniętą wyschniętymi łzami. Siostra trzyma palec na wargach, wyprostowany jednoznacznie, jak wykrzyknik.

Nina nachyliła się, wyciąga rękę po widelec. Nadziewa na niego jedno ziarno bobu po drugim, celując w sam ich środek. Otwiera usta i widelec znika. Stella widzi, jak pojawia się ponownie, srebrzysty i czysty. Nina przeżuwa, szybko i w skupieniu, przełyka. Raz. Dwa razy. Potem uśmiecha się, odkłada widelec i czmycha z pokoju.

Zanim było cokolwiek, była Nina. Stella jest pewna, że jej twarz jest pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła lub którą jako pierwszą zapamiętała. Matka mówi, że Nina spędzała całe dni, wisząc przechylona nad szczebelkami łóżeczka Stelli.

Przez długi czas Stella nie potrafiła odróżnić siebie od siostry. Myślała, że Nina to ona sama czy też ona to Nina albo że są jedną osobą - tą samą istotą. Latami wierzyła, że krew, która płynie w ich żyłach, jest w jakiś sposób połączona i że jeśli się skaleczy, to po skórze Niny może również popłynąć szkarłatna stróżka.

Pamięta dobrze, jak pewnego dnia Nina podniosła ją do lustra w sypialni, którą dzieliły aż do czasu, kiedy Stella wyszła z domu... chociaż młodsza, odeszła z domu pierwsza. Dzień był upalny. Obie miały na sobie szorty, zatem musiało to być latem. Chyba obchodzili jakieś święto. Wydaje jej się, że z dala słyszała warkot samolotów przelatujących nad miastem, a także wyraźny pogwar tłumy dochodzący od strony Meadows. A może wymyśliła to sobie potem.

Nina ujęła Stellę pod pachami i przyciągnęła do siebie. Zaszczypała ją skóra ocierająca się o skórę Niny, zupełnie jak

przy zabawie w pokrzywę. Uniesienie jej do góry wymagało od Niny ogromnego wysiłku — już wtedy Stella doganiała ją wzrostem - i Nina musiała z całych sił się natężyć, żeby ją dźwignąć.

Stella najpierw zobaczyła, jak u dołu srebrnego prostokąta lustra wynurza się sklepienie drugiego czoła i nagle w szklanym, odwróconym świecie przed nią była już nie jedna twarz, lecz dwie. Widok ten wstrząsnął nią. Wyglądały niemal tak samo, choć niezupełnie. Twarz Niny była węższa, ostrzejsza, a jej włosy w tych ukosem padających przez wysokie okno promieniach letniego słońca błyskały najdelikatniejszym rudym odcieniem.

Nieba tutaj nie ma. Jedyne jakaś niezmierna białoszara mgławica. Jake wbija w nią wzrok, patrzy na czarne sylwetki śmigających ptaków. Potem odwraca się i choć wiatr zakleja mu oczy włosami, spogląda w kierunku wioski, tak zupełnie zamazanej przez mgłę, jakby się rozplýwała w powietrzu. Domy, ze ścianami ozdobionymi brązowoczarnymi kamyczkami, tulą się do siebie pod naporem hulającego nisko, natarczywego wiatru, a on czuje, jakby stojący ponad nimi wysoki stożek wiatraka, z ogromnymi skrzydłami ustawionymi w gigantyczny X, ostrzegał go, żeby trzymał się z daleka.

Drży w pożyczonym ubraniu. Od chwili przyjazdu do tego kraju jest mu nieustannie zimno.

Niespokojna fala o barwie herbaty omywa raz za razem kamienisty brzeg. Jakiś ptak z zakrzywionym dziobem, z ciasno złożonymi skrzydłami, kroczy wzdłuż plaży. Z dala od brzegu na niewidzialnej fali unoszą się i opadają jakieś szczątki. Jake patrzy w kierunku ledwie widocznego horyzontu: szare niebo, szare morze. To miejsce robi na nim wrażenie końca świata.

Wkłada ręce głęboko do kieszeni i odwraca się. Idzie z powrotem plażą, przez porośnięte skarłowaciałymi krzakami

moczary i wysokie niespokojne trzciny. Kiedy przechodzi pod skrzydłami wiatraka, słyszy, jak wibrują na wietrze, wydając wysoki, przypominający bzykanie moskitów dźwięk.

Przeskakuje przez ogrodzenie ogródka, zbyt późno przypominając sobie, że jego buty zawsze przemiekają od mokrej trawy. Po co im w ogóle ogrodzenia mające odstraszać intruzów, skoro są tak niskie, że bez trudu może je pokonać dziecko? Przechodzi wzdłuż bocznej ściany domu, spłaszczone drzewa mają rozciągnięte i umocowane na treliach gałęzie. Ilekroć na nie spojrzy, czuje ból w barkach, jakby to jego rozciągnano.

Zanim dojdzie do kuchni, chlupocze mu już w przemoczonych na wylot tenisówkach. Schyla się, ściąga je i ciska w kierunku stojącego w kącie dużego rozpalonego pieca. Jakże on się nazywa? Wygląda jak lokomotywa. Taka zabawna nazwa. Aga. No właśnie. Aga.

Otwiera mały zamrażalnik, wrzuca trzaskające, parujące kostki lodu do szklanki, którą następnie dopełnia wodą. Zdejmuje z półki miseczkę i wysypuje do niej płatki zbożowe.

Nadal boso, trzymając tacę przed sobą, wspina się po schodach. Niczym jakaś cholerna Florence Nightingale. Powinien sobie sprawić lampę. Kwieciste zasłony na oknie sypialni żarzą się ogniście światłem dnia. Stawia tacę na stoliku przy łóżku. Kołdra podciągnięta wysoko do góry zakrywa poduszkę, otula przypominający poczwarkę kształt ciała.

Jake siada na brzegu łóżka, materac podskakuje pod jego ciężarem. Nic. Najmniejszego ruchu, żadnej reakcji, że zauważono jego obecność. Nachyla się i pociąga w dół górny brzeg kołdry.

- Hej - szepcze. - Spisz?

Jej dłonie, złożone jak do modlitwy, tkwią pomiędzy twarzą i poduszką. Śpi jeszcze? Nie. Oczy otwierają się powoli i dziewczyna podnosi na niego wzrok.

- Przyniosłem ci śniadanie.

Pomaga jej usiąść, układa poduszki pod plecami, stawia tacę na kolanach.

- Jesteś dla mnie taki dobry. - Uśmiecha się do niego, na policzkach ma rumieńce. Z upału panującego w tym pokoju? Czy ma temperaturę? Może powinien zmierzyć. - Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Kładzie na chwilę dłoń na jego ręce, po czym Jake wstaje i podchodzi do okna. Odsuwa zasłony i wygląda na zewnątrz.

- J a k e - jej głos jest cichy, żartobliwy - znowu wrzuciłeś lód do szklanki?

- Och, bardzo możliwe.

- Teraz, kiedy jesteśmy w miejscu, gdzie panuje normalny klimat, nie potrzebujemy lodu. - Dziewczyna kręci głową.

- Przepraszam. - Jake krzyżuje ramiona. - Siła przyzwyczajenia.

Mel miesza płatki, a potem podnosi odrobinę do ust.

- J a k spałaś? — pyta Jake.

- Nie najlepiej. - Krzywi się. - Ale czuję się dobrze.

On nie mówi, że przeleżał bezsennie większą część nocy, wsłuchany w ten jej krótki, ostry gwizd, wydawany przez sen przy każdym wydechu. Żona, syczy do niego jego własny umysł, to jest twoja żona. Odwraca się ponownie do okna, zaciska dłonie na parapecie, wbija wzrok w szereg domków, w wygięte pod naporem wiatru drzewa, wijącą się mokłą drogę, falujące morze, naniesiony przez rzekę śliski muł, jakby nigdy wcześniej tego wszystkiego nie widział. Co on tutaj robi? Skąd się tu wziął? Tymczasem, między nim a nią, lód w szklance nieustannie się kurczy.

Jake zna tę historię od końca do początku i czasami, kiedy był dzieckiem, tak właśnie ją sobie opowiadał, zaczynając

od faktu własnego istnienia i postępując wstecz, zupełnie jak jakiś genealog.

Jego matka, Caroline, postanowiła opuścić Anglię i dołączyć do tej fali ludzi, którzy porzucali dotychczasowe życie i ruszali w drogę, w podróż na wschód. Londyn był szary, mokry i zimny, kiedy więc mężczyzna, z którym dzieliła łóżko, wyliczył atrakcje Indii, jej pokój z zagrzybionymi ścianami i humorzastym gazowym ogrzewaniem niewiele już mógł zaoferować. Rodzice nie odzywali się do niej od wielu miesięcy, zadzwoniła więc do brata, żeby powiedzieć mu o swoich planach, a ten zagroził, że jeśli odważy się wyjechać, rodzina uzna ją za zmarłą. Odłożyła słuchawkę, a potem zadzwoniła do swojego mężczyzny, żeby powiedzieć tak, owszem, jedzie i niech zarezerwuje dla niej miejsce.

Jake'a nadal zdumiewa fakt, jaka ona była młoda - o wiele młodsza niż on obecnie - kiedy spakowała całe swoje dotychczasowe życie i razem z trzema mężczyznami i jeszcze jedną kobietą ruszyła w drogę kempingowym volkswagenem. Wjechali na kontynent europejski i przez Francję, Turcję i Iran dotarli do Afganistanu. W Heracie pozbyli się tej drugiej kobiety i jednego z mężczyzn, a zyskali Niemca, kota i papugę. W Kabulu pozbyli się Caroline. „Różnice zdań nie do pogodzenia”, odpowiadała, wzdychając, kiedy Jake pytał ją dlaczego. Dalej, do Pakistanu, podróżowała sama, autostopem.

W Islamabadzie siedziała na skraju drogi z plecakiem i „największą kłębą bananów, jaką w życiu widziałeś”. Zatrzymał się mężczyzna na motocyklu i zaproponował, że ją podwiezie. „Miał czarne włosy”, mawiała Caroline, uśmiechając się, „związane z tyłu w kucyk”, przeczesywała wtedy palcami włosy Jake'a, „śliczne niebieskie oczy - takie same jak twoje - i piękny, głęboki głos. Szkocki. To właśnie ten jego akcent załatwił sprawę”.

Miał na imię Tom, tyle mogła mu powiedzieć, bo nigdy nie poznała jego nazwiska... „Wtedy nie zadawało się tego rodzaju pytań”... i kiedy tak jechali przez Pakistan do Indii, a potem przez Amritsar aż do Dharmasali, opowiedział jej o komunie, którą założył, gdzieś w regionie Highlands, w pobliżu Aviemore, w miejscu, które nazywało się Kildoune. „Najwyraźniej funkcjonowała ona całkiem dobrze... nie tak jak większość z nich. Tak ją kochał, że bez przerwy o niej mówił”.

Rozstali się w Delhi. Spędzili razem trzy tygodnie. „Tom chciał dotrzeć do jakiegoś aśramu, ja natomiast nie... moim celem był Nepal”. Dwa dni po tym, jak pomachała mu ręką na pożegnanie i patrzyła, jak połyka go kipiący tłum ulicy w Delhi, zorientowała się, że jest w ciąży. W tym punkcie opowieści przybierała minę winowajczynie i powtarzała śpiewnie i do rytmu: „Jak do Katmandu przyjechałam, to już cię miałam”.

Wylądowała ostatecznie w Hongkongu, w miejscu, o którym nigdy wcześniej nie myślała jako odpowiednim dla siebie, w siódmym miesiącu ciąży, z sześcioma dolarami amerykańskimi, wciśniętymi do tylnej kieszeni džinsów. Powiedziała sobie, że zostanie tam trzy miesiące - okres wystarczający, żeby urodzić dziecko, zarobić trochę gotówki i kupić dokądś bilet. Wyobrażała sobie, jak to z niemowlęciem na biodrze wyrusza w świat.

Znalazła zajęcie nauczycielki angielskiego, a także miejsce do życia: niewielkie mieszkanie na dziewiętnastym piętrze w samym środku Wanchai, dzielnicy czerwonych latarni. „Tyle pięter, ile miałam lat”, mawiała, „a to oznaczało, że coś przynajmniej się zgadza”. Włosy zaplatała w warkocz, wsuwała stopy w swoją jedyną parę pantofli i jechała ruchomymi schodami do eleganckiej dzielnicy Mid Levels, żeby uczyć dobrze odżywione latorośle mieszkających tam Brytyj-

czyków. Odkryła, że jest w tym dobra i że lubi to zajęcie: „Nigdy wcześniej nie byłam w niczym dobra”.

Kiedy urodził się chłopiec, nazwała go Jake Kildoune, wykorzystując tę jedyną informację o jego ojcu, jaką miała. Chciała mu dać nowe nazwisko, nazwisko, jakiego nie miał nikt. Uważała, że poprzez nazwanie od miejscowości zwiąże go ze światem, a nie z ludźmi, uwolni od dławiących więzów rodzinnych.

Powiedziała sobie, że zostanie jeszcze kilka miesięcy, zarobi nieco więcej gotówki, pozwoli dziecku okrzepnąć, poczeka, aż będzie mogła odstawić je od piersi. Pani Yee z piętra niżej opiekowała się Jakiem w dzień; ustaliły to w holu na dole, kiedy czekały na windę, za pomocą gestów i rozmówek kantońsko-angielskich. Pani Yee miała syna, Hing Taia, w tym samym wieku co Jake, powiedziała, że dwóch czy jeden to prawie żadna różnica, poza tym fascynował ją kolor oczu i miękka biel skóry tego niemowlęcia. Była też - ale tego Caroline nie powiedziała - pełna współczucia dla tej samotnej *gweilo* w długich, powiewnych sukienkach, z długimi powiewnymi włosami i z przytroczonym do pleców maleństwem.

Wyglądało na to, że do Anglii nie ma po co wracać. Bo rodzina Caroline dotrzymała słowa. Dziewczyna słała depesze, listy, pocztówki, ale nigdy nie dostała żadnej odpowiedzi. Postanowiła zostać troszkę dłużej, potem jeszcze dłużej, potem jeszcze odrobinę, tylko tyle, żeby zaoszczędzić nieco pieniędzy, i któregoś dnia, zanim się spostrzegła, Jake miał szesnaście lat, siedział z nogami na kuchennym stole, czytał książkę przy włączonym na cały regulator radiodbiorniku i jadł ziarna słonecznika, ciskając ich pasiaste łupiny na podłogę. Ostatecznie pięć lat później związała się z mężczyzną bliższym wiekiem Jake'owi niż jej samej, i wyjechała z nim do Nowej Zelandii. Jake nadal mieszkał w mieszkaniu,

w którym się urodził. Długie miesiące przyzwyczajał się do faktu, że ma całą tę przestrzeń tylko dla siebie.

W świecie Jake'a wszystko, nawet on sam, miało dwie nazwy, angielską i kantońską; dla matki i dla białych, których znał, był Jakiem, Chińczycy natomiast wymawiali jego imię po swojemu, Jik-ah. Pani Yee mówiła do niego wyłącznie po kantońsku, matka po angielsku, wyrósł więc, uważając za oczywiste to, że ten świat ma podwójne znaczenie.

Chińczycy z Hongkongu mają specjalną nazwę na tych, którzy zbyt szybko zasymilowali się z bladokórými kolonialistami: banan, mawiali zjadliwie, żółty na wierzchu, biały w środku. Jake nie miał pojęcia, co to może mieć wspólnego z nim, człowiekiem urodzonym i wychowanym w Hongkongu, mówiącym po angielsku i kantońsku, wykształconym w szkole dla bogatych dzieci Europejczyków, gdzie uczyła jego matka, a jednocześnie wracającym każdego wieczoru ze wzgórz w dół, do wąskiego bloku, gdzie mieszkał. Koledzy z klasy przezywali go Chinol, wyśmiewali chińskie komiksy, które znajdowali w jego torbie, palcami rozciągali powieki w wąskie szczeliny, kiedy widzieli, że się zbliża. W dzieciństwie spędził wiele godzin, próbując wymyślić coś, co jest białe na zewnątrz i żółte w środku. Co było przeciwieństwem banana?

Poszedł do matki, która leżała pod kręcącym się sufitowym wiatrakiem i pisała list.

- Co jest białe na zewnątrz i żółte w środku? - spytał, zaciskając wilgotne palce na prześcieradle.

Podniosła wzrok, uśmiechnęła się, zupełnie jakby usłyszała pierwsze zdanie zagadki czy dowcipu i czekała na pointę. Jake patrzył, jak stopniowo, niczym płomień dopalającej się świecy, jej uśmiech gaśnie. Zagryzła wargi, myślała szybko i z maksymalną koncentracją. Trwali tak jakiś czas, ona milczała, a on stał obok łóżka i czekał.

- Jajko - powiedziała w końcu. - Ugotowane jajko.

Przez cały tydzień jadł na kolację gotowane jajka. Matka w ogóle tego nie skomentowała.

- Co zjadłbyś na kolację, Jakey? - pytała co wieczór.

— Gotowane jajko — odpowiadał.

- Dobrze - mówiła, szła do kuchni i wkładała do rondelka z wodą dwa jajka. Później przez chwilę studziła je w zimnej wodzie, żeby się nie parzył przy obieraniu. Skubał pieczołowicie skorupkę, a potem trzymał w zamkniętej dłoni tę śliską, szarobiałą substancję, zwartą i twardą jak gałka oczna. Ścięte żółtko było idealnie kuliste, czasami jeszcze ciepłe i na wpół płynne, jasnożółta istota rzeczy.

Zdarza się, że słyszy, jak ludzie, którzy go nie znają, mamrocza za jego plecami: „Gweilo” - obcy diabeł, chodzący duch. Jeśli jest w odpowiednim nastroju, odwraca się i odpowiada im coś bezbłędną kantońską mową. Kiedy indziej milczy.

Kręcili jakąś scenę na jednych z tych krętych, ukrytych kamiennych schodów, stanowiących kręgosłup niektórych domów. Piękna i samotna skrytobójczyni trafiała w końcu na swojego największego rywala - pięknego i samotnego skrytobójcę. Jake obrzucił wzrokiem plan. Wszyscy i wszystko było gotowe: oświetlenie, kamery, ekipa, makijaż, aktorzy, sekretarka planu, reżyser. Aktorka grająca główną rolę przytykała właśnie trzaskający żółty płomyk zapałki do czubka papierosa, kiedy gdzieś za ścianą rozległ się ten szczególny, charakterystyczny, mechanicznie pobrzękujący głos, zgrzytliwy i uporczywy.

— Cięcie — krzyknął Chen, reżyser.

Aktorzy ze zniecierpliwieniem opuszczali swoje miejsca, a członkowie ekipy technicznej wnosili oczy ku pochyłemu sufitowi, zapotniałym ścianom i nasłuchiwali.

- Skąd to się bierze? - Chen zerwał czapkę.

Wszyscy obracali głowy, najpierw w tę, potem w drugą stronę, usiłując zlokalizować źródło dźwięku.

- Co to takiego?! — krzyknął Chen i jak zawsze w kryzysowych momentach zwrócił się do Jake'a.

- Zaraz sprawdzę. - Jake odłożył podkładkę do pisania. Pchnął drzwi przeciwpożarowe i z nagrzanej, pokrytej graffiti klatki schodowej wszedł do wyłożonego kafelkami korytarza. Światłówki buczały pod sufitem, kiedy szedł z przechyloną na jedną stronę głową i nasłuchiwał. Panowała całkowita cisza - żadnej telewizji, radia, żadnych jęków i okrzyków związanych z uprawianiem seksu, nawet najmniejszy szmer rozmów nie dochodził zza rzędu zamkniętych drzwi. Jake przejeżdżał dłonią po cętkowanych betonowych ścianach, przykładając do nich ucho jak lekarz wsłuchujący się w bicie serca pacjenta. Spod sufitu mrugała kamera nadzorująca.

Korytarz zakręcał i kończył się ślepo dwiema windami z zamkniętymi stalowymi drzwiami. Na kwadratowym czarnym ekranie ponad nimi mrugały, wznosząc się i opadając, czerwone cyferki. W tym miejscu hałas był głośniejszy.

Jake nachylił się ku drzwiom jednego z mieszkań. Odgłosy przycichły. Podeszedł do drugich drzwi; tu dźwięk był wyraźniejszy i rozpadał się nawet na poszczególne słowa. Słuchał przez chwilę. Nagrany głos mówił coś o kocie, który chodzi własnymi drogami. Jake zmarszczył brwi, ale zaraz przez jego twarz przemknął uśmiech. Rozpoznał słowa historyjki, którą czytywała mu matka. Kto taki siedzi w domu wczesnym popołudniem i słucha nagrania angielskich bajeczek dla dzieci?

Włożył rękę za metalową kratę na drzwiach, nacisnął dzwonek i czekał. Obrócił się ku windom i patrzył na falujące czerwone cyferki. Kiedy usłyszał dźwięk otwieranych drzwi,

odwrócił się znów i zobaczył białą kobietę trzymającą za rękę chińskiego chłopczyka.

Chłopczyk wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczyma, dziewczyna bacznie mu się przyglądała spod grzywki.

- Bardzo przepraszam za najście - zaczął Jake. Dlaczego ona tak mu się przygląda? Czyżby się znali? Nie, to niemożliwe. - Należę do ekipy filmowej, właśnie kręcimy na klatce schodowej i zastanawiamy się, czy istniałaby możliwość, żeby wyłączyć ten magnetofon... na jakieś pół godzinki. - Zakłopotany wzruszył ramionami. - Może na troszkę dłużej. Mogłaby pani?

- Mój magnetofon? - Wzrok kobiety przeskakiwał z jednej strony jego twarzy na drugą, jakby nie mogła się zdecydować, na którą ostatecznie ma patrzeć.

- Tak. - Skinął głową. - Bo wie pani, słyszymy go przez ścianę.

- Och. - Odgarnęła włosy. Jake był zaskoczony, widząc, że dziewczyna oblewa się rumieńcem od dekoltu bluzki po czoło. - No cóż... mamy lekcję. - Ręką wskazała chłopca. - To nie potrwa długo. Jeszcze dziesięć minut.

- Dziesięć minut? W porządku. Tak będzie dobrze. Jeszcze raz przepraszam za najście.

- Panno Mel - szeptał chłopczyk, ciągnąc ją za ramię. - Panno Mel?

- Ucisz się na chwilę, proszę - powiedziała, nadal wpatrując się uporczywie w Jake'a.

- Bądź grzeczny dla swojej nauczycielki - zwrócił się do niego Jake po kantońsku. - Dziękuję - powiedział do Mel. - Do widzenia.

Oboje odprowadzali go wzrokiem.

Tego dnia dziewczyna dwa razy pojawiła się na klatce schodowej, wynosząc śmieci. Następnego dnia, kiedy kręcili w holu na dole, w ciągu jednej godziny przeszła obok nich

cztery razy. Trzeciego dnia zadzwoniła do wytwórni filmowej i zostawiła mu dwie wypowiedziane pełnym wahaniami głosem wiadomości w jego poczcie głosowej - recepcjonistka, chichocząc, powiedziała, że „pytała o tego gościa z niebieskimi oczyma”. Czwartego dnia już cała ekipa robiła sobie żarty z jego wytrwałej wielbicielki. „Hej, ona na ciebie poluje, Jik-ah”, mówił dźwiękowiec za każdym razem, kiedy dziewczynie zdarzyło się przejść obok. Tego wieczoru, po pracy, zaczekał na nią przed budynkiem, bardziej żeby zniechęcić ją do pokazywania się na planie niż w jakimkolwiek innym celu. Był także ciekaw kobiety, która tak otwarcie okazuje swoje zainteresowanie, która w taki zdecydowany sposób dąży do zdobycia tego, czego pragnie. Zabrał ją tą starą, przyprawiającą o zawrót głowy kolejką linowo-szynową na Peak, skąd przyglądali się, jak promy linii Star Ferry kreślą świetliste linie na czarnych wodach portu.

Francesca sadzi cebulki, jej kolana wygniatają dołki w wilgotnym skraju trawnika. Ziemia w ogródku jest tłusta i ciemna. Padało nieustannie przez wiele tygodni i kobieta czuje pod palcami, jak bardzo gleba jest nasiąknięta wodą. Każdy jej paznokieć zakończony jest czarnym półksiężycem. Wcisła gęstą płataninę korzeni w dołek, po czym ubija ziemię. Musi to robić szybko; za pół godziny przyjeżdża matka i jeśli zobaczy ją zajętą w ogrodzie, zacznie załamywać ręce nad swoją *poverina bambina*. Mieszka w tym kraju od czterdziestu lat, ale dotąd nie opanowała języka. Fraruresca zawsze spełniała rolę językowego filtra pomiędzy rodzicami a światem zewnętrznym — pisała listy, telefonowała, tłumaczyła z angielskiego warunki wynajmu mieszkania, formularze podatkowe, rachunki, recepty.

Jej napięty jak bęben brzuch spoczywa na udach, stopy

dziecka naciskają na płuca. To dziecko jest inne niż pierwsze. Potrafi całymi godzinami tkwić w całkowitym, przedziwnym bezruchu, nie poruszać ani rączką, ani nóżką, po czym coś je obudzi - jakiś daleki dźwięk, burczenie w brzuchu, echo głośnego kaszlu, Francesca nigdy nie ma pewności co — i zaczyna się zachowywać jak szalone, fika koziółki, zadaje piąstkami ciosy, wymachuje ramionkami, jakby walczyło z jakimś niewidzialnym napastnikiem. W przypadku pierwszego dziecka Francesca miała zawsze uczucie, że je zna, że niemal poznaje, kiedy je jej podano takie zakrwawione i oślizgłe, i pomarszczone; tym razem nie ma najmniejszego pojęcia, czego się spodziewać. To dziecko mogłoby być kimkolwiek.

Gdzieś za nią jest Nina. Francesca słyszy, jak posapuje i szura po trawie drobnymi stopkami. Gorąca dłoń chwyta ramię Franceski razem z pasemkiem włosów i pojawia się Nina, zarumieniona i pewna siebie, w jej rączce kołysze się trzymana za stopę lalka.

- Cześć. - Francesca obejmuje córkę i wyciska pocałunek w fałdkach jej karku. Nina cofa się zaskoczona, zbija ją z tropu ta nagła demonstracja uczuć. - Co kombinujesz?

- Brudne. - Nina marszczy brwi i ostrzegawczo wskazuje palcem poplamione dłonie Franceski.

- To tylko błoto - mówi Francesca - zobacz, jakie miłe w dotyku - i próbuje przycisnąć palce Niny do własnych. Nie chce, żeby córka wyrosła na osobę drobiazgową i grymaśną.

Nina wrywa rękę.

- Nie-nie-nie-nie - zawodzi - brudne.

- J u ż dobrze, w porządku. Przepraszam. - Chce jej się śmiać na widok obrażonej, oburzonej twarzyczki córki, przygryza jednak wargę. - Przepraszam - powtarza już poważniej.

Nina przygląda się jej bacznie, ocenia ją krytycznym okiem,

szeroko rozstawione, zielone oczy wędrują po twarzy Franceski, po jej włosach, ramionach i szyi, by zatrzymać się ostatecznie na wypukłości pod bluzką. Francesca wstrzymuje oddech, czeka, napięta i gotowa. Jeszcze nie wspomniała Ninie o ciąży; przyjaciel Archiego, psycholog dziecięcy, radził, żeby poczekać, aż Nina sama zapyta. Zamierza zapytać? Zapyta? Och, niech zapyta.

Wzrok Niny przeskakuje na twarz matki i ponownie kieruje się na brzuch.

- Co to? - pyta wreszcie dziewczynka wysokim, piskliwym głosem.

Francesca czuje, jakby jej kręgosłup, pociągany jakąś niewidzialną nicią, prostował się w wiosennym słońcu. Przygotowywała tę kwestię miesiącami i teraz jest tak przejęta, że słowa kipią w jej ustach jak bąbelki w szampanie. Wdycha powietrze przez nos, a wydycha przez usta, czego nauczono ją w szkole rodzenia.

- To dzieciątko - mówi, wypowiadając pierwsze słowa perfekcyjnie przygotowanej przemowy. Chce, żeby siostry były szczęśliwe, żeby się kochały, i wie, że to, co powie w ciągu kilku następnych sekund, będzie miało znaczący wpływ zarówno na życie Niny, jak i życie tego nie narodzonego dziecka. - Dla Niny - dodaje.

Nina przybliży się, uczepia kołnierza bluzki Franceski. Francesca czuje, jak dziecko wzdryga się, pręży, prostuje, jakby budziło się z długiego snu.

- Dla Niny? - powtarza dziewczynka.

- Tak. - Francesca przełyka nerwowo ślinę. Przykłada wierzch dłoni do policzka. Cięża powoduje, że jest jej gorąco i czuje się pełna. - Dla ciebie. To będzie twoja siostra. Kiedy się urodzi, będzie malutka, o, taka. - Francesca rozkłada ręce jak wędkarz, który pokazuje długość wyimaginowanej ryby. Mówi powoli, cały czas obserwując twarz Niny. - I będziemy musia-

ły się nią opiekować, ty i ja, bo ona z niczym sobie sama nie poradzi. Nie będzie wiedziała, jak jeść, jak się ubrać ani...

— Siostra — powtarza Nina i Francesca uświadamia sobie, że córka pierwszy raz wymawia to słowo. — Dla Niny.

Francesca kiwa głową, bierze rączkę Niny w swoją i przykłada do twardej, zwartej wypukłości swojego brzucha.

- Sprawdźmy, czy pocujemy, jak się porusza - mówi.

Czekają. Za ogrodowym murem warczy i prycha kosiarka do trawy. Gdzieś na drodze słychać melodyjkę z furgonetki rozwijającej lody. Nina wygląda na nie przekonaną. No, zrób to, Francesca siłą woli usiłuje poruszyć dziecko, proszę, tylko ten jeden raz. Wyobraża je sobie takie, jakie zobaczyła pierwszy raz w tamtym szarym, mętnym obrazie na monitorze, zawieszony w miejscu do góry nogami, niczym artysta cyrkowy wiszący na trapezie. Wreszcie czuje delikatne poruszenie, obrót, jak u zrzucającego skórę węża.

Buzia Niny nieruchomieje, maluje się na niej niedowierzanie, zupełnie jak u podróżnika, który właśnie usłyszał, że tak naprawdę Ziemia jest płaska.

Stella leży na brzuchu, brodę opiera na pięściach. Jeśli zmruży oczy do pewnego punktu, słońce powoduje, że jej rzęsy załamują światło jak pryzmaty i wysadzają klejnotami obrzeża jej pola widzenia. W głębi ogrodu, na kocu, siedzi jej matka i Evie. Evie to przyjaciółka matki. Kobiety rozmawiają przyciszonymi, rozbawionymi głosami, piją wino i czasami Evie przeczesuje palcami włosy jej matki. Jedno jej słowo wystarczy, by matka odrzuciła do tyłu głowę, ukazując długą szyję, i śmiała się, aż jej twarz zwilgotnieje od łez.

Evie ma włosy koloru złota ... Oczywiście, ufarbowane", mówi ojciec tonem, który według Stelli oznacza, że nie przepada za Evie. Jej paznokcie, niczym twarde kandyzowane

płatki kwiatów, raz są liliowe, kiedy indziej różowe, perłowobiałe albo wściekle szkarłatne. Nosi rozpinane koronkowe swetry, ciasno opinające jej biust, mnóstwo pobrzękujących naszyjników oraz czerwone pantofle na wysokich obcasach, które pozwala czasami Stelli włożyć i poszurać sobie w nich wokół kuchni. „Takie dzieci chwytają mnie za serce”, mówi, kiedy patrzy, jak Stella to robi. Stella wyobraża sobie pulsujące serce Evie, zwarte i ściśnięte niczym obszyta grubym aksamitem poduszeczka do szpilek. Dziewczynka nie pojmuje, dlaczego miałyby je chwycić czy w ogóle je chcieć, bo co niby miałyby z nim robić.

Evie nazywa wszystko po swojemu. Matkę nazywa „Cesca”. Stella i Nina to „skarby” albo „Franette Jeden” i „Franette Dwa”. Papierosy to „szlugi”, wino „trunczek”. Ojciec Stelli to „Tenże”. Zdecydowanie z wielkim T.

Jest matką chrzestną Niny i każdego roku w swoje urodziny Nina dostaje pudełko opakowane w ozdobny papier i związane wstążką z końcami skręconymi w pierścienie, co oznacza, że zapakowano je w sklepie, a nie w domu. Wewnątrz jest para pantofelków albo ozdobiona piórami spinaka do włosów, albo naszyjnik, albo wyszywana szklanymi paciorkami torebka. Jeśli jest to sukienka, Stella dziedziczy ją po Ninie po roku czy dwóch (Evie zawsze kupuje większy rozmiar - „Nigdy nie pamiętam tych dziecięcych rozmiarów, skarbie!”), wyblakła od wielu prań, niemniej wciąż śliczną, wciąż upragnioną, wciąż od Evie.

W tej jednak chwili tam na kocu Evie wspiera się na Francesce i obie patrzą na Ninę, która ubrana jest w trykot naszywany nachodzącymi na siebie jak rybie łuski cekinami — jeden z tych prezentów od Evie, który kiedyś dostanie się Stelli. Nina, której nauczycielka baletu powiedziała niedawno, że jest wyjątkowo giętka, wykonuje szpagaty, jej nogi rozkładają się niczym drewniane rozporki leżaka. Francesca

na ogół nie pozwala Ninie występować przed gośćmi - „Nie teraz, Nino” - z jakiegoś powodu jednak nie dotyczy to Evie.

- Skarbie - głos Evie płynie przez ogród - to wygląda morderczo. Ciekawe, czy potrafisz to zrobić w drugą stronę?

Evie jest Angielką, oświadczyła jej matka, kiedy Stella spytała, dlaczego ma taki dziwny głos.

- Ona jest tak niesamowicie do ciebie podobna, Cesca.

Niesamowicie. Niesamowicie. Morderczo. Niesamowicie. Stelli podobają się słowa, jakich używa Evie. Podoba się kształt, jaki przybierają jej własne usta przy wymawianiu tych słów, ich ciężar na języku.

- Gdzie jest Franette Dwa? - woła Evie. - Czy ona też może nas zabawić takimi wygibasami?

W powietrzu leniwie jak ćmy krążą unoszone wiatrem nasiona, i rozchodzi się cierpki zapach tureckich papierosów Evie. Stella czuje pod sobą twardą glebę, która przyciskając się do jej ciała, utrzymuje ją na powierzchni skorupy ziemskiej.

- Nie - Stella słyszy natychmiastową odpowiedź matki - ale jest dobra w innych rzeczach. Prawda, Stello? - woła.

Zapada chwila ciszy i Stella wie, że Evie zdaje sobie sprawę ze swojego błędu.

- Oczywiście, że tak - odpowiada za nią Evie.

Widzi, jak w głębi ogrodu przyjaciółka matki przekłada papierosa do drugiej ręki i wyciąga ramię.

- Stello, skarbie, chodź tutaj i przytul się do Evie. Wiem, że robisz to wspaniale.

Jake wlecze się drogą obładowany torbami pełnymi zakupów. Annabel, matka Mel - kobieta z takimi samymi łagodnymi, szarymi oczyma jak jej córka — spytała, czy nie poszedłby do sklepu, i Jake natychmiast wykorzystał okazję. Jedną

z najgorszych rzeczy w tej niezdrowej sytuacji, w jaką się wplątał, jest brak zajęcia. Nie ma żadnego celu w życiu. Żadnego pomysłu na to, jak spędzać czas. Poza nieustannym tańcem wokół Mel.

Wstrząsa nim dreszcz, mimo że okryty jest kurtką ojca Mel. To szaleństwo. Musi coś z tym zrobić. Nie może tak dalek być. Czuje się, jakby pogrzebano go żywcem.

Nie lubi określenia „tęsknota za domem”, nie uważa, by oddawało ono sens tego, co rzekomo opisuje. Woli długie, przeciągnięte, brzmiące żałośnie samogłoski niemieckiego *Heimweh*. Dla niego nie jest to jedynie łagodny przypadek tęsknoty - ma uczucie, jakby rozjechał go walec, jest przerażony, nieszczęśliwy, zdezorientowany, zrozpaczony. Zupełnie jakby był gatunkiem nieprzystosowanym, by żyć w tym miejscu: za mało tu słońca, niewłaściwe proporcje gazów składających się na powietrze, wszystko nazbyt rozmyte, rozwlekłe, na dodatek z trudem rozumie, co tutejsi ludzie do niego mówią. Nigdy nie zdawał sobie sprawy z tego, do jakiego stopnia on sam myśli po kantońsku. Może jest tak dlatego, że nigdy przedtem nie był w Wielkiej Brytanii; w każdym razie nigdy nie czuł się taki odcięty, taki odległy od Hongkongu i tego wszystkiego, co zna i lubi, i wszystkiego, co składało się na jego życie i jego samego.

Najbardziej niepokoi go fakt, że jest to kraj, z którego pochodzi jego matka - i ojciec, jeśli ma być ścisły - kraj, którego herb figuruje na okładce jego paszportu, a przecież nigdy w życiu nie czuł się bardziej obco. Nie może się przyzwyczaić, że tutaj wszyscy są biali. Nigdy wcześniej nie znalazł się w tłumie, w którym wszystkie twarze wokół byłyby takie blade. Nie rozumie, dlaczego tutejsi ludzie nie gapią się na niego, dlaczego obdarzają go co najwyżej przelotnym spojrzeniem, kiedy mija ich na ulicy, dlaczego nie stają jak wryci, nie wlepiają w niego wzroku, bo przecież on sam

czuje się tutaj jak przybysz z kosmosu. Pomysł, że może wyglądać tak jak oni, jest najbardziej wstrząsający.

Odkrył, że nie potrafi myśleć o mieszkaniu, w którym żył od urodzenia. Nie potrafi myśleć o dotyku rozgrzanych drewnianych klepek pod stopami, klekotaniu sfatygowanego klimatyzatora, aluminiowej ramie okiennej, niezbyt dokładnie dopasowanej, o bzczeniu elektrycznego odstraszacza moskitów, pożółkłym kawałku sufitu nad łóżkiem, w miejscu, gdzie ludzie piętro wyżej mają przeciekającą kabinę prysznicową. Wciąż jeszcze zdarza mu się, że po obudzeniu przez krótką chwilę zastanawia się, gdzie jest.

Zatrzymuje się na rogu przed kościołem, żeby przełożyć torby. Źle je zapakował i jedna jest cięższa od drugiej, co powoduje, że idzie przechylony na jedną stronę. Mija go ogromny zielony samochód i obsypuje mu spodnie żwirem spod kół. Na przykościelnym cmentarzu duży czarno-biały ptak skacze z nagrobka na nagrobek. Jake stawia torby na ziemi i obserwuje go.

Kiedyś będzie musiał porozmawiać z Mel. Dlaczego nie teraz? Tak dłużej nie może być. Przyciska opuszki palców do obu skroni. To wszystko wydaje mu się problemem tak niezwykłym, tak niemożliwym do zrozumienia, że nie ma go z czym porównać, nie ma jak wyjaśnić. Czy gorzej będzie porozmawiać z Mel teraz, kiedy jej zdrowie jest nadal kruche, czy potem, kiedy się polepszy? Jake nie wie... nie ma najmniejszego pojęcia. Spędza nie kończące się, bezsenne noce na obmyślaniu drogi wyjścia z tej sytuacji, podczas gdy gdzieś w jego głowie dalekopis w kółko drukuje te same słowa: nigdy cię nie kochałem, muszę wyjechać, nigdy cię nie kochałem.

Jake ma siedemnaście lat i idzie przez targ w Wanchai, kiedy zauważa go Leah. Jego jasna cera oraz wysoki wzrost

z daleka przyciągają jej oko; kobieta spogląda między nisko wiszącymi czerwonymi lampami, ponad stosami karamboli, głowami kruczowłosych ludzi, drewnianymi straganami, na których leżą ociekające krwią zwierzęce tusze i rozpłatanie ryby... i ustawia go sobie w centrum pola widzenia.

Obserwuje chłopca, jak kupuje kawałek tofu przy jednym stoisku, a przy innym niebezpiecznie kolczastego duriana. Towarzyszący mu młody Chińczyk nieustannie coś mówi, gestykułuje. Zauważa, że biały młodzieniec mówi niewiele, kiwa tylko potakująco głową. Porusza się pełnym wdzięku, równym, sprężystym krokiem.

Kiedy zbliżają się do niej, przesuwa palcem po brwi, obciąga bluzkę i wchodzi w przejście pomiędzy straganami, zagrządzając im drogę. Obaj się zatrzymują. Ona widzi, że Chińczyk jest nieufny, ale ten drugi patrzy na nią badawczo, jakby się zastanawiał, czy jej przypadkiem nie zna.

— Czy moglibyście mi pomóc? — mówi Leah, zwracając się do nich po angielsku.

Zerkają na siebie. Biały chłopiec przekłada przemiękające opakowanie z tofu do drugiej ręki.

- J a s n e - odpowiada, marszcząc brwi.

Leah siłą woli powstrzymuje uśmiech. Uwielbia chłopców w tym wieku - świeżo uwolnionych spod matczynej kurateli, niczym nieskażonych, pozbawionych cynizmu, ani odrobiny światowych. Są niczym maź bez skorupy. Dociera do niej mdląca, porażająca woń duriana.

- Chciałabym kupić jakieś owoce - wykonuje gest w kierunku straganu za ich plecami - ale nie mogę się dogadać.

Ma nadzieję, że chłopiec powierzy to zadanie swojemu tubylczemu przyjacielowi, a ona wtedy będzie mogła z nim porozmawiać. Jest zatem bardzo zaskoczona, kiedy błękitnooki biały zwraca się do bezzębnego straganiarza w rozchwianym, szarpanym języku tamtego. Jego przyjaciel wtrą-

ca kilka monosylab. Pojawiają się owoce mango i papaje, i liczi, opakowane w gazety zadrukowane niemożliwym do odcyfrowania pismem.

Prażące słońce oblewa wszystko równomiernym blaskiem, upał jest niemalże słyszalny - Leah wyobraża sobie, że mógłby wydawać syk, niczym powietrze uciekające z opony. Stoi, trzymając na rękach owoce, których tak naprawdę wcale nie chciała. Czuje, że wzdłuż kręgosłupa spływa jej strużka potu, jakby wędrowała tamtędy kolumna mrówek. Chłopiec stoi przed nią, gotowy do odejścia, przyjaciel czai się za jego plecami.

Leah ma trzydzieści trzy lata, jest producentką filmową z Los Angeles, z jednym niewielkim przebojem, trzema niewypałami i dwoma rozwodami na koncie; spędza w Hongkongu kilka miesięcy przy koprodukcji. Zawsze nosi bieliznę tworzącą komplet, na wargach ma błyszczak i na każdym palcu pierścionek. Lubi dziurawić odwrotnym końcem łyżeczki hermetyczne przykrycie na świeżym słoju kawy i lubi zapach wewnętrznej strony męskich nadgarstków. Doskonale pakuje walizki, dobiera kolory, uspokaja trudne aktorki i przekonuje finansistów - szczególnie płci męskiej - żeby podpisywali solidne czeki. Jest zadowolona z tego, jak jej włosy sterczą nad czołem, tworząc czub. Nie jada węglowodanów, mątw ani rafinowanego cukru. Raz w tygodniu każe sobie robić manikiur, a raz w miesiącu farbować włosy. Kiedyś przywłaszczyła sobie płytę z jazzem należącą do znajomej, której nie darzyła sympatią.

- Zadzwoń do mnie. - Wyciąga wizytówkę. - Przyjdź popływać w hotelowym basenie.

Chłopiec oblewa się rumieńcem i bierze od niej kartonik. Część jej jest przekonana, że zadzwoni, część nie jest tego taka pewna.

Lekarstwa Mel wyłożone są na kuchennym stole. Jake bierze do ręki buteleczki, jedną po drugiej, wyciąga tabletki i układa je sobie na dłoni. Porozmawia z nią. Teraz. Jak weźmie pigułki. Nie może już tego odkładać. Właśnie odwraca się w kierunku korytarza, kiedy na progu pojawiają się jej rodzice.

- Cześć - mówi Jake, zdając sobie sprawę z tego, jak deenerwująco blisko siebie, ściśnięci w niewielkiej przestrzeni pomiędzy stołem a drzwiami, stoją wszyscy troje.

- Jake. - Annabel rusza ku niemu z rozłożonymi ramionami, jakby zamierzała go objąć, jednak wygląda na to, że w ostatniej chwili się rozmyśla. Opuszcza ręce i staje obok niego. - Andrew i ja - zaczyna, biorąc jego dłoń w obie swoje - chcieliśmy z tobą porozmawiać.

- Oczywiście - mówi Jake i zmusza się do uśmiechu. Czuje, jak tabletki rozgrzewają się w jego drugiej ręce.

- Na osobności.

- Zgoda.

- Chcieliśmy — Annabel i jej mąż wymieniają zadowolone spojrzenia - sprawić Mel prezent.

- Prezent?

- Niespodziankę - mówi Andrew.

- Ślub - mówi Annabel.

Jake jest oniemiały. Ściśnięte mocno pigułki roztapiają się w jego dłoni, gdy tymczasem rodzice Mel ślą mu promienne uśmiechy, jakby oczekiwali, że rzuci im się na szyję.

- Ale... - Szuka słów, które by wyrażały coś pomiędzy tym, co powinien powiedzieć, a tym, co chce powiedzieć. - Ale... przecież my już wzięliśmy ślub - przychodzi mu wreszcie do głowy stosowny argument.

- Wiemy. - Annabel śmieje się. - Pomyśleliśmy jednak, że byłoby miło, jeśli... że może chcielibyście zrobić to w odpowiedni sposób. Skoro już tu jesteście.

- Mamy wrażenie - zaczyna Andrew, odchrząknawszy - że dla Melanie mogłoby to być czymś - jego ręka kreśli w powietrzu kręgi - na co warto się szykować. Oczekiwać z niecierpliwością.

- Czymś, co jest warte wyzdrowienia - wyjaśnia Annabel, przyglądając się bacznie jego twarzy. - Jeszcze nic o tym nie wie.

- Zastanawialiśmy się, czy nie zechciałbyś jej o to zapytać - mówi Andrew.

Zapada chwila milczenia.

- A właściwie poinformować ją o tym - poprawia go Annabel.

Znów chwila milczenia. Jake patrzy na nich osłupiały. Mają miny, jakby czekali, że coś powie. Czyżby zadali mu pytanie? Nie pamięta.

- To prezent od nas - wyjaśnia Annabel pospiesznie, chwytając go za ramię. - Od Andrew i ode mnie.

- Zapłacimy za wszystko. - Mówiąc te słowa, Andrew wychyla się ku niemu. - Tym się nie kłopotcz.

Jake zdaje sobie sprawę, że musi coś powiedzieć.

- To bardzo miłe z waszej strony. - Jego głos brzmi słabo i obco. - Myślę, że może... może powinienem... powinniśmy... - Próbuje ponownie. - Chyba będę musiał to przemyśleć.

- Oczywiście - mówi Andrew.

- Naturalnie - zgadza się Annabel.

Hotel, w którym zatrzymała się Leah, jest najstarszy i najbardziej znany w całym Hongkongu. Jake nigdy w nim nie był. Oczywiście, widział go z zewnątrz - trudno było go nie zauważyć, skoro ten wybudowany w kolonialnym stylu budynek, obłożony ciosanym kamieniem, tkwił tak ostentacyjnie na nadbrzeżu w Tsim Sha Tsui. Słyszał, jak rozmawiali

o nim jego szkolni koledzy: że mają tam na dachu dwa łądowiska dla śmigłowców, w holu gra prawdziwa orkiestra, a na podwieczorek podają ogromną piętrową paterę ciastek, mają własną wytwórnię czekoladek, że jest tam barman, którego sam Clark Gable nauczył przyrządzać pewien koktajl.

Ukryty za kolumną pod złoconym sklepieniem holu wejściowego Jake obmacywał lepkie liście jakiejś doniczkowej rośliny. Nie znał miasta od tej strony: marmurowe podłogi, żyrandole, białe kobiety w kapeluszach pijące herbatę z delikatnej porcelany, przy drzwiach lokaje w liberiach. Chłopiec mniej więcej w jego wieku w uniformie hotelowego boya przeszedł obok, obrzucając go podejrzliwym spojrzeniem.

- Zamierzasz stać tam przez cały dzień, czy może usiądziesz i napijesz się kawy?

Odwrócił się. Leah siedziała przy stoliku pięć stóp od niego, papieros między wskazującym a środkowym palcem, noga założona na nogę, kelner właśnie nalewał jej do filiżanki ciemny płyn. Gestem wskazała krzesło obok siebie.

Opowiedział jej o szkole w dzielnicy Peak, o Hing Taiu, o tym, że nigdy nie był w Ameryce, ale że zawsze chciał pojechać do Nowego Jorku. Ona przyznała, że Nowy Jork bardzo by mu się podobał, bo podoba się każdemu od razu. Jeśli chodzi o Los Angeles, to trzeba się dopiero w nim rozsmakować. Opowiedział jej o podróżach swojej matki i o tym, że nie zna własnego ojca.

- Twoja matka - oświadczyła Leah, zaciągając się głęboko — wygląda na bardzo dzielną osobkę.

Poszli popływać w basenie na dachu hotelu. Stamtąd sięgnął wzrokiem daleko poza port, poprzez Wanchai aż do Peak, a w innym kierunku, aż do ogromnych, zamglonych gór Nowych Terytoriów. Jake pokazał jej, jak to potrafi skakać do wody tyłem, a ona, siedząc na leżaku, z twarzą skrytą za ciemnymi okularami, pierwszy raz się roześmiała. Zęby

miała drobne i ostro zakończone. Zrobił to jeszcze raz, specjalnie dla niej; przed wynurzeniem na powierzchnię obserwował, jak woda załamuje i zniekształca jej obraz. Nie podobobało mu się, że koła we wzorku jej bikini na piersiach rozciągają się w elipsy.

Trząsał się, kiedy dotarli do drzwi jej pokoju. Cały czas zastanawiał się, czy ma uciekać, czy zostać, ale truchlał nie tyle ze strachu przed tym, czego ona może od niego oczekiwać, ile na myśl, że windziarz w uniformie spyta go „Które piętro, proszę pana?”

Tymczasem Leah wzięła go za ramię i wprowadziła do środka. Kiedy oparła się o drzwi, zamykając je, przyciągnęła go do siebie za kołnierz koszuli. Smakowała kawę, papierosami i smutkiem. Jake całował się już z dziewczętami, po szkole, w sugestywnym mroku sali kinowej, ale w niczym nie przypominało to tego. Czuł dotyk jej ciała, krzepkiego, rozgorączkowanego i natarczywego.

- Mój piękny, angielski chłopiec - szeptała, popychając go na fotel, rozpinając mu spodnie, pochylając nisko głowę.

Leah nie jest kimś, o kim Jake dużo by mówił... w tamtym czasie jedynie Hing Tai wiedział. W pierwszej chwili przyjaciel w ogóle mu nie uwierzył. Potem zaczął się histerycznie śmiać. A potem wydusił z Jake'a dokładne sprawozdanie z wszystkiego.

Romans trwał przez większą część ostatniego roku Jake'a w szkole — jakieś osiem, może dziewięć miesięcy. Wypadał ze szkoły, łapał prom na drugą stronę Victoria Harbour i czekał na nią w jej apartamencie. Portierzy już go znali i choć zachowywali się uprzejmie, był pewien, że za plecami podśmiewają się z niego. Nie obchodziło go to. Apartament był trzy razy większy od mieszkania matki, miał okna od podłogi do

sufitu, jacuzzi, największe łóżko, jakie w życiu widział, i pełną obsługę. Jake zasiadał przy biurku w sypialni i podczas gdy światło dnia nikło nad niecką portu, a po drugiej stronie zapalały się neony, wkuwał na najwyższe oceny. Kiedy przychodziła Leah, zdejmowała z niego, sztuka po sztuce, poszczególne części szkolnego mundurka.

- Wiesz - powiedziała kiedyś do niego, po trzecim już razie tamtego wieczoru - kobiety osiągają szczyt seksualnych możliwości po trzydziestce, mężczyźni natomiast w wieku lat osiemnastu. Idealnie do siebie pasujemy.

Nie powiedział nic matce, a Caroline nie pytała, gdzie znika co wieczór. Raz tylko wstrząsnął Leah, kiedy wyrwało mu się, że Caroline jest zaledwie cztery lata starsza od niej.

- Jezu Chryste, jasna cholera - wykrzyknęła, a popiół z jej papierosa wylądował na jego gołej piersi.

Leah nie uważała, by było coś niewłaściwego w tym, co robi, ale wiedziała, że nie jest to coś, z czego może być dumna. Nie planowała długotrwałego związku - myślała o tym jak o czymś, co zdarzy się raz czy dwa. Lata minęły od czasu, kiedy spała z nastolatkiem; była ciekawa. Niemniej kochała go, zazdrościła mu jego młodości. Jej drugi mąż, ostatni mężczyzna, z jakim spała, miał czterdzieści dziewięć lat, a ją fascynowało piękno, doskonałość, młodość, sposób, w jaki mięśnie trzymają się kości, w jaki skóra obleka ciało. Miała nadzieję, że odrobina tego przeniesie się na nią samą, niczym pyłek kwiatowy na rękaw.

- Nie biorę sobie ciebie na zawsze - powtarzała w kółko — jedynie na teraz.

Wmawiała sobie, że mu pomaga. Bo przecież mężczyźni trzeba wiele nauczyć, szczególnie młodych mężczyzn. Zresztą w innych sprawach też była przydatna; zachęcała do nauki, sprawdzała, czy jest przygotowany do egzaminów, zmuszała do powtarzania materiału, przeglądała jego podania

o przyjęcie do brytyjskich uniwersytetów i oddawała mu je pokreślone, z poprawkami wypisanymi jej uładowym piśmem.

Kiedy zdał egzaminy, załatwiła mu na lato pracę gońca u początkującego, miejscowego reżysera, Chenfc. Nim poznał wyniki egzaminów i zanim dowiedział się, że może studiować języki obce w Londynie, zdecydował, że jednak nie pójdzie na uniwersytet. Pomimo nalegań zarówno Caroline, jak i Leah, odmówił wyjazdu z Hongkongu i porzucenia pracy dla Chena.

Pod koniec roku Leah wracała do Los Angeles. Jake pojechał z nią na lotnisko, chociaż mu zabroniła.

- Nie znoszę lotniskowych pożegnań - rzuciła ostro. Odeszła za barierkę i nie obejrzała się.

Wiele lat później, kiedy to wszystko stanie się już nieważne, stojąc z matką w jej ogrodzie w Auckland, zacznie tę historię opowiadać.

- A tak, rzeczywiście - zareaguje Caroline, machając lekceważąco ręką - cały czas o wszystkim wiedziałam.

- Naprawdę? - Jake będzie wstrząśnięty jej słowami. - Skąd?

- Mam swoich szpiegów. - Caroline rzuci mu uśmiech. - Zresztą spotkałyśmy się.

- Ty i Leah?

- Mmm. Zjadłyśmy razem lunch. - Matka ruszy wzdłuż rządka fasoli, które owijają się wyżej i wyżej wokół skrzyżowanych bambusowych tyczek. - Bardzo mi się podobała.

Stella zatrząskuje drzwiami przyczepy kempingowej, strąsając sobie przy okazji deszcz kropli z jej dachu na włosy i twarz. Przyczepa stoi na tyłach hotelu, zasłonięta jodłami rosnącymi na obrzeżu lasu Rothiemurchas. Po burzy drzewa pachną

intensywnie, balsamicznie, miękka i grząska ziemia ugina się pod jej stopami. Wiąże nieprzemakalny skafander - znaleziony w hotelu — wokół bioder i rusza krętym podjazdem pod górę.

Szosa jest pusta, ciągnąca się przed Stellą biała przerywana linia wije się i chybcze. Stapa po niej, przez cienkie gumowe podeszwy kaloszy czuje ziarnistą powierzchnię farby. Wodniste słońce usiłuje przedrzeć się przez chmury. Ruda krowa z rogami jak półksiężycy, która przed chwilą tarła podgardlem o bramę zbitą z pięciu poziomych belek, nieruchomieje i patrzy na nią smętnymi, brązowymi oczyma. Przejeżdża jakiś samochód, bieźnik chrzęści na asfalcie. Stella zrywa wysokie źdźbło rosnącej na poboczu pierzastej trawy, ogołaca je z nasion, które rozsypuje po żywopłocie. Drzewa iglaste ustępują wysokim bukom o niespokojnych wierzchołkach.

Na skrzyżowaniu skręca i kiedy dochodzi do szczytu wzniesienia, jezioro nagle pojawia się przed nią — Loch Insh, ogromna, srebrzysta tafla wody rozlanej na dnie doliny. Jest dzisiaj gładka jak lustro, odbija odwrócone podobizny drzew, gór, rozrzuconych domów Kincaig.

Stella rusza dalej biegnącą łukiem drogą. Na chwilę jezioro znika za ścianą gęsto rosnących sosen, ale jego obecność daje o sobie znać wilgotnym, soczystym zapachem. Przy kościele schodzi z drogi, idzie żwirowym brzegiem obok młodych drzewek wyrastających z nasiąkniętych wodą, szerniałych kikutów tych, które umarły. Łódź hotelowa uwiązana jest do głazu. Zsuwa węzeł linki i brodzi w wodzie, a przed nią łódź niecierpliwie się kołysze. Kładzie ręce na obu burtach, żeby ją unieruchomić, i gramoli się do środka.

Stella przyciąga do siebie wiosła, odchyła się mocno do tyłu, pokonując opór wody, dziób łódki tnie gładką tafłę, mokre drewniane żerdzie skrzypią w dulkach. Z bliska jezioro nie jest aż tak nieodgadnione - pod krzywizną łodzi prze-

suwa się kamieniste, przypominające księżycowy krajobraz dno. Woda jest przejrzysta, choć ciemna; rzeka Spey, która przepływa przez jezioro niczym nitka przez szklany paciorek, przyniosła ze sobą torf. Tam dalej rzeka wydostaje się z szerokich objęć jeziora, ponowni* odnajduje swój kształt i prześlizguje się pod niskim, wąskim mostem prowadzącym do Kincaig.

Oddala się od brzegu i skręca, pociągając prawym wiosłem, podczas gdy lewe, ociekające wodą, wisi nad wodą. Kiedy znajduje się na środku jeziora, unosi wiosła, przekręca je piórami do przodu i wciąga do łódki, zsuwa się z ławeczki i kładzie pośród kapoków i zwiniętego brezentu. Traci z oczu krajobraz, teraz wiszą nad nią jedynie obłoki poprzecinane kawałkami błękitu. Słucha swojego spowalniającego pulsu i trzepotu ptasich skrzydeł.

Coś szeleści w kieszeni jej dzinsów. Sięga tam i wyciąga kartkę od siostry - zapomnianą i nie przeczytaną. Trzyma ją chwilę przed oczyma, przyglądając się dobrze znanemu charakterowi pisma. Dłonie ma ciągle mokre od wiosł i atrament rozplątywa się i zamazuje, znacząc jej palce utraconym znaczeniem słów.

Rodzice Franceski, Valeria i Domenico Iannelli, pochodzili z wioski leżącej w pokrytej lasami, górzystej części Włoch. Jeśli przyjąć, że Italia to obuta noga, ich wioska leżała w najszczyplejszym miejscu kostki, zwężonym nad rozpostartymi ścięgniemi stopy. Z gór spływał strumień, a główny plac wioski, gdzie wieczorem gromadzili się jej mieszkańcy, na *la passeggiata* i żeby omówić wydarzenia dnia, przecinał most z dwoma łukami. W tym miejscu strumień rozdzielał się na dwoje, jedna jego połowa uchodziła do Adriatyku, druga podążała w stronę Morza Tyreńskiego.

Upłynęło pięćdziesiąt lat, a Valeria wciąż potrafiła błędnie wyłowić z tłumu kogoś pochodzącego z jej regionu, która to umiejętność niezmiennie robiła na Stelli wielkie wrażenie.

- Agnone - szeptała do Stelli, widząc wchodzącą do baru kobietę - bez wątpienia. Albo to, albo Vastogirardi.

Stella zerkała nad ladą na jakąś kobiecinę w średnim wieku, z chustą na głowie, w rozpinanym swetrze, wyglądającą dokładnie tak samo jak każda inna mieszkanka Musselburgha, potem przenosiła spojrzenie na babkę, która wychylała się do przodu i z nadzieją w głosie witała nowo przybyłą po włosku.

Valeria poślubiła Domenica w kościele przy tym placu, gdzie strumień dzielił się na dwie części. Miała na sobie suknię matki i pantofle kuzynki. Jej ojciec, który był właścicielem wioskowej apteki, nie uśmiechnął się ani razu podczas całej tej uroczystości. Nie chciał, żeby jego córka wyszła za *contadino*, człowieka, którego rodzina od pokoleń pracowała na roli. Tymczasem Domenico załatwił sobie pracę u *zagracznego padrone* i już za dwa dni miał wynieść się do miejsca zwanego Edynburg. Ojciec w żaden sposób nie mógł pojąć, dlaczego jedna z jego córek, z własnej i nieprzymuszonej woli, chce być *vedove bianche*, porzuconą przez męża, który zamierzał sprzedawać lody jakimś bezbożnikom.

Po wyjeździe Domenica Valeria siedziała w domu ojca, próbując nauczyć się twardych angielskich spółgłosek z książki, której kartki były równie kruche jak łupiny cebuli, robiąc jednocześnie na drutach szale i swetry, i skarpetki, i rękawiczki. Ludzie mówili, że w Szkocji jest zimno, tak zimno jak bywa tutaj w samym środku zimy, kiedy śnieg pokrywa góry, tyle że tam trwa to okrągły rok.

- *How do you do?* - powtarzała do kominka, do okiennej ramy, do zamkniętych drzwi. - *My name is Valeria*, Valeria

Iannelli. - Przerywała, żeby zerknąć do podręcznika, po czym wracała do swojej mantry - oczko prawe, oczko lewe, prawe, lewe — podczas kiedy w jej brzuchu rosło już pierwsze dziecko.

Co miesiąc Domenico przysyłał pieniądze, a ona zawijała je w jedwabną chustę, którą jej podarował, prosząc, żeby wyszła za niego, kiedy tak stali oboje pod baldachimem liści drzewek oliwnych w gaju jego brata. Na początku była rozczarowana jego listami. Valeria chciała, potrzebowała listów miłosnych. Łaknęła całych stron pełnych słów namiętności, uwielbienia, opisów widoku z okna, ulic miasta, na wyjazd do którego oszczędzała pieniądze. Oczekiwała, że listy będą przepełnione tęsknotą do niej i usilnym pragnieniem zobaczenia nowo narodzonego synka.

Tymczasem Domenico pisał, że pracuje siedemnaście godzin na dobę, że *padrone* często irytuje się na niego i tego drugiego sprzedawcę w lodziarni, że klienci bywają niegrzeczni i nazywają ich „czarnuchami”. Miał już prawie dość pieniędzy na własny bar, gdzie sam by gotował i obsługiwał gości... prawie dość, prawie. *Padrone* zgodził się, żeby kupił lokal w miejscowości nad morzem, w Musselburghu. Kiedy zarobią dość pieniędzy, pomogą zorganizować przyjazd jego młodszych braci i kuzynów, i każdemu innemu z ich wioski, kto by chciał wyjechać. „*Campanilismo* - napisał na końcu jednego z listów - w taki właśnie sposób zdaje się funkcjonować cały świat”.

Valeria czekała dwa lata, trzy lata, pieniądze przeznaczone na podróż wypychały delikatny jedwab zawiązanej na supeł chustki. Kiedy ostatecznie po długich dniach spędzonych na morzu schodziła po trapie, z synkiem przyklejonym do biodra, opanował ją nagły lęk, że może go nie rozpozna, że może się z nim rozminie i że uwięźnie w tym kraju pośród obcokrajowców, nie mając pojęcia, co robić, gdzie się obró-

cić. Kiedy jednak zobaczyła, jak z wyciągniętą ku niej ręką przedziera się przez tłum falujący na nabrzeżu, omal się nie roześmiała. Pamiętała jego twarz tak dokładnie jak własną.

Stella nigdy nie potrafiła udzielić prostej odpowiedzi na pytanie, skąd pochodzi. Nie umie powiedzieć po prostu „Edynburg” czy „Szkocja”, zawsze musi tę odpowiedź jakoś uściślić: „... ale moja matka jest Włoszką” albo „...ale jestem pół-Włoszką”.

Nie wie, kiedy uświadomiła sobie, że różni się pod tym względem od innych ludzi. Może zawsze wiedziała, może było to coś, co przyswoiła sobie razem z *fagioli*, *tortelloni*, *polio al cacciatore* i *calzone*, którymi karmiła ich matka. Inni mieli na imię Kirsty czy Claire, mówili wyłącznie po angielsku i jedli rybne paluszki, ziemniaki puree, fasolę w sosie pomidorowym. Ona natomiast znała opowieści dziadka o wilkach w lesie wokół jego gospodarstwa, o tym, jak to musieli oddawać połowę wszystkiego właścicielowi ziemskiemu, żywili się kasztanami, kiedy brakowało jedzenia; słyszała też opowieści matki o czasach, kiedy gnieździł się w jednym pokoju nad restauracją, a ona musiała chodzić do szkoły, żeby szlifować angielski, i o tym, jak Domenica wysłano podczas wojny do więzienia jako „wrogiego obcokrajowca”. Stella nie miała pojęcia, co z tego wynika dla niej samej, dla dziecka śpijącego na piętrowym łóżku w ogrzewanym mieszkaniu w dzielnicy Marchmont.

Zdawała sobie sprawę z tego, że coś jest z nią nie w porządku: może chodziło o wygląd, ciemniejszy odcień skóry, sposób mówienia czy zachowania, a może o treść jej wypowiedzi. Za nic w świecie nie mogła wymyślić, co to takiego. Kiedy jednak nauczyciele i rodzice koleżanek pytali ją z zaciekawieniem i wyższością w głosie: „Jakiego jesteś pocho-

dzenia?": wiedziała, jakiej odpowiedzi oczekują, i odpowiadała posłusznie: „szkocko-włoskiego”.

Stella zawsze sądziła, że te dwa słowa nie pasują do siebie, twarde syczące spółgłoski pierwszego zdawały jej się odpychać, jak w przystawionych do siebie magnesach, te łagodne brzmiące, miękkie samogłoski drugiego. Był to jednak dobry, przydatny zwrot i zarówno ona, jak Nina trzymały się go kurczowo niczym talizmanu lub zaklęcia. Tłumaczył bowiem, a przynajmniej nazywał, to towarzyszące im stale odczucie, że coś w nich jest nie całkiem w porządku, nie do końca klarowne, że są inne niż wszyscy dookoła.

Stella pochylona nad kontuarem wsparła brodę na rękach i myślała o lekcjach, które musi odrobić na jutro. W restauracji było dzisiaj spokojnie i cicho, najwyraźniej przenikliwie zimno i zacinający deszcz ze śniegiem zatrzymał ludzi w domu. Matka powiedziała, że być może po wyścigach przyjdzie kilku klientów.

Przy oknie zgarbiona Nina z nachmurzoną miną kroїła kartofle na frytki. Nie znosiła tego zajęcia. Narzekała, że nóż ślizga się po mokrych, nierównych powierzchniach obranych ziemniaków i że nie lubi, jak brud wbija się pod paznokcie. Francesca powiedziała, żeby nie była niemądra i że jeśli zechcą, mogą się ze Stellą zamienić robotą. Jednak Nina obsługiwania gości nie znosiła jeszcze bardziej.

- Po prostu nie umiem być uprzejma dla ludzi - oświadczyła.

Francesca siedziała na wysokim stołku przy kasie, z piórem za uchem, przeglądała księgi, rozwijała długie rolki paragonów. Za pięć minut, może za dziesięć, pomyślała Stella, będzie można uprzątnąć stół numer sześć - po rodzinie z trójką okropnych, wrzaskliwych bachorów, które zasypały

okruchami i zalały gazowanymi napojami podłogę wokół siebie. Na pewno już zaraz sobie pójdą. Westchnęła i zaczęła składać w wachlarzyk płócienną serwetkę.

- Hej - odezwała się Nina.

- C o ?

- Do piątej zarobimy... - Nina przerwała i wykonała jakieś obliczenia na palcach - ...po sześć funtów każda.

- Dziewięć funtów - Stella poprawiła siostrę po zastanowieniu.

- Sześć.

- N i e , to będzie dziewięć. Ponieważ w sumie wpłynię...

- W porządku już, w porządku, niech tak będzie - powiedziała Nina, celując nożem w środek ziemniaka. - Dziewięć funtów. - Uśmiechnęła się i przecięła kartofel na pół. — To znaczy, że starczy mi na ten płaszcz.

- J a k i płaszcz?

- No wiesz, ten, co go oglądałyśmy wieki temu. Ze sztucznego futerka.

- Gdzie?

- W . . .

- Stella - przerwał im głos Franceski - trzeci stolik, skarbie.

Stella odłożyła serwetkę i podciągając spodnie, wyszła zza lady. Były to męskie spodnie i kiedyś tworzyły całość z jakąś marynarką. Poważny, solidny, szary materiał. Kupiła je w sklepie z używaną odzieżą, którego zyski szły na cele charytatywne. Mankiety zakrywały buty i wlokły się po ziemi, ale ona i tak je lubiła.

W połowie drogi do stolika zatrzymała się raptownie. Gwałtownie uniosła ręce do szyi. Przygniotło ją duszące, miazdzące uczucie. Nie mogła zaczerpnąć powietrza, jakby miała za mocno ściągnięty fartuch, jakby pętało ją własne ubranie. Brzęk naczyń stołowych i sztucców wydał jej się nieznośnie ogłuszający.

Przy stoliku obok drzwi siedział mężczyzna. Stella rzuciła na niego tylko jedno spojrzenie. Był sam. Wysoki i barczysty, z trudem mieścił się w ciasnym boksie i miał wściekle rude włosy.

Zawróciła w miejscu. Matka patrzyła na nią pytającym wzrokiem, siostra nadal trzymała głowę pochyloną nad ziemniakami. Stella wróciła do lady i położyła na niej dłoń. W uszach słyszała huk wodospadu i miała wrażenie, że jeśli nie będzie uważnie stawiać nóg, to może się potknąć i spaść z wysokiego urwiska w topiel.

- Przyjąłś zamówienie? - spytała matka.

Stella opuściła wzrok na buty, na mankiety spodni, które wcześniej wlokły się po błotnistych kałużach Edynburga.

- N i e .

- Czemu nie?

Stella weszła za ladę. Chciała, by pomiędzy nią a tym mężczyzną znalazło się coś solidnego, przez co nie mogłoby się przebić jego spojrzenie. Jedną ręką ścisnęła łokieć drugiej. Skórę miała zimną i śliską jak marmur.

- Co się stało? - spytała zaintrygowana Francesca.

Stella zobaczyła, jak Nina podnosi głowę, spogląda na nią, a potem na mężczyznę i ponownie na nią.

- Ja to zrobię. - Nina odłożyła z trzaskiem nóż.

- Co? - Głos matki zdradzał lekkie zniecierpliwienie. — Nina, musisz przecież przygotować te frytki. Skoro Stella obsługuje, to niech obsługuje. Nie możecie się co chwilę zamieniać, jest o wiele prościej, kiedy...

Nina jednak zdążyła włożyć rękę do kieszeni fartucha Stelli i wyciągnąć z niej bloczek papieru. Kiedy Stella podniosła wzrok, siostra podchodziła już do rudowłosego mężczyzny.

Jeśli istnieje coś, na czym zna się Irene Draper, to tym czymś jest prowadzenie hotelu. Kiedy dwadzieścia pięć lat temu

znalazła to miejsce, całkowicie zaniedbany budynek był na wpół ruiną. Starszy pan, jedyny i ostatni spadkobierca długiej linii posiadaczy ziemskich, zajmował zaledwie dwa pokoje na parterze, reszta pomieszczeń była nie używana i ukryta za zamkniętymi okiennicami. Schody, kiedy weszła na nie w swoich solidnych, skórzanych półbutach, okazały się zbutwiałe, a pomiędzy rozsypujących się stopni wyrastały grzyby.

Pokoje na piętrze były przesiąknięte wilgocią i stęchlizną, dywany pofałdowane, łóżka namoknięte i zapadnięte, tapeta płatami odpadała od kruszącego się tynku. Elektryczności nie było - na ścianach, pod zardzewiałymi gazowymi lampami, utworzyły się pomarańczowobrazowe zacieki. W małym, narożnym pokoju Irene znalazła wannę wyłożoną, jak jej się zdawało, starymi kotarami, a także zaniepokojoną, prychającą kotkę, strzegącą swoich wiercących się kociąt z różowymi poduszczkami łapek. Na dole, z pokoi, które zajmował staruszek, wydostawały się jakieś dusząco mdłe, zwierzęce opary. Spod parkietu dawnej sali balowej wyrwały się na światło dzienne korzenie wybujałego krzewu wawrzynu tworzącego żywopłot, grube, blade, włókniste i jakoś dziwnie nieprzyzwoite.

Agent handlu nieruchomościami zerknął na nią spod oka, kiedy ponownie znaleźli się na dworze, w jaskrawym świetle dnia. Odchrząknął.

- Wymaga nieco pracy - zaczął.

Irene zignorowała jego słowa, dlatego że ją irytował samą swoją obecnością, ale również dlatego, że nie chciała, by się zorientował, jak bardzo jest podekscytowana. Bez trudu potrafiła rozpoznać okazję. To miejsce śmierdziało... cóż, zgnilizną i wilgocią, i pleśnią, i brudem... ale jednocześnie pachniało możliwościami. A do możliwości to Irene ma świetny nos.

W budynkach gospodarczych i w stróżówce rozgościli się wszelkiego rodzaju niepożądani nicponie. Natychmiast przed-

stawiła im nakaz eksmisji. W dniu, w którym mijał ostateczny termin, razem z dwoma policjantami z Kingussie przyglądała się, jak wrzucali torby do zardzewiałej furgonetki i wyprowadzali się stamtąd. Odjeżdżając, żegnali ją jednoznacznie i wulgarnymi gestami. Nie przejęła się. Takie rzeczy nie robiły na niej wrażenia. Wróciła do budynku i zakasała rękawy.

Oczywiście, okazało się, że miała rację. Obecnie był to świetnie prosperujący, przyciągający klientów hotel za miastem. „Dwustuletnia, zdobna blankami i wieżyczkami wiejską rezydencja, zbudowana z kamienia, otoczona hektarami parku i lasu”, informował folder. „Wyjątkowa obsługa i komfort”. W latach osiemdziesiątych zamontowała hydrofor i prysznice, w dziewięćdziesiątych wanny z masażem wodnym - wypróbowała raz tę nowość, kiedy apartament dla nowożeńców był przez jedną noc wolny, ale nie zrobiła na niej wrażenia. Nie wie jeszcze, jakie będzie jej następne posunięcie. W tym właśnie tkwi sekret dobrego hotelarstwa: modernizacja, renowacja, innowacja. Zawsze wybiegać do przodu. Pomysł przyjdzie sam, jest o tym przekonana, jakkolwiek będzie.

Pod blatem biurka Irene krzyżuje nogi, lubi odgłos tarcia nylonu o nylon. Ma teraz własny gabinet, w byłej gotowni, z widokiem na las. Odwraca głowę i spogląda za okno. Pośród świeżej wiosennej zieleni zauważa jakiś ruch. Ktoś idzie ścieżką. Stella.

To jeszcze jedna z tych rzeczy, co do których Irene miała rację. Stella Gilmore przybyła przed południem tamtego lutowego dnia, dnia tak zimnego, że każda gałązka dokładnie otuliła się kruchym, białym szronem. Irene poleciła rozpalić kominki we wszystkich pokojach i włączyć na cały regulator centralne ogrzewanie, tak że wszędzie kaloryfery drgały i postukiwały. Koszt tego był straszny. I właśnie wtedy ta dziew-

czyna pojawiła się ni stąd, ni zowąd w recepcji i poprosiła o pracę.

Luty to dla hotelarzy martwy okres i wtedy Irene nikogo nie przyjmuje do pracy. Jednakże schodząc do holu, żeby powiedzieć to tej osobie, zmieniła zdanie. Kiedy zstępowała z pieczołowicie odrestaurowanych schodów, w jednej chwili dostrzegła wszystko: szkarłatny płaszcz, krótko przycięte, ciemne włosy, torbę przy nogach. Usłyszała edynburski akcent. Zobaczyła nieco szalony wzrok, bladą, ściągniętą twarz. Dojrzała stojący na zewnątrz samochód, usłyszała postukiwanie stygnącego po długiej jeździe silnika.

Zanim jeszcze Irene postawiła stopy obute w czółenka na dywanie, zdążyła już dokonać oceny sytuacji i podjąć decyzję o zatrudnieniu tej dziewczyny. Była pewna, że na dłuższą metę jej się to opłaci. Zrekompensuje sobie ten dodatkowy wydatek w okresie zastoju, jeśli tylko dziewczyna pozostanie u niej dłużej niż do wiosny. Słyszała, jak wspominała o swojej pracy w rozgłośni, która, co dobrze wie, niewiele ma wspólnego z hotelem, ale kiedy była nastolatką, pracowała jako kelnerka i teraz naprawdę potrzebne jest jej jakieś zajęcie.

Irene nie spytała jej o nic. Wiedziała, że ludzie czasami po prostu muszą zerwać z dotychczasowym życiem. W hotelarskim fachu spotyka się przeróżne typy. Praca ta przyciąga podobnych uciekinierów. W tym przypadku chodzi zapewne o męża albo kochankę, zgaduje Irene. Coś w tym stylu. Dziewczyna należała do tych, które wzbudzają u mężczyzn namiętność i wprawiają w oszołomienie - te zielone oczy, te zaciśnięte, pełne wyrazu usta, ten płaszcz. Jednak Irene o nic nie zapytała. Nie była głupia i była kobietą interesu. Jeśli elokwentna, ładna młoda kobieta pojawia się w twoim hotelu w poszukiwaniu pracy, nie zbywa się jej. Kogo obchodzi, przed kim czy przed czym ucieka. Dla biznesu będzie użyteczna.

Kiedy tak Irene siedzi w swoim gabinecie i przygląda się, jak jej asystentka oddala się ścieżką, coś sobie przypomina. Wstaje, otwiera z zatrzasku i podnosi okno.

- Stella! - woła.

Stella zatrzymuje się raptownie i odwraca. Przez chwilę nie może zlokalizować miejsca, z którego dochodzi głos, omiata wzrokiem fasadę budynku.

- Tutaj! - Irene woła i powiewa chusteczką. - Heej!

- Och. - Stella przysłania ręką oczy. - Cześć.

- Był do ciebie telefon. - Irene zerka na świstek papieru, na którym zapisała wiadomość. - Dzwoniła Nina.

Stella stoi bez ruchu. Irene czeka, aż ona jej powie, kim jest Nina. Stella milczy.

- J a k i e ś pół godziny temu - nie daje za wygraną Irene. - Powiedziała, że masz zadzwonić. Odniosłam wrażenie, że to coś pilnego.

Z daleka, zza trawnika i spośród drzew, Stella kiwa głową.

- W porządku.

- Możesz skorzystać z telefonu w moim gabinecie — oświadcza uprzejmie Irene. - Jeśli nie chcesz, żeby ktoś ci przeszkadzał - dodaje po chwili.

- Hm, nie - Stella kręci głową - dzięki.

Irene zamyka okno, rozczarowana, rozżłoszczona.

Francesca stoi pośrodku mieszkania. Przez frontowe okno widzi ulicę, pełną dzieci - chłopcy na rowerach zataczają koła, dziewczęta jeżdżą na wrotkach albo nurkują kolejno pod wielką skakanką. Niektóre dzieci rozpoznaje jako dzieci sąsiadów albo zna je ze szkoły; innych nigdy wcześniej nie widziała.

Odwraca się i wygląda przez tylne drzwi, które latem trzyma otwarte. Lubi, jak gorące, świeże, niosące pyłki powie-

trze wpływa do wnętrza. Jej córki spędziły całe przedpołudnie na budowaniu sobie kryjówek z prześcieradeł i poduszek, przeciągnęły linę od płotu do płotu, zarzuciły na nią prześcieradło i obciążły jego brzegi kamieniami. Schowały się tam, w tej wymoszczonej poduszkami świetlistej jaskini, z książkami, kredkami i układanką, z kotem i z mlecznymi napojami. Pół godziny temu Nina weszła do domu z twarzą rozjarzoną wysiłkiem i uciechą, żeby zapytać, czy mogą tam zjeść lunch, i Francesca powiedziała: „Oczywiście, a na co macie ochotę?”

Francesca znów spogląda na chmarę dzieciaków z sąsiedztwa, po czym przenosi wzrok na wydymające się białe płachty osłaniające jej córki. Wie, że gdzieś coś poszło nie tak, jak trzeba. Nie ma pojęcia, dlaczego jej córki nie są tam, gdzie powinny być, nie bawią się z innymi dziewczynkami, nie rozumie, dlaczego cały czas spędzają ze sobą. Przygląda im się czasem, kiedy wychodzą z domu albo kiedy idą przez szkolny dziedziniec, zostawiając ją za sobą, a dłoń Niny otacza nadgarstek Stelli jak bransoletka czy kajdanki. Obserwuje też inne dzieci, kiedy jej córki przechodzą obok nich. Zwierają się w grupki, odwracają plecami. Dziewczynki zasłaniają usta i coś tam szepczą. Chłopcy niby niechący trafiają w nie kopniętą piłką. Francesca ma ochotę zamordować te wszystkie dzieciaki, wrzeszczeć na nie, walić jednym głupim, tępym łbem o drugi.

Uwięziona pomiędzy tymi dwoma oknami, Francesca gryzie paznokcie kciuka. Zdaje sobie sprawę, że to jej wina; jest ich matką, ona jest odpowiedzialna za wszystko. Nie wie jednak, co takiego zrobiła, jak doszło do tego, że je w tym względzie zawiodła. W jakiś sposób, nie mając takiego zamiaru, spowodowała, że jej dziewczynki nie pasują do otoczenia.

Idzie ku tylnym drzwiom, spogląda niepewnie na kryjów-

kę. Może powinna im zanieść szklanekę lemoniady, powiedzieć, że niedługo będzie lunch. Idzie jednak dalej, mija lodówkę, przechodzi przez kuchnię i wychodzi na zewnątrz. Jej bose stopy bezszelestnie posuwają się po trawie. Napięte boki szałasu drgają w letnim powietrzu. Francesca widzi, jak puszysty bok kota ociera się o naciągnięte płótno, potem zauważa spiczasty czubek łokcia, tuż nad ziemią, a wysoko nad nim zarys nogi w kostce.

Wie, że szpieguje i że źle postępuje, ale idąc przez trawnik, myśli sobie, że nie ma przecież pojęcia, co innego mogłaby zrobić. Czyż nie pytała ich wielokrotnie, każdej z osobna i obu razem, czy w szkole dzieje się coś niedobrego, czy chcą, żeby jakieś koleżanki przyszły się pobawić, czy urządzić im urodzinowe przyjęcia, czy jest coś, co chciałyby jej powiedzieć? Odpowiedź zawsze jest taka sama: zdradzające zniecierpliwienie „nie” i znacząca wymiana spojrzeń między dziewczynkami.

Francesca kuca przy kryjówce. Jeśli ją zauważą, powie, że właśnie wrywa chwasty. Po drugiej stronie płótna porusza się jedna z jej córek. Dziewczynka wzdycha. Stella? Nina? Francesca nie jest w stanie się zorientować. Słyszy ich przyciszony głos jak brzęczenie pszczół w ulu. Przysuwa się bliżej.

- Staraj się o tym nie myśleć - mówi głos. Chyba Niny. - Kiedy znów pojawi ci się w głowie, musisz to po prostu stamtąd wyrzucić. Ja tak robię.

Ta bliższa sylwetka znów się porusza, płachtę prześciera dła wypychają wystające kości. To Stella: Francesca odgaduje to po długości kończyn.

- Ale - szepcze Stella tak cicho, że Francesca musi wyęzwać słuch - kiedy nie potrafię. To po prostu wraca.

Francesca sztywnieje, przez jej głowę przelatują myśli. Co? Co niby wraca? Ich izolacja, odosobnienie? O co chodzi? Chce koniecznie wiedzieć. Powiedzcie mi, błaga w myślach.

- Nikt nigdy się nie dowie, że to ty, Stel - słyszy po chwili głos Niny. - Nikt. Dopilnuję tego.

Francesca czuje nagły chłód, jakby słońce zaszło za chmurę. Wstaje i wycofuje się, szybkimi, energicznymi ruchami otrzepuje sukienkę. Przygotuje na lunch pizzę. Tak właśnie robi. To im się spodoba, a po południu zabierze je na plażę.

Wchodzi do domu, gdzie wita ją chłód, z trzaskiem zamyka drzwi i wyjmuje mąkę na ciasto.

Stella siedzi w pustej klasie i nasadką wiecznego pióra bębni o ławkę. Dziś mija ostateczny termin złożenia podania o przyjęcie na uniwersytet. Przesiedziała nad formularzem wiele tygodni, wypełniała rubryki jasno piszącym twardym ołówkiem — oceny z poszczególnych egzaminów, jej zajęcia dodatkowe, zainteresowania, wybór uczelni - wymazywała fragmenty zdań, pisała je na nowo tyle razy, aż wreszcie była z nich zadowolona. Teraz w wolnej chwili skrupulatnie pokrywa czarnym atramentem wszystko to, co napisała ołówkiem. Wypełniła już tak cały formularz. Została jej tylko ostateczna decyzja dotycząca wyboru uniwersytetu. Patrzy na listę.

1. Edynburg
2. St Andrews
3. Glasgow
4. Aberdeen
5. Londyn

Ściska mocno pióro, żuje kosmyk włosów. Na zewnątrz nauczyciel wuefu goni bezlitośnie gromadę pierwszoklasistów wokół hokejowego boiska. Co dziesięć kroków każe im padać na ziemię i robić pompki. Stella wdryga się. Chciała by już mieć szkołę za sobą.

- Tutaj jesteś. - Nina idzie ku niej przez klasę. - Wszędzie cię szukałam.

- Och - Stella prostuje się - przepraszam.
 - Co robisz? - Nina przysiadła obok, na blacie sąsiedniej ławki. - Chyba nie babrzesz się ciągle z tym formularzem, co?
 - Uhm.
 - N i e wiem, czym się przejmujesz... - Nina zagląda jej przez ramię - ...przecież ty dostaniesz się wszędzie.
 - J u ż prawie skończyłam. - Stella spogląda na siostrę. Nina jest zarumieniona, ubranie ma odrobinę w nieładzie. - Gdzie byłaś?
 - Tam, w pawilonie. - Nina strzepuje z puloweru żdźbła trawy, wymachuje nogami.
 - Sama?
 - Oczywiście, że nie. - Nina uśmiecha się z wyższością. - Jaki by to miało sens?
 - Myślałam, że miałaś biologię.
 - Miałam. - Wzrusza ramionami. - Co sobie będą zawracać dupę.
- Stella turla pióro od siebie i do siebie.

- Nina - mówi cicho.
- C o ?
- Nie oblej jej znowu.
- Nie obleję.
- Nie ryzykuj.
- Och, nie zaczynaj. - Nina zsuwa się z ławki. - Idziesz?
- Muszę to dokończyć. - Stella zerka na zegarek. - Za pięć minut spotkamy się przy bramie.

- W porządku. - Nina rusza do drzwi. - Tylko się pośpiesz. Chcę być w mieście przed zamknięciem sklepów.

Stella czeka, aż siostra odejdzie, po czym opuszcza wzrok na formularz. Edynburg, na pierwszym miejscu, St Andrews, na drugim, Londyn, na ostatnim. Od lat miały to z Niną zaplanowane: ona pójdzie na uniwersytet w Edynburgu, a Nina do tamtejszego Art College. Będą mieszkać w domu,

w tym samym pokoju, który zawsze ze sobą dzielili, a rankami razem będą sły na wykłady. Idealnie.

Stella nigdy wcześniej nie była w Londynie. Nie wie, dlaczego go w ogóle tu umieściła, na tym ostatnim miejscu. Czy zdarza się, że ktoś ląduje w mieście, które postawił na ostatnim miejscu? To chyba niemożliwe. Nauczyciel powiedział jej, że to, co umieści na czwartym i piątym miejscu, nie będzie brane pod uwagę. Stella widziała Londyn w telewizji i na różnych filmach: śmieszne skwerki z ceglanymi domami i z drzewami i czarne balustrady, i metro wyłożone kafelkami, uliczne targowiska, muzea, gołębie. Wie, że leży czterysta mil od Edynburga, że pociągiem jedzie się tam cztery czy pięć godzin, że jest ogromny i zamieszkują go ludzie, którzy mówią gorączkowo.

W sali jest chłodno, kaloryfery pomrukują. Wypisane kredą niemieckie imiesłowy panoszą się na tablicy, w nie dającym ciepła zimowym słońcu wirują pyłki kurzu. Na dworze pierwszoklasiści zmuszani są do biegu tyłem, podczas gdy nauczyciel ciska w nich piłkami. Stella odrzuca włosy i zamyka oczy.

Kiedy je ponownie otwiera, światło słoneczne wydaje się jej jaśniejsze, drażniące, ściany klasy wyższe niż przedtem. Odkręca pióro, nachyla się nad formularzem i na wypisanym ołówkiem słowie „Edynburg” kaligrafuje wyraźnymi, czarnymi literami słowo „Londyn”.

Mel stoi przy umywalce, nalewa wodę do szklanki. Za oknem, w ogrodzie, Jake zagląda do sadzawki, wykopanej przez ojca z jej udziałem, kiedy miała siedem lat. Mel obserwuje kota, który z podniesionym wysoko ogonem idzie przez trawnik w stronę Jake'a. Zatrzymuje się jakieś pół metra od mężczyzny, z jedną łapą uniesioną zerka na jego plecy. Miauczy pe-

łen nadziei, ale Mel wie, że robi to dużo ciszej, niż mu się wydaje. Jake nie słyszy. Kot, z ogonem zwiniętym w znak zapytania, czeka. Miauczy ponownie. Potem, doprowadzony do ostateczności, przysuwa się i ociera łbem o nogę Jake'a.

Mężczyzna, wyrwany z rozmyślań, odskakuje gwałtownie. Przez krótką chwilę on i zwierzę przyglądają się sobie. Mel wstrzymuje oddech. Czy dotknie kota? Będzie dla niego miły? Wie, że psa nienawidzi do tego stopnia, że nie może wytrzymać jego obecności w tym samym pokoju, ale czy odrzuci także kota?

Widzi, jak Jake kuca, dotyka grzbietu kota, zupełnie nieumiejętnie przesuwając dłoń po jego ogonie. Mel wie, że nigdy nie miał żadnego zwierzęcia. „Niewiele wiem o innych gatunkach”, powiedział jej kiedyś. Kot okraża go, zaskoczony tymi niezdarnymi karesami, gotów jednak wziąć, co dają.

Jake nie przypomina innych mężczyzn, jacy przewinęli się przez życie Mel. Jest w niej coś, co przyciąga mężczyzn, którzy kupują kosztowne prezenty, ale rozbierają ją z niecierpliwością, takich, którzy płacą wysokie rachunki w restauracji, ale potem jadą z nadmierną szybkością. Jake nie ma auta. Mel nie wie nawet, czy potrafi prowadzić. Wyobraża sobie, że znalazłby się w wielkim kłopotcie, gdyby spytała go, czy wie, gdzie się kupuje biżuterię czy damską bieliznę, czy też ręcznie wyrabiane czekoladki.

Mel się uśmiecha. Wie, że rodzina byłaby zadowolona, gdyby związała się z mężczyzną, który ma przyzwoity płaszcz, skończone wyższe studia, ogrzewany samochód, z mężczyzną, który wie, jak rozmawiać o gospodarce czy wyjazdach na narty, czy o krzewach, które rosną w cieniu, albo o tym, jakie wino podać do kolacji. Nie, żeby jej rodzice czy bracia powiedzieli kiedykolwiek coś przeciwko Jake'owi. Ale widziała, jak czasami na niego patrzą - tym zdumionym, pełnym konsternacji, ukradkowym spojrzeniem.

I jest jeszcze coś. Wyczuwa w Jake'u jakąś intrygującą samotniczość. Inni mężczyźni, z którymi była związana — a właściwie każda znana jej osoba żyła omotana gęstą siecią powiązań z innymi: z rodzinami, dawnymi kochankami, kolegami, przyjaciółmi. Ta sieć ciągnie się bez końca. Jake natomiast nie ma czy prawie nie ma rodziny, nigdy nie opowiada o swoich byłych dziewczynach, jego powściągliwość przybiera rozmiary skrytości, przez co on sam jej się wymyka. To powoduje, że jest coraz bardziej zaciekawiona, zaintrygowana, bardziej zdeterminowana, żeby się go kurczowo trzymać.

Jej własne życie wydaje się chwilami nazbyt przytłaczające, zbyt zaludnione. Uwielbia oczywiście swoją rodzinę i wszystkich przyjaciół... nie mogłaby się bez nich obyć. Co nie przeszkadza, że fascynuje ją lekkość życia Jake'a.

Opiera obie ręce o krawędź umywalki. Po tyłu miesiącach spędzonych w łóżku trzęsą się pod nią nogi. Powinna usiąść, ale chce zostać tam, gdzie stoi, i obserwować, jak jej nieodgadniony mąż zawiera znajomość z jej kotem.

- Co ja mam teraz zrobić?

Końcami palców Jake rozchylił listewki żaluzji i patrzy na zewnątrz. W tym zjadliwym słonecznym świetle dostrzega w budynku naprzeciwko kobietę, która w lustrze łazienkowym szuka na głowie siwych włosów. Piętro wyżej jakiś starszy mężczyzna wystawił za okno swojego pudła, żeby mógł się wysuszać do skrzynki na kwiaty.

- Hę? - zawołał z kuchni Hing Tai.

- Mówiłem... - zaczął Jake donośnym głosem, ale już po chwili odechciało mu się ciągnąć to zdanie - ...nieważne.

Puścił listewki żaluzji i odwrócił się dokładnie w tym momencie, w którym w drzwiach kuchni pojawił się Hing Tai

z dymiącym wokiem: trzymał go w jednej ręce i mieszał przygotowane przez siebie *chowfan* tym kolistym ruchem nadgarstka, którego lata temu nauczyła ich obu pani Yee, każąc im w tym celu ćwiczyć z mokrą szmatą zamiast ryżu.

- Co powiedziałaś? - spytał Hing Tai. - Jak włączyć wiatrak, to nic nie słyszę.

Hing Tai mieszkał obecnie na półwyspie Koulun, w małym mieszkanku w dzielnicy Mong Kok. Ku przerażeniu wszystkich czworga zainteresowanych rodziców, natychmiast po zdobyciu posady w dużej radiostacji wyprowadził się z rodzinnego mieszkania i wprowadził do swojej dziewczyny, Mui. Za każdym razem, kiedy pani Yee spotykała Jake'a, namawiała go, żeby przekonał Hing Taia, by ten albo wrócił do rodziców, albo przynajmniej ożenił się z tą dziewczyną (nie, żeby sama szczególnie sprzyjała Mui, która zupełnie nie odpowiadała jej wyobrażeniu o dobrej żonie, choćby dlatego, że miała ukończone wyższe studia, pracowała dla firmy nagraniowej i mówiła czterema językami). Jake bezskutecznie starał się unikać tego tematu.

- Nic - odparł i osunął się na fotel. - Nic ważnego.

- Gadaj - nalegał Hing Tai. - O co chodzi? Wiesz, jak nie cierpię, kiedy się tak zachowujesz.

- To nic ważnego. - Jake potarł podbródek.

- Jik-ah - odezwał się ostrzegawczo Hing Tai, nadal mieszając energicznie ryż - jeśli mi nie powiesz, oberwiesz kopa.

Jake mimo woli roześmiał się i rzucił okiem na temblak podtrzymujący lewe ramię.

- Cóż, w takim razie, właśnie powiedziałem... nie, wyjechałem raczej... co ja teraz mam zrobić?

Przechyliwszy głowę na bok, Hing Tai przyglądał mu się przez chwilę.

- Poczekaj momencik — powiedział. — Przyniosę jedzenie. I piwo. Do tej rozmowy potrzebny nam solidny podkład.

Hing Tai trzaskał i pobrzękiwał naczyniami w kuchni. Jake wyjął z kredensu miseczkę oraz pałeczki i nakrył do stołu. Próbował jedną ręką otworzyć piwo, ściskając między kolanami lodową butelkę prosto z lodówki.

- Daj mi to — powiedział Hing Tai, siadając i wyciągając rękę po butelkę i otwieracz. - No więc - spytał, zdejmując kapsle z dwóch butelek - jak ona się miewa?

- Ona... - Jake patrzył, jak przyjaciel wkłada ryż do miseczek - ...niespecjalnie. To znaczy wyjdzie z tego, ale w tej chwili jest bardzo... przygnębiona. W depresji. Rozhisteryzowana. Czemu... - Jake wzruszył bezradnie ramionami - ...no wiesz...

- ...nie ma się co dziwić - Hing Tai dokończył za niego. Jake skinął głową.

- Co mówią lekarze?

- Ze miała wyjątkowe szczęście. „Cud” to słowo, którego używają. Cudem przeżyła. Mówią, że trzeba jej zapewnić całkowity spokój. Cała ta sprawa z Lucy bardzo pogorszyła jej stan. Co zrozumiałe. Powtarzają mi w kółko, że w żadnym razie nie wolno jej denerwować ani pobudzać, ani... ani w żaden sposób się jej przeciwstawiać. Co łatwo powiedzieć, ale o wiele trudniej wprowadzić w życie, kiedy człowiek opiekuje się kimś, kto omal nie zginął i kto był świadkiem śmierci swojej najlepszej przyjaciółki.

- Uhm. - Hing Tai uchwycił pałeczki, zaczął wybierać co dorodniejsze krewetki i wrzucać je do miseczki Jake'a.

- I... - Jake przerwał, zapatrzył się w krążące w tę i z powrotem pałeczki i zakrył dłonią swoją miseczkę. - Przestań.

- *Eiyah*, czemu taki uparty? - odpychając jego rękę, Hing Tai spytał głosem swojej matki, rozśmieszając ich obu. Potem wycelował w Jake'a palcem. - Musisz odzyskać siły, człowieku. Wyglądasz okropnie. Jak jakiś pieprzony truposz.

- No i bardzo dobrze - Jake wyszczerzył zęby w uśmiechu - niech wyjdzie z ciebie ten rasista, czemu nie? Kop leżącego.

- Zamknij się. I powiedz mi...
- Zamknąć się i jednocześnie mówić?
- Po prostu się zamknij. I powiedz to, co zamierzałeś powiedzieć.

- Kiedy?

- Przedtem. Zacząłeś mówić „i”...

- I? - Jake zastanowił się. - I? - Podnosił do ust pałeczki, kiedy sobie przypomniął. - A tak - powiedział. Ręka mu opadła, a dobry humor opuścił go równie szybko, jak się pojawił. - Ona... - Westchnął, słowa ledwo przechodziły mu przez gardło. - Ona chce wracać do domu.

- Do swojego mieszkania?

- Nie... nie... do...

- Anglii?

- Taa.

Hing Tai pociągnął z butelki. Zapanowało milczenie. Jake przesuwał wokół miski różowy przecinek krewetki.

- I chce, żebyś z nią pojechał - odezwał się w końcu Hing Tai.

Jake skinął głową, nie podnosząc wzroku. Z białej tkaniny temblaka wystawały palce uszkodzonej ręki, sztywne, kredowo białe. Napiął mięśnie przedramienia i był niemal zaskoczony, że w reakcji na to palce się rozprostowały. Zupełnie jakby ta ręka nie była już jego częścią, a tylko ciężarem, który musi nosić zawieszony na szyi.

- To taka nienormalna sytuacja - wymamrotał, nadal bacznie przyglądając się dłoni. - Z każdym dniem coraz bardziej nienormalna. Czasami patrzę na nią i myślę sobie, a kimże ty jesteś? co ja tu z tobą robię? A potem wraca to wszystko... to, co się stało i co ja zrobiłem, i...

- Jake, musiałeś to zrobić. — Hing Tai mówił z naciskiem, z przekonaniem, podkreślał swoje słowa, uderzając płaską dłonią o stół. - Nie miałeś wyboru. Zrobiłeś to, co każdy

inny z odrobiną... sumienia by zrobił. Ona przecież umierała.

Jake, nieprzekonany, podniósł wzrok na przyjaciela.

- Nie możesz się tak obwiniać - dodał Hing Tai łagodniej.

- Ale ona tak uparcie wierzy, że pobraliśmy się z wielkiej miłości, a ja, kiedy o tym pomyślę, mam ochotę... to znaczy, nie, żebym jej nie lubił. - Jake zamilkł na chwilę i zastanowił się. - Lubiłem ją. Wiem, że ją lubiłem. Nie wiem, co czuję teraz. Wszystko tak jakoś zostało... zmiecione i się poplątało. Chodzi o to, że ona nie jest... nie jest... - Kręcił ręką w powietrzu.

- Nie jest kobietą dla ciebie.

- No właśnie. - Jake rozluźnił się, odczuł ulgę, że wyraził wreszcie coś, co dusił w sobie niewypowiedziane od tygodni. - Ani trochę. A czuję... że nie ma z tego wyjścia, że ja...

- Może w tej chwili — przerwał mu Hing Tai. - To oczywiste, że nie możesz teraz o tym z nią rozmawiać. Ale ona wydobrzej. - Chwycił zdrowe ramię Jake'a i potrząsnął nim. - Kiedy poczuje się lepiej, będziesz mógł to wyjaśnić i wrócić do poprzedniego stanu i zapomnieć o tym wszystkim.

- Tak uważasz? - Jake obserwował, jak prostują i zginają się jego palce, prostują i zginają, chwytając i puszczając puste powietrze.

- J a s n e . - Hing Tai odchylił się na krześle, podniósł pałeczki i zamyślony ssał przez dłuższą chwilę ich końce. - A jeśli chodzi o wyjazd do Anglii...

- Och, na miłość boską - Jake wybuchnął po angielsku, po czym wrócił do kantońskiego. - Przecież muszę jechać. Nie mogę jej tak po prostu zapakować do samolotu i pomachać na pożegnanie.

- Uhm. - Hing Tai pokręcił głową. - Raczej nie. A co z pracą?

- Nie będzie problemu. Chen wziął się do obróbki nowego scenariusza, tak że przez najbliższe miesiące niewiele się będzie dziać. Poza tym wisi mi jakiś rok urlopu.

- Cóż, wygląda na to, że podjąłeś decyzję.

- Raczej podjęto ją za mnie.

- Nieważne - oświadczył Hing Tai lekceważąco. - Tak czy owak musisz jechać. Wszystko się ułoży. Może ci się to nawet spodobać. Zobaczyć ojczyznę i w ogóle.

- Nigdy nie byłem szczególnie ciekaw swojej ziemi ojczystej, jak ją nazwałeś - mruknął Jake.

- Przestań jęczeć - powiedział Hing Tai, odsuwając od siebie miseczkę. - Dostarczysz ją rodzicom, poczekasz, aż poczuje się lepiej, a potem wyjedziesz. *Momantai*. Będzie świetnie. Zawsze chciałem pojechać do Londynu. Mógłbyś nawet pojechać do Szkocji.

- Co... i zobaczyć ziemię ojców? - Jake podniósł wzrok.

- Właśnie. — Hing Tai uśmiechnął się do niego.

- Przyszło mi to do głowy - przyznał Jake.

- No widzisz. Nie w mówisz mi, że nigdy nie byłeś tego ciekaw. - Hing Tai zerknął na zegarek. - Muszę iść. Idę z Mui do kina. W Yau Ma Tei. Pójdiesz z nami?

Jake spojrział na zegarek i podrapał się po głowie.

- Bardzo bym chciał, ale powinienem już wracać do...

- Zony? - rzucił Hing Tai z szalbierczą miną.

- Pieprz się.

- Ty też się pieprz, stary. - Hing Tai wstał i przeciągnął się leniwie. - Czy nie ostrzegałem cię, żebyś nie zadawał się z dziewczętami *gweilo*? Sprowadzają kłopoty, same kłopoty.

Jake otwiera delikatnie drzwi i najciszej, jak potrafi, wślizguje się do frontowego pokoju. Uderza go fala gorącego powietrza, na którą składają się suchy żar kaloryferów, szczel-

ne okna, brak wentylacji. Pies w koszyku obok opalanego drewnem pieca podnosi czujnie głowę, nastawia uszu, w gardle mu się gotuje. Nigdy nie lubił Jake'a. Jake pokazuje mu język. Okropne, śmierdzące bydlę.

Podchodzi z boku kanapy, ale zobaczywszy, że Mel śpi, zaczyna się wycofywać.

- J a k e ? - słyszy jej głos, słaby i chrapliwy, kiedy jest już przy drzwiach. - To ty?

Wraca i siada obok niej; z wielkim niepokojem dostrzega, że twarz ma białą jak mąka, a pod oczyma delikatne liliowe cienie.

- Myślałem, że śpisz - mówi do niej.

- Spałam. - Mel ziewa tak szeroko, że Jake przez krótki moment widzi wilgotną, mięsistą czerwień jej gardła. - Ale usłyszałam, jak wchodziłeś.

- Przepraszam. Nie chciałem cię obudzić.

- Nie szkodzi. - Mel zmienia pozycję. Sprężyny kanapy wydają długi niski brzęk, jak harfa. - Miło cię widzieć. - Wyciąga do niego rękę; Jake zmusza się, żeby ją ująć. Mel odzywa się cienkim, brzękliwym tonem do psa, na co zwierzę reaguje, uderzając ogonem o bok koszyka.

- Posłuchaj - mówi Jake - chciałem z tobą o czymś porozmawiać.

- Tak? - Mel kontynuuje tę nonsensowną piskliwą przemowę do psa, który odpowiada jej teraz takim samym wysokim tonem. Jake'a boją od tego uszy.

- Mel? - Ścisza jej rękę. - Rozmawiałem z twoimi rodzicami i...

- Czy chodzi o ślub?

- Tak - odpowiada zaskoczony. - Skąd...

- Moja matka jest ostatnią osobą na świecie, która potrafiłaby utrzymać tajemnicę. - Mel wsparta na poduszkach posyła mu uśmiech. - Jest chorobliwie wręcz prawdomów-

na. Ale ja mam nic o tym nie wiedzieć. I tata ma nie wiedzieć, że ja wiem. To wszystko jest okropnie skomplikowane. - Kładzie drugą dłoń na jego rękę. - Ale możemy o tym porozmawiać. Jeśli chcesz.

- Rzecz w tym... - zaczyna i przed oczyma pojawia mu się obraz Mel z tamtego ranka po ich pierwszej wspólnie spędzonej nocy. Zabrał ją *na dim sum*, do lokaliku za rogiem. Siedzieli naprzeciwko siebie, a stolik był taki malutki, że nieustannie trącali się kolanami, przewracali go niemalże, co rozśmieszało ich oboje. Wyznała, że zawsze się bała wchodzić do takich miejsc, a on spytał, czego się bała, na co ona odrzekła, nie wiem, a on wtedy powiedział, nie bój się. Tych samych słów użył poprzedniego wieczoru, kiedy miał ją pocałować. To też ich rozśmieszyło, aż ona musiała odłożyć pałeczki. A potem oznajmiła, nie boję się, kiedy jestem z tobą, a on powiedział, świetnie. - Rzecz w tym - powtarza teraz - że nie jestem pewien...

- Nie jesteś pewien, czy chcesz to zrobić.

Jake patrzy na nią. Ona odwzajemnia mu się spokojnym spojrzeniem, obiema dłońmi trzyma jego rękę. Jemu wydaje się, że serce unosi mu się do góry niczym bąbel powietrza w wodzie. Czyżby ona zdawała sobie sprawę? Czy mimo wszystko, co się wydarzyło, wie?

- Mel, ja...

- Nie ma sprawy, Jake.

- Naprawdę? - pyta, nie bardzo pewien, co mówi, czego to słowo dotyczy.

- Wiem, że to nie w twoim stylu.

- W moim stylu? - powtarza Jake.

- Kościół, wesele, biała suknia. - Mel przechyla na bok głowę, uśmiecha się. - Trudno mi sobie wyobrazić ciebie w zakęcie, sztuczkowych spodniach i w cylindrze.

Jake nie wie dokładnie, o czym ona mówi, ale domyśla się.

- Nie wiem, co zrobimy. — Mel pociera nadgarstkiem skroń

i patrzy przez okno. — Oczywiście, nie powiedziałam tego matce. Oni chcą tylko być mili. Uważają, że mi to dobrze zrobi. Ze będę miała na co czekać i takie tam. - Nie wiem, co zrobimy - powtarza. - Ale naprawdę teraz nie musimy się tym kłopotać. Bo przecież możliwe - mówi konspiracyjnym szeptem, unosząc jedną brew - że i tak w końcu będziemy musieli to zrobić. Żeby im sprawić przyjemność. Wiesz, jacy są rodzice. Byłbyś w stanie przez to przejść?

Autobus na lotnisko odchodzi z Hennessey Road. Jake z nisko pochyloną głową, jakby szedł pod wiatr, coraz bardziej oddala się od swojego mieszkania, na grzbiecie dźwiga stary plecak matki, w prawej ręce dwie walizki Mel. Ona idzie gdzieś za nim, próbuje wciągnąć go do rozmowy. Jake już wie, że kiedy milczy, ona staje się nerwowa, gadatliwa, stara się wypełnić chwile ciszy. Na ulicy mówi do jego pleców o ruchu ulicznym i jaka to jest szczęśliwa, że wyjeżdża, i jak chciałaby wcześniej zgłosić się do odprawy, bo chce mieć miejsce przy przejściu między rzędami foteli i czy aby on jest całkowicie, absolutnie pewien, że nie powinni pojechać szybką koleją zamiast autobusem, i że martwi ją ten duży ruch, mimo że jest dopiero wczesne popołudnie, że od Causeway Bay płynie nieustanny strumień pojazdów i czy on...

W tej chwili nie ma ochoty na nią patrzeć i dlatego zostawia ją za sobą. Bark boli go od pasów plecaka, gips pokrywa przedramię, które blade i ciężkie kołysze się u jego boku. Nie pozwolił nikomu nic na tym gipsie pisać ani rysować. Fascynuje go ta pustka nieskażonej bieli. Zaczyna zapominać, jak wygląda zakryta ręka.

Na przystanku Mel przysiadła na walizce, twarz ma poszarzałą i wyczerpaną wysiłkiem, jakim było dla niej przejście tych dwóch przecznic. Milczy i tylko rzuca na niego od

czasu do czasu niespokojne spojrzenia. Jake widzi autobus, kiedy ten jest jeszcze bardzo daleko.

Kiedy już rusza z przystanku, jedzie zaskakująco szybko. Mkną do przodu, zostawiając za sobą Wanchai, a w przerwach pomiędzy budynkami Jake widzi z jednej strony strome zbocza gór, a z drugiej pobłyskujące, znaczone promieniami słońca wody portu. Autobus wznosi się wraz z drogą ponad otaczający ją teren i ulice w dole stają się wąziutkie, ludzie skróceni tą perspektywą i Jake dostrzega odbicie autobusu w szklanych ścianach budynków - pocięte, zniekształcone - i, ależ tak, widzi też, przez ułamek sekundy, patrzącą na niego jego własną twarz. I już jej nie ma.

Mel bierze jego dłoń w swoją. Jake myśli o tym, jak to przedtem, kiedy była zdrowa, lubił sposób, w jaki rozpinąła guziki jego koszuli, uważnie, w nabożnym skupieniu, niczym dziecko rozpakowujące prezent, i myśli o tym, że powinien odczuwać wdzięczność, że przynajmniej tyle powinien dla niej zrobić. Może wszystko się dobrze ułoży. Może będzie umiał ją pokochać. Może niedługo zdoła wrócić.

Na ostatnim przystanku przed tunelem liczna rodzina guzdrze się z wsiadaniem do autobusu i tuż przed zamknięciem drzwi jakiś ciemny kształt wpada ślizgowym lotem do wnętrza jakby wciągnięty na sznurku. Leci pod sufit, po czym zmienia kierunek, pędzi w stronę przedniej szyby i uderza w nią. Jake poruszony patrzy na skórzaste skrzydła i krótkie, muskularne ciało. Nietoperz.

Pomruk przerażenia przetacza się przez autobus. Mel ścisną jego rękę. Nietoperz odbija się od szyby ogłuszony i dezorientowany, opada. Znow zaczyna się wznosić na wysokość twarzy siedzących pasażerów i udaje mu się przelecieć tuż nad ich głowami. Mel wrzeszczy przeraźliwie i daje nura w dół, zawadzając głową o ramię Jake'a, i Jake dosłownie ślepnie z bólu i nie widzi, co dzieje się zaraz potem.

Kiedy otwiera oczy, jakaś młoda Chinka w beżowym kostiumie podnosi się właśnie z fotela i przyciska ręce do boków głowy. Nie krzyczy jak wielu innych pasażerów, skamle tylko cichym, zdławionym głosem, a łyzy rozmazują jej makijaż. Jake wlepia w nią wzrok. Coś się wije i wierci w jedwabistej czerni jej włosów - nietoperz trzyma się pazurkami kosmyków tuż przy skórze.

- Otwórz okno - Jake mówi do Mel, wstając.

Kobieta szlocha, potargane włosy lepią się jej do twarzy. Ludzie pospiesznie otwierają okna, powietrze z rykiem wpada do wnętrza. Wszyscy wpatrują się w niego, szeroko rozwartymi oczyma. Mel podaje mu gazetę.

- Użyj tego, Jake — mówi. - Użyj tego.

Zeby ją wziąć, musi wyjąć rękę z temblaka. Rozwija gazetę i rozkłada gruby papier na głowie kobiety. Od tego ruchu boli go ramię, pieką palce. Przez papier czuje szybkie, szaleńcze uderzenia skórzastych skrzydeł i szarpaninę pazurków.

W tym właśnie momencie wjeżdżają do tunelu, który wysysa jednocześnie i światło, i dźwięki. Autobus i kiwający się pasażerowie rzucają się w ponurą żółtopomarańczową poświatę. Jednym ruchem Jake owija gazetą stworzenie i pociąga. Nietoperz wyrывa się i wyslizguje z papieru. Kobieta łąka bezgłośnie. Jake próbuje powtórnie i tym razem czuje w dłoniach sztywne z przerażenia maleńkie ciało. Zawija wokół niego gazetę. Podnosi ramiona, ból bije w bark jak młotem. Ze zwiniętego, podrygującego papieru wypadają kosmyki kobiecych włosów. Jake odwraca się i widzi, że jakiś mężczyzna w średnim wieku gestem wskazuje mu okno, Jake zbliża się do niego i jednym ruchem wyrzuca zawiniątko na zewnątrz.

Wiatr porywa je zachłannie. Zadrukowane karty oddzielają się i unoszą w powietrzu za autobusem, opadają łagod-

nie na szary asfalt. Jake widzi, jak wydobywa się z nich czarna, skrzydlaty kształt i niknie błyskawicznie pod ciemnym sklepieniem tunelu.

Po drugiej stronie pokoju matka ćwiczy jogę. Powitanie słońca. Co oznacza pozdrowienie albo wiwat. Rozkłada ręce na macie, jej ciało wygina się do góry, włosy opadają do tyłu, stopy przylegają płasko do podłoża. Czasami w takim momencie Jake przeczołguje się pod łukiem utworzonym przez jej ciało, co ją rozśmiesza i sprawia, że pada na matę, dzisiaj jednak chłopiec nie ma na to ochoty.

Jake uderza piętami w nogi krzesła i opiera łokcie o stół. Toczy czarny wałeczek kredki od siebie i do siebie, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Słońce podgrzewa budynki, ulicę, szkło w oknach, dachy autobusów. Rano, kiedy sprawdzał temperaturę, termometr za kuchennym oknem pokazywał trzydzieści dwa stopnie. „Będzie upalny dzień”, oświadczyła matka, kiedy jej to pokazał. Jego matka to Caroline, ale także mama. Zawsze nazywa ją Caroline, pamięta jednak, żeby w szkole mówić o niej „mama”, w przeciwnym bowiem razie wyśmiewano by się z niego.

- Co robisz, Jakey? - Caroline stoi na jednej nodze, ręce trzyma nad głową, dłonie niczym strzały skierowane w sufit. - Rysujesz?

Jake trzyma kredkę. Jeśli zaciśnie ją w garści, kredka zniknie. Nikt się nie zorientuje, że tam w ogóle była.

- Nie - odpowiada.

- O, pisziesz jakąś historyjkę?

- Nie. — Czuje, że matka mu się przygląda, ale patrzy prosto przed siebie.

Caroline pojawia się naprzeciwko, siada po drugiej stronie stołu. Odsuwa pozostawione po śniadaniu filiżanki i kar-

tonik cukru. Na kartonik napisane jest „Taikoo”. Jake'owi podoba się to słowo.

- Piszesz list?

Chłopiec ujmuje kredkę tak, jak nauczyła go matka, w sposób odpowiedni do pisania, trzyma ją mocno, pod ostrym kątem, pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym, opartą o krawędź dłoni. Kiwa głową, raz.

- Do Hing Taia?

Kręci głową, raz.

- Więc do kogo? - Matka przygląda mu się zaintrygowana. Wyciąga rękę i odgarnia mu z czoła kosmyk włosów. - Do kogo piszesz, kochanie?

- Do ojca. - Słowa wydobyły mu się z ust bez najmniejszego trudu. Tylko dwa. Zerka na matkę, zaniepokojony. Czy się zdenerwuje?

Ona jednak po prostu unosi brwi i patrzy na niego. Jej wyciągnięta ręka zastygła na jego włosach. Czuje jej ciężar na głowie. Chciałby spod niego umknąć, ale nie śmie. A potem matka porusza się, zaczyna głąskać jego grzywkę.

- Cóż - mówi - to wspaniale, Jakey. Dokąd dobrnałeś?

Jake opuszcza wzrok na prostokąt papieru; widnieje na nim wypisane dużymi czarnymi literami słowo „kohany”.

- Nie wiem, jak mam go nazwać.

- Co masz na myśli? - pyta matka cicho.

- No... - Drapie paznokciem kciuka powierzchnię kredki. Maleńkie drobiny wosku odrywają się od czerni i spadają na papier. - ...czy mam napisać „Tom” czy „tata”?

- Hm. — Caroline patrzy za okno i zastanawia się. — Uważam, skarbie... że obie formy są w porządku. - Sięga po kartonik z cukrem i ściska go przed sobą obiema rękoma. - Myślę, że to zależy od... od tego, w jaki sposób o nim myślisz. Czy myślisz o nim jako o „Tomie” czy jako o „tacie”?

- Ja... - Jake marszczy brwi - ...nie wiem. Nie... myślę

o nim... jak... o jakiejś osobie. Dorosłej. Która jest do mnie podobna.

- On był... jest do ciebie podobny. - Matka kiwa głową potakująco. - Bardzo podobny. - Wkłada do ust pasemko włosów. — Prawdę mówiąc, identyczny.

- Więc co mam napisać? - Trzyma nad białą kartką uniesioną kredkę.

- Może... może najlepsze będzie „Tom”. Jak sądzisz?

- Dobrze. - Spod kredki zaczyna się wyłaniać prosta, skierowana w dół kreska litery „t”.

Caroline siada obok niego, podaje mu kolorowe kredki i pomaga w ortografii, kiedy ją o to poprosi: „chciałbym cie zobaczyć”, pisze. Potem rysuje ich wieżowiec, rozciągając bok kartki: „mieszkamy w hong kongu. przyjedź niedługo, jeśli chcesz, ucałowania Jake xoxoxo”. Na dole rysuje siebie i Caroline. Ją w jej ulubionych ciemnoróżowych dzwonach, a siebie w zielonym kapeluszu, choć nie zapomina o pokolorowaniu swoich włosów, żeby Tom wiedział, że są czarne jak jego.

- J a k e , to wspomniała - mówi Caroline, kiedy pozwala jej wziąć kartkę do ręki. - Naprawdę cudowne. Strasznie mi się podoba. Jedyne problem - mówi ostrożnie, nadal przyglądając się rysunkom - że nie bardzo wiem, jak to wysłemy.

- Ja wiem. - Jake idzie do kuchni i wraca z pustą butelką po sosie sojowym, który został zużyty poprzedniego wieczoru do kolacji.

Matka przygląda się jej przez chwilę, po czym wybucha śmiechem i klaszcze w dłonie.

- Wpierw musimy ją umyć - oświadcza - żeby sos sojowy nie pobrudził twoich ślicznych rysunków.

Jadą autobusem poprzez garb wyspy Hongkong, głęboko wyciętymi drogami z betonowymi umocnieniami po bokach, wśród obsypanych płomiennym kwieciami drzew, w dół do portu Aberdeen; droga wije się i zawraca serpentyną, coraz

bliższa i bliższa jest połać wody. Dzień jest duszny i wilgotny, zamglone chmury wydymają się nad nimi. Caroline targuje się z mężczyzną o sampan; dwa razy udaje, że już odchodzi, ostatecznie jednak człowiek spluwa w wodę i gestem pokazuje, żeby wsiedli.

Jake jedną ręką trzyma się zielonej burty łodzi, w drugiej ściska butelkę. Matka musi go powstrzymać, żeby nie wyrzucił jej za wcześnie, dwie minuty po wypłynięciu.

- Poczekaj - mówi, kładąc mu rękę na ramieniu - poczekaj, aż się trochę oddalimy.

Ciemna, lekko wzburzona woda umyka pod szerokim dnem sampana. Mężczyzna siedzi przy sterze, twarz ma ukrytą pod trójgraniastym kapeluszem. Stąd miasto wygląda na małe, ot zbiór różnej wielkości pudełeczek w cieniu ogromnych zielonych gór. Kiedy już zdecydował, że są wystarczająco daleko, Jake ujmując w palce szyjkę butelki, bierze zamach i ciska ją w kierunku pustej linii horyzontu. Butelka leci szerokim łukiem, a kiedy uderza o szklaną powierzchnię morza, niknie na moment. Po chwili Jake widzi, jak jej czerwona zakrętka wyskakuje na powierzchnię, a wewnątrz dostrzega biały zwitek listu - bezpieczny i suchy.

Mair nigdy nie wyzwoliła się ze wspomnienia niedostatku żywności. Wprowadzone przez rząd racjonowanie produktów spożywczych odcisnęło piętno na całe życie. Zdarzało się, że przytrzymywała rączki prawników, kiedy w jej kuchni smarowali sobie grzanki masłem.

- Ostrożnie, nie za dużo — mitygowała ich, odsuwając ceramiczną maselniczkę, tak żeby nie mogli jej dosięgnąć. Synowe wyśmiewały jej zwyczaj chomikowania jajek w spizarni tak długo, aż nadawały się tylko do wyrzucenia.

Mieszkała w jednej z dolin południowej Walii, w mieście

o nazwie, której nikt spoza granicy tej krainy nie potrafił wymówić, ludziom plątały się języki przy tych wszystkich podwójnych „l” i „d”. Jakby nie dość było kłopotów i niedostatku, Mair przysłano ewakuowane ze Swansea i z Cardiff dzieci, urwisów, których rząd polecił jej przyjąć pod swój dach i wykarmić.

Były brudne, kiedy przyjechały, w życiu nie widziała tak brudnych dzieci. Aż jej dech zaparło na widok tej trójki zamarkanych, umorusanych chochlików na progu swojego domu. Cofnęła się do korytarza.

— Na górę. Obaj. Natychmiast - zawołała do swoich synów, którzy w kuchni zabawiali się rysowaniem aeroplanów.

Kiedy usłyszała, że zamknęły się drzwi sypialni, poprowadziła szybko małych uchodźców przez dom na podwórze, gdzie spaliła ich ubrania, szary papier, który pełnił rolę bielizny, oraz zawazonie włosy, które im zgoliła brzytwą. Odziała ich w połatane piżamy synów i zapakowała rządkiem do łóżek na poddaszu.

Czasami, kiedy nie mogła spać - a zdarzało jej się to dość często - słyszała, jak płaczą; poprzez belki stropowe, przez tynk, przez tapetę, którą któregoś wiosennego dnia, kilka lat wcześniej, jeszcze przed tą nie kończącą się wojną, położył Huw, sączyły się tęskne zawrodożenia. Czy można było się temu dziwić? Chłopcy okazali się małymi bezbożnikami. Pierwszego wieczoru, kiedy powiedziała, że mogą już odmówić pacierze, spojrzeli na nią, jakby miała dwie głowy. Nie minął tydzień, a klękali przy swoich łóżkach i jękając się, odmawiali Ojczy nasz: *Etn Tad, yr hwn wytyny nefoedd, sacte-iddier dy enw, deleddy dernas...* Był to ostatecznie jej obowiązek jako chrześcijanki. Ani razu, przez całe swoje życie, nie opuściła niedzielnego nabożeństwa.

Wyszła za Huwa, kiedy miała osiemnaście lat, i pamiętać

o tym, jaką wzbudziła zazdrość przyjaciółek, nadal sprawiała jej tajemną przyjemność. Huv, inaczej niż większość mężczyzn z miasteczka, nie pracował w kopalni, ale w biurze jej administracji. Tak więc kiedy jej przyjaciółki zeszkrobywały pył węglowy wbity w skórę mężów, ona podawała na porcelanie obiad mężczyźnie, który codziennie wkładał świeżą koszulę.

Dla Mair pożywienie miało w sobie coś z magii, było sensem życia, tym, co każdego ranka wyciągało ją z łóżka. Niezmiennie fascynowała ją ta prosta alchemia: torbę mąki, kilka jajek, kawałek masła i odrobinę mleka mogła przemienić w placek, bułeczki czy naleśniki albo coś jeszcze innego. Matka nauczyła ją, jak z lepkich białek jaj upiec w stygnącym piecu bezy. „Trzymaj je tak długo, aż zaczną się rumienić”, mówiła, podając Mair do oblizania drewnianą łyżkę, „po czym natychmiast je wyjmij. Szybciućko”. I złociste biszkopty, tak lekkie jak ubite powietrze. I chleb sodowy, jadany z wiórkami solonego masła, i kruche ciasto, i keks, ciastka z jabłkiem, dżemowe tarteletki, owsiane herbatniki, nasycony syropem z melasy pudding, gotowany na parze pudding z dodatkiem łożu, pudding Królowej Wiktorii, oraz te okrągłe, usiane rodzynekami i obsypane cukrem pudrem ciasteczka walijskie. „Mężczyzna pozna, ile jesteś warta, po konsystencji twoich walijskich ciasteczek”, oświadczyła matka, wgniatając kawałeczki masła w mąkę, którą Mair przesiewała do miski.

Mair uwielbiała jeść - ale wyłącznie ukradkiem. Kiedy wyszła za mąż i miała własny dom, własną kuchnię, zaczęła myśleć o jedzeniu jak o zakazanej przyjemności. Kobieta może liczyć coś czy skubnąć, a nawet podkraść cały kęs, kiedy mężczyzny nie ma w pobliżu. Była to jedyna przyjemność, na jaką sobie pozwalała, te ukradkowe, tajemne chwile, kiedy mąż był w pracy, a chłopcy na dworze i ona mogła stać

sobie w kuchni, napełniać usta, czuć na języku słodki, delikatny miąższ chleba zapieczonego z dżemem pomarańczowym, masłem, śmietaną i jajkami czy jedwabistego wierzchu ciastka zawijanego z dżemem. Nie miała najmniejszej ochoty jeść w obecności drugiej osoby. Nie cierpiała, kiedy na nią spoglądano, nie zniosłaby myśli, że ktoś mógłby liczyć, ile zjadła herbatników, lub słyszeć te ciche, zduszone dźwięki, jakie towarzyszą przełykaniu. Bo najlepsza w tym wszystkim była właśnie ta ekscytująca, grzeszna potajemność. Jeśli jej ktoś przeszkodził - sąsiadka pojawiająca się u kuchennych drzwi czy schodzące po schodach dziecko - rzucała to, co jadła, za najbliższej stojący słój czy za któryś ze swoich ozdobnych czajniczków do herbaty.

Huwa wprawiały w osłupienie te na wpół zjedzone kanapki, na które od czasu do czasu natykał się w szufladzie komody, pokryte zieloną pleśnią. Zakładał, że to sprawa któregoś z synów. Mówił o tym żonie, a ona cmokała z dezaprobatą i wrzucała te resztki do pożerającej wszystko gardzieli pieca. Zajęcie się tym problemem, porozmawianie z winowajcą zostawiał Mair; wszystko, co związane ze strawą, było jej domeną. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, że osobą, która najczęściej powodowała te paranoiczne i perfidne wyczyny, był on sam. Z tego, co wiedział, jego żona, która nawet po urodzeniu dwójki dzieci mieściła się w tym samym gorsecie, w którym weszła do jego domu po ślubie, nie interesowała się jedzeniem. Prawie nic nie jadła.

Wojna jednak pozbawiła Mair tych przyjemności. Zamiast znakomitymi jajami o pomarańczowych żółtkach z pobliskiej farmy musiała zadowolić się jajkami w proszku, które mieszała z wodą. To wraz z kawałeczkiem masła i nędzną tutką cukru, nie większą od jej palca, miało wystarczyć dla całej rodziny. Była żoną, gospodynią, jej zadaniem było gotować i karmić... ale jak niby to robić, jeśli miała do dyspozycji tylko

wyschnięte, wyzute z wszelkiego smaku paskudztwa? Ograniczenia uniemożliwiały jej odłożenie czegoś dla siebie. Zresztą nawet gdyby została jej cała blacha bułeczek i pokłady masła, to i tak nie miałyby kiedy tego jeść: dom był bowiem pełen tych okropnych łobuziaków, snujących się smętnie przez cały dzień po kuchni, pętających się pod jej nogami. Wraz z tą jedyną przyjemnością, jaką miała, odebrano jej życiu wszelki sens. Musiała odłożyć na bok ukochane matczyne sprzęty kuchenne. Nie splami ich tym paskudztwem.

Nawet pod koniec życia, kiedy już była przykuta do fotela w domu pomocy społecznej niedaleko doków Swansea, miała w pamięci dotyk tamtej matczynej drewnianej łyżki na języku, nie zapomniała faktury wilgotnego, przesiąkniętego jedzeniem drewna, smaku surowego ciasta, tej lepkiej mieszaniny jajka, mąki i wody, której nie można się było oprzeć, suchości rączki w mocno zaciśniętych palcach. Matka podarowała jej te rzeczy tuż przed śmiercią, tak jakby się jej spodziewała. „Czasy gotowania już się dla mnie skończyły, *cariad*”, powiedziała wtedy, zawijając je w papier i przewijając sznurkiem - tę porcelanową makutrę z popękany szkliwem, drewnianą łyżkę, balonistą trzepaczkę do jaj z mosiężną rączką, metalowe nożyce do cięcia cukru, rondel do mleka z miedzianym dnem.

- Co się stało z makutrą mojej matki? U kogo jest makutra mojej matki? - pytała Mair syna, kiedy przychodził ją odwiedzić. Siedziała w swoim fotelu, z którego, jeśli się wyprostowała, widziała niespokojne, szarobure wody Kanału Bristolskiego i opustoszałe doki. Kiedy jej syn nie odpowiadał, zwracała się do synowej, która nigdy nie zdejmowała płaszcza. - Może jest u ciebie? Używasz jej? Używasz?

- A może ma ją Caroline - wymamrotała cicho pewnego dnia, kiedy oboje, syn i synowa, już dawno darowali sobie odpowiadanie na jej pytania.

Zdumiony syn podniósł wzrok znad prospektu samocho-

du, który planował kupić. Jego żona otworzyła szeroko usta w udawanym zdziwieniu. A to dlatego, że matka nigdy nie wymawiała imienia Caroline - jeśli ktoś wypowiedział je przy niej, jej twarz zastygała w maskę. Mężczyzna natychmiast chwycił się tej okazji. Miał już serdecznie dosyć ciągłego wysłuchiwanie o tej cholerniej makutrze.

- A tak, owszem - powiedział pospiesznie, mnąc w zapale prospekt - zgadza się. Ma ją Caroline.

Mair wyprostowała się, myśląc, jak to jej makutra miała specjalnie spłaszczone dno z jednej strony, dzięki czemu można ją było wygodnie trzymać przechyloną, i jak dobrze mieszczą się w niej jaja z mąką, a także o Caroline, swoim najmłodszym dziecku, swoim grzechu, swoim wstydzie.

Czas mija. Druga po północy. Trzecia. Czwarta. O wpół do piątej Jake wstaje, podnosi się z łóżka ostrożnie, żeby nie zbudzić Mel. Drży z zimna, wciąga więc sweter i na palcach wychodzi z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Na parterze jest lodowato, przez okna sączy się niebieskawa poświata. Pies pomrukuje i posapuje w swoim koszyku, ustawionym w pomieszczeniu gospodarczym. Jake sprawdza, czy drzwi pomiędzy nimi są dobrze zamknięte, po czym siada przy stoliku i przyciąga telefon. Nie pamięta numerów kierunkowych tej strony świata. Dwa razy próbuje bezskutecznie, zanim wreszcie usłyszy charakterystyczne pstryknięcie, a po nim cudowny puls sygnału. Proszę, bądź tam, proszę, bądź tam.

- Tak, halo? - W uchu brzmi mu głos matki, wyraźny i nieco roztargniony.

- To ja - mówi jak zwykle. - Cześć.

- Jakey - słyszy uśmiech w jej głosie. - Tak się cieszę, że to ty. Cały dzień o tobie myślę. Jak się miewasz?

- W porządku. Nie najgorzej.

Chwila ciszy. Słucha odgłosów związanych z dzielącą ich odległością, z satelitami, z falowaniem rozległego Pacyfiku.

- Jak twoja ręka? — Zupełnie jakby właśnie zmieniła pozycję. Wydaje się, że jej usta są bliżej mikrofonu słuchawki. - Masz jeszcze gips?

- Nie. Zdjęli mi w zeszłym tygodniu. Ręka już w porządku. Czasami drętwieje w tym zimnie, jakie tu panuje. Ale poza tym w porządku. Prawie jak przedtem.

- A... - Jake słyszy, jak matka robi przerwę, jak dobiera słowa - ...Melanie? Jak się ma?

- Hm, cóż... to musi potrwać. Dochodzi do siebie. Wiesz przecież, że była bardziej poszkodowana niż ja.

- Tak. - Matka wciąż gwałtownie powietrze. - Nadal trudno mi uwierzyć, że ty tam byłeś. Kiedy Lionel przyniósł tego ranka gazety, ja...

- Caroline, już dobrze. Nic mi nie jest... pamiętasz?

- Wiem, wiem. - Matka śmieje się nerwowo. - Chyba chcę cię po prostu zobaczyć. Rzucić na ciebie okiem. - Znowu się śmieje, tym razem zwyczajnie, po staremu. - Tylko wtedy uwierzę, że nic ci nie jest. Jestem neurotyczką, wiem.

Jake bierze jedną ze stojących na stoliku buteleczek z lekarskimi i odczytuje drobniutki druk: Dwa razy dziennie, podczas posiłków, M. J. Kildoune. Odstawia ją.

- A co u ciebie? - pyta matkę.

- U nas świetnie. Mam mnóstwo pracy. Lionel natomiast nie. Koty mają się wyśmienicie. Słuchaj, nie chcę o tym mówić. Powiedz raczej, jak odpowiada ci tamta kraina.

- To trochę... - waha się - ...skomplikowane.

- J a k skomplikowane?

- Po prostu skomplikowane.

Jake jest świadomy, że matka powstrzymuje się przed powiedzeniem tego wszystkiego, co chce powiedzieć. Ustawia buteleczki z tabletkami w krąg, etykietkami do wewnątrz.

- U ciebie jest pewnie sam środek nocy - mówi matka.

- Tak. Jest.

- Źle sypiasz?

- Nie. Nie tak źle. Nie mam kłopotu z zasypianiem, tyle że często się budzę. - Spogląda na zegar nad piecem. - Słuchaj, muszę już kończyć. Dzwonię z ich telefonu. - Bierze głęboki wdech. - Caroline, tak sobie myślałam... - Przerzywa i zastanawia się, jakich ma użyć słów.

- T a k ?

- Zastanawiałem się nad podróżą. Do Szkocji. Skoro już tu jestem. Wydawało mi się, że mógłbym. No wiesz, rozejrzeć się.

I znów ta nabrzmiała odległa cisza, przerywana jedynie oddechem matki.

- Taa - odzywa się kobieta - jeśli masz ochotę. Nie wiem tylko... nie wiem, co takiego tam znajdziesz. To znaczy, nie mam pojęcia, co tam... jest.

- Też nie będę wiedział, dopóki nie sprawdzę, prawda? Po prostu pomyślałem, że skoro już tu jestem, to szaleństwem byłoby nie pojechać i nie obejrzeć tego miejsca, od którego noszę nazwisko. Nie uważasz?

- Hmm. - Była wyraźnie niechętna jego pomysłowi. - Może masz rację.

- Naprawdę muszę kończyć. - Rozmawiał już osiem minut.

- J a k e , zadzwoń niedługo, proszę - mówi matka szybko, na koniec starając się powiedzieć jak najwięcej. - Albo napisz. Lionel będzie miał adres e-mailowy. Daj mi znać, kiedy będziesz jechał. I gdybyś czegoś potrzebował.

- Dobrze.

- Czegokolwiek.

- W porządku.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

Francesca i Stella są zaskoczone, natykając się na siebie w kuchni. Francesca myślała, że wszyscy wyszli i właśnie zamierzała, tłumiąc poczucie winy, pozwolić sobie na przyjemność poobiedniej kąpieli - co robiła czasami, kiedy nikogo nie było w domu. Tymczasem obok stołu tkwi Stella, je kanapkę, ku jej zakłopotaniu ubrana w długi do ziemi, szkarłatny plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy. A na jej ramionach, udrapowany niczym lisie futerko, leży sobie kot Max.

- Cześć - zaczyna uprzejmie Francesca, nie komentując, starając się nawet nie widzieć tego płaszcza. Nina może i jest sprytna, ale Francesca uważa, że wie i zawsze wiedziała, co Nina wyczynia, jaka naprawdę jest. Natomiast nie może rozgrzyść Stelli i czuje, jak ona jej się coraz bardziej wymyka.

Stella odburkuje coś z pełnymi ustami. Max mruczy głośno i wyciąga pazury.

- Myślałam, że idziecie z Niną na spacer. - Myśli Franceski błądzą wokół pełnego gorącej wody świergoczącego zbiornika.

- Poszłyśmy.

- I?

- Ale ja wróciłam.

- Właśnie widzę. - Francesca podchodzi do lodówki, wyciąga rękę, żeby ją otworzyć, po czym rozmyśla się. - Dlaczego?

Stella mówi coś niezrozumiałego i gładzi pasiasty ogon Maxa.

- Proszę?

- Powiedziałam, że Nina chciała pójść do Camera Obscura.

- A ja... ja sądziłam, że uwielbiasz tam chodzić. - Francesca marszczy brwi. Kiedy Stella była dzieckiem, fascynował ją ten magiczny obraz miasta uchwycony w wielkiej, porcelanowej misie. Francesca mimo woli uśmiecha się nostalgicznie na wspomnienie tamtej małej istotki o nabitych rączkach i nóżkach, wychylającej się z wózka, żeby lepiej wi-

dzieć. Teraz, ubrana w płaszcz przeciwdeszczowy, dwunastoletnia Stella przygląda jej się z niezadowoloną miną. Francesca zmusza się do powagi.

- Uwielbiam — mówi Stella — ale po prostu nie miałam ochoty.

- Dlaczego?

- Bo nie miałam. - Stella wzrusza ramionami.

- No cóż. - Francesca ujmuje się pod boki, po czym opuszcza ręce. Nie wie, co powiedzieć. - Kiedy wróci Nina?

- Nie wiem - odpowiada automatycznie Stella, a Francescę ogarnia wściekłość na to wykluczanie jej, spowodowane niezależnością tych dwóch, jakąś pojedynczą podwójnością, tym sposobem ich działania dla siebie i ze sobą... i zazwyczaj przeciwko niej. Córki zmieniły jej życie i nadały mu kształt. Spowodowały, że dostrzega sens w samej sobie. Pozwoliły jej poczuć, że należy do tego świata, z którym przedtem nie od czuwała żadnego związku. Ale jednocześnie wprawiają ją w zakłopotanie, przygnębiają, wyczerpują.

- Rozumiem. - I wtedy Francesca coś sobie przypomina. - Stello, musimy o czymś porozmawiać.

Stella odwraca głowę w jej stronę i przestaje przeżuwać. Zauważyła w tonie matki poważniejsze nuty.

- O czym? - pyta.

- Zadzwoiłam kiedyś do waszego dyrektora i...

- Maaamo. - Dziewczyna natychmiast wpada w złość. Zły znak. - Czemu ciągle to robisz? Inni rodzice nie wiszą codziennie na cholernym telefonie, żeby...

- Stella! — krzyczy matka. — Nie przeklinaj!

- Będę przeklinać, jeśli będę miała na to cholerną ochotę - odwrzaskuje Stella. Max tuli uszy i zeskakuje z jej barku na podłogę, przechadza się w kółko rozdrażniony i nastroszony.

Francesca bierze głęboki wdech i zaczyna liczyć do dziesięć-

ciu. Dochodzi do szczęścia. Przynęła już sobie, że będzie unikać starć ze Stellą.

- On zasugerował, a ja się zgodziłam - ciągnie i udaje jej się nie podnosić głosu - że najlepiej będzie, jeżeli w szkole średniej znajdziecie się z Niną w dwóch różnych klasach.

Francesca czeka, stara się ukryć zakłopotanie. Nie mówi bowiem tego, co tak naprawdę powiedział dyrektor: że jej córki nigdy nie odzywają się do nikogo innego, że nie mają przyjaciół, że szkoła jest zaniepokojona ich niezwykłym wyobcowaniem.

W kuchni zapada cisza. Stella wpatruje się w matkę. Milczenie się przeciąga i Francesca zaczyna się denerwować. Nie tego się spodziewała. Wściekłości i łez, i dąsów, i gwałtownych wybuchów, owszem. Ale nie tego. Jej córki nigdy nie były w stanie znieść rozdzielania.

- Po... pomyślałam, że tak będzie lepiej - jąka się Francesca. - Dla... dla was obu. Nowa szkoła. Nowy początek. Dla was obu.

Ciągle żadnej reakcji. A potem Stella stawia talerzyk i przenosi ciężar ciała na drugą nogę. Podnosi wzrok na sufit.

- Chcesz powiedzieć... - zaczyna - ...chcesz przesunąć Ninę z powrotem o klasę wyżej?

- Ależ nie. To będzie ten sam poziom nauki. Tylko w innej klasie.

Francesca czeka, gryzie skórkę wokół paznokcia. Wygląda na to, że Stella rozważa ten pomysł.

- Cóż, będziesz musiała jej to powiedzieć - oświadcza w końcu, wrzucając talerzyk do zlewu — bo ja tego nie zrobię.

Francesca z ogromną ulgą, że udało jej się uniknąć awantury, zaczyna trajkotać.

- J a s n e , jasne, powiem jej. Nigdy, przenigdy bym nie oczekiwała, że ty to zrobisz. Naturalnie, ojciec i ja jej powiemy, jak tylko wróci, a potem może wszyscy usiądziemy i...

Stelli już nie ma. Francesca opada powoli na krzesło. Spoglądają z Maxem na siebie. Jest zdumiona. Całkowicie zaskoczona. Spodziewała się wielkiej awantury, spektakularnej bitwy, wybuchu wściekłości i potoku łez. A może, myśli sobie Francesca, mogłaby ją poprosić, żeby pozbyła się tego okropnego płaszcza.

Puszczano stary jazzowy numer - zmarła śmiercią tragiczną kobieta śpiewała półgłosem o tym, jak to tam, w górze, tak naprawdę w ogóle nie ma słońca; melodia opływała swoim rytmem wygłuszone ściany studia. Ktoś kiedyś powiedział Stelli, że gdy budowano to miejsce, w trosce o to, by hałas uliczny z Portland Place i z Regent Street nie był słyszalny na antenie, wszystkie studia umieszczono w samym środku budynku, niczym najmniejszą matryoszkę w zestawie.

James odchylony w fotelu, z jedną nogą opartą na stoliku i ze słuchawkami zsuniętymi na kark, gawędził z dziewczyną od pogody.

- Dwie minuty dwadzieścia pięć sekund, James. - Stella nachyliła się nad mikrofonem łączącym ją ze studiem. Przez szybę widziała, jak mężczyzna prostuje się i sięga po mikrofon.

- W porządku. Jesteśmy gotowi - powiedział.

- Najpierw pogoda, a potem mamy kolejkę kilku słuchaczy przy telefonach. - Stella mówiła spokojnym, neutralnym głosem. - Jest jakaś kobieta, która chce z tobą porozmawiać o zaletach kick boxingu. - Zobaczyła, jak podnosi wzrok, szukając jej twarzy. Z jego strony gorzej było widać przez szybę.

- Powiedz jej niech się rżnie - zareagował, a ona się roześmiała.

- Sam jej to możesz powiedzieć. Jest na czwórcie. Minuta

i pięćdziesiąt sekund. Poczowała się dotknięta twoim wcześniejszym stwierdzeniem, że sport jest szkodliwy.

- Cholerne świry - wymamrotał pod nosem.

- Minuta czterdzieści.

Stella wróciła do stołu mikserskiego. Drzwi otworzyły się i gość należący do zespołu realizatorskiego wsadził do środka głowę.

- Telefon do ciebie.

- Co? - Stella odwróciła się gwałtownie. - Nie teraz.

- Najwyraźniej sprawa jest pilna.

- Kto dzwoni?

- Nie wiem.

Przesunęła energicznie fotel w kierunku aparatu telefonicznego i wcisnęła migający guzik.

- T a k ?

- Stel, to ja.

Stella spojrzała wymownie na sufit.

- J e z u , Nina. Jestem w samym środku programu. Nie mogę... - zaczęła.

- Wiem. Słyszałam cię.

- Dlaczego więc...

- Posłuchaj. Odeszłam od Richarda.

Stella westchnęła, zaczęła stukać końcem ołówka w biurko.

- Niin, czy jest coś...

- Mogę przyjechać i zatrzymać się u ciebie?

- E e . . .

- J e s t e m na lotnisku - oświadczyła Nina z groźbą w głosie. - Zamierzam...

- Słuchaj, możesz zadzwonić trochę później? Mam... mam plany na dzisiejszy wieczór. - Mężczyzna, z którym Stella się spotykała, obiecał, że przyjedzie po nią po pracy, odwiezie do domu, a potem zniewoli. To było coś, czego Stella z niecierpliwością oczekiwała.

- Jeśli mnie nie chcesz - wybuchła Nina - to może będę musiała...

Stella zobaczyła, że zapala się czerwone światełko oznaczające ponowne wejście na antenę.

- Oczywiście, że cię chcę — odparła trochę nieobecny i zaaferyowanym głosem. W studiu dziewczyna od pogody czytała prognozę. Stella zerknęła na wskaźniki i zgiętym palcem szturchnęła jedną z dźwigienek. - Oczywiście, że możesz przyjechać - powiedziała wreszcie.

Nina pociągnęła nosem, trochę udobruchana.

- Dobrze, zobaczymy się później. Jest taki samolot, który przylatuje jakiś kwadrans po północy. Co znaczy, że będę u ciebie koło pierwszej.

- Świetnie.

- Kupiłam bilet na późniejszy lot, bo wiedziałam, że pracujesz.

- Dzięki.

Sporadyczne małżeńskie kryzysy Niny przebiegały według ustalonego wzoru. Richard dopuszczał się jakiegoś występku (zazwyczaj niejasnej natury i niewiarygodnie drobnej wagi), kłócili się, Nina wybiegała wzburzona z domu i nie wracała przez kilka dni, podczas których sercem i duszą poświęcała się różnego typu cudacznym zachowaniom - czasami kupowała mnóstwo kosztownych strojów, czasami szła z kimś do łóżka, a czasami leciała samolotem do jakiegoś odległego miejsca. Stella nie miała pojęcia, czy Richard jej przebaczał czy też nigdy nie poznawał całej prawdy. Wysoki Niny wydawały się częścią materii, z której utkane było to małżeństwo.

Stella dokończyła program, ignorując wypowiedane na antenie przytyki Jamesa do nieustannie gadającej przez telefon realizatorki, zadzwoniła do mężczyzny, z którym była umówiona, i odwołała spotkanie, wybiegła pospiesznie, żeby

złapać ostatnie metro, zatrzymała się w otwartym dwadzieścia cztery godziny na dobę tureckim sklepie, żeby kupić coś do jedzenia, bo Nina będzie głodna po podróży. Prowadzący sklep trzej bracia siedzieli na stołkach w wejściu, a ona sięgnęła po błyszczące oliwki o gorzkiej skórce, opakowanie gładkie jak śmietanka humusu i plackowaty syryjski chleb pita.

W domu czekała na nią wiadomość na automatycznej sekretarce. „Stel, tu Nina, chciałam tylko...”, trzaski, zakłócenia i jakieś chichoty..., „dzwonię z komórki Richarda. Zatelefonowałam do niego po rozmowie z tobą, a on przyjechał na lotnisko i zabrał mnie stamtąd. Tak że wszystko jest w porządku. W tej chwili jesteśmy w samochodzie...”, następna porcja chichotów i szelestów, a w tle dudniący głos Richarda, „... cię nie zobaczę. Pa”.

Stella wzięła do ręki kieliszek, jeden ze swoich ulubionych, wysoki, z ciężką podstawą, i cisnęła nim o ścianę.

Ninę posłano do przedszkola. Każą jej siedzieć po turecku w kręgu innych dzieci. Musi tu mówić po angielsku, bo, jak powiedziała matka, inni nie rozumieją włoskiego. Czasami Nina o tym zapomina i prosi o *latte* zamiast o mleko i wychowawczynie wpatruje się w nią ze ściągniętymi brwiami. Dzieci śpiewają piosenki, bawią się wodą i piaskiem, pedałują niezmordowanie wąskimi ścieżkami na trójkołowych rowerkach, robią rybne kolaże za pomocą kleju i kolorowych ziaren soczewicy, nożyczkami wycinają obrazki z czasopism. Nożyczki to ulubione narzędzie Niny. Podoba jej się ich symetria, sposób, w jaki przedzierają się przez papier, i to, jak dwa jednakowe ostrza pracują ze sobą i przeciwko sobie.

Nina idzie ścieżką, kluczy pomiędzy pozostawionymi przez chłopców trójkołowymi rowerkami. Ma na sobie czerwone rajtuzy i czerwony kilt. To jej ulubiony strój. Dostała go od

babci Gilmore, nie od babci Iannelli. Babcia Iannelli daje jej zabawne rzeczy - herbatniki w cienkim, marszczonym papierze i mechaniczne zabawki z drewna. W ręce chowa bałwanka, którego sama zrobiła, pokrywając miękką, puszystą watą tekturową rurkę po papierze toaletowym. Wyposażyła go w czerwony kapelusik pasujący kolorem do jej rajtuzów i narysowała mu twarz.

Czekająca przy bramie matka dostrzega ją, podnosi wysoko rękę i macha. Stella siedzi w wózku, wali w niego piętami i wrzeszczy.

- Toto - wykrzykuje, wskazując ręką Ninę - toto!

Matka dotyka białych miękki kłębki bałwanka, chwali go, mówi, jaka z Niny mądra dziewczynka, ale córka w ogóle jej nie słucha. Bacznie przygląda się Stelli. Albo raczej jej włosom. Nie są zaczesane na jedną stronę i ujęte spinką z boku głowy - jak jej własne, jak zawsze włosy ich obu - ale zebrane na czubku głowy w dwa kucyki, związane zielonymi aksamitkami. Nina nigdy wcześniej ich nie widziała.

- ...postawimy go na gzymisie nad kominkiem, kiedy wrócimy do domu - mówi matka. - Będzie naszą pierwszą gwiazdkową ozdobą, a później może...

- Co się stało z włosami Stelli?

Nina widzi, jak matka opuszcza wzrok na głowę Stelli, na włosy rozdzielone równo białą linią przedziałka. Widzi, jak twarz matki zmienia się i mięknie, wyrażając zachwyt. Albo dumę.

- Czy to nie wygląda wspaniale? - Matka śmieje się, cofa wózek spod bramy przedszkola i pcha go na chodnik. - Czesalam ją dzisiaj rano i nagle zobaczyłam, że włosy tej długości można już związać w kucyki. Śliczne, prawda?

Nina spogląda na siostrę, która właśnie ssie sosnową szyszkę. Kucyki wraz z kokardkami podskakują rytmicznie w górę i w dół zgodnie z ruchem wózka.

- Uczeszysz mnie tak?

- Och, *piccola*, nie mogę. - Matka kręci przecząco głową. - Twoje są krótkie. Ty i Stella macie włosy całkiem innego rodzaju. Ona ma takie jak ja.

Nina zastanawia się przez chwilę.

- A ja nie mam takich jak ty? - pyta.

- Nie, kochanie. Twoje są bardziej po tacie. Albo po babci. Babci Gilmore.

Nina przyciska bałwanka mocno do siebie. Włosy babci Gilmore są białe i takie cienkie, że prześwituje przez nie różowa skóra głowy. Nina widzi, że włosy Stelli są czarne i gęste, i długie. Gdyby rysowała Stellę, na jej włosy musiałaby użyć czarnej kredki. Gdyby rysowała siebie, nie wiedziałaby, jakiej użyć - brązowej czy żółtej, czy czerwonej? Czy może wszystkich trzech?

Obserwuje, jak matka wyciąga rękę i owija sobie wokół palca jeden z kucyków Stelli.

Francesca wbija właśnie jajka do miski, żeby zrobić omlet, wkłada połówki skorupki jedną w drugą, kiedy dzwoni telefon. Dziewczynki bawią się w coś w kącie; nieustanny potok słów wypowiedzianych przez Ninę przerywany jest z rzadka pojedynczymi monosylabicznymi okrzykami Stelli. Francesca wychodzi do przedpokoju i podnosi słuchawkę.

Telefonuje matka, koniecznie chce jej przekazać szczegóły jakiejś rzekomej impertynencji ze strony jednej z kuzynek Franceski, dotyczącej listu datowanego dwa tygodnie wcześniej, niż wskazywałyby na to stempel pocztowy. Przez kilka minut Francesca słucha jej z roztargnieniem, w króciutkich przerwach rzuca od czasu do czasu „Hmm” i „O”. Teraz nie tylko Stella zasypywana jest lawiną słów. Bierze głęboki wdech i próbuje się uwolnić od matki.

- Nie mogę teraz rozmawiać. Dziewczynki nie jadły jeszcze lunchu - tłumaczy się.

Matka beszta ją, bo Francesca powinna była jej powiedzieć, że *bambine* są głodne, i odkłada słuchawkę. Francesca wznosi oczy ku niebu.

Wraca do kuchni, ale na progu staje jak wryta. Pośrodku stoi Nina, a jej oczy lśnią dziwnym blaskiem. Podłoga pokryta jest nieregularnymi ciemnymi łatami jak cieniami albo kałużami rozlanego płynu. Francesca nie rusza się z miejsca. Czyżby Nina zalała podłogę wodą albo sokiem? Wpatruje się w scenę, którą ma przed sobą, zaczyna powoli rozumieć, co się stało. Te łaty na linoleum to poniewierające się kłęby gęstych włosów. Ciemne, miękkie, czarne włosy. Takie same jak jej włosy. Francesca podnosi rękę i dotyka ich. Są na swoim miejscu, ujęte srebrną spinką i uniesione na karku.

A potem zza kuchennych szafek nieśmiałym krokiem wysuwa się mała postać. Przez krótką chwilę Francesca jej nie rozpoznaje - dziwaczny homunkulus ma na głowie sterczącego, szpeciniastego jeża, przyciętego nierówno tuż przy woskowobiałej skórze i ubranie całe we włosach. Krasnal oblepiony włosami.

- Znikły - oznajmia stworek. - Włosy. Wszystkie znikły.

Francesca przenosi wzrok na Ninę. Dziewczynka ściska w ręce nożyczki. Minę ma spokojną, hardą, nieodgadnioną. Stella schyla się i zaczyna grzebać w leżących na podłodze włosach. Zerka na Francescę, po czym podaje jej ich pełną garść.

- Mamusiu - mówi troskliwie - włosków?

Francesca klęka. Przyjmuje od Stelli obcięty kosmyk i trzyma go przez chwilę pomiędzy palcami. Bierze głęboki wdech.

- Nino - zaczyna.

Znowu jest lato. Ostatnie, leniwe tygodnie zajęć szkolnych. Przez otwarte okna wraz z powietrzem wpływa do wnętrza uwolniony pyłek kwiatowy. Trwa czwartkowa, popołudniowa podwójna lekcja biologii, słońce stoi jeszcze wysoko, a jego promienie jak gorący syrop wlewają się do sali przez nie osłonięte żaluzjami szyby. Powinni zacząć przerabiać materiał z programu następnego roku, tymczasem nikt, włącznie z nauczycielami, tym się nie przejmuje. Stella ssie wąską końcówkę długopisu; wyraźnie ignoruje przepisy dotyczące szkolnego stroju, bo ma na sobie kwiecistą sukienkę, którą kupiła w jednym ze sklepików ze starzyzną w dzielnicy Grassmarket, grube wełniane rajstopy i wojskowe buty na ciężkich podszwach. Jest jej w tym wszystkim za gorąco, ale nigdy by się do tego nie przyznała.

Podnosi wzrok znad schematu ludzkiego serca, przerywa na chwilę kolorowanie arterii na czerwono, a żył na niebiesko i rozgląda się po sali. Louise, która siedzi w pierwszej ławce, gapi się przez okno, podpira głowę jedną ręką, drugą trzyma pod ławką i nieśmiało wodzi po szeleszczącej torbie z czipsami. Felicity samymi ruchami warg przekazuje jakieś zawiłe informacje swojej przyjaciółce Rebecce - po czym obie zakrywają rękoma usta i bezgłośnie zwijają się i pokładają ze śmiechu, co samo w sobie jest źródłem przekornej, bo zakazanej uciechy. Siedząca naprzeciwko nauczycielka, panna Fowkes, zajęta jest spinaniem i rozpuszczaniem włosów, zupełnie jakby nie potrafiła zrobić tego raz a dobrze albo chciała ciągle czuć między palcami ciepło długich splotów.

Niespodziewanie rozlega się pukanie do drzwi. Stella wyjmuje z ust długopis. Felicity i Rebecca natychmiast się prostują i poważnieją. Jakieś zakłócenie porządku. Kto tego nie lubi?

— Proszę — woła panna Fowkes. I nic. — Proszę! — powtarza głośniej.

Drzwi uchylają się ze skrzypnięciem i wchodzi Nina. Ma na sobie spódniczkę, utrzymywaną w miejscu dzięki jednemu guzikowi, którego dziurka jest irytująco za duża. Stella czasami też nosi tę spódniczkę i teraz widzi, że jest na siostrę za długa. Nina ma włosy zaczesane do tyłu i spięte spinkami, które Stella rozpoznaje jako swoje. Uczniowie, którzy wiedzą, że Nina jest jej siostrą, odwracają się i patrzą na Stellę, żeby ocenić... co? Podobieństwo między nimi? Różnice? Reakcję Stelli? Stella przybiera kamienny, obojętny wyraz twarzy.

- Tak? - pyta panna Fowkes i Stella wzdyga się mimo woli.

- Pan Allen pyta, czy macie tu pipetę.

— Cóż, oczywiście, że mamy, ale właśnie jej używamy.

Nina opuszcza wzrok, po czym znów spogląda na pannę Fowkes.

- Myślał, że może macie zapasową - mamrocze.

— Pójdę zobaczyć. - Panna Fowkes wzdycha teatralnie i podnosi się. Potem zwraca się do klasy: - Muszę wyjść na chwilę - oświadcza. - Macie dalej przerysowywać ten rysunek z tablicy. I ani mru-mru. Słyszycie? Ani mru-mru.

Wychodzi dostojnym krokiem, zostawiając otwarte drzwi, przez które wpływa do klasy świeży, chłodny powiew powietrza. Zapada cisza.

— Mru-mru - rozlega się nagle chłopięcy głos z tyłu klasy. Cichy, ale na tyle głośny, że słyszą go wszyscy. Wokoło, jak fajerwerki, wybuchają chichoty.

Pozostawiona samotnie przed całą klasą Nina przesuwa do tyłu jedną stopę i opiera ją na drugiej. Ręką sięga do spinek przy włosach. Jej oczy omiatają całą klasę, po czym nieruchomieją, kiedy napotyka wzrok Stelli. Przez chwilę siostry wpatrują się w siebie. Potem Nina odwraca wzrok. W szkole raczej nie zwracają na siebie szczególnej uwagi. Stella opuszcza wzrok, ma przed sobą nierówny kształt ludz-

kiego serca, bliźniacze komory, czerwone i niebieskie naczynia i po raz pierwszy dostrzega, że serce jest miejscem, gdzie spotykają się dwa przeciwstawne elementy.

- Hej! Jak ci na imię?

Głos, szorstki i napastliwy, dochodzi zza pleców Stelli. Dziewczynka odwraca się. Stuart Robson wychylony do przodu wlepia wzrok w Ninę. Stuart jest jednym z najbardziej irytujących chłopców w klasie. Na korytarzu wpada na Stellę, ciągnie za ramiączko stanika, rysuje sprośne obrazki na okładkach zeszytów i strzela jej we włosy papierowymi kulkami. Kiedyś flamastrem nabazgrał jej na kurtce „SZAJBU-SKA”. Godzinami ścierały to razem z Niną.

- Daj jej spokój - rzuca Stella.

Stuart spogląda na nią, a potem znów na Ninę. Krzywi usta w uśmiechu.

- Hej, ty - woła. - Zadałem ci pytanie.

- Zostaw ją w spokoju, Stuart. - Stella zaciska mocno dłoń na długopisie.

- Jesteś siostrą Stelli?

Nina nie odpowiada, zachowuje ten kamienny, nieprzenikniony wyraz twarzy, który przez lata doprowadziły ze Stellą do perfekcji. Nie odzywa się. Nikt by nie zgadł, co się dzieje w jej wnętrzu. Jednak Stella widzi tę fiołkowieńską nitkę, która pulsuje na jej skroni.

- Jesteś? - Stuart wstaje i idzie niedbałym krokiem pomiędzy ławkami w kierunku Niny. Dziewczynka nie daje po sobie poznać, że jest tego świadoma. - Czy nie masz przypadkiem na nazwisko Ghul-mara?

Przez klasę przepływa fala śmiechu.

- Jesteś? - nalega Stuart. - Jesteś dziwołagiem? Ghul-mara? - Pohukuje przeciągle, tak jak dzieci, kiedy udają duchy podczas Halloween.

Nina wciąż nie reaguje, sprawia wrażenie, jakby była po-

chłonięta czymś, co dzieje się za oknami, odwróciła twarz, splotła palce.

- Jeśli jesteś siostrą Stelli, starszą siostrą Stelli - mówi Stuart, a twarz zbliżył już do twarzy Niny — to dlaczego nie jesteś w wyższej klasie?

Stella widzi, jak Nina przełyka ślinę.

- Wszyscy mówią - chłopak nachylił się nad nią - że jesteś trochę niewydarzona.

Nina spogląda przez okno, jakby podziwiała roztaczający się za nim widok, wargi ma mocno zaciśnięte. Stuart wyciąga rękę i jego palce zamykają się na kosmyku włosów Niny. Stella widzi grymas bólu na tej twarzy tak dobrze jej znanej jak własna, zrywa się i rusza pomiędzy ławkami. Pięści ma zaciśnięte, wściekłość rozlewa się po całym jej ciele, płynie w każdym naczyniu krwionośnym, a ona czuje, że jest zdolna do wszystkiego w obronie siostry, i czuje, że nie odpowiada za siebie ani za to, co spotka tego chłopaka.

Chwyta go za pulower i szarpnięciem odrywa od Niny. Stella jest wysoka jak na piętnastolatkę, wyższa od Stuarta.

- Odczep się od niej - syczy przez zaciśnięte zęby, pchając go na ścianę. Słyszczyć głuchy odgłos, kiedy głowa uderza o cegłę. - Spróbuj jeszcze raz ją dotknąć, a już ja ci...

Stella milknie, dusząc resztę zdania. Stuart kamienieje na moment, zaskoczony jej gwałtownością. W chwili, w której Stella zauważa, że Nina wyciąga do niej ramię - żeby jej pomóc czy żeby powstrzymać? - w drzwiach staje panna Fowkes, z pipetą w ręce.

- Co się tu dzieje? - wykrzykuje nauczycielka. - Wracać na miejsca.

Stuart i Stella nie reagują. Serce Stelli łomocze tak, że zaczyna jej pulsować i wirować w głowie. Nagle wszystko jest za blisko - ściany, ludzie, ławki. Nadal trzyma Stuarta, tyle że teraz raczej już dla zachowania równowagi.

- Natychmiast! - piszczy panna Fowkes i podaje pipetę Ninie.

Stella rozprostowuje palce zaciśnięte na pulowerze Stuarta. Usta jej siostry rozchylają się, jakby chciała coś powiedzieć, ale ostatecznie Nina odwraca się i odchodzi w milczeniu.

Jakiś czas później Stella znajduje siostrę w stołówce, w miejscu, gdzie zazwyczaj się spotykają, pod oknem na końcu sali, przy stole, na którym składa się w stosy zapasowe krzesła.

Stella stawia tacę naprzeciwko siostry. Nina maluje sobie paznokcie odblaskowym markerem i od czasu do czasu pociąga łyk soku z puszki.

- U ciebie wszystko gra? - pyta Nina, nie podnosząc wzroku.

- Taa. A u ciebie?

- A h a .

Stella bierze widelec, trąca nim kruszonkę ciasta, odkłada widelec.

- Nienawidzę tej stołówki. - Wzdycha.

Nina przechyla się przez stół i maluje na żółto paznokieć kciuka Stelli.

- Ja też. - Odkłada żółty marker i wyjmując różowy, zerkając przy tym gdzieś ponad ramię Stelli. Odchrząkuje. - Widziałaś już... zastanawiałam się, czy... widziałas już tego nowego ucznia?

Jest coś takiego w tonie wypowiedzianych słów - ostrożnym, troskliwym - że Stella podnosi na nią wzrok.

- J a k i e g o nowego ucznia?

- Tamtego. - Nina wskazuje pisakiem, wciąż, co nie umyka uwagi Stelli, trzymając ją za nadgarstek. - Nie oglądaj się teraz. - Rozgląda się po sali. - W porządku. Nikt nie patrzy.

Stella odwraca się. W kolejce po obiad widzi wysokiego, barczystego chłopca z rudą czupryną. Odwraca się z powrotem, zmusza do spojrzenia przez okno na boiska sportowe, na poszarpaną linię w miejscu, gdzie dachy domów stykają się z błękitem nieba.

Nina przygląda się jej uważnie, dwoma rękoma obejmując dłoń siostry. Stella wysuwa ją i krzyżuje ramiona.

- Nie przypomina go - mówi Nina ostrożnie - prawda? To znaczy...

- Zamknij się.

- J e s t całkiem przystojny.

- Z a m k n i j się.

Nina zakręca markery jeden po drugim. Stelli robi się mdło od zapachu ciasta, które stoi przed nią.

- Ja tylko... - Nina próbuje raz jeszcze ująć dłoń siostry, ale Stella nie pozwala jej na to - ...ja tylko chciałam... cię ostrzec.

- Wiem.

- Nie chciałam cię zdenerwować.

- Nie jestem zdenerwowana - wybucha Stella bliska łez. - W ogóle nie jestem zdenerwowana!

Nina układa markery w rządek, potem w gwiazdę. Stella ma ochotę odejść, uciec stamtąd. Nie może znieść myśli o tamtej osobie, o nim, gdzieś tam za nią, ale obejrzeć się też nie jest w stanie.

- Kiedy ci się wydaje, że go widzisz - szepce Nina, przedstawiając raz jeszcze swoje pisaki - to co widzisz?

Stella patrzy na nią przerażona.

- Co widzisz, Stel?

Stella zrywa się, pociąga za sobą torbę i biegnie przez stolówkę do drzwi wyjściowych.

Szkolna biblioteka pachniała pastą do podłóg i zawilgotnionym papierem. Osuszacze szumiały i pokasływały po rogach, przetrawiając parne, gorące, niszczycielskie powietrze pory deszczowej. Pomimo to szarobiała pleśń wykwitała koliście na kartkach książek, a po spędzeniu tam na lekturze przerwy na lunch Jake miewał palce upstrzone sporami. Inni chłopcy podczas przerwy grali na boisku w piłkę. Jake chętnie by się do nich przyłączył, ale oni rozmawiali o zespołach piłki nożnej z Wielkiej Brytanii, a on nie miał o tym zielonego pojęcia. Kiedyś spytał chłopca, obok którego siedział, skąd się wie, komu należy kibicować, a tamten popatrzył na niego tak, jakby go spytał, ile jest dwa plus dwa. Po czym odwrócił się i powtórzył kolegom pytanie Jake'a i wszyscy wybuchnęli śmiechem. Jake zastanawiał się przez wiele tygodni - dlaczego dla nich było to takie oczywiste, komu należy kibicować, i dlaczego niewiedza w tym zakresie wzbudzała ich wesołość - i ostatecznie doszedł do wniosku, że musi to mieć jakiś związek z brakiem ojca. Łatwiej więc mu było przychodzić tutaj i udawać, że nie ma ochoty grać w piłkę.

Stanął przy sekcji poświęconej geografii i przyglądał się mapie Wysp Brytyjskich. Matka nie miała zwyczaju opowiadać o miejscu swojego pochodzenia. Kilkakrotnie pytał o tę nazwę, a ona wymawiała ją tak szybko, kątem ust, zupełnie obcym dla Jake'a akcentem. Raz nauczyła go walijskiej piosenki, o rzece, i wyrysowała mu w zeszytcie drzewo genealogiczne rodziny. Kiedy jednak później wziął do ręki ten zeszyt, żeby odnaleźć rysunek i umieścić go w jakimś bezpiecznym miejscu, stwierdził, że kartka została wydarta.

Przesuwał wzrokiem po dwóch nierównej wielkości wyspach i po ich poszarpanej, krętej linii brzegowej. Wyobrażał sobie, jak kiedyś przypominająca teraz kształtem psa Irlandia była częścią większej wyspy, aż uwolniły ją przesuujące się płyty tektonicznie. Jej brzeg z tej strony nadal pasował do

wyrwy w brzegu Wielkiej Brytanii. Wybrzuszona Walia wyglądała, jakby wyrwała się w morze za Irlandią. Widział, że wszystkie drogi i linie kolejowe biegną ku czerwonej plamie Londynu niczym strumienie wody płynące w rurach. Zauważył, że Kornwalia wystaje daleko w morze i że Szkocja ciąży nad tym wszystkim, a wąska szyja północnej Anglii z trudem tylko utrzymuje jej brzemię.

- Szukasz czegoś konkretnego, Jake? - Bibliotekarka, kobieta, która nosiła okulary na łańcuszku, stanęła za jego plecami.

- Nie - Jake skubał postrzępiony kraj szkolnej koszuli - dziękuję pani.

- Na pewno?

- Aha - zarumienił się mocno - nie... to znaczy, tak... zastanawiałem się, gdzie... gdzie leży Kildoune.

- Kildoune? - Bibliotekarka przyjrzała mu się uważnie. - Czy to nie jest przypadkiem...?

- Tak, moje nazwisko. Od takiego miejsca w Szkocji.

- O. - Kobieta rozpromieniła się. - Ja też pochodzę ze Szkocji. Wiesz, obok czego ono leży?

- Ee... - Jake usiłuje przypomnieć sobie to słowo. - Avie... Avie-coś tam. Chyba.

- Aviemore?

Jake potakuje szybkimi ruchami głowy.

- Znam dobrze to miejsce! Moja siostra ma tam dom. Pięknie tam. Popatrz - bibliotekarka wyciąga się nad jego głową - to tutaj. Na samej górze. - Jej palce nieruchomieją pośrodku najszerszej części Szkocji, zakrywają większą część nazwy miejsca. Jake'owi udaje się odczytać tylko A i V i ani trochę więcej. Zatrzymuje wzrok na tym punkcie, zmusza się do zapamiętania jego położenia, żeby móc je odtworzyć, kiedy ona już cofnie palec.

- A teraz zobaczymy, czy uda nam się znaleźć to drugie

miejsce, o którym mówiłeś. - Bibliotekarka odchodzi na bok. - Używałeś już kiedyś atlasu?

Jake kręci głową.

- Cóż, to łatwe. Pokażę ci. - Ściąga z półki dużą, cienką księgę. *Atlas świata* brzmi jej tytuł wypisany wytartymi złotymi literami. - Na końcu jest lista wszystkich miejsc na całym świecie, w porządku alfabetycznym.

Jake siada blisko jej łokcia, skamieniały, dłonie zaciśnięte jedna na drugiej. Zupełnie jakby ta księga miała się przed nim rozewrzeć i ukazać podobiznę jego ojca.

- Tu mamy te, które się zaczynają na K - oświadcza kobieta, a Jake widzi stronę zapisaną maleńkimi, czarnymi wyrazami. - K-i-l - mamrocze bibliotekarka, przesuując palec w dół kolumny. - K-i-l, tych to jest całe mnóstwo w Szkocji, K-i-l-d... Kildare, Kilden, Kildepo. Kildonan. O. - Zatrzymuje palec. - Dziwne.

- Co? - Nachyla się zaniepokojony. - Co się stało?

- Nie ma go tu. — Odwraca się i patrzy na niego zaintrygowanym wzrokiem. — Na pewno się nie pomyliłeś?

Synowie Mair przyszli na świat dość szybko jeden po drugim. Ałun, kiedy miała dziewiętnaście lat, a Geraint trzy lata później. I na tym koniec, postanowiła Mair. Nienawdziła potu, wrzasku i krwi towarzyszących porodowi. Sama siebie nie poznawała w tych chwilach; kto tak ryczał, pytała położną, i była szczerze zdegustowana i wstrząśnięta, kiedy powiedziano jej, że to ona. Domagała się, by umyli i owinęli noworodka w chustę, zanim w ogóle go dotknęła.

Jeśli zaś chodzi o tę drugą sprawę, ten drugi akt, to nigdy nie był dla niej ważny. Wszystko, co się z nim wiązało, wydawało jej się zbyt niskie, zbyt zwierzęce. Czasami, w trakcie, musiała siłą woli się powstrzymywać, żeby nie wyobra-

zać sobie, jak to wygląda z zewnątrz - kobieta z zadartymi po pachy kolanami i mężczyzna, który wytęża się i rzuca, gdy z mozołem odnajduje drogę do jej wnętrza. Po urodzeniu Gerainta blizna po szyciu szczypała ją i bolała, kiedy stała zbyt długo przy kuchni, a chłód z kamiennej podłogi wędrował po nogach w górę. Gdy nocą Huw dobierał się do niej, czuła taki ból, jakby szew miał puścić i się rozejść.

Pewnej nocy śniła, że czerwony strumień wypływa z jej ciała i rozlewa się na bieli prześcieradła, na kwiatkach dywanu, a potem płynie pod drzwiami i schodami w dół, i na ulicę, gdzie mogą go zobaczyć wszyscy sąsiedzi. Rano chwyciła koniec ciężkiego, wypchanego ciasno pierzem podgłówek i przeciągnęła o dziewięćdziesiąt stopni. Natychmiast poczuła się lepiej i mogła spędzić resztę dnia na robieniu porządków w szafkach kuchennych. Kiedy tego wieczoru Huw wszedł po schodach na górę, znalazł w sypialni pękaty, ciężki wałek grubości człowieka pośrodku łóżka, dzielący go od ciepłego i miękkiego ciała żony.

Ten wałek pozostał tam do końca ich małżeństwa. Nie wiele razy udały się Huwowi wyprawy na drugą stronę Muru, jak w myślach zwał tę przeszkodę. Raz, kiedy szczególnie gorąco wychwalał szarlotkę z szarą renetą, innym razem, kiedy przyniósł premię świąteczną. Poza tym jego nasienie wsiąkało w materac jak łzy. Mówiono też, że folguje sobie na stojąco w toalecie na tyłach domu, przyglądając się przez szparę żonie, której przy wieszaniu prania suknia podciąga się wysoko w górę.

Ostatni raz Huwowi udało się przedostać na drugą stronę wałka w wieczór po ślubie Aluna. Mair miała czterdzieści jeden lat i nadal była szczupła. Uszyła sobie specjalnie na tę okazję kostium, a po nici do obszycia dziurek musiała wybrać się do sąsiedniego miasta. Myśląc, jak jej łydki błyskały poniżej rąbka spódnicy, Huw odważył się wysunąć dłoń po-

nad wałkiem. Ponieważ nie napotkał zdecydowanego sprzeciwu, przełożył dłoń, a następnie całe ramię. Potem zaryzykował wystawienie głowy ponad przeszkodę.

Trzy tygodnie później, kiedy nie odezwał się ten znajomy, charakterystyczny ból krzyża, Mair w ogóle się nad tym nie zastanawiała. Nie można przecież zająć w ciążę w wieku czterdziestu jeden lat. To się nie zdarza. Wszyscy o tym wiedzą. Trzy miesiące później wciąż trwała przy swoim przekonaniu, uparcie zaprzeczała oczywistości. To niemożliwe, po prostu niesłychane. Nigdy nie było w miasteczku nikogo, kto miałby dziecko po czterdziestce. To się po prostu nie zdarza.

Pierwsza powiedziała coś pani Williams, z sąsiedniego domu. Może zauważyła, że na sznurze z praniem nie pojawiają się comiesięczne szmatki, albo też domyśliła się po jej wygładzie. W każdym razie weszła pewnego dnia od podwórza do kuchni, gdzie przy stole, w całkowitym bezruchu, siedziała Mair. Właśnie wyszorowała stolnicę, gotowa rozwałkować ciasto, kiedy poczuła jakiś ruch, jakieś trzepotanie w dole brzucha.

- To kiedy się wreszcie wybierzesz do lekarza? - spytała pani Williams, opierając dłonie knykciami na stole.

- A po co mi lekarz? - odparła Mair wyzywającym tonem.

Pani Williams usiadła i westchnęła.

- Powiadają - zaczęła, kładąc rękę na dłoni Mair - że w Maesteg jest pewien jegomość, który może dać coś, co... - szarpnęła głową w bok - ...no wiesz.

- C o ?

- No wiesz - powtórzyła i nachyliła się ku niej. - Pozbyć się tego - dokończyła szeptem.

Jej twarz, kiedy Mair na nią spojrzała, była serdeczna, za-troskana. Mair wysunęła swoją dłoń spod jej ręki.

- Nie wiem, o czym mówisz - wycedziła. - Wynos się z mojego domu.

Nigdy więcej nie odezwały się do siebie, chociaż mieszkały po sąsiedzku przez kolejne trzydzieści lat.

Mair nigdy wcześniej nie wstydziła się swojego postępowania. Dotąd, cokolwiek robiła, była przekonana, że postępuje należycie, właściwie i dobrze. A tutaj nagle ona, chodząca do kościoła, bogobojna kobieta, czterdziestojednoletnia, z dwoma dorosłymi synami, pokazuje zaokrąglony, pełny, kryjący w sobie życie brzuch. Co ludzie powiedzą? Sama myśl o tym, że każdy, kogo mijają na ulicy, spojrzawszy na nią, wie, że zrobiła... to... i na dodatek niedawno... była jej nieznośna.

Kiedy jej stan był już oczywisty, trzymała się przeważnie kuchni, podwórza, a czasami pozwalała sobie położyć się we frontowym pokoju. Jeśli ktoś do niej zaszedł, przez szczelinę na listy usłyszał, że „kiepsko” się czuje i gości nie przyjmuje. „Zabierzcie to ode mnie”, powiedziała, kiedy pielęgniarka podała jej zawiniątko z córką, i ukryła twarz w poduszce.

Caroline była trudna od samego początku. Kiedykolwiek Mair na nią spojrzała, natychmiast przypominał jej się palący wstyd, związany ze skradającymi się nad wałkiem palcami Huwa. Sposób, w jaki to niemowlę na nią patrzyło, był jakiś inny, niepokojący. Oczy okrągłe jak kamyki, zaciśnięte piąstki. Mair odnosiła wrażenie, że to dziecko nie wierzy ani jednemu wypowiedzanemu przez nią słowu. Huw oświadczył, że ona chyba zaczyna już dostawać fioła, tymczasem wkrótce nawet dla niej samej własne słowa straciły znaczenie.

- Śliczny dziś dzionek - zaczynała, opuszczając małą na jej krzeselko. Dziewczynka obrzucała ją jednym spojrzeniem, ani na moment nie przestając ze sceptyczną miną żuć gryzaka. Mair wyglądała przez okno i zauważała, że rzeczywiście pierwsze krople deszczu już znaczą ciemnymi plamkami jej pranie.

Caroline wprawiała Mair w zakłopotanie i doprowadzała

do szafu. Była takim przekornym i samowolnym dzieckiem. Jeśli Mair zawołała, że chyba będzie padać i że powinna włożyć do szkoły wysokie kalosze, Caroline szła do tylnych drzwi, ściągała kalosze, które już miała na nogach, i wkładała skórzane trzewiki. Jeśli Mair zauważyła, że powinna przyciąć włosy, Caroline spędzała całe godziny, siedząc po turecku na łóżku i szczotkując je bez końca, żeby tylko szybciej rosły.

Mair zaciskała zęby, żeby wytrzymać hałaśliwą obecność córki. Skazana była na blaszany dźwięk tranzystora, który Geraint kupił jej nieopatrnie na szesnaste urodziny, stukot okropnych drewniaków na kamiennej podłodze kuchni, nieustanne wzdychanie, brzęk niezliczonych srebrnych bransolet, którymi dziewczyna przyozdabiała ręce, świst powietrza wywoływany długimi, rozwichrzonymi włosami.

Poza tym Caroline kręciła nosem na jedzenie, a tego Mair nie potrafiła wybaczyć. Mówiła, że kartofle są rozgotowane, marchewka bez smaku, mięso włókniste, sos za tłusty. Nie jadała puddingów, nie kusił jej agrestowy mus, odmawiała jedzenia pierników, ciast z owocami, herbatników z płatkami owsianymi, krówek domowej roboty. Głodziła się, aż kości sterczały jej przez ubranie. To właśnie w tym czasie Mair zaczęła chomikować jajka. Skoro Caroline nie chce ich jeść, poczekają na kogoś, kto zechce. Pewnego dnia Caroline wróciła do domu i oświadczyła, że nie będzie już jadać mięsa. Mair cisnęła w nią patelnię, ale chybiła i obłupała tylko drzwiczki kredensu.

Marnotrawstwo doprowadzało Mair do wściekłości. Nie była w stanie pojąć, jak to możliwe, że jej własna córka wyrzuca do śmieci nietkniętą, dobrą potrawę. Nie doświadczyłaś wojny, moja panno, mawiała wtedy, ale Caroline tylko odwracała do niej twarz z zapadniętymi policzkami i recytowała resztę tej przemowy. Będziesz tu siedzieć tak długo, aż skończysz, wrzeszczała, ale Caroline już zdążyła zerwać się

na nogi i z rozwianym włosiem zniknąć za frontowymi drzwiami. Huw trzymał nisko opuszczoną głowę, skupiał się na własnym talerzu. Te przypadki, kiedy Caroline coś przełknęła, można by porównać do sytuacji, w której więzień zjada posiłek jedynie po to, żeby następnego dnia mieć siłę na ucieczkę.

W wieku osiemnastu lat Caroline opuszcza dom. Huw znajduje kartkę od niej w maselnicy. Mair jest niepokojona. Kładzie się do łóżka, obok wałka, i szlocha do niego i zawodzi o swojej Caro, swoim dzieciątku. Po tygodniu całkowicie zagubiony i niezdolny poradzić sobie z kuchnią Huw dzwoni do Gerainta, a ten wzywa lekarza.

Kiedy Mair ponownie schodzi z piętra, jest ubrana, ma uczesane włosy, podwinęte rękawy, fartuch na sukience, a pigułki, które dostała od lekarza, sączą się do jej krwi. Raz tylko czyta kartkę od Caroline, po czym otwiera piec i ciska ją do wnętrza - nie jest w nim rozpalone, wobec czego Huw może ją później stamtąd wyjąć.

- Nigdy już - oświadcza Mair - o niej nie wspomnę.

I nie wspomina, aż do tej chwili w domu pomocy społecznej, kiedy wzrok ma utkwiony w daleki tankowiec, który tnie oleście lśniące wody Kanału Bristolskiego, kierując się w stronę otwartego morza.

Jake nie ma pojęcia o tym, że skłonność do bezsenności odziedziczył po babce, wie natomiast, że tej nocy już nie zaśnie. Odłożywszy słuchawkę telefonu po rozmowie z matką, kręci się po mrocznym parterze domu. Wokół kuchni, na korytarz, przez salon i z powrotem, a delikatnie rozświetlony ogród to znika, to znów pojawia się pod różnymi kątami w oknach.

Ma niejasne wrażenie, że popełnia przestępstwo, robi coś

zakazanego, jak włamywacz czy szpieg. Zjada jabłko z miski stojącej na kuchennym stole, czyta różne listy i notatki, i wycinki przypięte do tablicy w korytarzu, ogląda wszystkie zdjęcia na parapecie okna salonu: szczerbata Mel w podstawowej szkole, Mel z rodzeństwem, ślub jej starszego brata w kościele nieopodal.

Odwraca się i widzi przed sobą biblioteczkę. Biografie ludzi, o których nigdy nie słyszał - graczy w krykieta, polityków - kilka powieści, mnóstwo książek dotyczących ogrodnictwa, kilka poradników i trzy atlasy. Wsuwa palec pod grzbiet tego największego, przechyla ku sobie, wyjmuje i otwiera.

Dobrze pamięta tę wylizankę: Kildare, Kilden, Kildopo, Kildonan. Tam, gdzie powinien to znaleźć, pomiędzy Kildonan w Nowej Zelandii i Kilembe w Ugandzie, nie ma nic. Zupełnie nic. Najmniejszego śladu miejsca, od którego rzekomo nosi nazwisko.

Widział kiedyś hollywoodzki musical z Gene'em Kellym i Cyd Charisse o jakiejś mitycznej wiosce w górach północnej Szkocji. Mnóstwo udawanego szkockiego akcentu, rudych peruk i wymyślnych tańców. Na wioskę tę można było natrafić tylko jednego konkretnego dnia raz na dwieście lat czy coś takiego. Poza tym szczególnym dniem nie istniała. Czasami Jake myśli, że z Kildoune jest podobnie, i coś podszeptuje mu, że powinien zaglądać do wszystkich atlasów, jakie wpadną mu w ręce, bo a nuż trafi na ten właściwy dzień i ta nazwa pojawi się pomiędzy Kildonan i Kilembe.

Nie dziś jednak.

Otwiera księgę na stronę brytyjską i odszukuje Aviemore, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy tym postrzępionym, porozrywanym wybrzeżem zachodnim a równą i gładką linią brzegową na wschodzie. Patrzy na miejsce, w którym się obecnie znajduje, przenosi wzrok na Aviemore, potem na zbity kłęb Londynu i zauważa, że z całej tej gmatwaniny

wyplątuje się wyraźna, poprzecinana czarna smużka. Kolej. Linia kolejowa biegnie niestrudzenie na północ, przez środek Anglii, a potem wzdłuż wybrzeża, odbija w lewo, kiedy natopka Firth of Forth, do Edynburga i ciągnie się dalej.

Nina wróciła ze szkoły ponad godzinę później niż zwykle. Francesca dwa razy wchodziła do sypialni dziewcząt, domagając się od Stelli, by jej powiedziała, gdzie jest siostra, na co Stella odpowiadała zgodnie z prawdą, że nie wie.

Stella leżała na łóżku i czytała, kiedy Nina wpadła do pokoju. Nie odwróciła głowy. Słyszała tylko, jak Nina rzuca na podłogę torebkę i płaszcz. Potem poczuła, jak materac zakołysał się pod ciężarem siostry.

- Gdzie byłaś? - rzuciła Stella, z twarzą niezmiennie zwróconą ku wezgowiu.

- Tu i ówdzie.

- Widziałaś się z mamą? Jest na wojennej ścieżce.

Leżały w odwrotne strony - niczym upakowane w puszcze sardynki. Nina ujęła dłonią stopę Stelli.

- Powiedziałam jej, że miałam muzykę - oznajmiła.

- Ale nie miałaś. - Stella obróciła się na plecy, nadal jednak nie widziała twarzy siostry, jedynie jasny zarys jej podbródka.

- Wiem. - Powolnie precyzyjnym ruchem Nina wyjęła z włosów spinkę i położyła ją na nocnym stoliku. - Podjęłam decyzję - oświadczyła pogodnie.

- Jaką decyzję?

- Wielką decyzję. - Nina podniosła głowę i jej wzrok pobiegł w kierunku twarzy siostry. Patrzyła na nią z uniesionymi przekornie brwiami.

Stella westchnęła. Nina była zdolna prowadzić tego rodzaju gierki przez całą noc. Bawiła się srebrnym pierścion-

kiem, który nosiła na środkowym palcu, kręcąc go nieustannie w kółko. Zawsze kiedy było jej zimno, stawał się luźniejszy.

- Nie chcesz się dowiedzieć, czego dotyczy?

- Owszem - odparła zniecierpliwiona Stella - ale tylko jeśli powiesz mi to natychmiast. W tej chwili.

Nina przyjrzała się paznokciom u swojej prawej dłoni, zupełnie jakby Stelli tam nie było. Stella z westchnieniem opadła na łóżko i zbliżyła książkę do twarzy.

- Znasz Chrisa? - bez dalszej zwłoki spytała ją Nina.

Stella dobrze wiedziała, kogo siostra ma na myśli, jednak nie bardzo wiedząc dlaczego, wołała udać, że nie wie.

- Chrisa Davisa?

- Nie. Chrisa Caffreya.

- To ten w granatowej marynarce?

- Nie. - Nina prztyknęła palcem spód stopy Stelli. - Nosi czarną kurtkę. Ma blond włosy.

Stella nachmurzyła się i przebiegała wzrokiem druk, udając, że czyta.

- Co z nim?

- Właśnie byłam z nim na kawie.

- Nie. Naprawdę? Co, teraz? Gdzie? Jak do tego doszło? - Stella wreszcie opuściła książkę na brzuch.

Nina wzruszyła ramionami z maksymalną nonszalancją.

- Poczekajłam na niego po szkole. Poszliśmy na spacer po Meadows.

- Poważnie? - Stella była przerażona.

- Taa.

- I co, tak po prostu podeszłaś do niego i oświadczyłaś: „Hej, Chris, co byś powiedział na wspólną kawę”?

- Mniej więcej, Stel. - Nina nachyliła się ku niej, jakby chciała jej powierzyć jakąś tajemnicę. - To nie było nic trudnego.

Stella wlepiła wzrok w siostrę. Przez chwilę obie milczały.

Potem odwróciła się na bok i wcisnęła twarz w poduszkę. Pachniała proszkiem do prania, którego używała ich matka, stęchłym pierzem, szamponem.

- Czy on nie jest... to znaczy... czy nie jest...

- Najprzystojniejszym chłopakiem w szkole? - Nina odrzuciła do tyłu głowę. - Wiem. W tym rzecz. Bo już podjęłam decyzję.

- J a k ą decyzję? - Stella westchnęła.

- Zamierzam go uwieść.

Stella widziała, że siostrze bardzo podoba się brzmienie słowa „uwieść”. Przy wymawianiu pierwszego dźwięku ułożyła usta jak do pocałunku.

- Na pewno istnieje jakiś sposób - ciągnęła Nina z zaciśniętymi pięściami - żeby skończyć z tym całym gównem, jakie musimy znosić. I myślę, że właśnie go odkryłam.

- J a k i? - spytała drwiąco Stella. - Zaciągnięcie Chrisa Caffreya do łóżka? Taa, na pewno, to bez wątpienia pomoże...

- Mam już tego dość, Stel. - Oczy Niny rozbłysły. - Mam serdecznie dość występowania w roli szkolnego dziwoląga. A ty nie?

Stella milczała.

- Ty nie masz dość?

- Tak, mam - wymamrotała Stella - ale nie uważam, by to był właściwy sposób, żeby z tym skończyć.

- A ja i owszem. Proszę. - Nina cisnęła coś na łóżko. - Rzuć na to okiem.

Wbrew samej sobie Stella zerknęła na książkę. *Seks: jak sobie z nim radzić; przewodnik*. Stella przekartkowała ją przedko; mignęły schematyczne rysunki w ołówku przedstawiające mężczyznę i kobietę, splątane kończyny, przeróżne pozycje.

- Kupiłeś to?

- Nie. - Nina uśmiechnęła się. - Zwinęłam.

- Nina...

- Nie zaczynaj kazania. Wszystko gra. Nigdy mnie nie łapia.

- Kiedyś złapia.

- W życiu. Jestem za dobra. — Znów posłała Stelli uśmiech i poklepała ją po nodze. - Nie bądź takie strachajło. No chodź, poczytajmy sobie. - Rozciągnęła się na brzuchu obok Stelli i otworzyła książkę.

Stella dotknęła gładkiej faktury papieru opuszkami palca. Dziewięć z jej palców miało niemal identyczny rozchwiany wzór linii papilarnych, ześlizgujący się ukośnie na jedną stronę, jak cofające się fale odpływu. Natomiast linie na serdecznym palcu jej lewej dłoni układały się w koncentryczne kije-gi wzoru wirowego. To był ten najsłabszy palec. Ślubny palec, jak nazywała go Nina.

- Seks oralny - mówiła Nina. - Faj. - Pokazała język. - Gra wstępna - przeczytała. - Zacznijmy od tego.

Mniej więcej w tym czasie, kiedy Caroline zaczęła chodzić do szkoły, Mair ogarnęła obsesja śmierci. Nie śmierci w ogóle, tylko własnej śmierci. Budzi się któregoś ranka przekonana, że umrze... i to już wkrótce. Postanawia obudzić Huwa, sięga ponad wałkiem i chwyta go za ramię.

- Huw, Huw. - Potrząsa nim. - Huw, obudź się.

Mężczyzna wzdryga się, otwiera oczy i wlepia wzrok w sufit.

- O co chodzi, moja droga?

- Co się stanie z Caroline, jeśli umrę?

- Hę?

- Jeśli umrę - powtarza natarczywie, siadając na łóżku. - Co się stanie?

- Śpij - mówi Huw, zamyka oczy i odwraca się.

Mair nie może zasnąć. Leży przykuta do materaca przerażającą wizją, w której jej późno urodzone dziecko, nagle po-

zbawione matki, zaniedbane, niewychowane, wykoleja się i prowadzi włóczęgowski tryb życia, przynosząc wstyd rodzinie. Nie może przecież zaufać i powierzyć jej losu żadnej z synowych ani też siostrze, która wyszła za mężczyznę poniżej swoich możliwości i mieszka na drugim końcu miasta. Uświadamia sobie, że nie ma nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić, nikogo, kto mógłby uciszyć jej niepokój. Nie ma ani chwili do stracenia. Odrzuca koce i wstaje z łóżka.

Kiedy Caroline wraca ze szkoły, matka woła ją na górę. Dziewczynka staje na progu rodzicielskiej sypialni. Na podłodze widzi rozłożoną ścierkę do naczyń. A to jest zjawiskiem niezwykłym. Nie kładzie się przecież ścierek do wycierania naczyń na podłodze. Jakby tego było mało, na ścierce ułożona jest biżuteria. Dziewczyna podnosi wzrok na matkę. Mair stoi pośrodku pokoju, jedną ręką trzyma się za gardło. Jej włosy, jak zauważyła Caroline, wyzwoliły się z wiecznie krępujących je wałków. A to może oznaczać tylko jedną z dwóch rzeczy: albo ktoś umarł, albo jest to jakaś szczególna okazja.

- O co chodzi, mamó? - pyta Caroline od progu.

- Chodź tutaj. - Matka przyzywa ją gestem.

- Po co? - Caroline niechęcią napawa widok wypieków na policzkach matki i zwartych, regularnych loków, które opinają jej głowę ciasno niczym czepek pływacki.

- To dziecko zesłano, żeby mnie ciężko doświadczyć. - Matka kieruje swoje słowa do sufitu. - Czym sobie na to zasłużyłam? Nie zadawaj pytań - ponownie zwraca się do Caroline - po prostu rób, co każę. Podejdź tutaj.

Caroline idzie przez pokój, ciągle ścisza pod pachą szkolną torbę. Matka klęka przed nią i kładzie jej dłonie na ramionach.

- Posłuchaj, Caro, to ważne. Słuchasz?

Caroline kiwa głową bez słowa, ma ochotę się wyrwać. Palce matki wbijają się w jej skórę.

- Chcę, żebyś przyjrzała się tej biżuterii. Przyjrzyj się jej uważnie.

Obie wbijają wzrok w drobiazgi ułożone na walijskim płótnie w czerwono-białe pasy. Broszka w kształcie łabędzia, sznur poźółkłych pereł ze złotą zapinką, zaręczynowy pierścionek matki z pojedynczym brylantem, bransoletka z dżetów, opal na zaśnieżonym łańcuszku, przykręcane do uszu niebieskie paciorkowe klipsy. Caroline pamięta, jak matka jej mówiła, że boją od nich uszy.

- Przyjrzałaś się? - pyta matka.

- Tak. - Jedna ze szkolnych podkolanówek zaczyna powoli zsuwać się z jej łydki, ale dziewczynka nie śmie się schylić, żeby ją podciągnąć.

- Dokładnie?

- T a k .

- Co tak?

- Tak, mamo.

- Jeśli umrę - zaczyna Mair, patrząc na twarz Caroline i wciąż ściskając jej ramiona — a twój ojciec powtórnie się ożeni, nowa żona będzie chciała przywłaszczyć sobie moją biżuterię. - Przysuwa jeszcze bliżej twarz do twarzy córki. - A ja chcę, żeby ona trafiła do ciebie. Słyszysz? Cała. Cała jest twoja. Nie wolno ci pozwolić, żeby ona ją wzięła. Albo któraś z twoich ciotek. Rozumiesz?

Caroline kiwa potakująco głową, ale tak naprawdę nie bardzo pojmuje, o co chodzi.

- I ten srebrny dzbanuszek do kawy tam na dole. Też musi być twój. I ta misternie rzeźbiona, drewniana łyżka, którą podarował mi twój tata. Nie pozwól, by wpadła w ręce jego nowej żony. Najlepiej będzie — Mair podnosi się z kolan i obciąga fartuch - jak to wszystko schowamy. Tak właśnie zrobimy. Ty i ja. I nikomu nie powiemy, rozumiesz?

- Tak, mamo.

Kiedy Huw wraca z pracy, jego córka siedzi przy stole nad rozłożonymi podręcznikami i zeszytami. W kuchni jest przeobraźliwie zimno, Caroline niemal sinieją wargi.

- Co się dzieje, skarbie? - pyta ojciec. - Nie pali się w piecu? Gdzie mama?

- Chowa biżuterię przed twoją nową żoną.

Caroline potrafi dokładnie określić moment, w którym uświadomiła sobie, że pojmowanie świata przez jej matkę jest błędne, wypaczone. Kiedyś przyglądała się, jak sąsiadka pcha pod górę dziecięcy wózek, po czym odwróciła się od okna i spytała, skąd się biorą dzieci. Caroline przyglądała się z zaciekawieniem, jak matka rozpoczynała zdanie, nie kończyła, zaczynała coś Tysować, przekreślała, czerwieniła się, głos jej się łamał, jąkała się, aż w końcu wymamrotała coś o Bożej woli i o mamie i tacie.

- To sprawa miłości - oświadczyła matka, jakby w końcu ją olśniło i zorientowała się, co chce powiedzieć. - I dotyczy to wyłącznie czegoś, co się dzieje, kiedy jest się po ślubie.

Caroline pamięta, jak w jej głowie zaczęło się konkretyzować niejasne podejrzenie, któremu do tej pory nie poświęciła dostatecznej uwagi: nie masz racji. Matka nie miała racji. W niczym.

Wiedziała, że to myśl niestosowna i że nie powinno się jej wypowiadać na głos. Niemniej zrozumiała nagle, że to, co mówi matka, nie musi być prawdą, jak kiedyś zawsze sądziła, bo dotyczy tylko małego, zamkniętego światka, do którego Caroline wcale nie chciała należeć. Patrzyła, kiedy matka pokazywała jej fotografie braci w sztywnej szacie do chrztu, słuchała, kiedy matka opowiadała, że pewnego dnia to jej dzieci będą miały na sobie tę samą szatę i mimo że miała zaledwie dziewięć lat, była całkowicie przekonana, że nigdy do tego nie dojdzie.

Kiedy Caroline opuszcza dom, wyjmuje szkatułkę z matczyną biżuterią ze schowka — zza luźnego kawałka listwy przypodłogowej we frontowym pokoju. Zamierza wziąć coś ze sobą, może broszkę w kształcie łabędzia, nie, żeby ją nosić, ale dlatego, by ją mieć.

Kiedy jednak wyjmuje szkatułkę, otwiera i patrzy na biżuterię, której nie oglądała przez dziesięć lat, opuszcza ją determinacja. Nie może tego zrobić. Nie potrafi. Nie weźmie ani jednej z tych rzeczy, które matka kocha tak, że trzyma je w kryjówce i nigdy nie nosi. Zatrząskuje pudrerkę i wsuwa z powrotem na miejsce. Nie zabierze nic z tego domu, nic z tego miejsca. Tylko samą siebie.

Łapie autobus do Cardiff. Całą drogę zalewa się łzami, szlocha tak spazmatycznie i głośno, że kierowca pyta, czy nic jej nie jest. Nim dojechali do Cardiff, przestała płakać, ale nadal jest przestraszona, przekonana, że za chwilę zjawi się mama, wrzeszcząc, że jeszcze nie jest za dorosła, żeby nie można było jej złościć skóry. Udaje się jej jednak znaleźć okazję do Londynu, gdzie rozpytuje przechodniów, jak trafić na King's Road. Tam chodzi w tę i z powrotem, aż jakimś cudem wchodzi się w rozmowę z dwiema kobietami, które pytają ją, czy ma ochotę przekimnąć w ich mieszkaniu. Nie bardzo wie, co mają na myśli, ale mówi, że tak.

Uczy się zaokrąglać samogłoski, łagodź R, powściągać T. Nie chce pochodzić z jakiegoś konkretnego miejsca, nie chce być naznaczona w żaden sposób. Zwrot, który nieustannie przychodzi jej do głowy podczas dyskusji prowadzonych w ich mieszczącej się w suterenie komunie, to „dziecko wszechświata”. Nie wypowiada go głośno, bo pochodzi on z jakiejś modlitwy, której oprawiony tekst matka powiesiła na ścianie kuchni. Nie zdawała sobie sprawy, że cokolwiek z tamtego życia mogło się w niej trwale zachować. Nosi te słowa w sobie, kiedy poznaje ulice Londynu, ucząc się jednocześnie

topografii swojego nowego życia. „I dąż do szczęścia”, kończy się tamta modlitwa.

Lubi sobie myśleć, że nie pamięta niczego, że wszystko zostało wymazane z jej głowy - kościół, modlitwy, okropne obiady, stromo biegnące ulice miasta, galimatias dwóch języków przy rodzinnym stole, w sklepach, w szkole. Przekonuje się jednak, że w tych chwilach, w których doświadcza czegoś głęboko, czy jest to uczucie silnego bólu, czy wielkiej miłości, mimo woli wydobywa się z niej to od dawna porzebane głęboko słownictwo, jej język ojczysty: *duw duw*, rzuca, kiedy oparzy sobie rękę płomieniem gazu. *Cariadfach*, szepcze, gładząc główkę swojego śpiącego maleństwa.

Jakeowi udało się wreszcie przepiłować na wylot różowawy kawał wołowiny i właśnie podniósł jego kęs do ust. Mel dołożyła sobie pieczonych ziemniaków, a jej ojciec łyżką z wygiętą rączką wymieszał sos. Pies znieruchomiał z nosem wystawionym na dochodzące go smakowite zapachy, z pyska ścieka mu gęsta ślina.

- ...i powiedziałam jej, że zawsze przechowuję paragony, zawsze, absolutnie zawsze... - mówiła Annabel. - I ona wie, że przychodzę do tego sklepu od ponad dwudziestu lat, i dlatego nie widzę nic oburzającego w tym, że chcę to oddać. To znaczy, w końcu jestem jedną z najbardziej wiernych klientek. - Kręci głową. - Ten jeden raz. Musiał to być ten jedyny raz, kiedy wyrzuciłam paragon.

- A jesteś pewna, że go wyrzuciłaś? - zapytała Mel z bezgraniczną cierpliwością w głosie.

- Cóż. nie wiem, co z nim zrobiłam. Mówię tylko, że...

- Powiedz mi zatem, Jake — Andrew przerwał tę rozmowę, zwracając się do niego, i podniósł kieliszek z winem — jakie masz teraz plany, jeśli chodzi o posadę?

Jedzenie w ustach Jake'a nagle ostygło i zakrzepło, oblepiło zęby.

- Słucham? - wreszcie udało mu się wykrztusić.

- Pracowałeś tam w Hongkongu przy filmach, prawda?

- Zgadza się. - Jake mocno ściska sztucce.

- Co dokładnie robiłeś?

- Cóż, kiedyś przygotowywałem plan, ale teraz jestem asystentem reżysera.

- I... i lubisz to zajęcie? - Andrew przygląda mu się z otwartym, ale i zaabsorbowanym wyrazem twarzy.

- Tak. - Jake potakuje. - Bardzo.

- On to uwielbia - potwierdziła Mel i położyła dłoń na jego udzie.

- Niewiele wiem o tych sprawach - Andrew zaczął niepewnie i Jake poczuł, jak zaczyna go osnuwać cieniutka, niemal niewidoczna pajęczyna. Czy to Mel nakłoniła Andrew do tej rozmowy? Czy też może on, Jake, popada w jakąś paranoję? - Ale wiem, że mnóstwo takich rzeczy dzieje się w Londynie.

- Rzeczy?

- Filmy. Kręcenie filmów. Soho jest... Soho jest... - Andrew zaplątał się, machnął ręką. Mel i Annabel skupiły się na tym, co miały na talerzach, wytrwale cięły i kroiły jedzenie, nie spoglądając w jego stronę. - Jest czymś, co można by nazwać... - Rzucił okiem na zasłony, żeby tam poszukać inspiracji. Jake niemal mu współczuł. - ...centrum dowodzenia tej gałęzi brytyjskiego przemysłu... która jest jedną z najstarszych i... i o największej światowej renomie. - Pociągnął łyk wina.

- Zgadza się - powiedział Jake, który miał wrażenie, że powinien jakoś zareagować na tę przemowę.

- Więc — Andrew raz jeszcze zebrał się w sobie — gdybym był tobą, tobym...

- Tato - odezwała się łagodnym głosem Mel - przestań go dręczyć.

Jake poczuł się zaskoczony. Może ostatecznie ona nie bierze w tym udziału?

- Nie dręczę go, skarbie. Po prostu próbuję pomóc. Może by on - Andrew wskazał Jake'a nożem - miał ochotę znaleźć sobie jakieś nowe zajęcie, zamiast przez cały dzień przesiadywać w domu z kobietami.

- Nie wskazuj na nikogo nożem, Andrew - zwróciła mu uwagę Annabel.

- On nie przesiaduje. On...

- Ja tylko mówię, Jake - Andrew odwołał się bezpośrednio do niego — że z wielką chęcią zabiorę cię w każdej chwili do Londynu, gdybyś chciał podrzucić komuś swoje CV No wiesz, tym z Network.

- Dziękuję. - Jake skłonił głowę. Widzi, jak Annabel i Andrew wymieniają spojrzenia, i dochodzi do wniosku, że spisek, jeśli zachowując sprawiedliwą ocenę mógłby tak go nazwać, jest sprawą tych dwojga.

- I kiedy przyjdzie stosowna chwila - Andrew zniżył głos i nachylił się ku niemu tak blisko, że Jake dostrzegł na jego języku nie przełknięty kawałek ziemniaka - z wielką radością pomogę тобі i tej tu młodej damie zadatkami na mieszkanie w Londynie. Wiem, że to jest miejsce, w którym tacy młodzi ludzie jak wy chcieliby zamieszkać. Daj mi więc tylko znak.

- Co tam tak szepcesz, tato? - zapytała Mel.

- Jeszcze kawałek wołowiny? - Annabel podsunęła Jake'owi skąpany w tłuszczu i krwi półmisek.

- Daj tylko znak, he? - Andrew mrugnął do niego i pociągnął łyk wina.

- Kiedy ja - Jake odchrząknął i odłożył widelec - właśnie chciałem powiedzieć, że myślałem o krótkim wyjeździe. Na kilka dni. Może na dwa tygodnie czy coś w tym sensie.

- Naprawdę? - Mel przyjrzała mu się zaintrygowana. - Dokąd?

- Do Szkocji.

- Nic mi nie mówiłeś.

- Cóż, to tylko taki niesprecyzowany plan. Zamierzałem ci powiedzieć, tylko...

- Ależ Jake, ja nie mogę jechać do Szkocji. Nie jestem...

- Tak - odpowiedział ostrożnie, świadom, że Annabel i Andrew starają się nie przysłuchiwać tej ich wymianie zdań. - Tak. Myślałem, że pojedę sam.

Mel odłożyła sztucce.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu - zmusił się, żeby dodać te słowa.

- Dlaczego akurat do Szkocji? - zapytała pogodnie. Mel wyglądała na zaniepokojoną, bliską łez, które usiłowała powstrzymać.

- Zawsze tam chciałem pojechać. I... pomyślałem sobie, że teraz byłby odpowiedni moment.

- Masz rację, Jake - włączyła się dźwięcznym głosem Annabel. - On ma rację, Melanie. - Położyła dłoń na ramieniu córki. - To jego pierwszy pobyt w Anglii. Powinien się ruszyć i obejrzeć kraj. Nie ma sensu przesiadywać w domu, prawda?

- Tam jest bardzo zimno - oświadczył Andrew. - Grasz w golfa, prawda? Mają tam cudowne pola golfowe, cudowne.

Twarz Mel złagodniała... odrobinę. Podniosła serwetkę i dotknęła nią warg.

- No cóż, jeśli nie miałyby to trwać zbyt długo - powiedziała, kładąc dłoń na jego karku.

Francesca była ostatnim z piątki dzieci swoich rodziców, a wszystkie wychowywały się w mieszkaniu nad restauracją przy głównej ulicy Musselburgha. Było to miasteczko roz-

ciągające się wzdłuż wybrzeża tuż pod Edynburgiem, w którym mieszkała jeszcze tylko jedna włoska rodzina - dwaj bracia, właściciele zakładu fryzjerskiego. Raz w tygodniu Domenico jechał z nimi autobusem do Edynburga, żeby odwiedzić wioski klub w portowej dzielnicy Leith, gdzie mógł zagrać w *scoppa* i popić wina z rodakami. W środy po szkole Francescę oraz jej rodzeństwo posyłano do Edynburga na lekcje włoskiego, co, szczerze mówiąc, zupełnie im nie było potrzebne, bo ich rodzice nigdy nie opanowali angielskiego i w domu, między sobą, zawsze mówili po włosku. „Moje dzieci są Włochami, moja rodzina jest włoska, moi przyjaciele są Włochami, wszyscy, którzy tu pracują, są Włochami - po cóż, na Boga, miałabym uczyć się angielskiego?“, mówiła matka, za każdym razem, kiedy Francesca, której nie chciało się tłumaczyć kolejnego listu od rady miejskiej, z urzędu skarbowego czy ze szkoły, błagała matkę, żeby się jednak go nauczyła.

Starsi bracia i siostry Franceski, zanim jeszcze dziewczynka poszła do szkoły, starali się nauczyć ją choć odrobinę tego języka, jakim mówiono poza ich restauracją, ale nic z tego nie zapamiętała i pierwszego dnia lekcji nie rozumiała, co do niej mówiono, i nie mogła powstrzymać płaczu. W klasie nazwano ją „brudna makaroniarska beksa“ i wyśmiewano jej akcent, ubranie, to, co matka dawała jej na drugie śniadanie. Kiedyś podeszła na boisku do jednej ze swoich sióstr i odezwała się do niej w języku, którym rozmawiali ze swoimi rodzicami. Siostra odwróciła się, twarz miała pobladłą i przestraszona.

- Nigdy nie mów do mnie po włosku - syknęła do Franceski.

Jej rodzeństwo odchodziło, jedno po drugim. Starszy brat ożenił się z Włoszką i poszedł pracować w biznesie prowadzonym przez jej rodzinę w Edynburgu, obie siostry zostały

pielęgniarkami i większość nocy przesypiały w szpitalu. Drugi brat wyjechał do Ameryki, ożenił się, rozwiódł, powtórnie ożenił, a po jakimś czasie wrócił i pomagał prowadzić ich restaurację.

Francesca skończyła szkołę, rozważała pójście do college'u, ale jakoś nigdy się do tego nie zabrała, pracowała w restauracji - robiła kulki z pastelowej masy lodowej - i chodziła na długie spacery. Czasami szła wzdłuż niewielkiej, biegnącej łukiem plaży albo stojącej za wysokim szarym, kamiennym murem szkoły prywatnej, aż do toru wyścigowego, gdzie ziemia drżała od uderzeń końskich kopyt. Niekiedy podczas tych spacerów kilkakrotnie zataczała ósemki, pokonując trzy mosty, przechodząc z jednego brzegu na drugi i z powrotem, zatrzymując się na środkowym, kamiennym moście, żeby popatrzeć na powolny nurt brunatnej wody i na łabędzie, które zgromadziły się pośród wodorostów i bezskutecznie walczyły z prądem.

Przez cały czas czuła niejasny lęk. Świat wokół niej dziwnie się skurczył. Nie poznawała niczego nowego i nie знаła nikogo, w każdym razie nikogo spoza kręgu wpływu rodziców. Jak miała zdecydować, kim być w tym świecie, skoro nic o nim nie wiedziała? Czasami odczuwała trwogę, że któregoś dnia będzie musiała opuścić rodziców, odejść od nich, a czasami była przerażona możliwością, że nigdy ich nie opuści, nigdy się nie wyrwie. Martwiło ją, że ludzie, których mija na ulicy w Musselburghu, śmieją się z niej; to ta włoska dziewczyna, która nie ma nic do roboty. Wkrótce w ogóle przestała wychodzić z restauracji.

Uratował ją stryj. Siedział wtedy z ojcem w boksie. Francesca podała im kawę, wróciła za ladę i stała za nią, wyglądając przez duże okno i co sześćdziesiąt sekund przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą. Liczyła te sekundy w myślach.

Ojciec i stryj Agostino rozmawiali przyciszonymi głosami. Kątem oka zauważyła, że stryj na nią zerknął i odwrócił wzrok. Wydawało się jej, że chwyciła słowo *figlia*. Córka. Czyżby rozmawiali o niej? Przetarła nieskazitelną aluminiową ladę nasączoną gorącą wodą szmatką. Kiedy szmatka podeschła, przetarła kontuar ponownie.

Lubiła stryja, który wspólnie z żoną prowadził delikatesy w Leith. Ta jego żona, jak ujmowała to matka, „nie doznała łaski posiadania dzieci”. Francesce nie podobało się, że stryj o niej mówi. Właśnie po raz trzeci moczyła szmatkę pod kranem z gorącą wodą, kiedy zawołał ją ojciec.

- Pozwól - powiedział, przyzywając ją gestem. - Usiądź tutaj koło mnie.

Francesca wślizgnęła się na plastikową, wyściełaną ławę. Lustra pokrywające ściany wielokrotnie odbijały jej twarz. Agostino przechylił się nad melaminowym blatem i uszczypnął ją w policzek.

- Wyglądasz na wychudzoną, *mia cara*. Czym też cię karci ten mój braciszek? - Podniósł do ust filiżankę espresso, która w jego dużej dłoni wyglądała jak filiżaneczka z domku dla lalek. - Posłuchaj, Francesco. - Ujął jej rękę. - Zastanawialiśmy się z Appollonią, czy wyświadczyłybyś nam pewną przysługę.

- *Si, mio zio, senz'altro.*

- No cóż, posłuchaj wpierw, o co chodzi. Appollonia i ja już nie jesteśmy tacy młodzi jak kiedyś. Sklep jest duży. Nasze nogi są już zmęczone. Mamy dziewczynę, która nam czasem pomaga - pokręcił głową i roześmiał się - zwariowaną angielską studentkę, ale to za mało. Pytałem twojego ojca i on powiada, że da sobie bez ciebie radę. Widzisz, Appollonią i ja zastanawialiśmy się, czy nie zechciałybyś przyjechać i przez jakiś czas popracować u nas. Możesz mieszkać z nami nad sklepem. Może chciałybyś pobyć w dużym mieście. To

byłaby taka zmiana atmosfery. - Ścisnął jej dłoń. - A my bylibyśmy bardzo zadowoleni z twojej obecności.

Francesca spojrzała na ojca, który uśmiechnął się do niej i skinął głową. Chwyliła mocno rękę Agostino i wzięła głęboki oddech.

- *Si, si. Zio Agostino, grazie. Mille grazie* - wyrzuciła z siebie.

Pierwszego dnia Appollonią postawiła ją za ladą razem z tą stukniętą angielską studentką. Francesca nigdy wcześniej nie widziała nikogo, kto by wyglądał tak jak ona: sztuczne rzęsy, wielkie półksiężycy granatowego cienia do powiek i spódniczka, która ledwie przykrywała pośladki.

- Jestem Evie - oświadczyła dziewczyna. - Masz niesamowite włosy.

- O - zareagowała zakłopotana Francesca i dotknęła grubego warkocza, który oplatał jej szyję - dziękuję.

Pojawiła się klientka i poprosiła kilka plasterków *prosciutto*. Evie zdjęła spod sufitu ogromny kawał mięsa i cisnęła na maszynę do krojenia.

- Czy próbowałaś je kiedyś utapirować? - rzuciła przez ramię, kontynuując rozpoczętą rozmowę.

- Proszę?

- Włosy.

- Hm - Francesca przyjrzała się swoim dłoniom - nie.

- A powinnaś. - Podekscytowana Evie zdjęła nogę z pedału maszyny. Zwalniająca bieg tarcza buczała żałośnie. - Upięte w ul wyglądałyby idealnie.

- W ul? - powtórzyła Francesca, patrząc na nią ze zdumieniem.

- Uczeszę cię. Mam wałki i lakier.

- Ee...

- Nie wiesz, co to ul, prawda?

- To takie uczesanie?

- Mój Boże. - Evie prychnęła, oparła dłonie na biodrach,

nawet już nie udawała, że zajmuje się krojeniem szynki dla klientki. - Gdzieżeś się uchowała, skarbie? W bunkrze? Uważam...

- Bardzo przepraszam. - Kobieta zaczęła pukać w ladę.

- Dobrze już, dobrze - rzuciła Evie ostro. - Za chwilę się panią zajmę. - Uważam - kontynuowała rozpoczęte zdanie - że powinnaś wpaść do mnie.

- J a . . . ee... ja...

- C o ?

- Będę musiała spytać matkę - wymamrotała Francesca.

- Matkę? - spytała osłupiała Evie. - Ile ty niby masz lat... dwanaście?

- Tak więc, moje drogie - w przyćmionym świetle kawiarni centrum handlowego Evie wydmuchnęła w powietrze kłąb papierosowego dymu - słyszę, że na scenie pojawił się mężczyzna.

Stella, która właśnie pociągała łyk gorącej czekolady, zakrztusiła się i zaczęła kasłać. Pierwsze, co pojawiło się w jej głowie, to przerażenie, przerażenie, że Nina może ją podejrzewać o wygadanie się. Tymczasem rozwścieczona Nina już wali pięścią w brzeg stolika.

- Skąd wiesz? Czy mama... - zaczyna.

- Nie, nie - przerwała jej Evie - to nie twoja mama. Tak naprawdę, to twój tata.

- Tata? - Stella jest zdumiona. - Nie myślałam, że ty i on kiedykolwiek... to znaczy...

Evie popatrzyła na nią i roześmiała się.

- Tak, masz rację. My rzeczywiście nigdy. Na ogół. Zadzwoił do mnie wczoraj. Powiedział, że widział jedną z was w namiętym uścisku. Strasznie jest z tego powodu spanikowany, biedaczysko.

- To dlatego chciałaś się z nami widzieć - oświadczyła oskarżycielsko Nina. - Bo ojciec ci kazał, bo...

- Chciałam się dzisiaj z wami widzieć, bo chciałam was obie zobaczyć. - Evie demonstracyjnie zakładała to jedną, to drugą nogę na nogę. Spod wąskiej czarnej wełnianej spódnicy wyłaniały się wysokie buty z obcasami jak szpikulce, ciasno przylegające do łydki dzięki sznurowaniu z przodu. Stella tak bardzo chciała mieć buty w tym stylu, że aż robiło jej się słabo. Czy ona sama będzie kiedykolwiek taka? Dorosłość wydawała się niezmiernie odległa. Nie była pewna, czy tak długo wytrzyma. - Kochana, wiesz, że mnie nikt nie mówi, co mam robić - ciągnęła tymczasem Evie.

Stella zanurzyła czubek łyżeczki w gorącej czekoladzie. Mogłaby zabić Ninę, która siedziała tam i próbowała zmusić się do płaczu. To taka jej szczególna sztuczka. Dzięki niej zawsze wyplątywała się ze wszystkiego. Stella wiedziała, jak siostra to robi... kiedyś sama jej to powiedziała: „Koncentrujesz się na tamtym dniu, kiedy przejechali Maxa”, mówiła wtedy Nina, „koncentrujesz się tak mocno, aż poczujesz łyzy w oczach. To proste”.

- Ależ macie gniewne miny! - wykrzyknęła Evie i pomachała uniesioną ręką. Kelner natychmiast ją zauważył. Evie umiała zwrócić na siebie uwagę. - Zjemy ciastka i będziecie mogły mi opowiedzieć o swoich lubyh.

Zażądała, żeby podjechał do nich wózek ze słodyczami, i chciała poznać nazwę każdego ciastka po kolei. Kelner przyniósł jej nawet łyżkę, żeby mogła spróbować profitrolkowego sosu, ale uznała, że jest zbyt zawiesisty. Od sąsiedniego stolika przyglądały się temu wszystkiemu trzy prawdziwie zgorszzone paniusie z chóru przy kościele baptystów. W rezultacie dokładnej inspekcji na talerzykach Evie i dziewcząt pojawił się ptyś, kawałek tortu czekoladowego i ciastko zwane eklerem zakonniczy.

- Ekler zakonnicy, Boże drogi - zachwyciła się Evie przesadnie głośno, wkładając kasek do ust. - Założę się, że tym cholernym biedaczkom, francuskim mniszkom, nigdy nie trafiło się nic tak smacznego. Mmm - odłożyła łyżeczkę na talerzyk - boskie, no nie? A więc, wasi chłopcy. Dalej, opowiadajcie wszystko.

- Ja nie mam... - zaczęła Stella rozjuszona - ...ee... chłopca. To nie ma ze mną nic wspólnego.

- Rozumiem. Nina? - Evie przyjrzała się jej z uniesionymi brwiami.

Nina podłożyła dłonie pod uda, jej ogromne oczy błyszczały nie uronionymi jeszcze łzami.

- Nie wiem, co mam powiedzieć - wyszeptwała, nagle wstydliva i nieśmiała. - Co chcesz wiedzieć?

- Dobrze byłoby zacząć od imienia.

- Chris.

- Tak jak w Christopher? - Evie zastanowiła się. — Porządne imię — uznała. — Co jeszcze?

- Cóż, ma siedemnaście lat. Byłby w tej samej klasie co ja, gdyby nie... - Nina zamilkła. Evie skinęła głową. - Ee. Zbiera płyty - mówiła dalej Nina. - Chce się uczyć gry na gitarze. Ma kręcone włosy...

- Ciemne czy jasne? - przerwała jej Evie.

- J a s n e .

- Blond? Świetnie. Zauważyłam, że na blondynach bardziej można polegać. Ciemnowłosi łamią serce.

Stella zerknęła na Evie, miała ochotę poprosić o więcej, ale nie bardzo wiedziała, jak to powiedzieć.

- I lubisz go? - spytała Evie.

- T a k .

- Tak naprawdę?

- No pewnie. — Nina poprawiła się na krzeselku.

- Doskonale. — Evie uśmiechnęła się i złożyła serwetką

otarła kąć ust. - I sypiasz z nim? - zapytała takim samym jak poprzednio tonem.

Stella, raptem zaciekawiona, odwróciła głowę, żeby popatrzeć na Ninę. Czy siostra powie prawdę? O tym, jak usiłowała go do tego namówić, ale chłopak się wymigiwał? Czy powie Evie, że tylko dwa razy udało jej się pozbawić Chrisa gatek i że za każdym razem doprowadziła tym do spektakularnego skurczenia i oklapnięcia obiektu jej zainteresowania? „O tak”, powiedziała jej Nina i potrząsnęła wiotkim frędzlem przy swoim szlafroku.

Evie przyglądała się im z przeciwnej strony stolika.

- Kochane, tylko bez zażenowania. Nie jestem waszą matką ani też nie mam zamiaru niczego jej mówić - oznajmiła beztrząskowo.

Siostry milczały, Nina trzymała wzrok wbity gdzieś w okolicę kolan Stelli.

- Stello - Evie pierwszy raz odwołała się bezpośrednio do niej - ty mi powiedz. Na pewno wiesz.

- Ee - Stella zerknęła na Ninę i zaraz przeniosła wzrok na Evie - cóż...

- Nie - oświadczyła Nina przez zaciśnięte zęby - nie sypiamy. Nie mogę uwierzyć, że mnie tak przesłuchujesz. To niewiarygodne. To jest po prostu... po prostu ingerencja w moje... moje życie. - Teraz już pojawiły się łzy, idealne i srebrzyste, jedna za drugą spływały po policzkach Niny. Boże, ona była naprawdę świetna. — Nie mogę uwierzyć, że mi nie ufasz - łąkała, podczas gdy Stella przyglądała się jej na wpół z podziwem, a na wpół z obrzydzeniem. - Nie zamierzam z nim sypiać. Przyrzekam, Evie, przyrzekam.

- Drogie dziecko, błagam, nie składaj takich obietnic. - Łzy Niny nie zrobiły na Evie żadnego wrażenia. Zrobiłyby na Francesce. - A teraz posłuchaj - Evie pogrzebała w torebce - nie jest to rada, o jaką mogło chodzić twojemu ojcu, ale

wierz mi, jest to rada, jakiej potrzebujesz. - Przesunęła w jej kierunku po blacie małe, płaskie, niebiesko-białe pudełeczko. Stella przyjrzała się mu. Paznokcie Evie były krwistoczerwone i spiłowane w szpic. Na pudełeczku znajdował się jeden z tych schematycznych rysunczków przedstawiających mężczyznę i kobietę. DUREX bił w oczy napis, DUREX, DUREX. Stella przesunęła wzrokiem po paniach z chóru, po pomniku Scotta za oknem. Kiedy ponownie spojrzała przed siebie, Nina zakrywała pudełeczko dłonią, próbowała je ukryć i jednocześnie przesuwała z powrotem w kierunku Evie.

- Nie, nie - Evie kręciła głową - musisz je wziąć. Naprawdę. Musisz.

- Ale...

- Nino, weź je. - Evie wykonała gwałtowny ruch ręką i Stella zobaczyła, jak Nina odgrywa scenę ociągania się. - I cokolwiek zrobisz, nie mów tej swojej szalonej, katolickiej matce, że ja ci je dałam. Jeśli je znajdzie, to nie są ode mnie. Jasne?

Nina skinęła głową. Stella skinęła głową.

- Wiesz, jak ich używać?

Nina ponownie przytaknęła.

- Upewnij się, że ją nałożył, zanim się znajdzie w pobliżu ciebie. Rozumiesz? W pobliżu ciebie.

- Evie - wyszeptała Stella błagalnie, zakrywając dłońmi rozpaloną twarz.

- To ważne, kochanie - powiedziała do niej Evie. - Ważne, żebyście obie to wiedziały. Plemniki to uparte, przebiegłe diabliki.

- Tak - wykrztusiła Stella.

- Czy wszystko jasne?

- Tak - odparły jednym głosem.

- Cudownie. - Evie rozsiadła się wygodnie i zgasiła papierosa. Nina już zbierała płaszcz i torebkę. - Chyba czas na zakupy - oświadczyła Evie. - Idziemy?

Dzień po tym, jak zabrał Francescę na spacer po ogrodzie botanicznym, Archie siedzi w domu matki i przygląda się jej suczce, Jinty. Zwierzę ociera się bokiem o kant kanapy, pysk trzyma tuż przy gęsto utkanym obiciu. Matka parzy w kuchni herbatę; młody człowiek słyszy gwizd czajnika, brzęk porcelanowych filiżanek. Na zewnątrz popołudnie przechodzi powoli w wieczór.

Raz na tydzień matka kąpie Jinty w wielkim kwadratowym kuchennym zlewie. Jinty znosi to poniżenie, choć nie bez dreszczy i kichania, z żałosnym spojrzeniem brązowych oczu i wrywającym się z pyska cichym jękiem, na który matka Archiego reaguje zdecydowanym „Sza!” Po zawinięciu w ręcznik i wysuszeniu przed kominkiem zawsze powtarza się ta sama pantomima: Jinty biega jak szalona wokół pokoju przerażona brakiem własnego zapachu, rozpaczliwie usiłuje zebrać, pożyczyć każdy, jaki się da zapach. Zatęchła, lanolinowa woń dywanu czy też ostra wosku do parkietu, zwierzęcy zapaszek końskiego włosia z kanapy - dla Jinty wszystko jest lepsze niż nic.

Archie obserwuje, jak pies tarza się na dywaniku z owczej skóry, ale w końcu nie może na to patrzeć.

- Chodź tutaj, Jint. - Wyciąga rękę. - No, chodź. Wiesz, że to nic nie da.

Pies podbiega truchcikiem, macha ogonem, spogląda w górę, jakby liczył na to, że człowiek mu pomoże.

Archie kładzie rękę pomiędzy uszami psa. Już od ponad trzech miesięcy kupuje kawałki sera u tej czarnowłosej Włoszki. Bywa w delikatesach podczas każdej przerwy na lunch, pomimo pogardliwych uśmieszków tamtej blondynki, za każdym razem próbuje innej taktyki. Kino? Kawa? A może podwieczorek? Koncert? Francesca kręciła przecząco głową, warokocz bujał się z jednej strony na drugą, oczy miała spuszczone. Wystawa w galerii sztuki? Teatr? Wycieczka nad morze?

Tańce? Już miał zaproponować kościół, chociaż był przekonany, że ona okaże się katoliczką, a on nigdy nie przekroczył progu kościoła katolickiego i nie wiedziałby, jak się tam zachować, kiedy ona nagle przechyliła się nad kontuarem z płonącymi policzkami.

- A może spacer - oznajmiła.

Przyszła z matką. I z ciotką. Starsze kobiety ubrane były niemal identycznie, w długie czarne spódnice i w czarne swetry zapięte pod samą szyję, włosy miały mocno ściągnięte do tyłu. Archie musiał bardzo się starać, żeby nie okazywać szoku, jaki w nim wywołał widok tych dwóch egzemplarzy Baby Jagi. Obie były maleńkie, sięgały Archiemu mniej więcej do pasa. Musiał ugiąć nogi w kolanach, żeby ucisnąć im dłonie. Matka trzymała mocno w jednej ręce duży, zwinięty parasol i mierzyła go jawnie lekceważącym wzrokiem. Nie mówiły po angielsku, trajkotały po swojemu, wydając polecenia Francescę, a może wyrażając dezaprobatę.

Szli z Francescą przodem, a Baby Jagi ramię w ramię tuż za nimi. Wyglądało na to, że podoba im się ogród botaniczny, co chwilę coś sobie pokazywały i wydawały okrzyki, matka zaś, signora Iannelli, zatrzymywała się, żeby powąchać kwiaty. Różany ogród okazał się wielkim sukcesem, podobnie jak obrośnięte lawendą skarpy, nie podobały im się natomiast szklarnie. *Tropo caldo*, narzekały i wachlowały się, ubrane w te swoje wełniane spódnice, wełniane pończochy, wełniane swetry. W przerwach pomiędzy niezrozumiałymi okrzykami z tyłu pytał Francescę o różne rzeczy i musiał stłumić śmiech, kiedy mu powiedziała, że urodziła się w Szkocji. Ledwie mówi po angielsku, pomyślał, a jeśli już mówi, to ma tak silny akcent, że brzmi to, jakby mówiła po włosku.

Archie zaprosił wszystkie trzy na herbatę — wydawało mu się, że to przełamało lody z ciotką, na której z niewiadomego powodu wielkie wrażenie zrobił czajniczek. Francesca sie-

działa z rękoma złożonymi na kolanach. Signora Iannelli piorunowała go wzrokiem ponad ciastkami. Archie nie zamierzał się tak łatwo poddać. Wyrastał jako chorowity jedy-
nak owdowiałej, nadopiekuńczej matki, rzadko wypuszczany z domu, a co dopiero do Edynburga, i dlatego Francesca wniosła w jego życie taki powiew świeżości. Kiedy siedzieli wokół nakrytego do podwieczorku stołu, miał wielką ochotę nachylić się ku niej, by odetchnąć zapachem jej włosów, poczuć tę nieznaną woń dalekich stron, innego świata.

Jinty oddała się, stukając pazurkami o parkiet, a w pokoju pojawia się matka, mówi coś o mleczarzu, który zostawił litr mleka zamiast pół. Archie przez chwilę zastanawia się, jak też by zareagowała, gdyby przyprowadził tutaj Francescę. Z obcego kraju, córkę imigrantów, katoliczkę, niewykształconą ekspedientkę. Szlochałaby w chusteczkę do nosa, przypominała wysokość czesnego, odwoływała się do pamięci jego nieżyjącego ojca i kruchości zdrowia syna, kiedy był dzieckiem.

Tymczasem jego, podobnie jak Jinty, niepokoi własna bezbarwność, bezwonność. Ma uczucie, że ten dobrze wychowany chłopiec, edynburski prezbiterianin, który robi wszystko, co do niego należy, i mieszka z matką, nie ma w sobie nic ciekawego. Kiedy wraca do domu w wieczornej mgle, wydaje mu się, że bez trudu mógłby rozpuścić się w nicość, przestać istnieć materialnie, tak bardzo nieokreślony i zwyczajny się czuje. Pragnie czegoś, co go wyodrębni, naznaczy jakimś zapachem, nada mu jakiś ton, czegoś, co odróżni go od innych, tak żeby ludzie nie pytali już więcej „Jaki Archie?“, tylko mówili „Ten Archie, który ożenił się z Włoszką“.

W pewnym sensie zakochuje się w jej rodzinie tak jak w samej Francescę. Uwielbia patrzeć, jak Valeria dźwiga na głowie kadzie z wodą albo worki mąki, jak zostawia w kuchni

nie zakręcony kurek, bo niezmiennie rozkoszuje się widokiem bieżącej wody. Zachwyca go, że kuzyni, siostry, stryjowie, bracia nieustannie przewijają się przez restaurację. Zawsze miał odczucie, że rodzina, jaką tworzy z matką, jest zbyt mała, zbyt ograniczona. Uwielbia pikantny smak potraw, do których zasiadają tłumnie wokół stołu. Myśli o obecnych jak o kropłach oliwy w wodzie: istnieją niezmiennie, niezachwianie, nietknięci przez otaczający ich obcy żywioł.

Archie chodzi na wieczorowe kursy, żeby nauczyć się włoskiego. Jego wysiłki wywołują uśmiech Franceski i lekceważące prychnięcie Yalerii. Valeria nie polubiła Archiego. Nie życzy sobie, żeby ten piegowaty, wyblakły Szkot, który uparł się, żeby kaleczyć jej język, kładł łapę na jej najmłodszym dziecku. Powtarza córce, że potrzebny jej miły chłopiec, co oznacza, o czym Francesca dobrze wie, miłego włoskiego chłopca.

Tu jednak interweniuje Domenico.

— Jeśli kocha tego — mówi pewnej nocy do żony, kiedy oboje leżą już w łóżku - to tego, i basta.

Zirytowana Valeria okłada pięściami poduszkę, ale nawet nie próbuje spierać się z Domenickiem. Bo on wyciągnie wtedy jej własnego ojca, który nie chciał dopuścić do ich ślubu, a przypomnienie tego faktu w takiej właśnie chwili tylko jeszcze bardziej by ją rozsierdziło.

Ninie udało się pozbawić Chrisa - i siebie samą - dziewictwa na podłodze jego sypialni, podczas gdy rodzice siedzieli na dole i oglądali wiadomości i prognozę pogody.

- Pozbyłam się błony dziewiczej! - szepnęła do Stelli poprzez ciemną przestrzeń między ich łózkami. - Czułam, jak puszcza. Jakby się coś najpierw naciągnęło, a potem jakby trzasnęło.

Trzy tygodnie później pozbyła się Chrisa i zajęła innym chłopcem, niejakiem Pete'em Gillilandem z szóstej klasy. Tego rzuciła po tygodniu i zaczęła chodzić ze Scottem Millerem, potem z Angusem McLarenem, następnie z Davidem Lochheadem, Kevinem Pattersonem i Patrickiem Caffreyem (starszym bratem Chrisa).

Stella obserwowała, jak jej siostra pozbywa się dawnej osobowości i dopasowuje do nowej. Nina miała wtedy rację. Bo kiedy rozeszła się jej zła sława, wszyscy chłopcy nagle jej zapragnęli, nagle przestali z niej drwić i przezywać „Ghul-mara”.

Stella zauważyła, że teraz życie Niny w szkole stało się łatwiejsze, zobaczyła, że seks może być sposobem na zdobycie akceptacji u pewnego gatunku ludzi. Głównie chłopców. Zobaczyła też, że daje on innym ludziom - dziewczętom - zupełnie nowy powód do nienawiści.

Jake wsiada do pociągu na zadymionym, tłoczonym Euston Station. Jechał już kiedyś nocnymi pociągami przez Chiny i przez Mongolię, i przez całą długość Wietnamu, dlatego zaskakuje go teraz luksus tego przedziału. Bardziej jest przyzwyczajony do gołego materaca i zaplutej, rojącej się od karaluchów podłogi, na której walają się skórki owoców, skorupy orzechów.

Kładzie się na brzuchu na kuszetce i spogląda przez okno. Widzi kolejno szerniały ceglany mur, błysk bladej szarzyni nieba, rzędy domków z identycznymi kominami, czerwone autobusy, boisko, blok mieszkalny, ogromną tablicę reklamową, a na niej wizerunek kobiety z głową odrzuconą i rozchylonymi ustami, tyły domów przelatują przed jego oczyma z przyprawiającą o zawrót głowy szybkością — dziecko przy pianinie, kobieta zdejmująca pranie, mężczyzna przy kuchence, obejmująca się para, mężczyzna z malutkim dziec-

kiem na kolanach. Jake'owi wydaje się czymś niezwykłym, że przesuwają się w górę kręgosłupa tej wyspy, której kształtowi poświęcił tyle czasu i uwagi.

Poprzedniej nocy, kiedy położył się do łóżka, poczuł nagle tuż przy swoich plecach Mel; materac zakłósał się, gdy przysunęła się bliżej. Na łopatkach czuł jej chłodny oddech, na udach krągłość zgiętych kolan. Odchrząknął i przesunął się odrobinę w stronę krawędzi materaca. Ona jednak przesuwała się za nim, przerzucając przez niego rękę.

Jake wpatrywał się w wiszącą bezwładnie przed jego twarzą dłoń, z krótkimi i nieco kwadratowymi paznokciami. Po chwili ta dłoń zaczęła gładzić jego pierś w jakimś natarczywym, a jednocześnie nierównym rytmie.

- Mel - odezwał się.

- Ciii - zasyczała, a wilgotny oddech musnął jego ucho, jej dłoń zanurkowała w dół i zaczęła przepychać się pod gumkę od piżamy.

- Nie. - Słowo zabrzmiało jak wystrzał i Jake podciągnął nogi do góry, złożył się jak scyzoryk i usiadł na brzegu łóżka, daleko od niej. - Nie - powtórzył.

Mel chwilę leżała w milczeniu. Czuł jej wzrok na swoich plecach. Potem odwróciła się szybko, pociągając za sobą kołdrę.

Jake wzdycha i odsuwa drzwi, naciska przycisk kranu i spłukuje twarz. Potem kładzie się z powrotem i wpatruje w gęstniejący mrok za oknem. Nie może zasnąć, jego umysł kręci się w kółko jak silnik, który nie może zaskoczyć. Buczy niebieskawe nocne oświetlenie. Słyszy kaszel kobiety po drugiej stronie przepierzenia, szuranie butów strażnika w korytarzu, pociąg jęczy i trzeszczy, ciągnie go poprzez noc bokiem do kierunku ruchu, z łoskotem mijają stacje, których on nigdy nie odwiedzi.

Stella posprzątała po śniadaniu, włączyła ogromną zmywarkę do naczyń, wytarła stoliki i dokładnie przyjrzała się wycieczkowemu ekwipunkowi jednego z gości, nim ten zniknął we mgle spowijającej Lairig Ghru.

Za jej plecami, w kuchni, Pearl hałaśliwie zdejmuje naczynia z półek. Stella lubi Pearl - kobietę po pięćdziesiątce, która przychodzi rano do hotelu prosto z nocnej zmiany w domu starców. Pearl sypia popołudniami, po czym wstaje, żeby zdążyć przygotować kolację swoim dzieciom i wnukom, z których większość najwyraźniej ciągle z nią mieszka. Lata temu jej mąż „ulotnił się z nie swoim rowerem”. Kiedyś Stella spytała ją, ile ma dzieci, a Pearl odpowiedziała, „sześcioro czy siedmioro, kurczaczku, sześcioro czy siedmioro”, po czym tak długo się zaśmiewała, że w końcu zaczęła świszczeć i rzęzić i musiała sięgnąć po swój inhalator.

Stella prostuje nogi pod biurkiem. Za oknem słońce rozświetla drzewa, a na końcach gałązek sterczą małe, zielone paczuszki. Białe altostratusy ścigają się po błękitnym niebie. Odzywa się telefon stojący na biurku.

- Halo, recepcja, w czym mogę pomóc? - mówi do słuchawki.

- Stella - słyszy po krótkiej chwili.

To jedno słowo powoduje, że opuszcza ją doskonałe samopoczucie i spokój. To nie jest pytanie, tylko kategoryczne, jednoznaczne stwierdzenie. Stella przełyka ślinę, przyciska słuchawkę do ucha.

- Cześć - udaje jej się wreszcie wydusić.

- No cóż - mówi Nina lodowatym tonem - czy możesz mi powiedzieć, dlaczego mnie unikasz?

- Nie unikam cię. Tylko.. - Stella machinalnie bawi się spiralą sznura telefonu.

- Stello — przerywa jej Nina — w zeszłym miesiącu zostawiłam ci siedem... nie, osiem wiadomości. Wysłałam dwa

listy i cztery kartki. Na nic nie odpowiadasz. Na nic nie reagujesz. Znikasz jak kamfora i muszę wyciągać od matki, gdzie się podziewasz. - Słysząc, jak zaciąga się papierosem. - Co się, do kurwy nędzy, dzieje?

Stella czuje, jak mocno napięta jest skóra jej twarzy.

- Nic. Nic się nie dzieje. Po prostu... byłam zajęta.

- Zajęta? - warczy Nina. - Gówno prawda, Stel. Możesz wciskać ten kit mamie i tacie, ale nie mnie. Rzucasz w diabły wszystko w Londynie i po prostu znikasz, ty...

- To nie tak... - jąka się Stella. - Nie rzuciłam wszystkiego w diabły, ja...

- Owszem, rzuciłaś.

- Nie rzuciłam.

- Stella. Dzwoniłam do twojej pracy. Powiedzieli, że odeszłaś bez uprzedzenia.

- Aha, zadzwoniłaś? - Stella dochodzi do wniosku, że najlepszą taktyką w tej sytuacji będzie atak. - Wierzyć mi się nie chce, że wtykasz nos w moje sprawy. Dla twojej informacji, kończy mi się właśnie kontrakt i ...

- Mama mówi, że jesteś niedaleko Kincairg.

To jest jej karta atutowa i obie o tym wiedzą. Stella milczy. Wbija paznokcie w poduszczyk dłoni. Nie pamięta, kiedy ostatni raz Nina wypowiedziała to słowo.

- Co tam robisz? - pyta Nina i ten łagodny ton jej głosu poraża Stellę.

- Nic - odpowiada szeptem.

Chwila ciszy.

- Stel, proszę - mówi Nina cicho. - Co się stało? Dlaczego tam jesteś? Proszę, powiedz mi.

Stella nie jest w stanie się odezwać. Słyszy oddech Niny, ale nie słyszy własnego. Pewnie go wstrzymuje. Nino, nie, ma ochotę powiedzieć, nie, Nino. Nie rób tego, proszę.

- Stel — mówi spokojnie Nina — musisz mi powiedzieć, co

się dzieje. Odchodziłam od zmysłów. Jak mogłaś zrobić coś takiego? Jak mogłaś tam pojechać i nic... i nic mi nie powiedzieć? Obie wiemy, co... - Milknie, jakby ktoś wszedł do pokoju. Stella słyszy, jak siostra grzebie w pudełku papierosów. - Słuchaj, jadę do ciebie. Przyjadę w weekend. To tylko kilka godzin i...

- Nie, nie wolno ci tego robić! - wybucha Stella. - Nie sądzę, żeby to było... to znaczy, jestem naprawdę zajęta. Mam bardzo niewiele wolnego czasu. - Bierze głęboki wdech. - Muszę już iść, Niin. Przykro mi. Pa.

Rzuca słuchawkę i zrywa się z krzesła, przebiega przez kuchnię i wypada na korytarz. Pod powiekami zabiera ze sobą obraz podnoszącej na nią zdziwiony wzrok Pearl. Kiedy jest przy tylnych schodach, telefon odzywa się ponownie. Dzwoni i dzwoni. W umyśle Stelli wszystko to zamiera w bezruchu żywego obrazu: wyobraża sobie ten telefon w pustym holu, tchnienie ciszy pomiędzy poszczególnymi dźwiękami sygnału, stojące tuż obok kwiaty, opadłe płatki na blacie biurka, puste, odsunięte krzesło, za otwartymi drzwiami trawa i drzewa.

W końcu słyszy, jak Pearl idzie przez recepcję i podnosi słuchawkę.

- Halo... Tak... Nie, nie ma jej teraz w pobliżu... Nie... Przykro mi... Ta, przed chwilą tutaj była, zgadza się, ale musiała wyskoczyć... Dobrze... Oczywiście... tak jest. Do widzenia.

Stella nieruchomieje na wąskich schodach, słyszy, jak Pearl człapie przez kuchnię i wychodzi na korytarz.

- Stella? - woła Pearl.

- Tak. - Jej własny głos, uwięziony w niewielkiej, ograniczonej przestrzeni drewnianej klatki schodowej, natychmiast powraca do niej, zbyt głośno, zbyt szybko.

- To była twoja siostra.

-Aha.

- Pyta, czy możesz do niej zadzwonić.
- Rozumiem. Dzięki, Pearl.
- Nie ma za co, kurczaczku. Będziesz teraz przygotowywała pokoje?
- Taa.
- W porządku. To na razie.
- Na razie.

Nina przebijając wzrokiem ciemną przestrzeń pomiędzy łózkami i widzi, że Stelli nie ma. Koce są odrzucone, odsłonięte prześcieradło świeci biało w mroku. Nina siada.

- Stella? - mówi. - Stel?

W mrocznej sypialni meble czają się pod ścianami. Gotowe na rano mundurki szkolne zwisają z krzesłek, spódnice i mankiety dotykają swoim krajem dywanu.

Coś powoduje, że Nina podnosi raptownie wzrok, a serce skacze jej do gardła. W ciemności, wysoko, widzi bladą postać. Musi się w nią wpatrywać przez kilka sekund, żeby pojąć, co to takiego. Na poręczu w nogach łóżka stoi jej siostra, wyprostowana i nieruchoma.

Nina odrzuca nakrycie i wstaje z łóżka. Nie boi się ciemności. Niczego już się nie boi. „Heroizm” jest dla tego odpowiednim określeniem, powiedziała jej Stella. Znalazła je w książce. Nina idzie na palcach przez pokój.

Stella zachowuje idealną równowagę, niczym pływak przed skokiem z trampoliny. Nie kiwa się, nie chwieje, nawet nie musi pomagać sobie wyciągniętymi ramionami. Nina nie ma pojęcia, jak ona tego dokonuje, jak udaje jej się utrzymać na takim wąskim kawałku drewna.

- Stel? - szeptem.

Musi uważać, żeby jej nie obudzić. Nigdy nie wolno budzić lunatyka. Stella patrzy w dół, w jakiś odległy punkt.

Nina wie, gdzie jej siostra jest teraz. Może sobie wyobrazić tę krawędź urwiska, szum spadającego wodospadu. Nie podoba jej się, że Stella chodzi tam bez niej, że jest tam zupełnie sama.

- Hej - mówi Nina i wyciąga rękę, powoli i ostrożnie przepłata palce z palcami siostry. - To ja - mówi. - To tylko sen. Chodź. Wracaj do łóżka.

Stella ściska jej rękę i marszczy brwi.

- No chodź - mówi Nina i pociąga jej ramię. - Z powrotem do łóżka. To tylko sen.

Stella pozwala się sprowadzić. Kiedy Nina ją przykrywa, zaczyna się trząść i drzeć w nagłym ataku dreszczy, szczęki ma mocno zaciśnięte.

- J u ż dobrze, Stello — szepcze Nina, otulając ją kocami. - Już dobrze. - Ciało Stelli jest sztywne i twarde. Nina siada na materacu obok niej, odgarnia włosy z jej twarzy, gestem, jaki widziała kiedyś u matki. - Wszystko już dobrze. - Stella jednak ciągle dygocze. Nina kuca tak blisko, żeby móc patrzeć prosto w twarz śpiącej siostry. Mocno zaciska dłoń na jej nadgarstku. - On cię już nie dosięgnie.

- Nie, bardzo mi przykro - jaskrawa pomadka rozpływa się wokół ust kobiety - nie znam w okolicy żadnego miasta o takiej nazwie. - Kiedy kończy mówić, stuka dłońią w plik leżących na biurku folderów, jakby dla podkreślenia własnych słów.

Jake, z plecakiem matki przy nogach, stoi w księgarni w Aviemore, jedynej miejscowości, której nazwy jest pewny, którą ma.

- Może jakaś wioska? Albo osada... czy... - Wymachuje gwałtownie ręką. Czy to jakiś problem z nim samym, czy też po prostu ta kobieta jest osobą jawnie nieprzychylną? - ...cokolwiek?

Kobieta krzywi się, przez krótką chwilę spektakularnie udaje, że się zastanawia, po czym kręci głową.

- Nie znam niczego, co by się tak nazywało - mówi kategorycznie.

Jake obdarza kobietę uśmiechem, chociaż ma ochotę sięgnąć za biurko i potrząsnąć nią.

- W porządku - mówi. - Nie pozwoli się pognębić, nie pozwoli, nie pozwoli. Wiedział, że nie będzie łatwo. Czy naprawdę sądził, że kiedy tylko się tu pojawi, poszukiwane miejsce w sposób magiczny się zmaterializuje? - Proszę to. - Kładzie na ladzie mapę i podaje jej banknot, wybrany na chybił trafił z portfela. Ona wręcza mu z kwaśną miną dwa inne banknoty oraz kilka monet.

Na dworze, pomimo rozhukanego wiatru, próbuje rozłożyć mapę. Zamierza wczytać się w nią w poszukiwaniu czegoś znajomego. To miejsce musi być gdzieś tutaj. Nie może teraz, kiedy jest już tak blisko, ni stąd, ni zowąd zrezygnować. Ono musi istnieć: nie było najmniejszego powodu, dla którego Tom miałby w tej sprawie okłamać jego matkę. Może nie była to nazwa miasta, jak zawsze uważali z matką... może była to góra albo dolina, albo rzeka, albo cokolwiek innego. Kto wie, czym kierują się tutejsi ludzie przy nadawaniu nazw?

Wiatr jest zbyt silny. Mapa łopocze i ucieka z jego rąk. Powietrze jest rozrzedzone i lodowato przejrzyste. Musi znaleźć jakieś lokum. Najpierw jednak musi znaleźć jakieś miejsce, gdzie mógłby zjeść śniadanie. Potem rozłoży mapę na stoliku i uważnie ją przestudiuje. Znajdzie, na pewno znajdzie. I pies trącał panią z księgarni.

Podnosi oczy, patrzy w głąb ulicy i dopiero teraz, pierwszy raz, zauważa wrzynające się w niebo szczyty gór.

Po oknach widać, jaka jest pogoda. Deszcz bije o szyby i czepia się ich rozpaczliwie, kiedy tak spływa w dół, miotany nagłymi uderzeniami wiatru. Stella siedzi na wysokim stołku za kontuarem herbaciarni „Jaskier”, rękoma podpira brodę. Przyjechała do miasta po ciasto ptysiowe, potrzebne na wieczór do boef Wellington. Jako pierwsze danie podadzą tradycyjną, szkocką, rybno-ziemniaczaną zupę ugotowaną przez Pearl, na danie główne wołowinę, a na koniec dwa desery do wyboru. Kiedy Stella przechodziła obok herbaciarni, zawołała ją australijska kelnerka, Moira, pytając, czy wyświadczyłaby jej uprzejmość i przez dziesięć minut przypilnowała lokalu.

Samochody toczą się w jedną i drugą stronę miasta, które rozciąga się niczym wstążka wzdłuż głównej ulicy. Ludzie okryci przeciwdeszczowymi pelerynami w trzech podstawowych kolorach przemykają chodnikami. W herbaciarni nie ma wielkiego ruchu: dwie panie w tweedach, schylone nad gorącymi bułeczkami, prowadzą dyskretną rozmowę, jakaś kobieta o nieobecnych spojrzeniu z niemowlęciem oraz młody mężczyzna. Czarne włosy, zlepione przez deszcz w sterzące szpikulce, marynarka na ramionach pociemniała od wody. Na jego stoliku stoi upstrzony okruchami, pusty talerzyk. Plecak, stary i sfatygowany, stoi na podłodze obok. Nie wygląda na tego typu osobę, jakie zazwyczaj przyciąga to miasteczko. Wyróżnia się. Jest nieodpowiednio ubrany. Niepraktycznie. Nie w G o r e - T e x, tweed czy inną wełnę. Jego ubranie za bardzo trąci wielkim miastem. Wygląda na mieszkańca dużego miasta, stwierdza Stella, który wylądował tutaj przypadkiem.

Mężczyzna przebiera w monetach, bierze jedną po drugiej i przygląda się im, jakby nigdy wcześniej ich nie widział. Na pewno jest obcokrajowcem. Może Amerykaninem? Nie, chyba nie. Wygląda na Europejczyka. Może Francuz. Trudno go

umiejscowić. Jednak jest w nim coś, co się jej podoba. Sposób, w jaki siedzi na krześle. Krzesło jest z tych damskich, ma wyściełane i obite kwiecistym materiałem siedzisko i proste oparcie, tymczasem on rozwała się na nim, jakby było łóżkiem - nogi rozstawione i wyciągnięte, jedno ramię wisi luźno u boku, barki cofnięte. Wygląda bardzo... postkoitalnie. Stella uśmiecha się do siebie. Nieczęsto jest okazja popatrzeć na kogoś takiego, szczególnie tutaj.

Kiedy tak mu się przygląda ze swojego punktu obserwacyjnego na stołku, on podnosi raptownie głowę, jakby wyczuł jej spojrzenie. Jego oczy przesuwają się po sali, aż natrafiają na jej wzrok. Stella mruga, ale nie wykonuje najmniejszego ruchu. Czy nadal się uśmiecha? Nie jest pewna. Ma okropne uczucie, że cień uśmiechu pozostał na jej twarzy. Przez jedną, pełną sekundę wpatrują się w siebie. Potem on upuszcza monety na blat i prostuje się.

— Czy mógłbym dostać jeszcze jedną filiżankę herbaty? - pyta.

- J a s n e . - Stella zsuwa się ze stołka.

Spogląda na stojący tuż obok ekspres do kawy firmy Gaggia, który wzdycha i trzęsie się, jakby miał za chwilę wybuchnąć płaczem. Jest podobny do tego z restauracji jej dziadków. Na półce nad głową znajduje filiżankę oraz herbatę w torebce. Przesuwa dłońią po dźwigniach Gaggii, po czym jedną z nich naciska. Wrząca woda tryska do filiżanki, nasycając parą powietrze wokół. Jego głos był dziwny. Bez akcentu. Zdecydowanie Brytyjczyk. Na pewno nie Szkot, chociaż na Anglika też jej nie wygląda.

Przechyla dzbanuszek z mlekiem nad filiżanką i na powierzchni ciemnego płynu zaczynają się rozwijać białe wstążeczki.

Kelnerka zbliża się do niego pomiędzy rozstawionymi nieregularnie stolikami; w ręce trzyma filiżankę parującego napoju. Słońce rozjaśnia na krótką chwilę salę, okna płoną światłem. Jake zerka na ulicę. Niespodziewanie słońce zalewa blaskiem mokre fasady budynków, szyby samochodów. Pogoda tutaj jest taka nieprzewidywalna. Było słonecznie i bezchmurnie, kiedy wysiadał z pociągu, a potem pojawił się nagle deszcz, który w chwilę przemoczył go do suchej nitki. Teraz ubranie klei się do jego lepkiej i wychłodzonej skóry.

Odwraca się ponownie i przesuwając wzrokiem po dziwnych monetach na stoliku, pustej filiżance i talerzyku, spogląda w głąb sali i widzi zbliżającą się kobietę z wypisanym na piersi jego nazwiskiem. Kildoune, głosi napis na wykrochmalonej bawełnie.

Jake wbija w nią wzrok. Ma gładkie, czarne włosy, okalające ukośnie policzki, zielone oczy i tak delikatną skórę, że widać biegnącą w górę szyi błękitną nitkę żyły. Te wszystkie kolory szturmują jego umysł; czerń, zieleń, błękit, biel, czerwień warg. I jego nazwisko na jej piersi. Kildoune. Wyszycie czarną nitką.

— Pańska herbata - mówi do niego i stawia filiżankę na stoliku.

On wyciąga rękę, żeby odsunąć monety, i przypadkiem wierzchem dłoni muska delikatną, blad różową skórę wewnętrznej strony jej przedramienia i przez tę krótką chwilę powietrze byczy i wibruje, jakby dwie depesze spotkały się na linii telegraficznej.

- Co to jest? - wrywa się z ust Jake'owi.

Kelnerka spogląda na niego, w jednej ręce trzyma jego pusty talerzyk, delikatnie marszczy brew.

- Co? - dziwi się.

— To. — Wskazuje na jej pierś, na wyszycie tam słowo.

Dziewczyna dotyka wypukłości haftu.

- Kildoune? - pyta, a Jake ma ochotę krzyknąć, klaskać w dłoń, chwycić ją za ramiona, całować usta, które właśnie wymówiły jego nazwisko. — To hotel.

- Hotel? Gdzie?

- Tam. Za Kinraig. - Dziewczyna pokazuje gestem za siebie.

- Proszę mi pokazać. - Pośpiesznie sięga do plecaka po mapę Brytyjskiego Urzędu Kartograficznego. Mapa jest oporna, nie daje się właściwie rozłożyć, nie chce leżeć równo w jego rękach, powyginane jak w sztuce origami prostokąty bronią się przed rozdzieleniem. Ogarnia go przerażenie, że ta kobieta - najwyraźniej jedyna osoba, która wie, gdzie można znaleźć Kildoune - po prostu zniknie. Musi się powstrzymać, by nie chwycić jej za ramię, nie przykuć do siebie kajdankami. - Proszę pokazać mi dokładnie - nalega. - Muszę się tam dostać.

Ona patrzy na niego, jakby oszalał. I nie jest tak bardzo daleka od prawdy. Przekłada talerzyk do drugiej ręki, rzuca krótkie spojrzenie za siebie.

- To miejsce dość... - Milknie, zerka na jego sfatygowany plecak. - ...luksusowe - kończy niepewnym głosem.

- Nie, ależ nie. - Jake prostuje i gładzi płachtę mapy na stoliku. Czuje rozgniatane pod ręką okruchy. - Wcale nie zamierzam się tam zatrzymać, ja tylko chcę... - Głos mu zamiera, kiedy dostrzega w jej oczach oznaki zaniepokojenia. W oczach o głęboko zielonej barwie, z długimi podwiniętymi rzęsami. Tak naprawdę to ona nie musi tego wszystkiego wiedzieć. Zachowuj się naturalnie, nakazuje sobie, weź głęboki oddech. - Ja tylko chcę... to miejsce zobaczyć.

- Ach tak. — Dziewczyna nachyla się nad mapą i Jake widzi wewnątrz kołnierzyka jej uniformu ostrzeżenie: OSTROŻNIE Z OGNIEM. Przygląda się napisowi i znika-

jącym pośród białych fałd materiału kręgom jej szyi. — Rozumiem - mówi kobieta, a czubek jej palca zawisa nad mapą - zatem...

I w tym momencie rozlega się dźwięk dzwonka zawieszono go przy drzwiach. Wchodzi pospiesznie właściwa kelnerka, drobna kobietka z zaczerwienionymi policzkami.

- Stello, jesteś cudowna! - woła od progu. - Wielkie dzięki. Uff. - Zatrzymuje się tuż przed nimi. Spogląda na Stellę, na Jake'a i znowu na Stellę. - Wszystko w porządku?

- Właśnie pokazywałam temu gościowi - Stella wskazuje go gestem - gdzie jest Kildoune.

- O. - Australijka łokciem odpycha Stellę. - Ja panu pokazę. - Obdarza go promiennym uśmiechem, irytująco blisko przysuwa twarz.

Jake nie patrzy na miejsce, które mu pokazuje na mapie, przygląda się tamtej dziewczynie. Stelli. Idzie przez salę, oddala się od niego, zbliża do lady. Bierze pelerynę i kieruje się do wyjścia.

- Czy pani tam pracuje? - pyta ją Jake, kiedy przechodzi obok, na tyle blisko, że mógłby wyciągnąć rękę i jej dotknąć. Nie może wymyślić, co innego powiedzieć. Chce ją powstrzymać, opóźnić jej wyjście, zatrzymać przy sobie. Nie chce, żeby zniknęła za drzwiami, w otaczającym ich świetle, gdzie mógłby jej już nigdy nie odnaleźć.

Ona zwraca na niego swoje przejrzyste zielone oczy. Czyżby uśmiechała się do niego? Nie.

- Owszem - odpowiada - pracuję. - Potem zwraca się do młodej Australijki, która mówi coś o godzinach odjazdu autobusu i o możliwościach złapania okazji. - Muszę już lecieć, Moira, do zobaczenia.

Wychodząc, narzuca kaptur na głowę i odwraca się, żeby zamknąć za sobą drzwi. Dokładnie w tej chwili, kiedy ma je ostatecznie domknąć, podnosi wzrok, na niego. Przez uła-

mek sekundy patrzą na siebie. Potem ona domyka drzwi, a deszcz i zamglone szyby zamazują jej obraz.

Stella zbudowała namiot ze swojej pościeli, wykorzystując do tego kij od zestawu do gry w krokieta, ustawiony i z trudem utrzymujący równowagę pośrodku jej własnego łóżka - tego dolnego, bo Nina zawsze spała na górze - i zachwycona zanurkowała do jego wnętrza. Zwykłe łóżko, na którym co noc leżała rozciągnięta, pogrążona we śnie, zamieniło się teraz w tajemnicze miejsce, otoczone zwężającymi się ku górze, nachylonymi ścianami i spiczasto zakończone. Robione na szydełku koce przepuszczały do wnętrza czerwoną poświatę.

Było wcześnie. Za wcześnie, żeby rodzice się już obudzili - w weekendy dziewczynkom nie wolno było do nich wchodzić przed ósmą. Nina jeszcze spała.

Stella wysunęła się nogami do przodu z kryjówki i obesła wydeptany dywan, zbierając całe naręczą misiów ze skonstruowanymi minami i lalek, których oczy grzechotały w pustych plastikowych czaszkach. Całe to towarzystwo wcisnęła do namiotu i ustawiła w rzędy, doprowadzając do postawy pionowej każde z nich, które jak pijane ośmieliło się opierać na sąsiedzie.

- To nasz namiot - oświadczyła im wszystkim, leżąc na brzuchu. Nogi jej wystawały poza koce, ale cóż to miało za znaczenie? Reszta ciała znajdowała się wewnątrz, w tej nowej, prywatnej przestrzeni. - Nasz sekretny namiot. - Nie robiło to większego wrażenia na zabawkach.

Po jakimś czasie znudziło jej się ustawianie ich tak czy inaczej, a ramię rozboleło od podtrzymywania w pionie kija od krokieta. Wynurzyła się ponownie, z włosami naelektryzowanymi i potarganymi, pozwalając, by namiot się zawalił

i stał się jedynie pokrytym kocami materacem, z tajemniczymi wypukłościami w miejscach, gdzie leżały zabawki. Stella była jednak w stanie dostrzec kształt miękkiej nóżki misia czy rozcapierzonych paluszków sterczącej ręki lalki. Odchyliła głowę i przyjrzała się badawczo wybrzuszeniu materaca nad swoją głową. To chyba niemożliwe, żeby Nina jeszcze spała.

Wyciągnęła rękę, włożyła palce pomiędzy oczka siatki z ostro zakończonych kawałków drutu i dźgnęła siostrę. Żadnej reakcji. Zrobiła to jeszcze raz. Nadal nic. Położyła się na wznak i pchnęła stopami twarde węzły metalowej siatki. Ciało Niny uniosło się i opadło. Stella czekała zaintrygowana. Potem coś usłyszała, jakiś cichy, niewyraźny dźwięk.

Wyślizgnęła się z łóżka i wspięła na drewnianą drabinę, a nogawki jej piżamy opadły na miejsce. Łokciami uwiesiła się na krawędzi górnego łóżka i przyjrzała się siostrze.

Nina leżała na boku. Jej oczy poruszyły się pod zamkniętymi powiekami.

- Co powiedziałaś? - spytała Stella.

Powieki Niny uchyliły się i natychmiast zamknęły.

- Mówiłaś coś? - wyszeptała Stella, oddychając ciężko w twarz Niny. - Nie śpisz? Niin? Nie śpisz już? Ustawiłam namiot. Chcesz zobaczyć? Jest naprawdę świetny. I dość miejsca dla nas obu. Z grubsza.

Nina coś wymamrotała.

- Co? - Stella przysunęła jeszcze bliżej twarz.

- Źle się czuję - wyszeptała Nina, otwierając oczy.

Stella pchnęła drzwi sypialni rodziców, z cichym szurnięciem otarły się o dywan. W pokoju było duszno i ciepło. Zza brzegów zasłon wciskały się promienie słońca. Na dywanie ciemniał wzór ze splecionych, zachodzących na siebie kwiatów i Stella stąpała z jednego na drugi, aż tuż przed sobą zobaczyła leżącego na brzuchu ojca. Połowa jego twarzy była

niewidoczna, tkwiła zanurzona głęboko w poduszce. Jedno odrzucone ramię dotykało wypukłości matczynego biodra. Z jego skóry wyrastały maleńkie włoski - miliony włosków. Włoski, włoski na mej brodzie... jak w tamtej bajeczce o trzech świnkach. Stella nachyliła się, zafascynowana.

- Tato - wyszeptała. - Tatusiu.

- Wracaj do łóżka, Stello. - Jego głos zabrzmiał wyraźnie i stanowczo. Jakby nie spał. Oczy miał jednak zamknięte.

Stella odwróciła się i podreptała ku drzwiom po płatkach. W swoim pokoju przyciągnęła wysoki stołek do szafy, stanęła na nim i ściągnęła z góry zestaw małego lekarza i pielęgniarki. Umieściła sobie pod brodą gumkę od czepka z czerwonym krzyżem i ponownie wspięła się na drabinkę.

- A teraz, pacjentko - oświadczyła, klękawszy na łóżku - posłucham twojego serduszka.

Nina patrzyła na nią, apatyczna i nieruchoma, podczas gdy Stella wcisnęła sobie słuchawki plastikowego stetoskopu do uszu i przyłożyła krążek do jej nocnej koszuli. Najpierw Stella nie słyszała nic, potem rurki wychwyciły dalekie, nieregularne uderzenia, powolne jak tykanie zegara w salonie ich dziadków. Stella wyciągnęła z uszu końcówki stetoskopu.

- A teraz temperatura.

Włożyła termometr do ust Niny. Nina zamknęła oczy i głowa opadła jej na bok. Może chce, żeby ją zostawić w spokoju, pomyślała Stella.

Dłuższy czas pakowała i rozpakowywała przedmioty z walizeczki; siedziała z kolanami uniesionymi w poprzek nóg Niny. Przez chwilę słuchała rytmicznego stukotu własnego serca. Rozwinęła bandaż i zwinęła go ponownie w równy, porządną wałek. I wtedy usłyszała, jak Nina wydaje dziwny, bulgoczący dźwięk. Wcisnęła pospiesznie bandaż do walizeczki, zamknęła ją i podczołgała się bliżej.

Nina miała zamknięte oczy. Znowu spała. Plastikowy termometr z wymalowaną czerwoną kreską zwisał z kącika jej bladych, zupełnie pozbawionych krwi warg. Włosy podobne morskim wodorostom oblepiały głowę. Stella nachyliła się nad jej twarzą i zobaczyła, że Nina ma na wpół rozchylone powieki, a gałki oczu wywrócone do góry tak, że widać tylko białka. Jej oddech nie brzmiał tak jak zawsze, kiedy Stella budziła się w środku nocy - był zbyt szybki i zbyt płytki.

- Niin - zaczęła. Dotknęła jej dłoni. Była wilgotna i rozpalona. - Nina? - Chwyciła za nadgarstek i potrząsnęła. Ręka siostry opadła luźno i zwisała bezwładnie z boku łóżka.

Stella zeszła po drabince, ruszyła przez pokój i podest do drzwi sypialni rodziców. Tym razem już nie bawiła się w stąpanie po kwiatkach.

- Tatusiu.

- Mmm.

- Tato.

- Stello, powiedziałem ci już...

- Tato, coś jest nie tak z Niną. - Stella nie zdawała sobie sprawy z tego, że jest przestraszona, dopóki nie usłyszała własnego głosu, który zabrzmiał skrzecząco i przenikliwie. Ten dźwięk spowodował, że ku własnemu zaskoczeniu wybuchła płaczem. - Proszę, obudź się - zawodziła.

Ojciec otworzył oczy. Przez kilka chwil przyglądał się młodszej córce, po czym spuścił nogi z łóżka i ruszył do pokoju dziewczynek. Stella dreptała za nim.

- Powiedziała... powiedziała, że źle się czuje - oznajmiła, szlochając - a potem... a potem znowu zasnęła, a potem...

Ojciec przyjrzał się Ninie, położył dłoń na jej czole.

- Chryste - wyszeptał, a potem podniósł głos do krzyku: - Francesca! Francesca!

W holu Stella strząsa krople wody z włosów, ściąga pelerynę z zawilgoconego ubrania. Myśli właśnie o tym, że powinna zmienić swój służbowy strój, bo jest przesiąknięty wilgocią, i że figurkom kaczuśzek przydałoby się odkurzenie i że musi zanieść ptysiowe ciasto prosto do kuchni, kiedy pojawia się pani Draper. Zatrzymuje się na widok Stelli stojącej na wycieraczce z ociekającą wodą peleryną w ręku.

- O, tutaj jesteś, Stello. Pozwól ze mną. Chcę, żebyś kogoś poznała. Mamy nowego pracownika. Pamiętasz, jak ci mówiłam, że potrzebny jest nam ktoś do robót na zewnątrz - reperowania, malowania, takich tam spraw? Ktoś, kto by ci pomógł latem, podczas największego ruchu. Jestem pewna, że przyda ci się pomoc...

W gabinecie pani Draper, przy oknie, plecami do Stelli stoi jakiś mężczyzna. Odwraca się, kiedy kobiety wchodzi do środka.

Stella nie zdawała sobie wtedy sprawy, jaki jest wysoki. Zeby patrzeć mu w oczy, musi zadrzeć głowę do góry. Ciągle nie wypuściła z rąk mokrej i śliskiej peleryny.

- Witam ponownie - mówi mężczyzna i się uśmiecha.

CZEŚĆ TRZECIA

Stella budzi się z nieprzyjemnym wzdrygnięciem, w klatce żeber jej serce tłucze się gwałtownie. Leży na brzuchu, twarzą do dołu, nic nie widzi, poszewka poduszki zatyka jej usta i nos.

Jednym energicznym ruchem odwraca się i siada. Przyczepa jest pusta, czuje na skórze lodowate zimno poranka, gałąź stuka o dach. Przez szybkę w drzwiach jej wzrok sięga daleko. Nic. Wszystko w porządku, powtarza sobie, wszystko w porządku. Jednak jej serce nie zwalnia.

Śniło jej się, że znów jest dzieckiem, że stoi blisko krawędzi, a czarna woda spada z hukiem po skałach.

Wyrzebuje się z łóżka, szarpie z pościelą, która klei się i czepia jej ciała, podchodzi do lustra. Odbicie ukazuje osobę dorosłą. Zdecydowanie dorosłą. Stella przygląda się temu odbiciu. Na skórze odcisnięte zgniecenia pościeli, wargi blade, czarne źrenice rozszerzone, bezdenne. Już wszystko w porządku. To było lata temu. Wiele lat temu. Tyle że ona nie zawsze tak to czuje.

Stella odwraca się od swojego odbicia. Światło przeciska się mdłą bielą między listewkami żaluzji. Jest wcześniej. Wraca do ciemnej części sypialnej, krzywi się, czując zimno dywanu pod bosymi stopami, i bierze do ręki budzik. Szósta czterdzieści pięć. Już nie zaśnie, wobec czego naciąga przez głowę służbowy uniform, a na to dwa swetry.

Kiedy idzie do starych stajni po drewno, dołącza do niej pies. Wystrzeliwuje z budy, wyciągnięty jak strzała, macha

ogonem, skomli radośnie. Stella pochyla się i gładzi go po łbie. Dalej pójdą razem, pies z nosem przy ziemi.

Kiedy wracają obok starej, wyremontowanej chlewni, Stella jest przez chwilę zaskoczona, że zasłonki na oknach są zaciągnięte. Przekłada kosz z drewnem do drugiej ręki.

- Zupełnie o nim zapomnieliśmy - mówi do psa - prawda?

Pies zatrzymuje się i podnosi pysk, czujnie stawia uszy i wsłuchuje się w jej głos w poszukiwaniu zbitek dźwięków, które mógłby rozpoznać.

Pierwszego ranka Jake zwleka z wejściem do kuchni. Pani Draper powiedziała mu, żeby przyszedł na śniadanie po dziewiątej, kiedy skończy się już największy ruch. On tymczasem z rękoma wbitymi głęboko w kieszenie kręci się po holu. Zza prowadzących do kuchni wahadłowych drzwi dochodzi go śmiech, krótki okrzyk, dźwięk grającego radia oraz trzaskanie naczyniami i sztućcami - typowe zachowanie pracujących razem ludzi.

Ktoś pcha drzwi i Jake widzi dziewczynę z herbaciarni. Stellę. Włosy ma odgarnięte z czoła i przytrzymane szeroką opaską. Dziewczyna wchodzi na długi wąski korytarz i znika w pokoju przy jego końcu.

Jake czeka niepewnie u podnóża schodów. Czuje zdenerwowanie i odrobinę niepokoju. Nie zasnął ani na chwilę w nocy, leżał z otwartymi oczyma i na świecącej tarczy elektronicznego zegarka obserwował przemijanie czasu, w kółko powtarzał sobie, jesteś w Kildoune, jesteś w Kildoune. Wydaje mu się to czymś nadzwyczajnym. Namacalność tego wszystkiego, poczucie związku z Tomem jest przemożne i niewiarygodne. Gdziekolwiek spojrzy, widzi rzeczy — poręcz, wyłącznik światła, kamienny próg, kominek — których być może dotknęła ręka jego ojca.

W kuchni rozlega się czyjś chrapliwy śpiew, przerwany brzękiem, po którym następuje przekleństwo. Spogląda w dół: skomplikowany wzór dywanu tworzą płożące się gałązki, wiją się wokół jego stóp, jakby prowokując do potknięcia i upadku. Patrzy w górę: schody prowadzą łukiem na następną kondygnację, a tam w górze dostrzega na ścianie widlaste poroże.

- Zjesz śniadanie? - słyszy czyjś głos. Stella stoi w wahadłowych drzwiach, w rękach trzyma stos brudnych talerzy.

- Tak. - Jake rusza w jej stronę. Czuje, że się uśmiecha. Czy przypadkiem nie za dużo się uśmiecha? Może rzeczywiście. Za to ona w ogóle się nie uśmiecha. - Z wielką ochotą. - Wyjmuje ręce z kieszeni i gestem wskazuje na talerze. - Mogę pomóc?

Stella kręci przecząco głową, przytrzymuje mu stopą drzwi.

- Dam sobie radę. Wchodź.

W kuchni jest gorąco, ciasno, rażąco jasno, powietrze przesycane parą i zapach świeżo zmielonej kawy. Przy zlewozmywaku mała, klocowata kobieta odsłania w uśmiechu pieńki połamanych zębów, stojący przy kuchennej płycie mężczyzna w białym stroju kucharza trzyma w ręce długi szpikulec. Tłuszcz, w którym kurczą się plastry boczku, strzela i przyska wokół patelni.

Stella stawia stos talerzy na stole i szybkim machnięciem ręki otwiera papierowy bloczek.

- Dwie porcje kiełbasek z sarniny - recytuje, przekrzykując hałas - jedną z pieczarkami, drugą bez, tę pierwszą z jajecznicą, tę drugą z sadzonymi, OK?

- Przyjąłem. - Szef kuchni, nie odwracając się, kiwa potakująco głową.

- To jest Jake - oznajmia Stella - który chętnie by coś zjadł.

- Przyjąłem - powtarza szef.

Kobieta przy zlewozmywaku stoi na wprost Jake'a, przez ramię ma przerzuconą moką ścierkę do naczyń.

- Jestem Peril - mówi.

- Proszę? - Zaniepokojony Jake przechyla się przez blat. Przecież nie można mieć na imię Peril*.

- Peril - powtarza kobieta.

Stella, stojąca przy opiekaczu, zerka na niego, potem na kobietę.

- Peeerrlll - wyjaśnia, rozciągając samogłoskę. - Pearl.

- Aha. - Jake'owi rozjaśnia się w głowie. - Pearl.

- Aha - mówi rehotliwie Pearl. - Pearl. Peril. Pearl.

Oboje wybuchają śmiechem. Nawet szef odwraca głowę i błyska zębami w uśmiechu.

- Pearl - odzywa się Stella - czy mogłabyś pokazać Jake'owi, gdzie trzymamy farby, drabiny i inne rzeczy? Pani D życzy sobie, żeby już dziś zaczął malować okna.

- Chodź ze mną, chłopcze — mówi Pearl i nie przestając chichotać, rusza rozkołysanym krokiem w stronę korytarza.

W południe wilgotne powietrze stoi nieruchomo, niebo jest ciężkie od deszczu, który nie spadł. Jake ściąga T-shirta i pracuje w samych dżinsach. W ręce trzyma opalarkę. Jest zadowolony, że ma coś do roboty, konkretne zadanie do wykonania. Gdyby nie to, włóczyłby się zapewne oszołomiony. Pod ryczącym strumieniem żaru w farbie tworzą się pęcherze, całe jej płaty odrywają się od ram i spadają na ziemię. Pot spływa z czoła Jake'a, swędzi go skóra głowy. Metalową szpachelką zdziera co oporniejsze kawałki.

Widziane z zewnątrz pokoje są mroczne i niezgłębione; Jake ma wrażenie, jakby spoglądał w toń jeziora. Okrąża

* Ang. zagrożenie, niebezpieczeństwo. Nieporozumienie spowodowane jest charakterystyczną szkocką wymową (przyp. tłum.).

budynek, opiera drabinę o mury z wypukłych kamieni, liczy okna, oblicza, ile mu będzie potrzeba farby, sprawdza, czy któraś rama nie gnije. Kiedy pani Draper spytała go o doświadczenie w malowaniu okien, nie wspomniał, że jedyne okna, jakie malował, to te na planie filmowym, okna, które wychodziły na fałszywe krajobrazy, cyfrowe halucynacje, na nicość. Nie uważał jednak, by było to w jakiś sposób ważne... czy jedno bardzo mogło się różnić od drugiego?

Kiedy zaczyna opalać jedno z okien jadalni, dostrzega w głębi Stelli, blady owal jej twarzy wypływa ku niemu.

Jake oczywiście nie oczekiwał, że jego ojciec nadal tu jest. Nie wyobrażał go sobie stojącego przy bramie tego mistycznego miejsca o nazwie Kildoune i czekającego z otwartymi ramionami, żeby powitać go w swoim życiu. Jednak, co naturalne, w jakimś zakątku umysłu coś mu szeptało, siejąc zamęt, może on tam jest, a co jeśli tam jest, przecież mógłby tam być. I chociaż tak bardzo logicznie starał się myśleć, chociaż wiedział doskonale, że odnalezienie Kildoune nie może być równoznaczne z odnalezieniem jego... to przecież odczuwał rozczarowanie.

Jake nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo chce go odnaleźć, dopóki tu nie przyjechał. Zawsze sobie powtarzał, że to nieważne, że matka mu całkowicie wystarcza, że rekompensuje mu wszelkie braki, jakie mógł odczuwać. W tym jednak miejscu, stojąc przed Kildoune, które jest pełne nie znanych mu obcych, nie potrafi się już dłużej w ten sposób okłamywać. Macierzyństwo to sprawa oczywista, określona. Te dziewięć miesięcy, jakie spędza się z drugą istotą ludzką, ukrytą we własnym wnętrzu, to obowiązujący do końca życia, niepisany kontrakt, którego nie można unieważnić. Natomiast ojcostwo jest czymś mgławicowym, nieokreślonym, niemalże niczym, jeśli zostanie ograniczone do wystrzelenia w pustkę wyposażonej w ogonek komórki.

Nie wie, czego się spodziewał. Nie spodziewał się niczego i spodziewał się wszystkiego. O Kildoune myślał przez całe życie, wyobrażał je sobie ciągle inaczej, budował je i demolował w myślach. Czegoś takiego jednak nie oczekiwał: wspinały dom z szarego kamienia, gąszcz zmokniętych jodeł, rozległe niebo ze zwałami chmur i kobieta o długiej szyi, która patrzy na niego poważnym, nieprzeniknionym kocim wzrokiem.

Stella wychodzi frontowymi drzwiami hotelu; w ręce trzyma talerzyk z kanapką. Zeby dobrze widzieć, musi osłonić dłonią oczy - słońce przedarło się właśnie przez chmury. W powietrzu wisi słodkawy, duszący zapach rozgrzanych paproci i torfu.

Rozgląda się wokół i po chwili za wysypanym żwirem podjazdem, za łukiem trawnika widzi opartą o ścianę domu drabinę. Ten nowy, Jake, tkwi na jej szczycie i zeskrobuje energicznie farbę z okna na piętrze, głowę owinał T-shirtem, w stylu Beau Geste'a, żołnierza Legii Cudzoziemskiej.

- Zrobiłam ci kanapkę - woła Stella, podchodząc do drabiny i unosząc rękę z talerzykiem. - Zostawię ją tutaj.

- Nie - mężczyzna odkłada skrobaczkę i zrywa T-shirta z głowy - poczekaj sekundkę. Zejdę. - Drabina drga i trzęsie się, kiedy schodzi. Stella przytrzymuje ją. - Dzięki. - Uśmiecha się do niej i zeskakuje na ziemię, omijając ostatnie trzy szczeble. - Fantastycznie - oświadcza, biorąc od niej talerzyk. - Umieram z głodu.

Stella zmusza się, żeby patrzeć w bok, kiedy on wkłada T-shirta. Ziemia wokół jej stóp upstrzona jest twardymi, suchymi wiórkami farby. Czeką, aż Jake się odezwie. Czyż nie chciał jej o coś zapytać? Tymczasem on milczy, uśmiecha się tylko do niej, podnosząc kanapkę do ust. To taki osobliwy,

dyskretny uśmiech — tai się w kącikach warg, podczas kiedy oczy muskają jej twarz, włosy, szyję.

- J a k ci idzie? - pyta raptownie Stella.

On kiwa głową, przeżuując i przełykając.

- Niezgorzej. Niektóre okna są trochę zapuszczone, nadgnięte, ale pani Draper mówi, że do tych weźmie kogoś odpowiedniego.

- Odpowiedniego?

- Tak. Nie takiego jak ja.

- Czemu? Ty nie jesteś kimś odpowiednim? - pyta i natychmiast tego żałuje.

On patrzy na nią i uśmiech znów okala jego usta.

- Nie, raczej nie. A ty jesteś?

- Skąd pochodzisz? - pyta Stella, ignorując jego pytanie.

- Z Hongkongu.

- Z Hongkongu? - Wybuchła śmiechem.

- Co w tym śmiesznego?

- Nie mam pojęcia. - Musi się powstrzymywać, żeby nie roześmiać się ponownie. - Po prostu nie tego się spodziewałam.

- Dlaczego? Czego się spodziewałaś?

- Ee... nie jestem pewna. Nie wiem... może Londynu.

- W życiu. - Jake kręci głową i krzywi się. - Spędziłem tam może ze czterdzieści minut. Nie zrobił na mnie najlepszego wrażenia. - Wpatruje się w nią błękitnymi oczyma. - A ty?

- Co ja?

- Ty też nie jesteś stąd, prawda?

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem. - Jake wzrusza ramionami, wkłada do ust ostatni kęs kanapki.

- Skąd? - Stella domaga się odpowiedzi, chociaż wie, że powinna w tym momencie zakończyć rozmowę i odejść.

Jake cofa się o krok i udaje, że ogląda ją od stóp do głów. Stella czuje, jak pod ubraniem oblewa ją żar.

- Twoje uczesanie - odlicza Jake na palcach - te buty, twój akcent...

- Mój akcent? - szydzi Stella. - Cóż pan mógłby wiedzieć na ten temat, panie Ekspatriant?

- Niewiele. Ale rozumiem, co mówisz - celuje palcem w środek jej klatki piersiowej - czego o większości tutejszych ludzi nie mogę powiedzieć. - Raz jeszcze wzrusza ramionami. - Nie mówisz do mnie miejscowym narzeczem.

Stella patrzy na niego gniewnym wzrokiem. Ogarnia ją niewytłumaczalna i niezrozumiała wściekłość. Żyje sobie tutaj, sama i nie niepokojona od miesięcy, po czym zupełnie znikąd pojawia się ten facet i zaczyna jej zadawać osobiste pytania. Dlaczego tu jesteś, ma ochotę go zapytać, po co tu przyjechałeś?

- Powiesz mi więc, skąd jesteś? - pyta ją mężczyzna. - Czy może to tajemnica?

- Tajemnica! - rzuca ostro Stella.

- W porządku. - Jej wrogość zdaje się nie robić na nim żadnego wrażenia.

Stella obraca się na pięcie, żwir chrzęści pod jej obcasami, i szybko odchodzi.

- Hej! - woła Jack za oddalającą się postacią. - Możesz mi coś powiedzieć?

- Co? - Stella rzuca przez ramię, nie zatrzymując się.

Jake czuje, że ją wyprowadził z równowagi, ale nie bardzo wie czym.

- • Od kiedy ten dom jest hotelem?

Jake widzi, że to pytanie zatrzymuje ją w miejscu i dziewczyna wykonuje półobrót. W ostrym słońcu czarny cień nieruchomieje u jej stóp, czai się w oczekiwaniu na kolejny ruch.

- Wydaje mi się, że od dwudziestu pięciu lat — odpowiada Stella. - Mniej więcej.

Jake przykłada to sobie w głowie do długości własnego

życia, jakby rozwijał obok siebie dwie taśmy miernicze. To daje Tomowi cztery lata na podróż do Indii, poznanie matki, spółdzenie go i... co? Co jeszcze mógł zrobić w tym pustym, nie zapisanym okresie. Bóg jedynie wie. Wrócić tutaj, do swojej komuny? Ten dom nie pasuje na ośrodek dla jakiejś komuny - zbyt duży, nazbyt okazały. Czy udał się gdzieś indziej? Przeniósł się? Tutaj go teraz nie ma, Jake jest tego pewien, niemniej na samą myśl, że mógłby nadal przebywać w tej okolicy, być może w innej komunie, albo prowadzić uporządkowane życie w jakimś bliźniaku, przenika go dreszcz. Przez chwilę zastanawia się, jakby zareagował Tom, gdyby wyszedł z za rogu i natknął się na swojego sobowtóra z przeszłości, swój wizerunek sprzed lat.

- Dwadzieścia pięć lat? - powtarza.

- Taa. - Stella już całkiem odwróciła się do niego, cień powielił jej ruch. - Dlaczego pytasz?

Nie powie jej. Nie powie, myśli.

- Nic takiego, ja... - I nagle zmienia decyzję. - No tak. - Zastanawia się. - Ktoś... kogo znam, mógł tu... kiedyś mieszkać. Dawno temu. Pewien... krewny.

- Aha - Stella kiwa głową - rozumiem. Powinieneś zapytać Pearl. Ona wie wszystko.

- Dobrze. Zapytam. - Macha do niej i wraca na drabinę. - Dzięki.

Stella nie wsiada do karetki z Niną i z matką. Przygląda się, jak dwaj mężczyźni przypinają jej siostrę pasami do noszy na kółkach. Nina ma głowę odwróconą na bok, a na twarzy jakąś plastikową maskę. Elastyczna taśma, która ją trzyma w miejscu, ściąga włosy Niny na czubek głowy. Stella chciałaby je przygładzić. Jest przekonana, że Nina nie życzyłaby sobie, żeby coś ją tak ciągnęło za włosy.

Matka włożyła pod nocną koszulę spodnie, na ramiona zarzuciła płaszcz Archiego. Jej stopy jednak są bose. Mnóstwo ludzi, z ich domu i z sąsiednich, wyszło na ulicę, żeby popatrzeć, jak zabierają córkę Gilmore'ów. Stella wolałaby, żeby nie oglądali jej matki w takim stanie. Francesca wsiała do karetki i czeka w jej wnętrzu, zanim wstawią nosze z Niną. Stellę to cieszy. W ten sposób siostra nie będzie ani przez chwilę samotna w tej mrocznej przestrzeni zawieszonych drutami, pasami i rurkami. A potem mężczyźni zatrząskują drzwiami pojazdu.

Stella jedzie z ojcem samochodem za zawodzącą karetką. Stella ma swoje stałe miejsce za plecami ojca, który zawsze siedzi w fotelu kierowcy. Wydaje się jej rzeczą niewłaściwą, że połowa auta jest pusta. Spogląda na miejsca, gdzie powinny siedzieć matka i Nina, i zamartwia się, że bez tego obciążenia z drugiej strony samochód może stracić równowagę i się przewrócić.

W szpitalu matka, ciągle bosa i w nocnej koszuli, ścisną jej rękę i w ogóle na nią nie patrząc, powtarza w kółko, że wszystko będzie dobrze. Stellę sadzają na krzesła, które kiwa się przy każdym jej ruchu.

Najpierw znika ojciec, potem matka, w końcu oboje. Piełęgniarka przynosi koszyk jaskrawokolorowych zabawek, na które Stella jest już za duża. Dziewczynka kiwa krzesłem w przód i w tył, obserwuje, jak światło wpadające przez okno w suficie korytarza spływa na wypastowane linoleum, tworząc połyskliwe jezioro, i liczy wszystkie dźwięki, jakie docierają do jej uszu. Dochodzi do czterdziestu dwóch i daje spokój. Uświadamia sobie, że jest bardzo głodna, ale nie wie, komu mogłaby o tym powiedzieć. Wyciąga sznurowadła z butów, związuje je i zaczyna się bawić w kocią kołyskę, co robią zawsze z Niną, kiedy im się nudzi. W pobliżu nie ma jednak nikogo, kto włożyłby palce w tę cudownie symetryczną

konstrukcję i przejął ją, ona zresztą i tak nie pamięta, co następuje po trzecim ruchu, i kiedy próbuje to sobie przypomnieć, sznurowadła zawęzła się i płaczą na jej rękach i w końcu rzuca je zamotane na kolana.

Dziadkowie zjawiają się, kiedy już smuga światła padająca przez okno wydłuża się na tyle, że dotyka jej nogi. Ich widok zaskakuje Stellę. Babka całuje ją kilkakrotnie w czoło i przytula. Dziadek znika, potem babka i po jakimś czasie pojawiają się oboje razem z jej rodzicami.

Wszyscy czworo stoją w korytarzu i prowadzą nad głową Stelli ożywioną rozmowę. Ciągłe jej dotykają - włosów, ramienia, ręki. Stelli się to nie podoba i ma ochotę umknąć. Ale podnosi wzrok na twarz ojca i widzi, że jest mokra. Ojciec ma zamglone oczy, posklejane rzęsy. Ojciec płakał. To budzi w Stelli przerażenie. Bo ojciec nigdy nie płacze. Nigdy. Ojcowie nie płaczą. Ona to wie. Przenosi wzrok na matkę i widzi, że ona też ma zaczerwienione oczy i ściska w dłoni wilgotne chusteczki higieniczne.

Stella zaczyna płakać, najpierw po cichu, łzy wypełniają jej oczy i spływają po policzkach. Przybliża do twarzy kłębek splątanych sznurowadeł i chlipie w niego. Spogląda ponownie na twarze rodziców i nagle poraża ją zgroza. Bierze głęboki, spazmatyczny oddech.

- GDZIE JEST NINA?! - ryczy. - GDZIE ONA JEST?!
GDZIE JEST NINA?!

Po kilku sekundach, a przynajmniej tak jej się wydaje, siedzi na ladzie w restauracji w Musselburghu. Nogi zwisają w powietrzu. Babka karmi ją lodami za pomocą długiej srebrnej łyżeczki i przemawia do niej tym swoim kojącym, miękkim włoskim. Okna są zaparowane, ona jednak widzi, że pada deszcz. Dziwne, ale sznurowadła są z powrotem na miejscu, tyle że nie krzyżują się ukośnie, jak lubi, a tworzą proste, równoległe linie. W kącie sali dziadek rozmawia przez telefon, pa-

pierosa trzyma w tej samej ręce co słuchawkę. Stella chciałaby przypomnieć mu o papierosie. Dziadek musiał o nim zapomnieć, bo co chwilę popiół sypie się na jego kamizelkę.

- Gdzie jest Nina? - pyta dziewczynka.

Babka spogląda na nią swoimi brązowymi oczyma.

- Wiesz, gdzie jest. Powiedziałam ci. Pamiętasz?

- *Dov'e Nina?* - Stella próbuje po włosku.

- Przecież pamiętasz szpital - mówi babka łagodnie, a potem mówi inne rzeczy, których Stella nie rozumie. Widzi, jak poruszają się wargi babki, i słyszy dźwięki, ale nie potrafi wyłowić z nich poszczególnych słów.

- Gdzie jest Nina? - powtarza uparcie. - *Dov'e Nina?*

Gdzie jest Nina?

Latem, kiedy miała dziewiętnaście lat, Stelli „odbiło”, jak to ujęła Nina. Skończyły już szkołę i większą część roku spędzały z dala od siebie - Stella na uniwersytecie w Londynie, a Nina, początkowo, w Art College w Edynburgu. Nina wytrzymała tam zaledwie pół semestru; kiedy wykładowca poinformował ją, że ma spędzić cztery tygodnie na konstruowaniu krosna, na którym przez następny semestr będzie tkąta tweed, powiedziała mu, żeby się pieprzył.

Całe tygodnie wałkoniła się w swoim pokoju, słuchała muzyki, wyskubywała brwi, farbowała na różne kolory włosy i pisała do Stelli długie, gniewne listy, dopóki Francesca nie zaprowadziła jej do szkoły dla sekretarek. Uzbrojona w świadectwo maszynistki piszącej metodą bezwzrokową (udało jej się to dzięki przekupieniu siedzącej obok dziewczyny, która wykonała także jej zadanie), uzyskała nęcącą posadę w przychodni ogólnej. Młody, ale ambitny pan doktor, który prowadził przychodnię, był wstrząśnięty poziomem jej maszynopisania, ale postanowił, że i tak się z nią ożeni.

Stella, która wiodła nowe, tajemne życie, wróciła z Londynu do domu pełnego ślubnych prospektów, wzorów sukien, planów rozsądzenia gości, list prezentów, próbek kolorów i katalogów firm cateringowych. Matka była tak przejęta, że pod skórą jej szyi widoczne były naprężone ścięgna. Ojciec przez cały dzień krył się w biurze. Miejsce jej siostry, studentki sztuk pięknych, która nosiła poplamione farbami sukienki, uganiała się za chłopcami, piła zbyt dużo wódki i zapominała o braniu lekarstwa, zajęła wymanikiurowana kobieta, prowadząca rozmowy z agentami od nieruchomości, rozprawiająca o materiałach na suknie drухen i nosząca szyte na miarę spódniczki, szpilki oraz wiązane pod szyją jedwabne apaszki. I codziennie na kolacji pojawiał się ten obcy facet w garniturze, który tytułował jej siostrę „swoją Sekretną Sekretarką”.

Stella udała się do miasta i wyczyściła swoje konto ze wszystkich pieniędzy, jakie odłożyła, pracując jako kelnerka u dziadków podczas letnich wakacji, i poszła do biura podróży przy Princess Street, gdzie kupiła rozkład jazdy pociągów na całą Europę, bilety kolejowe i przewodnik.

Wyciągnęła spod łóżka torbę i wyjechała wczesnym przedpołudniem, kiedy Francesca z Niną miały przymiarke u krawcowej. Nabazgrała niemal nieczytelną notkę: „Wyjechałam do Europy, wrócę na ślub”. Oglądała się niespokojnie przez ramię, spiesząc Arden Street na przystanek autobusowy i na peronie stacji Waverley, w oczekiwaniu na pociąg, który miał ją powieźć ku wolności, swobodzie, spokojowi. Odprężyła się dopiero na rozkołysanym nocnym promie do Calais, otoczona grupami młodych ludzi ze śpiworami, wśród pijanych, chrapiących mężczyzn, nafaszerowanych tetrazyną dzieciaków, owiewana zapachem benzyny i odgrzewanego jedzenia. Stella nigdy wcześniej nie wyjeżdżała za granicę.

Przejechała przez Francję pociągami. W Paryżu kupiła

tackę brzoskwiń o białym miąższu i jadła jedną po drugiej, podczas gdy pociąg pędził pośród pól kukurydzianych i winnic. Przez otwarte okna do wnętrza wagonu wpadało wirujące, aromatyczne i ciepłe powietrze. Na południe dojechała głęboką nocą i bezzwłocznie przesiadła się do kolejnego pociągu, z napisem „Marsylia - Rzym”.

Dojechała na miejsce wczesnym rankiem; bolały ją ramiona, bo podczas drzemki kurczowo przyciskała do siebie torbę. Na zeszywniałych nogach zeszała po stopniach wagonu i poszła przez dworzec ku słońcu. Pytała o drogę językiem, którego nauczyła ją matka, mepewna, czy okaże się użyteczny. Tymczasem ci nieznajomi nie tylko ją rozumieli, ale odpowiadali na jej pytania. Wydawało jej się to czymś niewiarygodnym, niemalże magicznym, by ktokolwiek poza jej rodzinnym mikrokosmosem używał tych słów, tej gramatyki, tej składni.

Otoczona okręgiem wyszczerbionych murów Koloseum, z planem miasta rozłożonym na kolanach, zjadła ostatnią brzoskwinie. Odwiedziła pomalowany na różowo dom, w którym zmarł sławny młody poeta, powędrowała w górę i w dół Schodów Hiszpańskich, zamoczyła stopy w fontannie o kształcie łodzi. Ciągle miała ochotę zatrzymywać przechodniów, chwycić ich za ramię i zaglądać im w twarz. Gdziekolwiek spojrzeła, widziała ludzi o swoim zarysie podbródka, kształcie kości policzkowych, linii czoła. Czyż mnie nie rozpoznajecie, chciała zapytać, bo ja na pewno was znam.

Gnało ją nieodparte pragnienie, by zobaczyć wszystko. Pojechała w głąb kraju, przesiadała się z pociągu na pociąg, wspięła po kręconych schodach na pasiastą *campanile*, pojechała do miasta przez prawie dwa tysiące lat pogrzebanego pod wulkanicznym popiołem, pływała w błękitnym Adriatyku, w wyłożonej kafelkami *gelaterie* jadła *stratiacelli*, których smak był jej tak znany, że aż się uśmiechnęła.

W mieście znanym jej z opowieści dziadka o tym, jak to kiedyś wyruszył do Szkocji, wsiadła do autobusu, który według informacji mężczyzny z kasy biletowej miał ją zabrać do regionu, skąd pochodzili jej dziadkowie. Niełatwo było dotrzeć do ich wioski. Nikt tak naprawdę, powiedział sprzedawca, już tam nie jeździ. W Agnone przesiadła się do kolejnego autobusu, potem skorzystała z uprzejmości jakiejś rodziny, która jechała w tamtym kierunku. Stella siedziała na tylnej kanapie, wciśnięta pomiędzy dzieci, z torbą na kolanach. Samochód wspinał się coraz wyżej, powietrze było coraz bardziej rozrzedzone, nad drogą piętrzyły się górskie granie.

Wysadzili ją na poboczu drogi, skąd ruszyła ścieżką, którą sześćdziesiąt lat wcześniej, w przeciwnym kierunku, szedł jej dziadek. Kiedy pokonała ostatni zakręt, zza którego wyłoniła się wioska, uświadomiła sobie, że tak naprawdę to nigdy nie wierzyła, że miejsce, z którego oni pochodzili, miejsce, o którym jej opowiadali, jest czymś prawdziwym i rzeczywistym i że przez cały ten czas, pomimo ich nieobecności, ono tutaj istniało.

Przez godzinę siedziała na mostku z dwoma łukami, w miejscu, gdzie strumień dzielił się na dwoje; sprawiła sobie prawdziwą przyjemność, kupując anyżkowe dropsy w miejscowej aptece. Chodziła opustoszałymi, brukowanymi uliczkami, spoglądała na ułożone porządnie stopy drewna opałowego, na doniczki z pelargoniami, kury grzebiące w ziemi, na wodotrysk z wytartą krawędzią. Patrzyła na puste okna opuszczonych, walących się domów i zastanawiała się, który należał do Yalerii. Idący powoli pod górę staruszek zobaczył ją w drzwiach jednego z takich rozsypujących się budynków i przechodząc obok, wymamrotał do niej: „*Scozia*, oni wszyscy tam wyjechali, *Scozia*”. Stella pomyślała, że mogłaby za nim pobiec, spytać, czy pamięta Domenica i Yalerię - był

mniej więcej w ich wieku, musiał ich znać - ale nie ruszyła się z miejsca. Chciała zachować anonimowość, nie pozostawić po sobie żadnego śladu.

Stała w budce telefonicznej na placu, przyglądała się odbłyском światła na wodzie i myślała o tym, że gdzieś musi przenocować, kupić coś na lunch i o tym, jakie hałaśliwe są motocykle.

- Wpakowałaś się w duże kłopoty. - Nina podniosła słuchawkę po drugim sygnale.

- Wiem - odparła Stella. Zrzuciła pantofle, podskoczyła i przysiadła na metalowym pulpicie. W tym kraju jej ciało było rozgrzane do szpiku kości, stawy elastyczne, giętkie. Może i czuła się tutaj bardziej szkocka niż kiedykolwiek wcześniej, ale odnosiła wrażenie, jakby każda jej cząsteczka samodzielnie reagowała na ten klimat, rozpoznawała go.

- Czy to ona? Czy to ona? - słyszała, jak matka wykrzykuje w restauracji w Musselburghu.

Odwiesiła słuchawkę. Przyjrzała się ponownie pluskającym strumykom, roztańczonym, roziskrzonym refleksom świetlnym na wodzie, zamglonym sylwetkom gór. Zeskoczyła z pulpitu i stwierdziła, że ktoś sięgnął ręką pod taflą szkła i ukradł jej pantofle. Szła potem boso przez kościół, a odbite od fresków światło złotem i błękitem oblewało jej skórę.

Uzgodniono, choć jej samej nikt tego nie powiedział, że Stella zamieszka z dziadkami na ten czas, kiedy Nina będzie w szpitalu. Dostała pokój od tyłu, z łóżkiem, które matka dzieliła kiedyś ze swoimi siostrami. Było to łóżko podwójne, z wezgłowiem tak wypolerowanym, że można było w nim dojrzeć rozmyte, przymglone odbicie własnej twarzy, i z głęboko zapadniętym pośrodku materacem. Gdyby Nina była tu razem z nią, każdej nocy staczałyby się na siebie.

Stella spędziła kilka tygodni w stanie, który jej ojciec nazywał „drętwotą”. Siedziała w kuchni na krześle, z wiszącymi w powietrzu nad linoleum nogami, obok dziadka, który przygotowywał rybę z frytkami i groszkiem *dlascozzesi*, i patrzyła w przestrzeń. Nie mówiła nic, tylko w kółko zadawała pytania: gdzie jest Nina? kiedy wraca? czy ona umrze? kiedy ją zobaczę? Bez siostry Stella nie miała pojęcia, jak się zachowywać, jak żyć, co mówić, czym wypełnić cały dzień.

Dziadek zrobił jej ulubione danie - kreskowane kłębki ziemniaczanych *gnocchi* — i karmił ją nimi, jakby była niemowlęciem. Łzy spływały po jej twarzy prosto do *sosupomodoro*, a Domenico nazwał je przyprawą i wmieszał w sos. Raz w tygodniu przychodziła matka i zabierała ją na spacer. Obchodziły miejskie mosty, a matka kurczowo trzymała ją za rękę i popłakiwała w chusteczkę.

Pewnego dnia Valeria przyniosła do restauracji granatowy fartuszek, taki sam jak jej i męża, tyle że w dziecięcym rozmiarze, i nałożyła go Stelli. Trwają letnie wakacje, wyjaśniła wnuczce, jest duży ruch i potrzebna im jest dodatkowa pomoc. Stella nosiła gościom szklanki z lemoniadą, pozwalano jej też oblewać sosami desery lodowe. Tłumaczyła bardziej skomplikowane zamówienia, żeby dziadkowie mogli zrozumieć, o co chodzi. Siedziała wysoko na kontuarze i informowała babkę, kto już skończył, kto nadal je i komu przydałoby się jeszcze trochę kawy.

- Co my byśmy bez ciebie zrobili? - mawiał wuj Giancarlo, często po kilka razy dziennie.

W tym okresie Stella płakała wyłącznie nocą, kiedy otaczała ją pustka wielkiego, jak jej się zdawało, pokoju.

Miała wrażenie, że spędziła w Musselburghu już wiele miesięcy, a nawet lat, kiedy pewnego dnia Yaleria zabrała ją do Niny do szpitala. Stella była zaskoczona. Od tygodni o to prosiła i dziadkowie niezmiennie powtarzali nie, ale przecież

możesz napisać list. Stella nie wiedziała, dlaczego babka nagle zmieniła zdanie.

- Dlaczego teraz możemy iść? - spytała, kiedy już siedziały w autobusie.

Valeria udawała, że nie słyszy, zajmowała się biletami, chowała drobne do portmonetki.

- Dlaczego teraz wolno mi tam pójść - dopytywała się Stella - a przedtem nie mogłam?

- Dlatego - odparła Yaleria i westchnęła.

Stella patrzyła, jak babka odwraca szybko głowę i wydmuchuje nos.

Babka trzymała jej dłoń w obydwu rękach, kiedy przemierzały korytarz za korytarzem, a potem szły po schodach i oszkłonym łącznikiem. Mijały porzucone wózki inwalidzkie, zamknięte drzwi, pielęgniarki w pantoflach, których podeszwy popiskiwały na linoleum, przechadzających się pacjentów w szlafrokach, lekarzy ze stetoskopami, jakiegoś mężczyznę trzymającego dwie wiązanki pomarańczowymi kwiatami do dołu, kobietę bez włosów. Zanim przeszły przez ciężkie wahadłowe drzwi, babka zatrzymała się i poprawiła Stelli kołnierzyk.

- *Seiprontol* - spytała, dotykając policzka wnuczki. - *Andiamo*.

Znajdowały się na długim korytarzu, z oknami po jednej stronie i ścianą pomalowaną na mdły żółtozielony kolor po drugiej. Było bardzo cicho. Stella pomyślała nagle, że chciałyby iść do toalety, ale jeden rzut oka na zastygłą twarz babki wystarczył, żeby zrezygnowała z tego pomysłu. Doszły niemal do końca korytarza.

Yaleria schyliła się i podniosła Stellę. Przed sobą, za szybą, jak na ekranie telewizyjnym, dziewczynka zobaczyła rodziców; matka siedziała na krześle przy łóżku, ojciec stał obok niej, a na łóżku leżała sztywna, wyprostowana postać z zapadniętymi oczyma i z ogoloną głową, patrząca prosto na

nią. Stella zauważyła, że postać ta ubrana jest w kwiecistą nocną koszulę, taką samą jak jej własna.

- Uśmiechnij się - szeptała do niej babka - uśmiechnij się do niej.

Stella rozciągnęła twarz w uśmiechu. Czuła na zębach suchość i chłód szpitalnego powietrza. Podniosła rękę i pomachała.

- Świetnie - zachęcała ją Yaleria. - *Brava ragazza.*

- Dlaczego Nina nie macha do mnie? - spytała Stella.

- Nie może się ruszać, kochanie.

Stella machała i machała. Z tamtej strony szyby pomachała jej matka, a potem ojciec. Cała trójka machała rozpaczliwie, jakby mogło się wydarzyć coś okropnego, gdyby tylko przestali.

- Przyjrzyj się jej dokładnie, dobrze? - szepnęła babka, tak cicho, że Stella nie była pewna, czy właściwie ją zrozumiała. - Żebyś mogła zapamiętać.

Sufit nad jej głową jest brudnobiały i nierówny. Nina zna na pamięć układ drobnych pęknięć, które go znaczą jak rzeki płynące przez góry, kiedy ogląda się je z samolotu.

Nina nigdy nie leciała samolotem. Ale wyobraża sobie, że tak by to właśnie wyglądało, gdyby leciała wysoko, tuż pod białymi strzępiastymi chmurami. Patrzyłaby w dół i widziałaby przepływającą pod nią daleko w dole pomarszczoną ziemię oraz drgający cień samolotu.

Porusza oczami. Wymaga to od niej wielkiego wysiłku, jakby były czymś obciążone albo jakby w jej wnętrzu zwalniała jakaś maszyna.

Pokój jest ciemny, żaluzje opuszczone. Listewki obrócono w dół ku podłodze, ale ze swojego miejsca Nina widzi, jak przez wąziutkie szczeliny wciska się do wnętrza czarna noc.

Jest zdziwiona. Czyż dosłownie przed chwilą nie było tutaj jej rodziców? A może to było już dawno temu? Nie pamięta. Wydaje jej się, że przypomina sobie Stellę. Była na korytarzu, z babką i patrzyła na nią. A może to wcale się nie wydarzyło. Nie może sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziała siostrę.

Podnosi oczy na zegar wiszący na ścianie naprzeciwko. Widzi, jak wskazówka sekundnika rzuca się do przodu i staje, szarpie się i staje, ale kiedy próbuje skupić się na tych grubszych wskazówkach, zaczynają drgać i się rozmywać.

Ze zdumieniem spostrzega po swojej prawej stronie pielęgniarkę. Siedzi obok niej na krześle. W mroku jej oczy błyszczą niczym rtęć. Nina nie wie, dlaczego teraz w jej pokoju jest zawsze jakaś pielęgniarka, dlaczego zawsze ją obserwuje. Przedtem nigdy ich tu nie było.

Odwraca wzrok, spogląda wzdłuż własnego, przykrytego szpitalnym kocem ciała. Mogłaby przysiąc, że przedtem jej ręce były ułożone razem, z palcami jednej ręki wsuniętymi w zgięcie łokcia drugiej. Teraz widzi, że leżą przy bokach. Jej rozchyłone stopy tworzą literę V i spiczaście unoszą koc do góry.

Na zewnątrz pokoju z wymalowanymi na szybach postaciami z filmów rysunkowych, w kolorach tak jaskrawych, że boli ją od nich głowa, słyhać jakiś hałas. Ktoś biegnie korytarzem. Stopy klaszczą o linoleum. Nina zna to linoleum, pamięta jego ciemnoczerwoną, dziobatą powierzchnię, ziarnistą, nierówną fakturę pod podszwami bamboszy. Ostatniego dnia, którego była jeszcze w stanie chodzić, przeszła po nim. Sama. Całą drogę do łazienki. Nie pozwoliłaby, żeby ją zanieśli, za nic by nie pozwoliła. Trzęsa się i zataczała, i palcami czepiała ściany, i zabrało jej to mnóstwo czasu, i sprawiało ból. Ale dokonała tego.

Malutka postać śmiga korytarzem. Chłopczyk z innego pokoju. Nina widziała go już kiedyś. Wszedł do jej pokoju i spytał, jak ma na imię. Zanim zdążyła odpowiedzieć, pielę-

gniarka go przegoniła. Teraz biegnie, ciągnie za sobą stojak z kroplówką niczym pociąg na sznurku. Jego śmiech urywa się w momencie, w którym mija jej otwarte drzwi.

Potem Nina słyszy coś innego. Podążające za nim kroki. Ciężkie kroki, odbijające się echem. Kroki osoby dorosłej. Pielęgniarki.

- Wracaj - woła pielęgniarka. - Nie żartuję.

- Nie złapiesz mnie! - krzyczy chłopiec, a jego głos jest już odległy, jakby malec zdążył skręcić za róg.

Ninie wydaje się, że z tamtej strony, za jej pokojem, jest zakręt, który prowadzi do większego korytarza. Widziała go, kiedy jeszcze wychodziła z pokoju.

- Bądź cicho - słyszy po chwili syczący szept pielęgniarki. Bądź cicho. Nina usłyszy te słowa później we własnej głowie. - Tam umiera dziewczynka.

Przez krótką chwilę Nina czuje współczucie dla tej dziewczynki i zastanawia się, ile też ona może mieć lat, w jakim trzeba być wieku, żeby umrzeć, i czy ta dziewczynka jest przestraszona, i czy będzie samotna tam, po drugiej stronie, i Nina kieruje oczy na pielęgniarkę przy swoim łóżku, żeby sprawdzić, czy jej też jest przykro. Tymczasem pielęgniarka robi wrażenie zirytowanej i co dziwne, zawstydzonej. Zrywa się z krzesła i zatrzaskuje drzwi, upewnia się jeszcze, czy są dobrze zamknięte.

Kiedy wraca i ponownie siada, nie patrzy Ninie w oczy. Dziewczynka natomiast wlepia w nią nieruchomy wzrok i patrzy, patrzy bez końca. Kobieta nie podnosi oczu. I wtedy Nina już rozumie.

Pearl polecono zamoczyć dwadzieścia pięć posrebrzanych świeczników w kadzi wypełnionej wrzątkiem z dodatkiem amoniaku. Jeśli jest coś, co naprawdę doprowadza panią Draper

do szalu, to kapki wosku na świecznikach. Zeby już nie wspomnieć brudnych listew przypodłogowych, zakurzonych lambreków, zmydlonych kawałków mydła, zwietrzałych pot-pourri, zadrapanych blatów, wyszczerbionych talerzy, przekrzywionych dywanów, śladów butów na poprzeczkach krzesel.

Unoszące się opary amoniaku szczypią Pearl w oczy. Gorące, obojętne łzy spływają po jej twarzy. Jej dłonie robią się czerwonosine, kiedy pod wodą odrywa paznokciami grudki przyklejonego do lichtarzy wosku. Przypomina sobie piosenkę, którą śpiewał jej najmłodszy wnuk, kiedy odwoziła go tego ranka do szkoły.

- Zapuścił baczki i krótko je miał, na drugi dzień wiatr mu je zwał, biedaczysko... - nuci pod nosem.

- Pearl?

Kobieta podskakuje na dźwięk głosu za swoimi plecami, a lichtarze pod wodą dzwonią jeden o drugi.

- Chryste! - wykrzykuje i odwraca się do Jake'a, przyciskając dłoń do piersi. - Na śmierć mnie wystraszyłeś.

- Przepraszam - mówi Jake.

We włosach ma wiórki farby. Wielka szkoda, bo to ładne włosy. Większość młodzieńców w jego wieku pozbywa się włosów, tak jak jej syn, gołą je tuż przy skórze, gdy tymczasem jego włosy są długie i w sposób naturalny niesforne.

- A do tego - mówi Pearl - przyda ci się trochę rozpuszczalnika. - Wskazuje na jego czuprynę.

Jake podnosi rękę i maca sztywne, białe kosmyki.

- Ojej. Nie miałem pojęcia, że tak się urządziłem.

- Tam w szafce. - Popycha go w jej stronę. - Z tyłu. Znajdziesz tam szmatę.

Jake polewa cuchnącą cieczą kawałek starego ręcznika i przeglądając się w szybie drzwi, przeciąga nim po włosach.

- Ee, Stella wspomniała - mamrocze - ...ee... tak sobie myślałem...

- Hę? - Pearl podnosi wzrok znad lichtarza, który posypywała właśnie kredowym proszkiem do czyszczenia sreber.

- Czy pamiętasz tutejszą komunę?

- Tutejsze co?

- Komunę. Taka... taka grupa ludzi mieszkających razem. Raczej młodych ludzi. Jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści lat temu.

- Hm... - Pearl poleruje ozdobną krawędź lichtarza, wyglądając na zaintrygowaną.

- Wydaje mi się, że tacy mieszkali tutaj w Kildoune - dodaje Jake.

- Komuna, powiadasz? - Kobieta widzi w wypolerowanym trzonie lichtarza, jak jej usta układają się, kiedy wymawia to nowe słowo, i zaczyna rozumieć. - Och, masz na myśli hipisów - domyśla się.

- Tak. - Jake zbliża się do niej, jakby zamierzał ją objąć. - Tak - powtarza, ściskając szmatę w jednej ręce - hipisów.

- Taa - mówi kobieta ostrożnie.

Młodego człowieka spowija zapach rozpuszczalnika.

- Pamiętasz ich?

- No. - Kiwa potakująco głową. - Oczywiście. - Wybuchła krótkim śmiechem. - Trudno ich było nie zauważyć.

- Mieszkali tutaj? - W szeroko otwartych oczach Jake'a widoczne jest napięcie.

- Aha. Ale nie w tym dużym domu... tylko tam dalej.

- Rozumiem. Czy możesz... to znaczy, co pamiętasz?

- No cóż... - zaczyna kobieta.

Jest zaniepokojona, widząc, jak jest przejęty, a on to natychmiast wyczuwa.

- Bo rozumiesz, jeden z moich krewnych tam mieszkał - Jake wyrzuca z siebie pośpiesznie. - To znaczy tutaj. W komunie. A ja próbuję... dowiedzieć się czegoś więcej o... o nim.

Pearl marszczy brwi, zastanawia się, po czym recytuje wszyst-

ko, co pamięta, tak jak musiała robić to kiedyś w szkole, dawno, dawno temu.

- Ten starszy jegomość, pan Grant - zaczyna - pozwolił im zamieszkać w tej kolibie opodal. Dość długo tam przebywali. Cztery, może pięć lat. Coś takiego. Pracowałam wtedy dla niego - gotowanie i sprzątanie, ale szczerze mówiąc, było to zadanie niewdzięczne. To znaczy sprzątanie.

- I widywałaś ich? Rozmawiałaś z nimi?

- O tak. Byli całkiem sympatyczni. W większości bardzo młodzi. Nosili zabawne stroje, no wiesz. Całkiem sporo ludzi z miasteczka narzekało na nich. Ja natomiast zawsze powtarzałam, że są zupełnie nieszkodliwi.

- Możesz mi pokazać gdzie? Ten... ta koliba, tak powiedziałaś?

Pearl i Jake idą przez las. Wyzwolone od amoniaku dłonie kobiety odpoczywają. Jake stara się trzymać blisko niej, dostosowuje swój krok do jej kroku.

- Masz ją tutaj - obwieszcza nagle Pearl i wyciąga rękę w kierunku długiego, niskiego budynku z kamienia, wyłaniającego się zza rzadniejących drzew.

Dach z blachy falistej zapadł się częściowo, zniknęło jedno z okien. Z komina wyrasta wysoka, chwiejna roślina. Kiedy tak stoją i patrzą, ziejąca w dachu dziura eksploduje chmurą łopocącego skrzydłami ptactwa.

- To był dom po rugach, na którym ktoś kiedyś położył dach. Hipisi skopali wokół niego ogródek, posadzili warzywa i takie tam. Ale teraz to na pewno wszystko zdążyło już zarosnąć.

Podchodzą do drzwi i Jake znika we wnętrzu budynku.

- Wieki tu nie byłam - woła za nim Pearl, stojąc na zewnątrz ze skrzyżowanymi ramionami. Nie lubi wchodzić do opuszczonych domostw, szczególnie tych, z których wygnano mieszkańców. Czuje się trochę nieswojo, jakby obcowała

z duchami. — Pani Draper w kółko mówi o jego wyremontowaniu. No wiesz, zamontowaniu ogrzewania i w ogóle, żeby go wynajmować jako domek letni. Ale jeszcze się do tego nie zabrała. Uwierzę, kiedy to zobaczę na własne oczy. Jest tam coś w środku? Jakieś meble?

- Ee... - Głos Jake'a jest oddalony, stłumiony. - Jakieś są.

Zapada milczenie. Głęboka, nieruchoma cisza. Po chwili las wokół zaczyna szeleścić i szumieć, na ziemi pojawiają się i nikną plamy słońca.

- Jak i e? - pyta Pearl, żeby tylko podtrzymać rozmowę. Nie przepada też specjalnie za tym lasem, a już szczególnie nie lubi w nim stać i czekać, aż dopadnie ją cokolwiek to jest, co dopada ludzi w lesie.

- Słucham? - odzywa się wreszcie Jake.

- J a k i e? - krzyczy kobieta. - Meble.

- Hm, jest tu... jest stara kanapa. - Za sprawą grubych kamiennych ścian jego głos częściowo zanika. Najwyraźniej ogląda wszystko dokładnie. - I... i rama łóżka i... materac. Ale wszystko zbutwiałe.

Kiedy ponownie pojawia się w drzwiach, Pearl właśnie poprawia fartuch. Jake zmuszony jest się schylić i wtedy wyciąga w górę rękę i dotyka nadproża, jakby chciał ocenić odległość albo osłonić głowę, a może poczuć na palcach szorstki dotyk zimnego kamienia, Pearl tego nie wie, ale kiedy on wykonuje ten ruch, nagle to wszystko - co tutaj robia, co on tutaj robi, kim jest, dlaczego tu przyjechał - staje się dla niej jasne. Widziała, jak ktoś inny kiedyś zrobił to samo, w tym samym miejscu, w taki sam sposób, ktoś bardzo do niego podobny. Ktoś, kto lata temu wyglądał dokładnie tak, jak on wygląda teraz. Zupełnie o nim zapomniała, ale kiedy widzi, jak Jake dotyka nadproża, gdzieś w jej mózgu otwiera się jakaś klapka. Wpatruje się w Jake'a, kiedy tak stoją oboje na polance, i Pearl już wszystko wie i rozumie.

- Wiesz może, co się z nimi stało? - pyta Jake.

Kobieta odchrząkuje.

- Wyjechali, synu, wszyscy wyjechali. Kiedy ona kupiła to miejsce, to znaczy pani Draper... - Milknie, sądząc, że być może niemiło byłoby mu tego słuchać.

- Wyrzuciła ich? - kończy za nią.

Pearl kiwa głową.

- Wiesz, dokąd się udali?

Kobieta kręci głową.

- Ktokolwiek z nich?

- Nie. Przykro mi.

Kiedy stając po sprężystej, obsypanej igłami leśnej darni, wracają do dużego domu, Pearl tylko raz dotyka leciutko jego ramienia.

Stella z nogami opartymi na wysuniętej szufladzie biurka gryzmoli po gazecie, pokrywając jej róg zawiłym wzorkiem prostokątów i trójkątów. Ma nocny dyżur, co oznacza, że musi tkwić w recepcji co najmniej do dwunastej, odbierać telefony i spełniać życzenia gości. Nie ma nic przeciwko temu. Nienawidzi natomiast powrotu do przyczepy przez mroczny las. Drzewa szeleszczą i falują wokół niej, a w pewnym momencie do jej uszu zawsze dochodzi daleki szum pędzącej po kamieniach wody.

Obciąga właśnie rękawy pulovera na dłonie, kiedy z zdrygnięciem uświadamia sobie, że ktoś za nią stoi. Odwraca się. To ten nowy. Dziewczyna spogląda na niego bez słowa, ścisnąc pióro w palcach. On wygląda na równie zaskoczonego jej widokiem jak ona jego, kiedy tak stoi z uniesionym ramieniem i na wpół otwartymi ustami.

Stella bierze się w garść. Dlaczego mu się tak przygląda? Dlaczego on się tak w nią wpatruje?

- Cześć - mówi w końcu. - Wszystko w porządku?

- Taa - odpowiada Jake, ale nie brzmi to przekonująco.

Mężczyzna robi wrażenie, jakby zobaczył ducha, włosy stoją mu dęba, patrzy niezbyt przytomnie, oczy ma szeroko otwarte. Stella widzi, że ściska w ręce banknot dwudziestofuntowy.

- To dla mnie? - Powstrzymuje się, żeby nie zachichotać.

- Co?

- To. - Wskazuje banknot.

- O. - Twarz mu się odpręża. - Cóż, w pewnym sensie. Może mógłbym rozmienić. Potrzebne mi drobne. Na telefon.

- J a s n e . - Stella schyla się i grzebie w szufladzie, szukając kasy podręcznej. Jake stoi blisko niej. Odrobinę za blisko. Dziewczyna pozwala fotelowi przesunąć się w bok i kółko uderza go w stopę. Mężczyzna wydaje syk bólu i robi krok do tyłu. — Och, przepraszam. - Stella zakłada kosmyk włosów za ucho, powstrzymuje uśmiech i ze stosiku banknotów zdejmuje karteczkę, na której widnieje zapisane ręką pani Draper: „20 funtów zaliczki dla Jake'a Kildoune'a”.

Dziewczyna marszczy brwi i ponownie czyta notatkę. Kildoune? To jego nazwisko? Nazywa się Kildoune? Trzymając w ręku ten świstek papieru, odwraca się, żeby na niego popatrzeć.

- Czy to problem? - pyta Jake. - Bo zawsze mogę...

- Ależ nie - odpowiada szybko. - Żaden problem. Ja po prostu... - Milknie. Jake Kildoune. To naprawdę nie jej sprawa. Odwraca się ponownie do banknotów i monet. - Zastanawiałam się tylko, ile możesz potrzebować. - Zaczyna odliczać dwudziestopensówki. - Mogę ci dać jednego... nie, chwileczkę... dwa funty dwudziestkami i pięćdziesiątkami i...

- Dzwonię za granicę - oznajmia Jake.

- O. - Stella potrząsa głową. - Ach tak, ja... W porządku.

Ich oczy spotykają się raz, kiedy wysypuje monety w jego

nastawione dłonie. On pierwszy odwraca wzrok. Stella gestem wskazuje ukryty w holu za kompozycją z suchych kwiatów automat telefoniczny. Kiedy bierze do ręki gazetę, żeby zabrać się do rysowania kolejnego wzorku ze splecionych ze sobą kwadratów, słyszy brzęk wpadających do automatu monet.

- Caroline, to ja - odzywa się Jake.

Stella przelatuje wzrokiem artykuł o zmianach w rządowym gabinecie. Caroline? Na pewno jego dziewczyna. Znowu szarpie rękawy, żeby przykryć dłonie, i dygocze z zimna. Można tu zmarznąć na kość. Wraca do swoich prostokątów, zamalowuje co drugi. Nie słucha rozmowy, naprawdę jej nie słucha. Bo to rozmowa prywatna, a poza tym przecież czyta gazetę.

Odwraca płachtę i wpatruje się w reklamę aparatu słuchowego. Jake opowiada Caroline coś o nocnym pociągu i o przyjeździe do Szkocji wczesnym rankiem.

- Znalazłem je, Caroline. Znalazłem je. Jestem tutaj. - Brzmienie jego drżącego, łamiącego się głosu powoduje, że Stella podnosi głowę. - Nie, nie - mówi Jake szybko. - Nie ma go. Od dawna, z tego, co słyszę... Taa... Taa... wiem... - Stella słyszy, jak mężczyzna głębokim, urywanym wdechem zaczerpuje powietrza. - To hotel... Nie... mieszkał w jednym z budynków gospodarczych... Taa, dzisiaj, dzisiaj po południu. Ktoś mi pokazał, ktoś, kto ich pamięta... Tak... To było niesamowite uczucie, o wiele bardziej niesamowite, niż się spodziewałem...

Przerażona Stella tkwi skulona nad swoimi bazgrołami. Cokolwiek to jest, nie powinna tego słyszeć. Rozgląda się jak szalona dookoła. Jest otoczona ze wszystkich czterech stron, biurkiem, szafą na dokumenty, grzejnikiem elektrycznym i stosem papierów. Nie może odejść tak, żeby nie usłyszał. Wie, że zawiasy przy drzwiach zaskrzypią, brzękną sprężyny fotela, że nie da kroku przez stos papierów, nie po-

trącając grzejnika, który rozdzwoni się jak cymbały, a on wtedy uświadomi sobie, jak ona jest blisko i że wszystko słyszała. I przez cały ten czas w jej głowie wszystko się układa i zaczyna pasować jedno do drugiego: ten krewny, którego wspomniał i który kiedyś tutaj mieszkał, to jego nazwisko na kartce w kasie, on i Pearl idący razem w stronę domu w lesie, co widziała z okna na piętrze, sposób, w jaki teraz rozmawia, to nie jest sposób, w jaki rozmawia się z dziewczyną, tak rozmawia się z którymś z rodziców, z matką, niedowierzanie na jego twarzy, kiedy w herbaciarni w Aviemore przeczytał to słowo na jej uniformie. Stella czuje, że ogarnia ją smutek ze względu na niego. Nie ma pojęcia, co mu powie, kiedy on po skończonej rozmowie przejdzie przez hol, nie wie, co w ogóle mogłaby powiedzieć, bo co się mówi, kiedy się podsłuchało...

Głośny i przenikliwy dźwięk sprawia, że Stella podskakuje i upuszcza pióro. To telefon wewnętrzny; pani Draper przypomina jej o jutrzejszej dostawie ozdobnych papierowych serwetek i pyta, czy Stella jest absolutnie pewna, że szafkę opróżniono i odkurżono, bo jeśli nie, to jutro o jedenastej przed południem może ją czekać ogromny kłopot w postaci trzech tysięcy serwetek, z którymi nie będzie miała co zrobić.

Caroline zastyga na chwilę przy telefonie, z jedną dłonią na słuchawce. Odwraca głowę i spogląda przez okno. Myśli sobie, że trzeba wypleć grządki dyń, oberwać zwiędłe róże i podsypać groszek nawozem. Tak to już jest, jak się uprawia ogród, zawsze jest coś do zrobienia, człowiek ledwie nadaża.

Jest już prawie południe, słońce stoi wysoko, nic nie rzuca cienia. Tysiące mil stąd jej syn nadal tkwi w dniu wczorajszym. „Znalazłem je”, powiedział. Pojechał szukać tego miejsca, tak, zawsze wiedziała, że tak będzie, i odnalazł je.

Czuje, że powinna coś zrobić, żeby zaznaczyć tę chwilę - może zapisać datę i godzinę, wyjąć fotografię syna, wybuchnąć płaczem. Nie odczuwa jednak szczególnej potrzeby, by zrobić cokolwiek takiego. Chwile, które wywierają na nas wpływ, to takie chwile, których się nie spodziewamy. Te, o których wiemy, że nadejdą, te, na które czekaliśmy, mają bowiem w sobie coś nierzeczywistego, przecwiczonego, bo przecież tyle już razy je sobie wyobrażaliśmy.

Są sprawy, o których nigdy Jakeowi nie opowiedziała: że w Katmandu wykonała w tył zwrot i wróciła do Delhi. Krążyła po mieście, wyczerpana, ale pełna nadziei, w każdym aśramie pytała o wysokiego Szkota o imieniu Tom. Przyczepiła kartki na trzech motocyklach, takich jak ten jego. Koniecznie chciała, żeby wiedział, bo inaczej ona będzie czuła się oszustką, złodziejką. Cztery dni przepłakała w swoim pokoju, zanim zebrała dość sił, żeby wyjechać. Po urodzeniu Jake'a słała listy do Kildoune, pod Aviemore, hrabstwo Inverness, ale nigdy nie dostała odpowiedzi.

Caroline podnosi się, wsuwa stopy w drewniaki, zdejmuje z półki ogrodowe rękawice. Myśli, nie pierwszy już raz, o tym jednym, szczególnym, zdeterminowanym plemniku, spiralnym ruchem przemierzającym jej ciało. Ponownie uderza ją trudny do pojęcia fakt, że wtedy, kiedy to się działo, była czymś zajęta - spała, włóczyła się, pieprzyła, jechała na motocyklu, rozmawiała z Tomem. Wydaje jej się czymś szaleńczym i przewrotnym, żeby coś tak doniosłego jak poczęcie syna mogło przejść nie zauważone, w żaden sposób nie odczuwane. Należałoby przypuszczać, że pojawi się jakiś widomy znak, oczy zmienią barwę albo skóra ściemnieje, albo krew zakipi w żyłach. Człowiek sądziłby, że przynajmniej sam moment tego zderzenia będzie słyszalny i objawi się jakimś głośnym bum.

Caroline rozmyśla nad tym wszystkim, kiedy przechodzi

przez swój dom w Auckland, otwiera tylne drzwi i stukając drewniakami, schodzi po stopniach.

Jake wie, że powinien, a raczej musi, zadzwonić do Mel. Siedzi dalej obok automatu telefonicznego i przez następne pięć minut bawi się monetami, a kolejne dziesięć minut zastanawia, co ma powiedzieć Mel, jak i gdzie zdobędzie wodoodporne obuwie, czym różni się w smaku dziczyzna od wołowiny, dlaczego ktoś pomalował sufit holu dwoma różnymi odcieniami bieli, waży w dłoni brytyjskie monety, które wydają mu się bardzo lekkie, myśli o oczach Stelli, o zardzewiałym szkielecie łóżka w tamtym domu w lesie, o tym, że chętnie zamordowałby panią Draper, o promieniowaniu odbitego żaru opalarki, o rodzinie, której bagaże wnosił jakiś czas wcześniej na piętro, o tym, że Hing Tai jeszcze się nie obudził, za to jego własna matka wkrótce będzie jadła lunch, o zaokrąglonych wypukłościach haluksów na stopach Pearl, na które musiała wyciąć specjalne otwory w butach.

Zdejmuje słuchawkę i przykłada ją buczącą do ucha. Wrzuca monety jedną po drugiej. Maszyna natychmiast je wypłukuje do zbyt małego metalowego pojemnika i Jake musi na czworakach wyciągać je spod wysokiego stołka. Zaczyna od początku, słyszy sygnał, ale nie udaje mu się dostatecznie szybko wrzucić potrzebnych pieniędzy. Połączenie jest przerwane. Zresztą automat i tak połyka i trawi jego pięćdziesięciopensówkę. Jake słyszy, jak przeżuty kęs przesuwają się przez układ trawienny maszyny.

Przykłada opuszki palców do czoła, bierze głęboki wdech i ponawia próbę.

— Halo? - To Andrew.

— Cześć, tu Jake.

— Jake! — Andrew wymawia jego imię z wielką radością,

która na pewno jest udawana, ponieważ natychmiast milknie, a Jake domyśla się, że mężczyzna usiłuje wymyślić, co by tu teraz powiedzieć. - Jak tam... ee... golf?

- Hm, cóż, tak naprawdę to nie...

- Na pewno jest cudownie. Świetnie się bawisz, prawda?

- Tak, tu...

- J a k a jest pogoda? Okropna, co? Bywa straszna. Kiedy byłem w Szkocji, lało cały czas.

- Tak. - Jake ma wzrok utkwiony w mały szary ekranik, gdzie widać, jak topnieją jego pieniądze. Nie zostało mu zbyt wiele drobnych, rozmowa z Nową Zelandią naprawdę zaostrzyła apetyt tej maszyny. Na czoło zaczynają mu występować kropelki potu. - Czy jest...

- No tak, jestem pewien, że nie zależy ci na pogawędkach ze mną. Zawołam Melanie. Poczekaj. - Andrew kładzie z trzaskiem słuchawkę.

- Dzięki - mówi Jake w pustą przestrzeń.

- J a k e ? - Słyszy szczerą radość w jej głosie i czuje ucisk w dołku.

- Cześć. Jak się masz? Jak się czujesz?

- Dobrze - odpowiada Mel. - Tyle że tęsknię za tobą.

- O. - Jake słyszy własny nerwowy śmiechek. - Ee, co porabiasz? - Drapie się po głowie, a kiedy już zacznie, nie może przestać. Lubi to szorstkie, zgrzytliwe tarcie, ten skrzyp paznokci na skórze.

- Dobrze. Byłam wczoraj u specjalisty, który powiedział, że nieźle sobie radzę.

- To świetnie, Mel. To cudowne. Tak się cieszę. - I rzeczywiście się cieszy.

- A jak ty się miewasz? - pyta szybko Mel. - To znaczy wszystko w porządku?

- Taa.

- Brzmi to trochę...

- Trochę jak?
- Trochę dziwnie.
- Ależ nie, ja... wszystko jest... dobrze.
- Mama naciska. - Mel zniża głos.
- Naciska?
- No wiesz. Żebyśmy ustalili datę.

Jake ma kłopot ze zrozumieniem, o co jej chodzi, a kiedy wreszcie dociera to do niego, zaczyna jeszcze mocniej drapać się po głowie.

- Powiedziałam, że moglibyśmy odłożyć to na jakiś czas, bo dlaczego nie, ale ona wydaje się przekonana, że wszystkie dobre terminy są rezerwowane z dużym wyprzedzeniem.

- Dobre terminy? Istnieje coś takiego? - Kiedy mówi te słowa, przychodzi mu do głowy, że być może zaczyna popadać w obłąd. - Ha, ha, ha - dodaje.

- Cóż, najwyraźniej tak - odpowiada Mel. - Ale nie mówmy teraz o tym. Dobrze się bawisz? Powiedz, gdzie jesteś i co widziałeś.

- Jestem w hotelu - wrywa mu się.

- Gdzie?

- Kildoune. - Musiało coś nie zaskoczyć pomiędzy myślą a wypowiedzią. Gdzie się podziała? Musi ją odzyskać.

- Kildoune? — powtarza Mel. — Ale... ale to przecież...

- Moje nazwisko! - rzuca Jake z maniacką skwapliwością. - Wiem!

W Norfolk następuje chwila milczenia. Jake wie, że ona ma teraz wyrażającą powątpiewanie minę.

- Czy dlatego tam pojechałeś? — słyszy w końcu.

- Tak - odpowiada. Prostuje się na stołku. To mu może pomóc. Więcej krwi z kręgosłupa do mózgu. Czy coś w tym sensie.

- O .

Znów chwila ciszy.

- Posłuchaj, pobędę tu jakiś czas...
- W hotelu?
- Tak. Wykonuję dla nich pewne prace i ...
- Prace? Jakie prace?
- Ee, malowanie stolarki...
- Malowanie stolarki? - powtarza Mel, zupełnie jakby powiedział „kręcenie pornosa”. - Jesteś gościem w hotelu i oferujesz...
- Nie, nie jestem gościem. Jestem... - Musi przerwać i zastanowić się. Kim jest? W tym momencie nie ma najmniejszego pojęcia. - Wykonuję dla nich pewne prace - kończy nieprzekonująco. Coś mu się zdaje, że bardzo niedawno wypowiedział już to zdanie, ale nie jest tego całkiem pewien.
- Ależ Jake...

W słuchawce odzywa się nagły, apodyktyczny sygnał i Melanie znika, raptownie, błogo, jakby jakiś telekomunikacyjny duszek postanowił się wtrącić i oderwać ją od niego. Jake siedzi nieruchomo, ze słuchawką przy uchu, i wpatruje się w szary ekranik, który błyska do niego „00”.

Kiedy Stellę wpuszczono wreszcie do szpitalnego pokoju Niny, lato zdążyło się ulotnić i gdzieś zaszyć. Stella wróciła już do szkoły, ale dzisiaj babka kazała jej zdjąć mundurek i włożyć sukienkę, przez co jest jej teraz zimno w nogi.

Stella nie patrzy na Ninę, kiedy Domenico wprowadza ją do siostry. Nie patrzy, kiedy idzie po kwadratowych plastikowych płytkach - stąpa tylko po czarnych, bokiem, jak krab, dyskretnie, żeby nie zauważyła tego matka, bo Stella wie, że matka by tego nie pochwałała i później mogłaby ją zругać. Wzrok podnosi przy samym łóżku, dopiero kiedy jej ręka dotknie zmarszczki na prześcieradle.

Z bliska Nina wygląda na skarłałą, jakby ją całą okrojono-

no. Włosy ma ogolone tuż przy skórze, kości twarzy sterczą pod skórą. Tym, co Stella rozpoznaje, są jej oczy. Są takie, jakie były, takie same jak jej oczy.

- Będziemy miały kotka - oświadcza.

Nina nie odpowiada, tylko wpatruje się w nią, jakby jej nigdy wcześniej nie widziała. Stella jest zdumiona. Obie z Niną od bardzo dawna prowadziły kampanię w tej sprawie.

- Jest pręgowany - dodaje. Ogląda się na dziadka. Domenico kiwa zachęcająco głową i popycha ją bliżej, tak że ręce dziewczynki w łokciach są teraz przyciśnięte do łóżka. Dlaczego Nina patrzy na nią w ten sposób? Stella ma ochotę odwrócić się, wywinąć spod ręki dziadka na ramieniu i uciec od tego łóżka, wydostać się z tego pokoju, który pachnie tak dziwnie, i popędzić korytarzem. Nie podoba jej się tutaj. Nie podoba się jej sposób, w jaki jej siostra, czy też osoba, która jak mówią jest jej siostrą, na nią patrzy. Stella podryguje na jednej nodze. - Nie możemy go jeszcze wziąć, bo musi nauczyć się chęptać mleko z miseczki - nie daje za wygraną.

Widzi, że Nina przygląda się jej kurtce. Przypomina jej się, że kiedyś należała do Niny.

- Jak go nazwiemy? - próbuje znowu.

- Max - mówi Nina.

- Zgoda.

Czuje wokół siebie i Niny obecność dorosłych, którzy się w nie wpatrują i słuchają ich, jakby znajdowały się obie na scenie. Zastanawia się, co powinna teraz powiedzieć. Wszyscy jakby na to czekali. Przebiega w myślach wszystko, co powiedziała matka: pamiętaj, ona nie może chodzić, pamiętaj, ona nie może się poruszać, ma w główce wirusa, wirus to choroba, i nie mów o szkole, bo to mogłoby ją zasmucić.

Stella patrzy na ułożone blisko ciała ręce Niny. Wyglądają, jakby do niej nie należały i tak krucho i łamliwie jak

szklane pręciki. Skóra w zgięciu łokci jest pociemniała i pokryta krwawymi sińcami.

Nina widzi, że siostra się jej przygląda.

- Codziennie biorą mi stąd krew — szepcze.

- Naprawdę? - Stella jest wstrząśnięta. - Jak?

- Igłą. I strzykawką. A czasami krew tryska jak fontanna i nie chce przestać płynąć, a czasami igła nie trafia w żyłę i muszą ją wyciągać i próbować jeszcze raz.

- Boli?

- Tak - mówi Nina i w jej oczach pojawiają się iskierki - a czasami...

- Pokaż może Ninie książeczkę, którą jej przyniosłaś. - Francesca pojawia się obok córek.

Książka jest o rodzinie stworków mieszkających w Finlandii, kraju, który, jak twierdzi Domenico, jest bardzo zimny i bardzo odległy. Stryj jej ją czytał. Stella właśnie zaczyna wysupływać książeczkę z kieszeni, kiedy Nina znów się odzywa.

- J a k się ma Miranda? - pyta.

Miranda to szkolna przyjaciółka Niny. Najlepsza przyjaciółka. Ma całą furę jasnych włosów, które matka skręca jej w pukle. Stella rzuca szybkie spojrzenie na matkę, po czym przenosi wzrok z powrotem na siostrę. Głowa Niny spoczywa wysoko, na dwóch poduszkach. Poruszają się jedynie jej oczy. Jak Stella ma jej powiedzieć, że Miranda zadaje się teraz z Karen i od bardzo dawna o nią nie zapytała, i nie bawi się już skakanką - w którą Nina była najlepsza w całej szkole - i że klasa Niny była na wycieczce w ogrodzie botanicznym, a gimnastyczny zespół Niny zdobywa medale bez jej udziału.

- Dobrze - mówi Stella.

Dziewczynka myśli o tych wszystkich żyłach, które rozgałęziają się w całym ciele Niny i jak muszą być teraz puste

i wysuszone jak tamto łóżysko rzeki, które widziała kiedyś na wakacjach w regionie Borders. Wyciąga rękę i dotyka palców siostry, po to tylko, żeby się przekonać, że jest prawdziwa, że jest ta sama. Palce są sztywne i lepkie, poza tym drgają.

- Kiedy to robisz - Nina zwraca się do niej z zamkniętymi oczyma - czuję to w tej drugiej ręce.

Stella jest zafascynowana. Puszczą dłoń Niny, rzuca się w nogi łóżka i chwytą prawą stopę siostry.

- Nie otwieraj oczu - mówi. - Nie podglądaj. Której stopy dotykam?

Nina krzywi twarz, zastanawia się.

- Hm... lewej?

- Nie! - piszczy Stella.

Nina otwiera oczy. Chichoczą obie.

- Jeszcze raz - domaga się. - Spróbuj jeszcze raz.

Dorośli szurają krzesłami o podłogę i zaczynają rozmawiać. Nina zamyka oczy, odgradzając się od białego światła świetlówek, a Stella wyciąga rękę, żeby złapać ją za prawe kolano.

Stella jedną ręką prowadzi auto krętym hotelowym podjazdem. W drugiej trzyma zjedzone do połowy jabłko i majstruje przy odtwarzaczu, który nie wieciec dlaczego, przestał działać.

Wybiera się na przejażdżkę. Nikomu by się do tego nie przyznała, ale uwielbia jazdę samochodem - nie w Londynie ani w Edynburgu, gdzie jazda polega na wciskaniu się w pozostawione przez innych luki lub na staniu na światłach. Tutaj można się toczyć drogą pośród lasów, ponad rzekami, pod graniami, pozwalać, by gałęzie drzew chłostały okna, a czyste rzeńskie powietrze dostawało się do wnętrza auta.

Stella stuka w guziki odtwarzacza, po czym wzdycha z rezygnacją i daje spokój. Na końcu podjazdu skręca ostro kierownicę i wyjeżdża na szosę. Przez różowo podbarwione szkła jej okularów przeciwśonecznych rozkołysany krajobraz wygląda strojnie i cudacznie pod purpurowym nieboskłonem.

Nie ujechała jeszcze pół mili, kiedy zobaczyła jakąś postać idącą poboczem, tam gdzie tuż przy samej drodze stoi kępa drzew o łuszczącej się srebrzystej korze. Z daleka już wie, że to on, i kiedy odległość, która ich dzieli, nieustannie się zmniejsza, ona roztrząsa, czy ma się zatrzymać czy nie. Dlaczego niby miałyby to robić, przecież ledwie go zna, kim on w ogóle dla niej jest, wystarczy pomachać, dlaczego miałyby się zatrzymywać, nie ma powodu, nie zatrzyma się, nie zatrzyma, nie, po prostu mu pomacha.

Opony jednak piszczą na asfalcie i samochód zatrzymuje się, szarpiąc nią do przodu, a potem rzucając w tył, na oparcie fotela. Zdumiona spogląda w dół. I widzi swoją stopę na pedale hamulca. Jake patrzy na nią wyczekująco.

Stella pochyla się do przodu i opuszcza szybę.

- Cześć - mówi, starając się okazać maksymalną obojętność, odgarniając sprzed oczu opadające włosy. I znów ten mężczyzna stoi za blisko. - Byłeś na spacerze?

Jake kiwa głową.

- A to co takiego? - pyta, obdarzając ją tym swoim uśmiechem. - Różowe okulary?

Stella śmieje się. Nigdy o nich tak nie myślała.

- Bardzo możliwe.

- I jak przez nie wygląda ten świat?

- Różowo. - Pilnuje się, żeby spojrzeć mu prosto w oczy. - A jak myślisz?

Następuje chwila milczenia, podczas której Jake bardzo dokładnie przygląda się jej twarzy.

- Więc dokąd się wybierasz? — pyta w końcu.

— Na przejażdżkę.

— Znajdzie się miejsce dla pasażera? — Zgląda do wnętrza auta.

Nie czekając na odpowiedź, prostuje się i zaczyna obchodzić samochód. Stella jest przerażona. Nie chce go w aucie, nie chce go nigdzie blisko siebie. Kiedy Jake pojawia się przed maską, przychodzi jej do głowy, żeby sięgnąć przez fotel obok i zablokować mu drzwi przed nosem.

Za późno. Już tam jest, pochyla się i wsuwa do środka, jego ramiona wypełniają ciasną przestrzeń, ciska ponieważ rzucając się na fotelu pasażera szpargały - pantofle, książkę, jakieś mapy, butelki z wodą, parasolkę - na tylną kanapę.

— Tak tu pięknie — mówi. — Chociaż to chyba nie jest odpowiednie słowo, prawda? Bardziej dziko niż pięknie. Bardziej surowo, bardziej nieokiełznanie.

Stella zauważa, że jego włosy są prawie tak czarne jak jej, wierzchy dłoni upstrzone farbą, że musiał nadłamać sobie kiedyś jednego z siekaczy, a mankiety koszuli ma przetarte. Jake składa się w pół i wsuwa przez drzwi, siada, wyciąga nogi i maca pod fotelem, szukając dźwigni, która umożliwi cofnięcie fotela, mówi coś o tym, jak to doszedł do rzeki, której nie był w stanie pokonać.

— Pas - rzuca Stella, żeby chociaż coś powiedzieć. Czuje, jak ten mężczyzna wydobywa z niej jakiś osobliwy ton, taki, który staje się słyszalny, dopiero kiedy kamerton przytknie się do krawędzi stołu.

— Zaraz, zaraz - mamrocze Jake pod nosem i sięga za siebie — nie gorączkuj się.

Stella opuszcza ręczny hamulec i samochód rusza. Droga biegnie lukiem obok pola, na którym pasą się krowy, mijają rozłożysty buk i tablicę informującą o zakwaterowaniu ze śniadaniem. Na widok nadjeżdżającego z przeciwka samochodu Stella zwalnia i prowadzi uważnie.

- Więc... - odzywa się Jake.

Stella zerka na niego i szybko przenosi wzrok z powrotem na drogę. On przygląda się jej z przechyloną na bok głową.

- Co więc? - pyta dziewczyna.

- Opowiedz mi coś.

- C o ?

- Wszystko. Cokolwiek.

- Co masz na myśli? - Szybkim ruchem palca popycha wyżej okulary.

- Ee... od jak dawna tu jesteś? Zacznijmy od tego.

- Zawsze jesteś taki wścibski?

- Taa - młody człowiek wierci się na fotelu, ustawia zagłówek, otwiera i zamyka schowek - pewnie tak.

Stella urywanymi ruchami odkręca szybę, chce wyrzucić resztkę jabłka, która zdążyła się zrobić mączysta i brązowa.

- No cóż...

- Zaraz, zaraz - Jake kładzie jej rękę na ramieniu. - Ja zjem.

- Poważnie? — Stella rzuca się na niego, kiedy wchodzi w ciaśniejszy zakręt.

- Taa. Daj. - Wyjmuje jabłko z jej palców, ostrożnie, żeby nie spadło pomiędzy nimi, i Stella słyszy, jak zatapia w nim zęby. Wydaje się jej, że on robi coś bardzo intymnego, przyciskając wargi do miejsca, którego niedawno dotykały jej wargi. - Więc - mówi Jake z pełnymi ustami - na czym to stanęliśmy?

- Przesłuchiwałeś mnie - mówi Stella - i...

- A ty nie chciałaś współpracować.

- Zgadza się. - Stella się uśmiecha.

- Powiesz mi więc, od jak dawna tu jesteś?

- N i e .

- Czemu nie?

- Jakoś nie mam ochoty.

- Dlaczego?
- Nie wiem. Po prostu nie mam.
- Wiesz, że byłabyś świetnym szpiegiem? Czy w ogóle kiedykolwiek coś wyjawiasz?

- N i e .

- Nikomu?

- Raczej nie.

- No! No! - mamrocze Jake, patrząc na krajobraz za oknem. - Kobieta pełna tajemnic.

Samochód wspina się na wzgórze, potem zjeżdża na luzie. Ni stąd, ni zowąd Stella czuje się głupio. Bo przecież tak naprawdę nie ma żadnego powodu, dla którego miałaby mu nie powiedzieć, od jak dawna tu jest.

- J e s t e m tutaj od lutego - mówi potulnie.

- A gdzie byłaś przedtem? - Jake odwraca się do niej.

- W Londynie.

- Pracowałaś w hotelu?

- Nie. Byłam... byłam realizatorką radiową.

- Rzeczywiście? - Wygląda na zaskoczonego i chwilę zajmuje mu przetrwanie tej informacji. — Więc... jeśli nie masz nic przeciwko mojemu pytaniu - a pewnie masz - więc co u licha robisz tutaj?

- Co masz na myśli? - Stella spogląda na niego, mrużąc oczy.

- Cóż, jesteś realizatorką radiową, a sprzątasz toalety, żeby zarobić na życie. - Wzrusza przyjaźnie ramionami i pochłania reszkę jabłka. - Jak to się sprawdza?

- Sprawdza?

- To znaczy, czy nie masz zbyt wysokich kwalifikacji? I dlaczego tutaj? Nie jest to miejsce, w którym ląduje się przypadkiem.

- Nie mam ochoty o tym rozmawiać — mówi Stella, zerkając w lusterko wsteczne. - A poza tym - ripostuje - mo-

głabym to samo powiedzieć o tobie. Jesteś reżyserem filmowym, jak powiedziałaś pani Draper, a teraz...

- Jestem asystentem reżysera filmowego.

- Niech tam. To dlaczego malujesz okna?

Jake drapie się po głowie.

- Nie mam ochoty o tym rozmawiać - odpowiada, szczerząc zęby w uśmiechu.

- W porządku - zauważa Stella i skręca w lewo. - No to jesteśmy kwita.

Wiezie go wysadzonym drzewami traktem, na którego końcu pomiędzy nimi i kamienistym stromym zboczem rozciąga się jezioro. Nazywa je Lochans. To ciche miejsce, niewidoczne z szosy, skryte za gęstym lasem. Gdyby się nie wiedziało, że tam jest, nigdy by się go nie znalazło. Woda, gładka i przejrzysta, jest niemal czarna od torfu, a ziemia na brzegu miękka i pokryta sosnowymi igłami, ułożonymi przez wodę w jednym kierunku, jak gwoździe przyciągane przez magnes.

Błękitne niebo rozpościera się wysoko nad nimi, kiedy stąpają po ułożonych zygzakowato i pokrytych siatką pomostach. Małe, brązowoskrzydłe ptaki podrywają się z krzykiem spomiędzy kęp wrzosów. On pyta o sprawy ogólniejszej natury, wkrótce przełamuje jej opór i udaje mu się dowiedzieć, że dorastała w Edynburgu, lubi pracę w radiu, bo podoba jej się, że gdzieś na zewnątrz jest niewidoczny, zasłuchany świat, że nigdy nie była w Hongkongu, za to kiedyś w Morzu Południowochińskim nadepnęła na jeżowca i potem, przez ileś godzin, ze łzami płynącymi strumieniami po policzkach siedziała na piasku, wyciągając kolce ze stopy.

Jake pyta ją, co to takiego „domek po rugach”, i pytanie to powoduje, że Stella zatrzymuje się jak wryta, odwraca

i wbija w niego wzrok. Ty naprawdę nie wiesz, co to są rugi, mówi. Ubrana w niebieskiego T-shirta udziela mu lekcji historii Szkocji, a on zauważa, że co chwilę szarpie za wycięcie pod szyją i masuje jakieś miejsce.

Przenika go szczególny i dręczący żal, kiedy widzi, jak ona przyciska to wrażliwe miejsce. Ma ochotę odsunąć stamtąd jej dłoń i położyć w to miejsce własną. Wyobraża sobie dotknięcie jej ciepłej i napiętej skóry i słuchając opowieści o masowych migracjach, zastanawia się, jaki zapach pozostałby na jego palcach.

Kiedy szpital oddał wreszcie Ninę zewnętrznemu światu, ojciec przyniósł ją z samochodu do domu na rękach. Stella przyglądała się temu z okna od frontu, widziała, jak ojciec bierze w ramiona okutaną kocem postać i niesie chodniczką do drzwi wejściowych. Wydawała się o tyle mniejsza niż przedtem.

Stella była tak podniecona powrotem Niny do domu, że w ogóle nie zastanawiała się nad tym, jak to będzie, kiedy siostra już wróci. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że Nina nadal będzie chora. Wyobrażała sobie, że wszystko będzie tak jak przedtem. Tymczasem rodzice chodzili na paluszkach i jej kazali robić to samo. Matka nieustannie krążyła z tacą między kuchnią i salonem, a Nina leżała bez ruchu na kanapie i patrzyła przez okno na ulicę.

Dwa razy dziennie Francesca kładła Ninę na podłodze i robiła z nią zalecone przez fizykoterapeutę ćwiczenia rozciągające. Było to tak bolesne, że Nina zawsze płakała, i Francesca, która nienawidziła ich tak samo jak córka, także płakała, ale dopiero kiedy Nina nie mogła zobaczyć. Od samego początku choroby Niny matka ciągle płakała - w łazience, w kuchni, odwrócona plecami w stronę pokoju, w ogro-

dzie, w sypialni, na ulicy, przy rozmowie z którąś z życzliwie dopytujących się sąsiadek. Nigdy przy Ninie. Stella trzymała w kieszeni zapas chusteczek higienicznych i podawała je matce, kiedy tylko zachodziła taka potrzeba.

Po przyjeździe ze szkoły Stella siadała obok siostry z książką i przewracała kartki przed jej oczyma, wspólnie z nią oglądała telewizję, opowiadała, co tego dnia robiła, a kiedyś na prośbę Niny przyniosła sandaalki, które siostra nosiła przed chorobą. Musiała przeszukać zakamarki ich wspólnej szafy, żeby je znaleźć.

- Proszę - szepnęła i obie intuicyjnie wiedziały, że jest to coś, co muszą robić w tajemnicy, coś, czego dorosłym nie da się wytłumaczyć - znalazłam je.

Postawiła pantofelki na okrywającym Ninę kocu. Były z niebieskiej, ażurowo wyciętej w kwiatuszki skórki, paseczki zapinane na małe mosiężne sprzączki na wierzchu stopy tworzyły kształt litery T. Każdej wiosny Francesca kupowała im obu nową parę pantofli, zatem te Nina nosiła wystarczająco długo, żeby zadrapać i poobijać im czubki, zedrzyć obcas i żeby zdążyły pomarszczyć się i zachować kontury jej stóp.

- Odwróć je - poprosiła Nina.

Stella włożyła do ich wnętrza dłonie, poczuła pustkę odwróconego kształtu stóp siostry, i postawiła je podszwami do góry. Patrzyła na twarz siostry przypatrującej się wygładzonym podeszwom, wyszlifowanym spacerowaniem, bieganiem, nieustannym przemierzaniem chodników, ścieżek, trawników.

Odwróciła je znów, a kiedy to robiła, z jednego z nich na koc wysypała się strużka piasku. Obie z Niną zapatrzyły się na ten miniaturowy zamek z piasku. Stella przypomniała sobie, że w przeddzień choroby Niny babcia Gilmore zabrała je na plażę w Portobello, a one ciągnęły za sobą długie

ogony glonów i babcia wołała, żeby uważały na fale, bo słona woda zniszczy te ich piękne pantofelki.

Nina odwróciła oczy, utkwiała wzrok w mechatym obiciu kanapy.

— Mam je zabrać?

Nina skinęła głową.

Wirus, który złapała siostra Stelli, wirus tak rzadki, że podręczniki medyczne wspominały go jedynie mimochodem, wżarł się w jej mózg, przetrzebił jej synapsy i na długie miesiące całkowicie ją unieruchomił.

Nina musiała od nowa uczyć się chodzenia, pisania, wchodzenia po schodach, pływania, chwytania piłki, posługiwania się sztuciami, siadania, jazdy na rowerze, utrzymywania równowagi, przeskakiwania, wspinania na drzewa, podskakiwania, tańca, stania, gry na pianinie, samodzielnego jedzenia, podnoszenia do ust filiżanki, zapinania guzików, ubierania się, radzenia sobie z klamerkami pantofli, utrzymania pióra, noża czy widelca, smarowania masłem pieczywa, otwierania słoików, wkładania klucza do zamka, mycia zębów, czesania.

Szkoła obdarzyła ją - tę rozdygotaną, potykającą się dziewczynkę o wyglądzie zjawy - jednym spojrzeniem i zdecydowała, że już jej nie chce. Oświadczone, że miejsce Niny jest w szkole specjalnej. Krótko mówiąc, szkoła chciała pozbyć się problemu. Francesca i Archie, w zupełnie nietypowy dla siebie sposób, wyklócili się z władzami oświatowymi, radą, szkołą, nieustępliwym dyrektorem, swoim posłem do parlamentu. Z uporem twierdzili, że na początku roku szkolnego ich córka będzie w wystarczająco dobrym stanie, by wrócić do swojej dawnej szkoły podstawowej: już oni tego dopilnują. Nie zamierzali zamykać jej w jakimś zakładzie i zapomi-

nać o jej istnieniu. I wtedy Francesca przestała płakać. Tak po prostu. A Stella przyrzekła sobie, że jej matka już nigdy nie będzie miała powodu do płaczu.

Kiedy zmuszono w końcu dyrektora szkoły do ponownego przyjęcia Niny, cofnięto ją do klasy z dziećmi prawie 0 dwa lata młodszymi. Była to klasa Stelli.

Każdy ma coś nowego, pulower, piórnik albo chociaż pióro. W tym roku zaczną pisać atramentem. Stella widzi ostre zaprasowania na dopiero co wyjętych z opakowań koszulach chłopców, widzi odbicie wysokich okien w wyglansowanych, nieskazitelnych czubkach własnych butów. Niektórzy zmienili się podczas długich wakacji, wyglądają inaczej — Lydia ma brązową skórę i pożółkłe od słońca włosy (Stella pamięta, jak mówiła, że wakacje spędzi na Florydzie), a Anthony Cusk niespodziewanie wyrósł.

Stella zerka na drugą stronę przejścia, na swoją przyjaciółkę, Rebeccę. Rebecca to dziewczynka, z którą Stella siedziała od pierwszej klasy - jej najlepsza przyjaciółka. Nie widziała jej przez całe lato. Teraz Rebecca siedzi z Felicity i obie pochylają się nad czymś nisko. Stella wyciąga się, żeby zobaczyć nad czym. Nad książką? Komiksem? Nie widzi ze swojego miejsca.

Czuje obok siebie obecność siostry. Nina złożyła ręce na kolanach. Stella wie, że to dlatego, by się nie trzęsły. Ma na sobie zieloną sukienkę z kraciastej bawełny, którą Stella nosiła przed rokiem, i wzrok utkwiony w blat ławki, podrapany cyrklami i poplamiony atramentem. Włosy jej odrosły nierównymi kępkami i matka zagryza wargi, kiedy je szczotkuje.

- Cisza - woła panna Saunders - wszyscy cicho! - Stoi z przodu klasy ze splecionymi dłońmi. Na twarzy ma nie-

obecny uśmiech, patrzy ponad ich głowami na tylną ścianę. - Dzisiaj będziemy pisać o tym, co robiliśmy podczas wakacji. Najpierw jednak wszyscy serdecznie powitamy Ninę Gilmore.

Stella zauważa, że Nina podskakuje na dźwięk własnego imienia. Jej prawa noga zaczyna mimowolnie drgać i Stella widzi, jak siostra zaciska na niej dłoń, próbując ją unieruchomić.

- Nina była bardzo chora, leżała w szpitalu z powodu uszkodzenia mózgu - oświadcza panna Saunders wszem i wobec - i przez cały rok nie chodziła do szkoły. Cieszymy się zatem, że jest z nami, i udzielimy jej wszelkiej niezbędnej pomocy, prawda?

Wszyscy odwracają głowy i gapią się na siostry. Pod blatem ławki Stella kładzie rękę na dłoni Niny, czuje niepożądane drganie jakiegoś mięśnia i nerwu, naciska z całej siły. Noga przestaje drgać. Stella widzi, że Nina usiłuje powstrzymać płacz, że wzrok ma opuszczony, usta zaciśnięte. Chwyta jej palce. Nie płacz, nakazuje jej siłą swojej woli, wysyła sygnał do ręki Niny, proszę cię, nie płacz.

- A teraz - panna Saunders odwraca się do tablicy - wyjmijcie nowe zeszyty i ładnym, porządnym pismem piszcie...

Stelli przeszkadza się skupić Anthony Cusk, który odwrócił się i wlepił w nią wzrok. Czy też może w Ninę? Nie jest pewna. Zerka na pannę Saunders, dziewczynka chce rozumieć polecenia nauczycielki, ale chłopak właśnie mówi coś bezgłośnie, rozchylone wargi ukazują żółtawe zęby. Co też on mówi? Stella próbuje na niego nie patrzeć, ale nie może się powstrzymać. On porusza ustami, wskazuje na Ninę, potem na własną skroń. Stella rozpoznaje słowo „mózg”.

Stella odwraca wzrok, patrzy prosto przed siebie. Czy Nina to widziała? Nie jest tego pewna. Siostra podnosi pióro i zaczyna stawiać litery tym swoim nierównym, postrzępionym pismem. Stella chwyta swoje pióro, ale nie potrafi się

powstrzymać, żeby nie rzucić jeszcze jednego spojrzenia na Anthony'ego. Dlaczego on to mówi? Teraz robi okropne miny, wykrzywia twarz w groteskowych, przeraźliwych grymasach, językiem wypycha dolną wargę. Panna Saunders mówi coś o akapitach i o prostych, zrozumiałych zdaniach, a Stella jest niespokojna, bo umknęło jej to całe wyjaśnienie i teraz nie wie, co ma pisać. Panna Saunders za krótko jest jej nauczycielką i Stella nie ma pojęcia, jak by zareagowała, gdyby poprosiła ją o powtórzenie, a w ogóle to dlaczego Anthony Cusk tak się zachowuje w stosunku do jej siostry?

Coś przecina ze świstem powietrze i uderza Stellę w policzek, powodując, że dziewczynka podskakuje i robi gwałtowny wdech. Zwinięty w twardą kulkę kawałek papieru wyrwanego z zeszytu spada na podłogę. Kiedy Stella podskakuje, Nina robi to samo, a ręka, którą pisała, zaczyna jej się trząść, tak że pióro grzechocze o ławkę; w pełnej skupienia ciszy, jaka panuje w klasie, rozlega się regularny i uporczywy stukot.

Nina puszcza pióro i przytrzymuje dłoń drugą ręką. Uczniowie znów się oglądają, żeby na nie popatrzeć, i Stella widzi, jak Felicity zerka na nią, po czym odwraca się i szepcze coś do ucha Rebecki, a przez całą salę przepływa fala chichotu.

- Cisz! - skrzeczy panna Saunders. - Wszyscy! - Obrzuca klasę gniewnym spojrzeniem. Potem jej głos przybiera łagodny, przepojony cierpliwością ton. - Potrzebujesz czegoś, Nino? - pyta.

Podczas przerwy Nina idzie obok siostry z pochyloną głową. Nie widzi, jak z drugiej strony szkolnego boiska obserwują ją dziewczęta z jej dawnej klasy, nie widzi, jak uczniowie pokazują ją sobie i zachęcają innych, żeby jej się przypatrywali, nie widzi, jak śmieją się, przykrywając twarze dłońmi, ani jak Miranda raptownie odwraca głowę. Natomiast Stella to wszystko zauważa. Nina porusza się, jakby miała spę-

tane w kostkach nogi, jej kroki są nierówne, chybotałiwe, niepewne.

Za rogiem koleżanki Stelli bawią się w „raz, dwa, trzy, król patrzy”. Rebecca stoi z twarzą tuż przy omszałym, kamiennym murze, natomiast pozostałe dziewczęta zastygły na swoich miejscach za jej plecami. Stella zatrzymuje się i schyla, żeby podciągnąć podkolanówki.

- No dobra - mówi Rebecca - teraz cztery skoki nożycami!

Felicity robi drugi skok i staje z nogami rozstawionymi jak ostrza nożyczek.

- Chcesz zagrać? - woła do Stelli.

Stella zerka na siostrę, a potem na koleżanki z klasy, które, jak widzi, przyglądają się jej z całkiem nowymi, pełnymi rezerwy minami.

- Tak - odpowiada, odchrząkując. - Tak, jeśli mogę.

Felicity zostawia swoje oznakowane miejsce i idzie ku nim, trzymając się pod boki. Stella ogarnia ją wzrokiem, widzi, jak w bransolecie na jej nadgarstku odbija się promyk słońca, jak mruga lekko przymkniętymi powiekami, kiedy napotyka jej spojrzenie, zauważa, jak sprężyste są jej gładkie i połyskliwe włosy. Felicity zatrzymuje się przed nimi, przenosi wzrok z jednej na drugą, zastanawia się.

- No cóż, ty możesz zagrać, ale ona nie - cedzi przez ledwo uchylone usta. Wymachuje palcem, wskazując Ninę.

Stellę ogarnia wściekłość.

- Skoro ona nie może, to ja też nie gram - oświadcza.

- Świetnie. - Felicity odwraca się na pięcie i odchodzi. - Myślisz, że nam zależy?

Stella szuka wzroku Rebecki. Tymczasem Felicity bierze Rebeccę pod rękę i obie stają przodem do Stelli. I chociaż Rebecca nie podnosi wzroku, oczy ma utkwione w ziemi, a jej twarz pąsowieje, Stella ma dość.

- I tak nie miałyśmy na to ochoty — mamrocze pod nosem

i bierze Ninę za rękę. - Chodź, Niin. - Odwraca się i pociąga za sobą siostrę.

Kiedy Jake przychodzi do hotelu, jest już po kolacji i goście siedzą przy kawie, jak informuje go dziewczyna odpowiedzialna za zmywanie.

Małomówny szef kuchni z rozmachem stawia przed nim talerz risotta, a dziewczyna podaje widelec. Przez jakiś czas panuje milczenie, bo wszyscy troje zajęci są jedzeniem. Stygający piec puka, zmywarka szumi i łoskocze. Jake je pospiesznie. Świeże powietrze ogromnie zaostrzyło mu apetyt. Jest nieco zaniepokojony, że nigdzie nie widzi ani śladu Stelli. Ma ochotę rozpocząć jakąś rozmowę, ale rezygnuje. Ten szef kuchni go przeraża.

- Boże - wykrzykuje dziewczyna, spojrzawszy na zegarek - czy ona jeszcze rozmawia przez telefon?!

Kucharz wzrusza ramionami i wydaje jakiś nieokreślony dźwięk. Jake widzi, że zapełnia kolejny talerz, tym razem znacznie staranniej.

- Najwyraźniej - dziewczyna sama sobie odpowiada.

- Kto? - pyta Jake.

- Zanieś to, proszę. - Dziewczyna podaje Jake'owi talerz i pokazuje na drzwi prowadzące do recepcji. - Bo umrze nam tam z głodu. Tylko niech cię pani D nie zobaczy.

Jake popycha drzwi i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki pojawia się siedząca na biurku Stella. „Hmm... hmm”, powtarza co chwilę w słuchawkę. Kiedy go dostrzega, twarz jej się rozjaśnia... a może to tylko na widok jedzenia. Pokazuje mu gestem, żeby postawił talerz w niewidocznym miejscu, za wazonem. Jake podaje jej widelec. Zastanawia się, czy powinien wrócić do kuchni, ale nie ma na to najmniejszej ochoty.

- Jeśli bym mogła coś zaproponować... - zaczyna Stella, lecz głos na drugim końcu linii przybiera na sile, staje się płaczący, nalegający. - Rozumiem — mówi Stella i wznosi oczy do góry. — Rozumiem. Cóż, może należałoby...

Znów jej przerwano. Nabiera na widelec risotto, wkłada do ust i zaczyna przeżuwać. Wolną ręką naśladuje kłapanie szczęką, po czym pospiesznie przełyka. - Jak powiedziałam, na ten weekend, o którym mowa, nie ma już dwuosobowego pokoju. Naprawdę rozumiem pańską sytuację. Może jednak...

Mężczyzna ma znacznie więcej do powiedzenia na temat swojego problemu. Jake przestępuje z nogi na nogę, spogląda na biurko, na stos broszur, cenniki, na wazon pełny przerośniętych stokrotek, na palce Stelli bębniące po okładce dużego notesu.

- Cóż, jeśli pana małżonka godzi się spać na łóżku turystycznym, można... - Kręci głową, a głos świergocze i świergocze jej w ucho. - Skoro podwójne łóżko zupełnie nie wchodzi w rachubę, to może mogłabym zasugerować...

„Rozwód?” Jake gryzmoli to słowo na kawałku papieru i pokazuje Stelli. Ona zakrywa usta ręką i odwraca głowę.

- Tak. Dobrze. - Rozmowa chyba wreszcie dobiega końca. - To żaden problem. Stella. Mam na imię Stella. Dziękuję. Tak. Bardzo dziękuję. Do widzenia, tak, do widzenia.

Odkłada z trzaskiem słuchawkę i kryje twarz w dłoniach.

- O Boże - zawodzi. - Nie chcę go tutaj! Facet jest wredny! Wyobrażasz sobie, co to znaczy być jego żoną? Myślisz, że ona tam była i słyszała, jak on opowiada komuś zupełnie nieznanemu, że nie mógłby, w żadnym wypadku, spać w jednym łóżku z żoną, nawet przez jedną noc?

- Może była zajęta planowaniem swojej ucieczki - mówi Jake. - Skręcała liny z prześcieradeł. Albo przyprawiała jego jedzenie arsenikiem.

- Miejmy nadzieję. - Stella z ogromnym apetytem pała-

szuje risotto. — Umieram z głodu. Myślałam już, że ducha wyzionę z powodu niskiego poziomu cukru. Tylko sobie wyobraż, że mogłabym umrzeć. I wtedy ostatnią rzeczą, jaką bym słyszała, byłby jego głos.

- Proszący o rozkładane łóżko dla żony.

Stella chichocze.

- Małżeństwo - mówi i wzdryga się.

Jake opuszcza wzrok, przeczesuje palcami włosy. Widzi, że dziewczyna zrzuciła pantofle, ma bose stopy, paznokcie pomalowane na czerwień świeżo utlenionej krwi. Wyobraża ją sobie, jak zgięta w pół w tej swojej przyczepie nabiera na pędzelek płynny, zastygający lakier i nakłada go na paznokcie starannymi, prostymi pociągnięciami.

Stella spogląda na niego z zaintrygowaną, nieco podejrziwą miną. Czy przypadkiem nie przyglądał się jej stopom? Bardzo możliwe.

- Z twoich stóp mogę wiele o tobie powiedzieć - oświadcza Jake szybko, żeby nie pomyślała sobie, że jest jakimś zбочonym fetyszystą.

- Czyżby?

- Popatrz tutaj. - Jake kuca przed nią i wskazuje na drugi palec. - Przyjaciel mojej matki, refleksolog, powiedział mi...

- Zaraz, zaraz - przerywa mu Stella. - Twoja matka ma przyjaciela, który jest refleksologiem?

- Miała. - Jake uśmiecha się. - Między innymi.

- O. - Jake widzi, że Stella układa sobie w głowie coś, co dotyczy jego albo jego matki czy czegoś tam.

- W każdym razie — mówi dalej, wciąż klęcząc, mogę ci ujawnić, że masz rzymskich przodków.

Stella wybuchła śmiechem, a on czuje na twarzy ruch powietrza. Stara się nie myśleć, że ma ją w zasięgu ramion. Gdyby chciał, czy gdyby się ośmielił, jednym szybkim ruchem mógłby się unieść i ją pocałować.

Co to on mówił? Jake próbuje się skupić.

- Kiedyś tam... - ciągnie niepewnie dalej - jakaś twoja krewna zadała się z wrogiem i... — Milknie, ponieważ ona nie przestaje się śmiać, bardziej szaleńczo, niżby usprawiedliwiały to okoliczności. — Co w tym takiego zabawnego? — dziwi się.

- Ja mam rzymskich przodków? Cóż, dzięki, że mi o tym powiedziałaś.

- J u ż wcześniej wiedziałaś? - pyta nieco zawiedziony.

- Ee, taa. - Przełyka resztę jedzenia i odkłada widelec. - Nazwisko mojej matki brzmi Iannelli.

- O .

- J e j rodzice przybyli tutaj w latach trzydziestych. Jest pełnoprawnym członkiem ludu Dywizowych. Tak jak ja.

- Ludu Dywizowych? - powtarza Jake i siada na piętach.

- Powiedzonko matki. No wiesz, pochodzenia szkocko-włoskiego. Anglo-irlandzkiego. Brytyjsko-chińskiego czy... brytyjsko-azjatyckiego, czy... jakiego tam ty sam jesteś.

- Lud Dywizowych. - Jake wypróbowuje brzmienie tej frazy. - Podoba mi się to.

Zapada chwila milczenia. Spoglądają na siebie.

- No to powiedz mi coś o moich rzymskich stopach - rzuca zniechęca Stella.

- Cóż, Tang mi powiedział...

- Tang?

- Ten były chłopak. Jeden z iluś. - Mówiąc to, Jake zastanawia się, jakby zareagowała, gdyby jej dotknął. Czy może to zrobić? - Powiedział mi... - zaczyna i po prostu to robi. Widzi, jak jego prawa ręka wysuwa się i obejmuje nogę Stelli w kostce, w miejscu, gdzie żyły pulsują tuż pod powierzchnią niemal przezroczystej skóry. Zauważa, jak przez jej twarz przepływa fala niedowierzania, popłochu prawie, i jest przekonany, że zaraz się wyrwie. Tymczasem nic podobnego się nie dzieje. Pozwala mu unieść swoją stopę i postawić sobie

na kolanie. Jake czuje, jak kości jej stopy dopasowują się do kształtu jego kolana. Pod dłonią jej skóra wydaje mu się zaskakująco ciepła. - Tang mi powiedział - powtarza raz jeszcze, świadom innego, odrobinę niższego brzmienia swojego głosu — że jeśli drugi i trzeci palec jest dłuższy od dużego, oznacza to cechę odziedziczoną po rzymskich przodkach. - Dla zademonstrowania swoich słów Jake dotyka kolejno wszystkich palców, czuje twardą powierzchnię szkarłatnego lakieru. - A ci nikczemni centurioni rozsiewali swoje nasienie po całym świecie. Przekazując całej masie ludzi felerne stopy.

- Felerne? - Stella rzuca się na to słowo.

- Tak. Niestety. Zbyt długi drugi palec powoduje, że człowiek kołysze się na kłębie palucha i w rezultacie uszkadza sobie ścięgna i nerwy.

Stella milczy przez chwilę. On jest w stanie w tym momencie myśleć tylko o tym, że trzyma jej stopę uwięzioną pomiędzy swoimi dłońmi.

- Bardzo interesujące - oświadcza Stella, przechylając na bok głowę. - Choć oczywiście kompletne bzdety.

- J a k możesz mówić coś takiego? - Jake udaje oburzenie.

- Chcesz mi powiedzieć, że rasa ludzi, która stworzyła ogromne imperium, i miała armie, które przemierzały je wzdłuż i wszerz, miała wrodzoną wadę stopy? - Cofa nogę, wstaje i bierze talerz. - Bzdety - powtarza. - A tak w ogóle - mówi, idąc do kuchni - to moim stopom nic nie brakuje.

Stella i Nina stoją w dużej szkolnej auli. Codziennie rano gromadzą się w niej wszyscy uczniowie, siadają po turecku, śpiewają hymny i przyglądają się, jak nauczyciele wyciągają tych, którzy coś przeszkrobali, na środek sali. Teraz sala jest niemal pusta — jedynie uczniowie z ich klasy, w szortach

i w tenisówkach, ustawieni w wijący się rząddek, czekają, aż panna Saunders, sama w śnieżnobiałych tenisówkach, wystających spod długiej kwiecistej spódnicy, odpowiednio ułoży długi rozbieg z gumowych mat, które prowadzą do konia gimnastycznego.

Stella lubi konia. Jest taki twardy, wypchany sprężystym włosiem, pokryty wyslizganą miejscami skórą. Kiedy się przez niego przeskakuje, dłonie tylko na moment go dotykają, stopy natomiast znikają i przez ułamek sekundy, gdy się nad nim przelatuje na drugą stronę, można sobie wyobrazić, jakby to było, gdyby człowiek potrafił fruwać. Stella ma ochotę objąć go i przytulić.

Zza pleców dochodzi ją zduszony, prychający chichot. Wytęża słuch, ale się nie odwraca. Słyszy jak ktoś - Felicity? Emma? - szepcze coś o motylach. Matka Stelli naszyła łątkę w kształcie motyla na jej szorty, po tym jak Stella wspięła się na jakieś ogrodzenie, na które lepiej było się nie wspinać. Matka przyniosła tę łątkę z jednej z tych swoich wypraw na zakupy z Evie i Stella wpadła w zachwyt, kiedy tylko ją zobaczyła - motyl ma purpurowo-pomarańczowe skrzydła oraz granatowe czułki. A teraz wszyscy się z niego śmieją.

Stellę to nic a nic nie obchodzi. Podnosi wyżej brodę, żeby im pokazać, że jej to nie obchodzi. Z tyłu słychać szuranie, chichoty, a ona czuje czyjaś zimną i lepka rękę na ramieniu. Odwraca się i widzi, że to Anthony Cusk otwartą dłonią dotyka jej skóry.

Anthony odwraca się do stojących za nim uczniów, wymachuje ręką.

- Zarazki Gilmore! - woła.

Wszyscy rzucają się do ucieczki, umykają przed jego dotykiem. To ich ulubiona zabawa, gra, którą zawsze zaczyna Anthony, berek okraszony udawanym strachem przed kontaktem z rzekomo roznoszącymi infekcję siostrami.

Stella nienawidzi Anthony'ego Cuska bardziej niż cokolwiek innego w całym wszechświecie. Jej babka mówi, że nienawiść to bardzo silne słowo i że ludzi nie powinno się nienawidzić, ale Stella i tak Anthony'ego nienawidzi. Wyobraża sobie tę nienawiść jako tkwiącą w jej piersi kulę smoły. W ubiegłym tygodniu poszła w czasie przerwy do toalety, a kiedy wróciła na boisko, zobaczyła krąg dzieci wokół rozciągniętej na ziemi Niny. Za każdym razem, kiedy jej siostra próbowała wstać, Anthony Cusk przewracał ją z powrotem na ziemię, popychając tylko jednym palcem. Niewiele było trzeba, żeby Nina straciła równowagę - czasami Stella się bała, że wiatr ją przewróci. Roztrąciła wtedy stojących wokół Niny i z taką siłą uderzyła pięścią Anthony'ego w twarz, że zabołały ją kostki dłoni, a jego nos rozkwitł skapującą na ziemię czerwienią i Stella miała w związku z tym kłopoty i musiała przez całe popołudnie siedzieć pod drzwiami gabinetu dyrektora.

- Nino, moja droga — woła panna Saunders ze swojego miejsca przy koniu - pewnie powinnaś przesiedzieć te skoki.

Stella patrzy, jak siostra, powłócząc nogami, odchodzi na bok i prawie nie może znieść tego oddalenia, teraz jest już zupełnie sama w otoczeniu zaśmiewających się wrogów.

- Nie będę stać obok niej - mówi ktoś.

Stella nie wie kto, bo wzrok ma wbity w ułożone w jodłę klepki parkietu, który piszczy, jeśli przejechać po nim podszwą tenisówek. Co chwilę ktoś się odrywa z kolejki i biegnie na koniec, żeby tylko nie stać blisko niej, i nagle okazuje się, że Stella stoi na samym początku kolejki.

- No proszę, Stello - woła panna Saunders - jesteś pierwsza. A wy tam przestańcie błaznować - mówi do dzieci z tyłu, które przepychają się, poszturchują i śmieją.

Stella widzi długi szereg materaców ułożonych jeden za drugim, ciągnący się aż do masywnej bryły konia. Widzi

pannę Saunders z wyciągniętymi rękoma, gotową ją asekurować. Czuje, jak za plecami tłum dręczycieli oddala się z każdym jej krokiem. Przebiera energicznie nogami i czuje szarpnięcia marszczącego się stroju.

Kiedy pomarańczowobrazowe boki konia są już blisko, Stella się waha. Zmusza się jednak do skoku. Nie może się teraz zatrzymać, nie może ponieść porażki, nie przy całej klasie za plecami. Odbija się i przeskakuje, ale już w momencie, w którym jej dłonie opierają się o wytartą skórę, wie, że coś jest nie w porządku. Podłoga zbyt wcześnie i zbyt gwałtownie się podnosi, a ona czuje, że spada, że sala obraca się wokół niej, i zastanawia się, czy tak właśnie wygląda bycie Niną, kiedy jej czoło i bark uderzają w cuchnącą gumę materaca.

Panna Saunders ruga ją, mówi, że robiła to już mnóstwo razy, że ma natychmiast wstać i powtórzyć skok, gdy tymczasem dudniący ból pulsuje w jej głowie. Z oddali dochodzi ją huragan śmiechu i słyszy, jak nauczycielka krzyczy na tamtych, żeby się uspokoiłi. Stella nie jest w stanie powtórzyć skoku, nie chce nawet próbować. Marzy o tym, żeby zwinąć się w jakimś ciemnym i cichym miejscu, daleko stąd, bo czuje się po prostu zmęczona, tak niewiarygodnie zmęczona. Musi mocno zaciskać dłonie, żeby przestać o tym myśleć, powstrzymać się od płaczu i może panna Saunders to zauważa, bo po chwili ciągnie ją za ramię, stawiając na nogi, i każe usiąść koło Niny. Kiedy pokonuje te kilometry skrzypiącego parkietu, Stella dotyka, tylko jeden raz, motyla, którego Evie i Francesca dla niej wybrały.

Jake przez kilka dni nie spotyka Stelli. Ona albo gdzieś wychodzi, albo ma wolny dzień, albo jest w jakimś innym pomieszczeniu hotelu, przygotowuje pokoje lub sprzęta, lub

zajmuje się kapryśnymi gośćmi. Od czasu do czasu Jake sły-
szy jej kroki, chwyta kilka wypowiedzianych jej głosem syl-
lab, za oknem na piętrze widzi jej sylwetkę, znajduje jakiś
kawałek papieru pokrytego jej pismem - listę zakupów, za-
mówienie na alkohol - ale to wszystko. Jeśli puści się za nią
w pogoń, napotyka jedynie puste korytarze, opuszczone po-
koje, z zamykającymi się właśnie drzwiami, poruszonymi
podmuchaem wiatru zasłonami, jakby ona zawsze była tuż-
-tuż, na wyciągnięcie ręki.

Zauważa, że staje się z tego powodu niecierpliwy. Łapie
się na tym, że rozmyśla o czerwonej apaszce, którą ona wiąże
sobie z tyłu włosy, o tym jak wbija zęby w dolną wargę,
kiedy się koncentruje, i o stukocie jej butów. Dziewczyna
z Aviemore na kolejnych wieczornych zmianach ciska jego
kolację na talerz niedbałym ruchem ręki.

Często zagląda do domu w lesie. Wędruje po pokojach,
dotyka klamek, zardzewiałych zatrząsków przy oknach, ka-
miennych gzymsów kominków, spogląda przez zapadnięty
dach na niebo, wygląda przez okna. Uważa, że jeśli dobrze
się wpatrzy, to będzie w stanie zapamiętać widok z każdego
okna. Chce wszczepić w siebie to miejsce, razem z tym zrui-
nowanym domem, żeby móc je zapamiętać, trzymać w rezer-
wie na czas, kiedy już stąd wyjedzie.

Jake jest świadom, że samo przybycie tutaj oraz przeby-
wanie w tym miejscu to za mało. Od przyjazdu czuje w sobie
jakiś niedostatek, pustkę, nicność. Myśli, że to zawsze w nim
było i zawsze będzie. Teraz ma wrażenie, że ta pustka w nim
pęcznieje i wzbiera, zadaje więc sobie pytanie, co zyskał,
przyjeżdżając do Kildoune. Ciągłe nie może się nadziwić, że
żyje pośród ludzi, którzy rozmawiali z Tomem, mieli z nim
jakiś kontakt, znali go, byli obok niego. Sam fakt, że się
tutaj znajduje, niezwykle przybliży Jake'a do ojca, już tylko
jeden krok dzieli go od niego. Za każdym razem kiedy przy-

tłacza go owo poczucie beznadziejności, nicości, która może go całkowicie pochłoniąć, musi sobie o tym przypominać.

Pogoda się zmienia i zaczyna padać deszcz. Ledwie go muska, w niczym nie przypomina ulewy z Hongkongu. Ten deszcz jest niemal niewidoczny, kiedy tak spływa ukośnie ku ziemi. Jake musi poczekać z malowaniem okien na lepszą pogodę. Przekopuje warzywnik, wbija metalowe zęby wideł w bryły zbitej gleby, wyrywa z korzeniami węzowate, czepiające się wszystkiego chwasty, wkopuje tyczki na groszek, żeby miał czego się chwycić w miarę wzrostu.

Jest brudny, dłonie ma umazane ziemią, buty ciężkie od błota. Ale podoba mu się to zajęcie i lubi czuć pot na czole. Jednocześnie uczy się, że otaczający go krajobraz tylko pozornie jest martwy, wystarczy zerknąć kątem oka i zobaczyć, że roi się od żywych stworzeń - zajęcy, lisów, kosów, owiec, bażantów. Ziemia i las dźwięczą na różne tony i tętnią życiem. Czasami Jake odkłada widły i rozgląda się, bo myśli, że coś czy ktoś się tam kryje, nie widzi jednak niczego poza falującymi na wietrze paprociami.

Stella przesuwając końcówkę odkurzacza szerokimi półkolistymi ruchami. Nuci sobie podczas pracy, a włoski na wściekle wzorzystym dywanie jeżą się i stają przed nią na baczność. Przez hol przechodzi dwoje gości, małżeństwo, żona posyła Stelli skinienie głową. Kobieta jadła na śniadanie grzanek z pieczarkami, myśli sobie Stella, poprzedniego wieczoru wypła dwa koktajle, nosi nylonowe halki, a przy łóżku trzyma broszurkę na temat sposobów określania czasu owulacji.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, odkurzacz się wyłącza, buczenie silnika zmienia ton, przycicha i milknie. Stella odwraca się i patrzy na tego przysadzistego, opływowego stwora na dywanie, którego szyję trzyma w rękach. Kopie go na próbę -

co jest jej standardowym postępowaniem z odmawiającymi posłuszeństwa urządzeniami - ale bez rezultatu. Schyla się i potrząsa nim. Nadal nic.

Wzdychając i przeklinając pod nosem, Stella idzie wzdłuż kabla do miejsca, w którym wtyczka jest wciśnięta do gniazdka. Mogła się obluzować. Właśnie ma wejść do hotelowego salonu, gdzie podłączyła przewód, kiedy za jej plecami odkurzacz sam się włącza.

Odwraca się i podchodzi do urządzenia. Ledwie zdążyła podnieść końcówkę i raz przejechać nią po dywanie, a odkurzacz znów milknie. Zirytowana ciska rurę.

- Co się z tobą dzieje? - rzuca ostro i rusza do gniazdka w salonie. - Głupie, bezużyteczne pudło - mamrocze pod nosem.

I znów w momencie, w którym dochodzi do drzwi, maszyna budzi się do życia. Tym razem Stella staje bez ruchu z przechyloną na jedną stronę głową. Słyszy skądś tłumiony śmiech. Pcha drzwi i wchodzi do dużego pokoju.

- Często rozmawiasz z artykułami gospodarstwa domowego? - uśmiecha się przykucnięty przy gniazdku Jake.

Patrzy na niego zdumiona, ujmuje się pod boki.

- Ty to robiłeś? - pyta. Nie widziała go od wielu dni. Przez cały ten czas, musi to przyznać, unikała go.

- Powinnaś widzieć swoją minę. - Jake parska śmiechem. Rozwścieczona Stella chwyta poduszkę z kanapy.

- Ty draniu. - Sama też się zaczyna śmiać. - Ty obrzydliwce.

Rusza przez pokój w jego kierunku, poduszkę trzyma przed sobą. Myśli o tej satysfakcji, jaką odczuje, gdy to mocno upchane pierze odbije się od jego ramion i głowy. Kiedy jednak podchodzi bliżej, on chwyta poduszkę i bez najmniejszego wysiłku wyrывa ją jej z rąk. Kobieta pozbawiona jest broni, zostaje z pustymi rękoma. Zauważa nagle, że Jake ma

rozpiętą koszulę, wypuszczoną na wierzch spodni, że pachnie świeżym powietrzem, deszczem, mokrymi liśćmi, ziemią, którą przekopywał. Widzi też, że patrzy na nią w taki sposób, jakby mógł przejrzeć ją na wylot.

Odwraca się na pięcie i odchodzi.

W kuchni Pearl odszypułkowiec właśnie agrest, kiedy wpada tam Stella.

- Coś się stało, kurczaczku?

Stella mamrocze coś pod nosem, ale się nie zatrzymuje, tylko przebiega przez pomieszczenie i wypada na zewnątrz. Pearl słyszy chrzęst jej oddalających się kroków na dziedzińcu.

Zaledwie po ułamku sekundy pojawia się ten Jake.

- Widziałas Stellę? - pyta.

- Kiedy?

- Teraz. - Jake podbiega do okna i wygląda na zewnątrz. - Przechodziła tędy? W którą stronę poszła?

Pearl przygląda mu się bacznie. Wygląda dziwnie, odrobinę spłoszony, a w ręce ściska poduszkę. Gestem wskazuje mu odwrotny kierunek do tego, w którym poszła Stella.

- Dzięki - mówi Jake i znika.

Pearl strząsa ostre drobniutkie włoski z palców i przesypuje owoce na talerz.

- I co dalej? - rzuca w przestrzeń pytanie i sięga po kule ciasta.

Obsypując wałek mąką, potrząsa głową. Przecież wie dokładnie, co będzie dalej.

Jake ścina właśnie trawę zgodnie z instrukcją pani Draper - równe, gładkie pasy biegną w dwie przeciwne strony, kiedy chrzęszcząc kołami po żwirze, nadjeżdża pocztowa furgonetka.

ka. Listonosz nie wysiada, rzuca tylko pakunek owinięty gumkami w otwarte drzwi hotelu.

- Poczta! - wrzeszczy do Jake'a, zawraca i znika na końcu podjazdu.

Jake wyłącza kosiarkę, raptowne przerwanie warkotu wywołuje wrażenie, jakby wszystko wokół zastygło. Podchodzi do pakunku, podnosi, ściąga gumki, przegląda. Magazyny firm cateringowych, reklamy sprzedaży wysyłkowej uniformów, jakiś list czy dwa w sprawie rezerwacji pokoi, kilka dla pani Draper, parę dla Stelli, przeadresowanych z jakiegoś londyńskiego adresu i jedna kartka pocztowa. Dla Stelli. Jake nie zamierza jej czytać, ale trudno nie zauważyć tych ogromnych, czerwonych drukowanych liter: ZADZWOŃ ALBO GIN. Jake marszczy brwi. Żadnego nazwiska. Żadnego adresu zwrotnego.

Zostawia część poczty na biurku w recepcji i biegnie na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Zatrzymuje się na podeście. Nie dochodzi go żaden dźwięk. Dywan znaczą podłużne plamy słońca. Wytęża słuch, obracając głowę w jedną, a potem w drugą stronę.

- Stella? - woła.

Jedyną odpowiedzią jest cisza.

Idzie w kierunku północnej wieżyczki. Drzwi wszystkich pokoi są zamknięte, wszędzie panuje cisza. Chodnik na korytarzu porusza się pod jego stopami. Ze ścian patrzą na niego odcięte jelenie głowy; przymocowana drutem do gałęzi tkwi zastygła, wyliniała już szkocka kuropatwa ze skrzydłami rozpostartymi do lotu. Zadzwoń albo giń. Któż na miłość boską mógł coś takiego przysłać?

Zatrzymuje się w miejscu, w którym korytarz rozdziela się, w jedną stronę prowadzi do kolejnych pokoi i magazynu bielizny pościelowej i ręczników, w drugą do stromych schodków północnej wieżyczki.

- Stella? - próbuje znowu.

Nadal nic. Nasłuchuje, by usłyszeć cokolwiek - kroki, zawodzenie odkurzacza, szelest prześcieradeł. Nic. Odwraca się, kiedy nagle słyszy jakiś odgłos, stęknienie budynku, skrzypnięcie podłogi, a może boazerii, nic więcej. Zawraca.

- Stella? - woła. - To ty? - Wspina się po kilku ostatnich stopniach do grubych, dębowych drzwi i popycha je barkiem.

Oślepiające, białe światło zalewa pokój, meble, dywany i wszystkie przedmioty zatracają kolory i wymiary. Jake podnosi instynktownie rękę, żeby osłonić oczy. Nigdy wcześniej tu nie był. Wszystkie okna są otwarte, powiewają firanki. Prześcieradła, narzutę i poduszki ściągnięto z łóżka i ciśnięto na podłogę. W koszu na śmieci sterczą łodygami do góry zwiędłe kwiaty. W szklanej gablocie czai się lis. Stella stoi otoczona kręgiem wieżyczki, plecami do niego, i spogląda w dolinę.

- Stella - powtarza Jake.

Odwraca się i mruga, jakby zdziwiona jego widokiem.

- Cześć, Jake - mówi. Jedną ręką dotyka kamiennej ściany, drugą przyciska do szyi.

Przez chwilę patrzą na siebie ponad tym rozświetlonym pobojuwiskiem. Jake nie pamięta, po co tu przyszedł. Wszystkie myśli ma zaprzątnięte faktem, że ona tam jest, przed nim, sześć kroków od niego. Wystarczy przejść przez to kłębowisko pościeli i ręczników i już będzie przy niej.

Tymczasem chmura nachodzi na słońce, bo jasność zostaje raptownie wyszana, a pokój nabiera zwykłych wymiarów i głębi. Przedmioty wokół nich wyłaniają się niczym obrazy na papierze fotograficznym. Jake odchrząkuje.

- Przyniosłem ci korespondencję. - Przedostaje się przez ten cały rozgardiasz na podłodze, ale kiedy się zbliża, ona wyciąga rękę. Wkłada w nią listy i teraz palce wydają mu się bezużyteczne i sztywne.

- Dzięki - mówi Stella i przegląda pocztę.

Jake obserwuje jej twarz, kiedy dochodzi do kartki. ZADZWOŃ ALBO GIŃ. Patrzy na czerwone litery krzyczące z kremowej bieli papieru, zerka na adres wypisany zaokrąglonym niepewnym pismem i powraca do tych drukowanych liter. Przekłada kartkę na spód i ogląda jeden z przeadresowanych listów. Krzywi się, kiedy ogląda drugi z kolei.

- O Boże - mówi.

- C o ?

Wzdycha i otwiera kopertę.

- To po prostu... - Milknie, przebiega wzrokiem ciasno zapisaną stroną. Śmieje się, poważnieje, po czym podchodzi do łóżka i siada.

- Och, na miłość boską - szepcze, kontynuując czytanie.

- Co się stało? - Jake siada obok, potem kładzie się i splata ręce pod głową. - Złe wieści?

- Raczej nie. To od tego faceta...

- Twojego chłopaka? - Jake rzuca błyskawicznie.

- Nie, nie, od faceta, dla którego pracowałam.

- Aha. - Jake wlepia wzrok w zawieszony na czterech słupach baldachim, który ma nad głową, i próbuje powstrzymać uśmiech.

- Chce wiedzieć, czy wrócę. - Stella wydaje krótkie, niecierpliwe westchnienie i wkłada kartki z powrotem do koperty. - Nie będę sobie tym teraz zawracać głowy. - Ciska zmiętą kopertę na łóżko pomiędzy nich dwoje i też się kładzie.

Jake uśmiecha się do siebie. Materac lekko się kołysze, kiedy Stella wyciąga się obok niego.

- Jestem dzisiaj naprawdę zmęczona - mówi dziewczyna.

Jake zerka na listy, a potem na nią. Stella ma oczy zamknięte, brodę wycelowaną w sufit. Nigdy przedtem nie zauważył, jakie długie są jej rzęsy. Widzi, jak w rytm odde-

chu wznosi się i opada wypukłość jej piersi. Dostrzega, jak blisko siebie się znajdują na tym ogromnym łożu z baldachimem. Czuje ważkość tego domu, doliny, całej krainy wokół nich. Gdyby wyciągnął rękę, mógłby dotknąć jej czoła, policzka, ramienia. Byłoby to takie łatwe, tak naturalne. Wyobraża sobie żar jej warg pod swoimi ustami, dotyk przyciśniętych do niego piersi.

Wyciąga w końcu rękę, ale tylko po to, żeby potrzeć swoją twarz. To straszne. Tak bardzo ma ochotę ją pocałować. Jak by zareagowała? Czy w tych okolicznościach byłby to dobry pomysł?

W ułamku sekundy postanawia, że nie będzie się przejmował. Nieważne, okoliczności. Nieważne, czy to dobry pomysł. Nic nie jest ważne. Ogarnęło go bowiem to przemożne uczucie, że powinien, że musi natychmiast ją pocałować i że jeśli tego nie zrobi, już nigdy więcej może nie mieć podobnej okazji. Kładzie rękę na łóżku pomiędzy sobą i nią, żeby się oprzeć, kiedy się nad nią pochyli.

Stella unosi się. Nuci coś, zakłada kosmyk włosów za ucho.

- Jeśli poleżę tu jeszcze chwilkę - mówi - to w końcu zasnę. - Odpycha się stopami od ścianki w nogach łoża, zbierając rozrzucone listy.

Nie, Jake ma ochotę zawołać, nie, wróć tu. Przewraca się na brzuch, ma ochotę walić pięścią w łóżko, w poduszki, w cokolwiek. Zmusza się, żeby tego nie robić, i przypadkowo wydaje cichy jęk.

Stella obraca głowę i spogląda na niego ze zmarszczonymi lekko brwiami. Jake musi coś powiedzieć, koniecznie. Bo jak nie, to ona jest gotowa pomyśleć, że z niego jakieś dziwadło. Szybko. Powiedz coś. Cokolwiek. Nieważne co. Coś zwyczajnego. Jake głowi się, co by tu powiedzieć, tymczasem jedyne, co przychodzi mu na myśl, to pocałuj mnie, chodź tutaj, pragnę cię. Na miłość boską. Rusz, człowieku, głową.

- Od kogo była ta kartka? - rzuca pośpiesznie i niezbyt wyraźnie pod wpływem nagłego olśnienia.

Na szczęście ona zrozumiała. Wybuchła śmiechem.

- Widziałeś ją, co?

- Przepraszam, nie chciałem, ja...

- W porządku. Trudno ją przegapić.

- Od kogo ją dostałaś? - powtarza pytanie.

- Od siostry.

- Nie wiedziałem, że masz siostrę - mówi Jake, zły, że wcześniej mu o tym nie powiedziała.

- Cóż. - Stella wzrusza ramionami, nie poczuwając się do winy. - Mam.

Wstaje i odwrócona do niego plecami zaczyna rozkładać świeże prześcieradła. Jake podnosi głowę, żeby na nią popatrzeć. Co takiego zrobił? Ma nieprzeparte wrażenie, że powiedział coś niewłaściwego. A Stella zrobiła to, co czasami ma zwyczaj robić, zamknęła się przed nim niczym wachlarz.

- J a k a jest?

Stella, nadal odwrócona do niego tyłem, wzrusza ramionami.

- J e s t starsza czy młodsza?

- Starsza.

- O ile?

- Dwa lata.

- J a k a jest?

- Nie wiem. - Strząsając energicznie prześcieradło, trząska nim jak z bicia. - Jest... sobą. Jeszcze jakieś pytania? Czy może na razie dosyć?

Jake podnosi się i wciska miękką, napuchniętą poduszkę w świeżą, sztywną po praniu poszewkę.

- No to... ee... dlaczego grozi ci śmiercią?

Stella patrzy na niego przez dzielącą ich szerokość łóżka.

- To długa historia - mówi i nachyla się, żeby podnieść

z podłogi pudełko ze środkami czyszczącymi - bardzo długa historia. - I idzie do łazienki.

Stukanie do drzwi powoduje, że Stella unosi się z poduszki. Mocniej obejmuje ramię Sama, żeby nie zepchnąć go z wąskiego, twardego studenckiego materaca. Spał z twarzą wtuloną w jej ramię, z jedną nogą przerzuconą ponad kostkami jej nóg, czym skutecznie przygwaździł ją do łóżka.

- Kto tam? — zawołała.

I nagle, z niedowierzaniem ujrzała w pokoju swoją siostrę. Stała obok pokrytej plamami rdzy umywalki, jasny snop światła padał na płaszcz, który miała na sobie, należący kiedyś do Evie. Lawendowy zamsz, nazywała go Evie.

Stella utkwiała w siostrze zdumiony wzrok. Obecność Niny tutaj, w jej londyńskim pokoiku, w tej sytuacji, była czymś tak niewytłumaczalnym i dziwacznym, że zajęło jej to chwilę, zanim uwierzyła, że nie śni. Nina tutaj? Ona tu zwyczajnie nie pasowała.

- Cześć - przywitała ją siostra i rozejrzała się po tej klitce, omiotła wzrokiem biurko, podłogę z porozrzucanymi ubraniami, plakaty na ścianach, książki na półkach, wsparte jedna o drugą jak przewrócone kostki domina i wreszcie nagie ciało śpiącego Sama, splecione z ciałem Stelli.

Stella patrzyła oniemiała, jak Nina zapoznaje się z życiem, które ona, Stella, sobie ułożyła z dala od niej.

- Co tu robisz? - wykrztusiła wreszcie.

- Rzuciłam studia.

- J a k to rzuciłaś? - Stella uwolniła ramię przygniecione przez Sama, który zaczął się budzić i wiercić, i usiadła.

- Zrezygnowałam. - Nina wskazała ręką mężczyznę na łóżku. - Kto to?

- To... ee...

Tę właśnie chwilę Sam wybrał, żeby się ostatecznie ocknąć. Uświadomiwszy sobie, że ktoś jeszcze jest w pokoju, zaczął się rzucać... co w jednoosobowym łóżku nie jest rzeczą godną polecenia. Odsunął się od Stelli, w dopiero co otwartych oczach pojawił się niepokój. Stella usiłowała go przytrzymać, ale nie zdążyła, i Sam stoczył się z łoskotem na podłogę.

- Szlag by to! - zawołał. - Oj. - Potem podniósł wzrok na Ninę. - O.

- Cześć - powiedziała Nina, ani trochę nie ukrywając, że ogląda dokładnie jego nagie ciało. - Jestem Nina. Siostra Stelli.

Na miłość boską, ona wyciągnęła nawet do niego rękę, wobec czego Stella wyskoczyła z łóżka, pociągając za sobą prześcieradło, i okryła nim mężczyznę.

- Nino, poznaj Sama, Sam to Nina - paplała, zbierając z podłogi, co jej się udało znaleźć, i zarzucając na siebie w pośpiechu.

Sam gramolił się z wysiłkiem, a Nina usiadła na krześle przy biurku.

- Bardzo mi miło cię poznać - oświadczyła Nina. - Stella nie mówiła, że z kimś się... - zdjęła włos z płaszcza - ...spotyka.

- Naprawdę? - Sam obrzucił Stellę zdumionym spojrzeniem.

- No bo... - zaczęła Stella - nie miałam okazji... ja... - Zamilkła, utkwiała wzrok w podłodze, a zobaczywszy tam zużytą prezerwatywę, leżącą na podobieństwo ślimaka obok jakiejś książki, kopnięciem posłała ją pod łóżko.

- Jest taka skryta — powiedziała Nina. — Nie uważasz, Sam?

Stał pośrodku pokoju owinięty w prześcieradło niczym jakiś rzymski posąg, minę miał niepewną. Stella zapragnęła,

żeby jedno z nich sobie poszło. W tamtym momencie dałaby za to wszystko. Tylko on czy ona? Tego nie wiedziała. Wiedziała jedynie, że od obecności obojga w tym pokoju kręci jej się w głowie, jakby dla nich wszystkich brakowało tu tlenu.

- Chodźmy gdzieś na śniadanie - zaproponowała.

W ten oto sposób zupełnie niedopasowana trójka znalazła się na ulicy. Sam jak zawsze wziął Stellę za rękę, a ona zobaczyła, że Nina zerka na to spod oka, przez co poczuła się nieswojo, bo jedyną osobą, z jaką się kiedykolwiek wcześniej trzymała za ręce, była Nina, a teraz jakby nigdy nie szła sobie obok niej i trzymała za rękę kogoś innego. Udając, że chce się podrapać po nosie, uwolniła palce z uścisku Sama. To z kolei wywołało u niej takie poczucie winy, że nie umiała mu spojrzeć w oczy.

Kiedy wychodzili z domu, znalazła się pomiędzy nimi obojgiem, ale doszła do wniosku, że taki układ jest zbyt znamienny. Dlatego kiedy przechodzili obok przystanku autobusowego, obeszła Ninę i pojawiła się u jej drugiego boku. Ta zmiana uzmysłowiła jej natychmiast, jak to niemal po osiemnastu latach chodzenia wszędzie razem ona i Nina idą w idealnie równym i zgranym rytmie, gdy tymczasem Sam zupełnie tu nie pasuje, a odgłos jego nieregularnych kroków zakłóca miarowy jak stukot metronomu odgłos ich stąpania. Było to zadziwiające, bo mogłaby przysiąc, że zawsze kiedy szła tylko z Samem, ich kroki były nienagannie zsynchronizowane. Jak to możliwe?

Lokal prowadzony przez grecką rodzinę był tani. Kiedy do niego weszli, przy stoliku siedziało kilka osób, które Stella знаła. Dostawiono zatem krzesła, a potem przyniesiono jeszcze jeden stolik, żeby wszyscy mogli jeść razem. Nina siedziała między dwoma studentami, Grahamem i Neilem, z zajmującej się osiemnastym wiekiem grupy seminaryjnej Stelli. Nina nic nie zamówiła, ale zabawiając swoich sąsia-

dów historyjką o zajęciach z rysunku z natury, raz po raz sięgała po frytki z talerza jednego albo drugiego.

- ...i miał najmniejszego, dosłownie najmniejszego fiuta na świecie... - mówiła, a Stella patrzyła, jak jej siostra przebijając nieskazitelne żółte oko sadzonego jajka na talerzu Neila i żółtko rozlewa się strużką, aż sięga gniazda z frytek. - Był taki. - Podniosła do góry frytkę. - Nie, chwileczkę - odgryzła koniuszek - o taki.

Stella widziała, że obaj są zafascynowani i patrzą na nią tak, jakby nigdy wcześniej nie widzieli równie egzotycznego, wspaniałego stworzenia. Zauważyła, jak siostra sprytnie nastawia jednego przeciwko drugiemu, jak bierze jedzenie z talerza Grahama, aż ten poczuje się pewny swego, i wtedy zwraca się ku Neilowi, by znów, w idealnie odpowiednim momencie, poświęcić uwagę temu pierwszemu.

- Hej, Stel - Nina przechyliła się przez stół i zwróciła się do siostry po włosku - ty chyba nie masz z nim tego problemu, co? - I wycelowała nadgryzioną frytkę w kierunku Sama.

- Co ona powiedziała? - dopytywał się zaniepokojony Sam, kładąc rękę na udzie Stelli.

- Nic - odparła Stella. - Nieważne.

- Mówisz po włosku? - Graham miał nadzieję ściągnąć na siebie uwagę Niny.

- Taa. - Spojrzała na niego zaintrygowana, potem przeniosła spojrzenie na Stellę. - Nie powiedziała wam? - Powiodła wzrokiem po wszystkich obecnych. - W domu mówimy po włosku.

- N i e wiedziałem - przyznał Graham, spoglądając na Ninę, a potem na Stellę, jakby były jakimiś ciekawymi okazjami. - A ty, Sam?

- Nie - odparł. - Nie, nie wiedziałem. - Obie dłonie trzymał zaciśnięte na pustym kubku.

Stella odsunęła ze zgrzytem krzesło i podeszła do lady. Po-

patrzyła na niezliczone rzędy puszek, kartony wypełnione kolorowymi torebkami z sosami, stos drewnianych widelców, na pasy fartucha Greczynki. Weźmie... cokolwiek. Kolejną filiżankę herbaty. Albo szklanę wody. A może czekoladę? Nie wiedziała, na co ma ochotę. Bo tak naprawdę, jedyne, na co miała ochotę, to wyslizgnąć się stamtąd i pobiec, nie oglądając się za siebie. To niespodziewane zderzenie jej dwóch światów spowodowało, że poczuła się zagubiona, nadwątlona, niepewna, kim ma być, jak się powinna zachowywać. Kiedy siedziała tam blisko Niny, miała wrażenie, że jej siostra emanuje jakąś siłą przypominającą grawitację, że ciągnie ją z powrotem do Edynburga, do rodziców, do wszystkiego, co jak uważała, już dawno zostawiła za sobą.

Nagle tuż obok pojawił się Sam, objął ją w pasie.

- Nic ci nie jest? - zatroskał się.

- Nie, nic. - Odwróciła się do niego i zobaczyła, że twarz ma zarumienioną, niepewną.

- Twoja siostra... - zaczął.

- C o ?

- Ona jest naprawdę... - spojrzał ku stolikowi - ...naprawdę dziwna... i szalona.

Stella zamknęła oczy i zobaczyła siebie, jak spada z wysoka na ziemię, niczym spadochroniarz akrobata. Na dole mającą dwa pola, na jednym Sam, z głową odchyłoną do tyłu obserwuje jej lot, na drugim stoi Nina. Które pole ma wybrać? To oczywiste, że nie istnieje żaden wybór. Zawsze będzie to Nina.

- Nie mów tak. - Stella odsunęła się od niego. - Nigdy.

Jake chwytą mocno widły, wbija w zbutwiałą siatkę siedziska i wrzuca krzesło do ogniska. Ogień tryska obłokiem iskier, po czym płomienie obejmują poszczególne elementy krzesła i łapczywie je pożerają.

Opróżnia najmniejszą szopę. Pani Draper była tutaj przez cały ranek, w płaszczu przeciwdeszczowym zarzuconym na ramiona i z chusteczką przy nosie. Wydawała instrukcje, a on rozdzielał latami splątane ze sobą stare krzesła Lloyd Loom, odgrzebywał szczątki komód, jakieś pojedyncze sitka natryskowe, stopy pokrytych pleśnią i cuchnących zasłon.

Kazała mu to wszystko spalić. Ogień nie chciał się rozpałić, drewno tliło się leniwie, aż w końcu Jake polał je naftą i wtedy dopiero buchnął płomień, z hukiem wsysając powietrze.

Znalazł też kilka skarbów. Starą latarnię sztormową, którą zamierza podarować Stelli na jej nocne powroty do przyczepy, i rower, z łańcuchem przeżartym rdzą i ze sflaczałymi oponami, ale poza tym w dobrym stanie. Ma stalową ramę, siodełko na sprężynach i mocne, szprychowe koła. Jest w nim coś, co mu się bardzo podoba, terkotanie obracających się kół, wygięcie kierownicy sterczącej niczym poroże, dzwonek przymocowany metalową obejmą.

Nie spuszczać oka z ogniska, posuwistymi ruchami, jakby oporządzał konia, wyciera rower szmatą, pompuje dętki. Stawia go do góry kołami, kręci pedałami najpierw w jedną, potem w drugą stronę, wsłuchuje się w stukot wirującego koła, oliwi ogniwa łańcucha i wszystkie te części, gdzie metal styka się z metalem.

Wreszcie wsiada na rower i jeździ w kółko po podwórzu, kiedy nagle tuż obok słyszy głos.

- Wiesz, on należał do hipisów. - Pearl pojawia się nagle jak dzinn z butelki, dłonie ma owinięte fartuchem.

- Rower? — Jake stawia nogę na ziemi.

- Aha. Znalazłeś go w szopie, co? - Ogląda Jake'a od stóp do głów, jakby chciała go kupić. — Szczególnie jeden z nich na nim jeździł. Ciagle. Młody gość. Twój wzrost, twój kolor włosów.

Odchodzi w stronę warzywnika, znika równie szybko, jak się pojawiła, zostawiając Jake'a z szeroko otwartymi oczyma.

Kiedy ognisko wypala się i zamienia w kupkę dymiącego popiołu, Jake rusza rowerem ojca na szlak. Ta zwykła czynność napełnia go taką czystą radością, że musi się powstrzymywać, by nie śmiać się w głos i nie walić z uciechy pięścią w kierownicę. To siodełko, te pedały, ten zardzewiały dzwonek - tego wszystkiego dotykał Tom. Jake ma wrażenie jakby ten ostatni dzielący ich odcinek został pokonany. Czuje, że najchętniej nigdy by nie zsiadał z tego roweru, nigdy z nim się nie rozstawał, że chciałby tak pedałować bez końca.

Jake zawsze się zastanawiał, czy wszystko nie byłoby prostsze, gdyby ojciec porzucił jego i matkę, gdyby oszedł z kimś innym. Byłaby w tym jakaś jednoznaczność, ostateczność. Nigdy nie przeboleał faktu, że ojciec nie ma najmniejszego pojęcia o jego istnieniu. Czasami Jake odczuwa w stosunku do niego coś na kształt współczucia. Wydawało mu się zawsze, że wie o Tomie wystarczająco dużo, by być przekonany, że Tom chciałby go poznać, zobaczyć. Fakt, że jego ojciec zniknął z ich świata, tak jak Alicja przechodząc przez lustro, wydaje mu się osobliwym okrucieństwem. Ten rower jest tym, co Jake'a najbardziej do niego przybliżyło... i nic nie przybliży go bardziej. I już to samo w sobie zasługuje na uczczenie.

Natyka się na hotelowych gości i musi manewrować, żeby na nich nie wpaść. Zawsze go zadziwia, kiedy ich widzi, zupełnie jakby zapominał, czym jest Kildoune. Przyglądają się ciekawie temu mężczyźnie na rowerze z twarzą ubrudzoną popiołem, jakby był przybyszem z Marsa. Czy wiecie, do kogo należał ten rower, ma ochotę krzyknąć, macie jakiegolwiek o tym pojęcie?

Właśnie się zastanawia, co jest nie w porządku z kierownicą, czuje, że jest zbyt luźno albo krzywo osadzona, kiedy

wyjechawszy zza zakrętu podjazdu, widzi Stellę, która stoi obok obsypanego czerwoczarnym kwieciem rododendrona.

Jake naciska jedyny hamulec pojazdu. Nic się nie dzieje. Przechylony na bok przejeżdża obok niej i zatrzymuje się dopiero wtedy, gdy przednie koło wpada w biegnący wzdłuż podjazdu rów. Przelatuje nad kierownicą i zaczepiwszy głową o gałąź, łąduje w wilgotnej rabatce, gniotąc płatki i liście.

- Nic ci się nie stało? - Jake'owi miło jest słyszeć ton niepokoju w jej głosie.

- Raczej nie. - Pociera ręką czoło, podnosi się i wyciąga z rowu rower. - Nie sędzę.

- Skąd go wzięłeś?

Ubrana jest w dzinsy i czarny sweter i wygląda tak, jak on ją sobie wyobraża poza hotelem, w tym jej drugim życiu, do którego Jake nie ma wstępu.

- Znalazłem. - Jake strzepuje gałązki i odrywa kulki rzepów z ubrania. - I przywróciłem do życia.

Uśmiecha się do niej, a zachwyt ma wymalowany na twarzy. Stella zaintrygowana spogląda na niego, na rower i znów na niego.

- Chodź, zabiorę cię na przejażdżkę - mówi Jake pod wpływem nagłego impulsu.

- Ee, nie, dzięki. To chyba nie było zbyt skuteczne przywrócenie do życia.

- No chodź. - Wyciąga rękę i chwyta ją za nadgarstek. - Wytrzyma dwie osoby.

- Za nic mnie nie namówisz, żebym na to wsiadła. - Stella próbuje mu się wyrwać.

- Wskakuj. - Jake ustawia ją przed rowerem. - Będzie zupełnie jak na tym filmie... jaki to był tytuł?

Widzi, że ona się zastanawia, przygląda się uważnie rowerowi, po czym ustępuje.

- J a k i film? - pyta Stella, podciągając się na kierownicę.

- No wiesz, taki dość znany. - Jake odpycha się nogą. - Z Paulem Newmanem i... - Rower chwieje się i przechyla.

Stella wydaje okrzyk i zeskakuje, potyka się i łąduje na kolanach.

- Przepraszam cię - mówi zaniepokojony Jake. - Nic sobie nie zrobiłaś?

- Nie. Ale to nie twoja zasługa.

- Spróbujmy jeszcze raz. - Wyciąga do niej rękę. - Chodź. Stella patrzy na niego i na rower, otrzepując kolana.

- Usiądę z tyłu - mówi - na tym niby bagażniku. To mi wygląda bezpieczniej. Ruszaj, a ja wskoczę.

- Dasz radę?

- Tak. Zawsze tak robiłyśmy z siostrą. Ruszaj - macha ręką - no już.

Jake naciska na pedał i rower zaczyna się toczyć. Rododendrony potrząsają czerwonymi pięściami, słyszy chrzęst kroków Stelli na żwirze, czuje nagłe obciążenie roweru, który lekko skręca, ale on bez trudu go opanowuje. Jej ramiona obejmują go w pasie i Jake zerkając w dół, widzi z jednej strony roweru wiszące tuż nad ziemią stopy.

- W Chinach całe rodziny podróżują w ten sposób - mówi, kierując głós do tyłu pod ramieniem.

- Naprawdę?

Wydaje mu się, że za sprawą dotyku czuje, jak wibruje jej głós.

- Którędy? - pyta, kiedy podjazd się kończy.

- W prawo... nie, w lewo.

Teren się wznosi i Jake mocniej naciska na pedały.

- No dalej - Stella klepie go dłonią po plecach - postaraj się.

Zostawiają za sobą wzniesienie i teraz mkną z górkę obok srebrnych brzoź, koni za ogrodzeniem, kamiennego domu, przed którym jakaś kobieta hušta bez wytchnienia dziecko. Stella pokrzykuje i zaśmiewa się, woła coś o hamulcu, ale on

myśli wyłącznie o jej oplatających go ramionach - świat, przez który pędzą, jest niewyraźny i zamazany, jakby jedynie oni dwoje byli tam rzeczywistymi, oddychającymi, doznającymi jakichś wrażeń istotami.

Rower porusza się po krętej szarej jezdni, a im się wydaje, że unoszą się nad nią. Przejeżdża samochód, czują, jak pęd powietrza szarpie ich włosy i ubrania, a Stella mówi coś o miejscu, w którym uczyła się jeździć na rowerze, i o tym, jak myślała, że stryj nadal trzyma za siodełko, ale kiedy się obejrzała, zobaczyła, że zostawiła go z założonymi rękoma daleko z tyłu i tak ją to przeraziło, że natychmiast się przewróciła.

Droga ponownie opada w dół i pędzą teraz w stronę szerokiego kamiennego mostu spinającego zbocza wąwozu. Kiedy tylko Jake go dostrzeżga, natychmiast uzmysławia sobie, że pragnie stanąć na nim ze Stellą, że jest to tego rodzaju miejsce, gdzie dzieją się różne rzeczy, gdzie różne rzeczy się zaczynają. Chciałby tam stać, na tym moście, razem z nią, mieć rzekę pod nogami i niebo nad głową. Zdejmuje nogę z pedału, podeszwa jego tenisówki trze o nawierzchnię drogi, kamyczki sypią się spod kół i grzechoczą po metalowych częściach roweru.

Zatrzymują się raptownie i chwiejnie. Jake opiera rower o murek mostu i spogląda w dół. Rozszalała czarna woda kotłuje się i pieni na pobrużdżonych głazach.

- Mój Boże - woła, a bryzgi fal sięgają jego twarzy. - Wiesz, co to za rzeka?

- Feshie - mówi cicho Stella.

Jake odwraca się do niej i widzi, że sytuacja się powtarza. Jej twarz jest zamknięta, zastygła, dłonie zaciśnięte.

- Wszystko w porządku?

- Oczywiście. — Nie patrzy na niego.

➤ On spogląda w dół na kłębiącą się wodę. Jej ryk odbija się od kamiennych ścian wąwozu.

- Niezwykle — mówi Jake, mając nadzieję, że zmieni jej nastrój. - Moglibyśmy pójść wzdłuż brzegu, jeśli masz ochotę. Jest tu ścieżka.

- Nie, nie mam ochoty. - Jej głos jest rozpaczliwy, niemal dziecięcy.

- Na pewno?

- Na pewno. - Stella potrząsa głową. - Wracajmy już. Proszę.

- Dobrze. - Zdumiony, nie pojmujący niczego Jake rusza za nią w stronę roweru.

- W każdym razie tak właśnie powiedziałam... - Francesca zamilkła i odwróciła głowę, nasłuchując. Rozległ się dźwięk otwieranych frontowych drzwi, chroniąca przed przeciągami listwa uszczelniająca zaszurała po płytkach. - Nadchodzi milczące bliźniaczki. Resztę opowiem ci później.

- Dlaczego je tak nazywasz? - Evie zgmiotła niedopałek w fdiżance, którą akurat miała pod ręką (obrzydlistwo zdobione kokardkami w szkocką kratkę i czymś co wyglądało jak wieńce pszeniczne - prawdopodobnie klanowa scheda po rodzinie Archiego).

- Cii. - Francesca przyłożyła palec do ust i obróciła się na krześle. - Cześć! - zawołała.

W drzwiach kuchni ukazała się Nina. Z każdym dniem wygląda coraz lepiej, pomyślała Evie, odzyskuje kolory, nabiera ciała. Nie zdobędzie już medali w gimnastyce, ale jej poczucie równowagi oraz zdolność poruszania wciąż się poprawiają. Mogłaby uchodzić za zdrową, doszła do wniosku Evie, gdyby się nie wiedziało.

Patrzyła, jak Nina całuje matkę, a potem podchodzi do niej, żeby tymi cienkimi wychudzonymi ramionkami objąć ją za szyję. Przycisnęła policzek do głowy Niny i wciągnęła

powietrze. Evie uwielbiała zapach dzieci; nie dzieci w ogóle, ale tej dwójki, innych nie lubiła. Te dziewczynki pachniały mydłem, świeżym powietrzem i niewinnością. A dziś była tam jeszcze ledwo wyczuwalna domieszka przypominająca szkołę - zapach stróżyn z ołówków, pasty do podłóg, mdła woń atramentu. I znowu pomyślała sobie, jak niewiele w tych dwóch dziewczętach z Gilmore'ów. W obydwu przypadkach zatriumfowały geny Iannellich, szczególnie u Stelli.

Stella z ponurą miną trzymała się z tyłu. Dzisiaj od niej nie będzie żadnych całusów. Evie przyjrzała się jej uważnie. Coś się działo. Była tego pewna. Spojrzała na Ninę, która siedziała teraz przy stole ze szklanką mleka, przeniosła wzrok na Stellę i znów popatrzyła na Ninę. Było w nich coś nowego, jakiś rodzaj pewności siebie, wyniosłości, jakby coś udawały, ukrywały. Zachowywały się nie jak dwie uczennice, ale jak osoby dorosłe grające rolę uczennic.

- Cesca, chyba już przestałaś obcinać im włosy, hm? - spytała, podnosząc do ust kolejnego papierosa.

Francesca skinęła głową, wyciągnęła rękę ku kędzierzawym włosom Niny, które zaczynały wyglądać normalnie.

- Do licha ciężkiego. - Evie dotknęła przyciętych końców włosów Stelli, co było pretekstem, żeby ją przyciągnąć do siebie, i strzeliła zapalniczką. - Wybierzcie się obie ze mną do fryzjera - wymamrotała z papierosem zaciśniętym pomiędzy wargami - zgoda? Musimy wykluczyć z gry waszą nadużywającą nożyczek mamę.

Stella uśmiechnęła się blado.

- J a k się miewa koszmarna panna Saunders? - Evie mocno przytuliła do siebie Stellę. - Chyba już nie nosi tych spódniczek na gumce, co?

Nina skinęła głową, nie podnosząc wzroku znad mleka.

- Ciągle mam przed oczyma tę, którą miała na sobie podczas bożonarodzeniowego koncertu — ciągnęła Evie, przeno-

sząc spojrzenie z jednej siostry na drugą - tę z pudełkami. Pamiętacie?

Nina skinęła głową, tym razem jej twarz rozjaśnił uśmiech.

- Obiecujcie mi coś, obie. Nigdy nie noście psów Słyszycie? Naszą pannę Saunders powinno się aresztować za przestępstwa przeciwko stylowi ubierania, wymierzone w osoby młode i podatne na wpływy, co ty na to, Stello? - Evie odwróciła się, żeby na nią popatrzeć, i dopiero teraz zauważyła, że dziewczynka ma powyrywane ze szkolnej bluzki guziki, po których zostały nierówne, poszarpane dziury. - Kochanie, masz podartą bluzkę - zawołała.

- Oby nie - wymamrotała Francesca pod nosem. - Och, Stello, to już trzeci raz w tym miesiącu. - Francesca zaczęła ściągać bluzkę przez głowę Stelli. - Mówiłam, żebyś nie brała udziału w tych brutalnych zabawach. Wiesz, że nie stać nas w tej chwili na nowy mundurek.

- A to co, skarbie? - Płonącym końcem papierosa Evie wskazała siniec o barwie bakłażana po wewnętrznej stronie nadgarstka dziewczynki. Zobaczyła, że siostry wymieniają krótkie spojrzenia i że pochylona nad bluzką Francesca tego nie zauważyła.

- Upadłam - odparła Stella, nie patrząc na nią.

- Na wewnętrzną stronę nadgarstka?

- Aha.

- To musiał być niezły upadek. - Evie zaciągnęła się papierosem.

- Był - włączyła się raptownie Nina. - Bo... był.

Evie zaczęła puszczać kółka z dymu, wiedząc, że Nina zawsze lubi sięgać do nich łyżeczką. Jednak nie dzisiaj.

- Czy wy dwie nie macie przypadkiem dla mnie jakiegoś listu? - spytała Francesca. - Stello, ta bluzka jest do wyrzucenia.

I znów Evie zauważyła, że dziewczynki spoglądają na siebie i szybko odwracają wzrok.

- Skąd wiesz o liście? - wyszeptła Nina, wylizując szklankę.
- Nie rób tak, to obrzydliwe. - Francesca zabrała jej szklankę i odstawiła na bok. - Rozmawiałam dziś przez telefon z matką Rebecki i ona mi powiedziała, że dostała list na temat szkolnej wycieczki.

- Nie chcemy jechać - wrywa się Stelli, która stoi tylko w spódniczce i podkoszulku, jedną ręką zakrywając siniec.

- Czy mogłabym jednak zobaczyć ten list?

- Nie chcemy jechać. - W głosie Stelli słychać było prawdziwe przerażenie. — Nie zmuszaj nas, proszę.

- Chciałabym zobaczyć ten list - powtórzyła Francesca z niewysłowionym spokojem.

Po dłuższych przepychankach w korytarzu, po odpięciu pasków szkolnych toreb, gorączkowych szeptach list się odnalazł. Francesca włożyła okulary. Evie zakładała nogę na nogę, zdejmowała, sięgała ręką w dół, żeby poprawić szew na pończosze, i myślała o swoim ostatnim podboju, o kochanku, z którym miała się spotkać tego dnia. Był prawnikiem. Oczywiście żonaty, ale ona takich wolała. Tacy nie wtrącali się i nie stawiali zaborczy. Przyglądała się Stelli, która siedziała z pochyloną głową nad nie wypitym mlekiem.

- Brzmi wspaniale - oświadczyła radosnym głosem Francesca. - Nie chciałybyście pojechać?

Żadnej reakcji. Stella ścisnęła szklankę obiema dłońmi, czuła, jak kropelki wilgoci przesączają się między jej palcami.

- „Zatrzymamy się w ośrodku edukacyjnym w Kir[^]raig, hrabstwo Inverness” - czytała na głos Francesca i Evie wyobraziła sobie, że w jakimś innym życiu jej przyjaciółka mogłaby zostać nauczycielką. - „Przez ten tydzień dzieci będą miały sposobność uczestniczenia w różnorodnych zajęciach sportowych na świeżym powietrzu, włącznie z wiosłowaniem, pieszymi wycieczkami, marszami na orientację...”

- Brzmi okropnie — warknęła Evie. — Jestem po ich stronie, Cesco. Nie każ im jechać.

Stella pamięta, jak kilka dni później słyszała matkę rozmawiającą przez telefon w sypialni.

- Evie, wiesz przecież, że doceniam twoje starania... Wiem, że je kochasz... Nie, nie, nie sądzę...

Nawet do przedpokoju, gdzie kręciła się bezszelestnie w samych skarpetkach, dochodziło brzęczenie głosu Evie, która starała się przekonać matkę, ratować je. Jednak bez rezultatu. Kiedy matka już coś postanowiła, nic się nie dało zrobić.

- ...Nauczycielka powiedziała Archiemu, że mają „problemy integracyjne"... Tak to dokładnie ujęła... Nie wiem, co jeszcze miałabym zrobić, Evie... Wiesz, jakie one są. Zawsze trzymały się razem, nikt więcej ich nie obchodził. Wycieczka pomogłaby im nawiązać lepszy kontakt... To nie jest normalne ani dobre, to, co robią... Będą się świetnie bawić, jestem tego pewna.

Niedaleko Loch Inch podskakują na jakimś większym wyboju i spada im łańcuch. Całe wieki walczą z naoliwionymi, śliskimi ogniwoami, palce mają zupełnie czarne. Jake uparcie twierdzi, że da sobie radę, i dopiero po trzech kwadransach mordęgi wreszcie przyznaje, że bez narzędzi nic nie zrobi. To ostatni raz, oznajmia Stella, gdy wybrała się z nim gdzieś na rowerze.

Kiedy docierają do hotelu, jest już po kolacji, w kuchni nie ma nikogo. Stella nie zdawała sobie sprawy, że jest tak późno.

- To było niezłe - mówi Jake, przeciągając się. Zrzuca kurtkę, a guziki grzechoczą o blat, kiedy ją odkłada.

- Jeśli nie liczyć tego, że rower się rozleciał - Stella stoi przy zlewie, usiłuje doszorować zatłuszczone dłonie - i tego, że taki z ciebie uparty drań, i tego, że musieliśmy tyle mil maszerować po ciemku... to owszem, było wspaniale.

- Zgoda, jeśli nie brać po uwagę kompletnego fiaska, to było świetnie, musisz przyznać.

- Muszę?

- Naprawdę świetnie się bawiłem - mówi Jake łagodnie po chwili milczenia.

Stella rzuca na niego spojrzenie i widzi, że się jej przygląda. Odwraca wzrok, szoruje gorliwie paznokcie. Czuje się beztrosko i nieco wariacko, napięta jak struna skrzypiec. Nie wie, nie potrafi przewidzieć, co może się wydarzyć za chwilę.

- Ja też - mówi, ale jej słowa brzmią nienaturalnie głośno. W tym ostrym, jednolitym i wybielającym oświetleniu wydaje się zupełnie spokojna, tymczasem każda jej cząsteczka nieznacznie płonie.

- Któregoś dnia powinniśmy to powtórzyć. - Jake robi ruch, jakby zamierzał do niej podejść. — Kiedy już zreperuję rower. Nie uważasz?

Patrzą na siebie. Stella liczy cztery uderzenia serca, tak gwałtowne, że niemal bolesne.

- To - zmusza się do wypowiedzenia tych słów i głos jej brzmi okropnie formalnie, okropnie po edynbursku - byłoby miłe.

Jake jakby się wahał, zdziwiony przygląda się bacznie jej twarzy. Cokolwiek to jest, *oo* tam widzi, każe mu skrzyżować ramiona i opuścić wzrok.

- No tak - mówi i sięga po kurtkę. - Cóż, to do zobaczenia.

Drzwi kuchni kołyszają się w tę i z powrotem. Stella słucha, jak jego kroki oddalają się korytarzem. Potem opada ciężko na zlew i obejmuje rękoma głowę.

- O Boże - mówi głośno do pustej kuchni. Czuje ulgę, że sobie poszedł, że jakkolwiek nazwać tę sytuację, została ona na razie zażegnana, że nie musi sobie z nią radzić w tej chwili, a jednocześnie ma ochotę biec za nim. - Booóże - zawodzi, a słysząc, jak to słowo metalicznymi i przeinaczonymi dźwiękami wraca do niej z wnętrza zlewu, zaczyna chichotać.

Prostuje się i rozgląda wokół. Wszystko wygląda bardzo surowo i hiperrealistycznie: rzędy noży nad deską do krojenia, miski włożone jedna w drugą, kolekcja dzbanków do parzenia kawy, sterta wypranych ścierek, złożonych w kwadraty, wysokie i chybotliwe stosy fdiżanek. Plastikowy pojemnik z jakimiś jarzynami, owinięty folią spożywczą, stoi przy czajniku. Nie bardzo wiedząc, po co to robi, bierze go i idzie do spiżarni. Pomieszczenie jest ciemne, wilgotne i odizolowane. Nie zapala światła, bo zamierza tylko postawić to pudełko na stole i wracać.

Tymczasem nagle tuż za nią wyrasta Jake, ujmując ją za ramię i odwraca do siebie.

- Miłe? - pyta. - To byłoby miłe?

Stella stoi przyciśnięta do nogi stołu. W półmroku ledwo widzi bok jego twarzy - zarys czoła, oczodołu. Na policzku czuje jego gorący oddech.

- No dobrze. - Udaje, że się zastanawia. Jej ciało wibruje, dzwoni jak kieliszek, po którego obrzeżu ktoś przesuwając opuszek palca. - Całkiem miłe - wydusza z siebie.

- Odstaw to - mówi Jake, wskazując plastikowy pojemnik.

Stella kręci głową i przyciska do siebie pudełko, sama zresztą nie wie dlaczego.

- Odstaw to - powtarza mężczyzna. A kiedy ona nie reaguje, bierze od niej pojemnik i stawia na stole. Przysuwa się jeszcze bliżej, a ponieważ ona ma za sobą stół, nie może się cofnąć i czuje, jak jej włosy czepiają się jego zarostu, i jest na granicy wytrzymałości.

- Może... - zaczyna, mamrocząc do jego torsu. W jakimś zakamarku jej umysłu coś się budzi, coś pęka, coś, co na w pół tylko pamięta, a co jest powodem, dla którego nie powinna tego robić. - Może... to nie jest najlepszy pomysł... uważam, że...

Nagle czuje jego ramiona wokół siebie, bark przy swojej twarzy. Stella nie ma gdzie podziać rąk, może jedynie go objąć, a to okazuje się takie proste i jednocześnie przynosi tak niezwykłą ulgę, że zupełnie nie wie, dlaczego wcześniej nie stali w ten sposób. Jest przekonana, że jest coś, co chciała powiedzieć, ale kiedy zaczyna mówić, on nachyla się i przyciska usta do jej ust, a ten pocałunek wydaje się tak ożywczy jak pierwszy oddech po długim nurkowaniu. Stella, z niedowierzającym zdumieniem przyciąga go mocniej do siebie. Jake nabiera w dłonie jej włosy, a ona uświadamia sobie delikatność jego dotyku.

Nagle rozlega się jakiś dźwięk. Głośny, natarczywy, świdrujący. Stella wie, że on też go słyszy; czuje drgnięcie jego ciała. Jake nie odsuwa się od niej, udaje, że niczego nie słyszał, udaje, że nic się nie dzieje.

- J a k e - szepcze Stella.

- Hmm?

Stoi przywarta do niego, palce ma zaplątane w jego ubranie. Oddycha jego zapachem. Wyobraża sobie, jak cząsteczki tego zapachu wędrują z powietrzem do jej płuc, mieszają się z krwią przepływającą przez pęcherzyki płucne i rozpuszczone w niej rozchodzą się po całym jej organizmie.

- To telefon.

W półmroku widzi, jak otwiera i znów zamyka oczy. Ucisza ją pocałunkiem.

- J a k e - odsuwa się od niego - lepiej odbierzmy.

Przyciąga ją do siebie tak mocno, że z trudem łapie oddech. Z jedną dłonią na jej policzku całuje ją w szyję.

- Nie — odpowiada.

Stella przesuwa rękę po jego plecach, oplótła go nogami.

- Uważam, że powinniśmy.

- Nie - powtarza Jake - jesteśmy zajęci. Bardzo, bardzo zajęci.

Przychodzi jej coś do głowy, bo nagle sztywnieje.

- Jake, to może być pani Draper. Czasami dzwoni ze stróżówki przy bramie.

On opiera głowę o jej czoło i patrzy prosto w oczy.

- Być może cię to zaskoczy - oświadcza - ale w tej chwili jest mi to całkiem obojętne.

Telefon dzwoni dalej, ostro, świdrująco. Jake przeplata palce, jeden po drugim, z jej palcami.

- Na miłość boską - szepce.

Milczą chwilę.

- Zaniepokoi gości, prawda? - pyta Jake z ociąganiem.

Stella zsuwa się ze stołu, wyplątuje z jego objęć. On, zanim ją puści, całuje raz, dwa razy, trzy razy.

- Wracaj szybko - woła za nią. - Jeszcze z tobą nie skończyłem.

Stella idzie chwiejnym krokiem przez oślepiająco jasną kuchnię, poprawia ubranie, oszołomiona i rozchichotana.

- Jeśli teraz się wyłączysz - mamrocze do telefonu, popychając drzwi - to cię zabiję.

Podnosi słuchawkę i wreszcie hałas, który wdzierał się bezustannie w jej życie przez ostatnie minuty, urywa się. Przyjmuje to z taką ulgą, że zapomina, kim jest i czym się zajmuje.

- Hm. - Przytomnieje w ułamku sekundy. - Kildoune House Hotel, dobry wieczór, w czym mogę pomóc? - Słyszy w swoim głosie euforię. Ma nadzieję, że osoba po drugiej stronie tego nie słyszy.

- Witam. - Głos kobiety. Cichy, niepewny. - Czy mogę mówić z Jakiem Kildoune'em?

- J a s n e - mówi Stella. - To znaczy, tak. - No już, weź się w garść. — Mam mu powiedzieć, kto dzwoni?

- J e g o żona.

Stella odsuwa słuchawkę od ucha. Barwy stojących przed nią kwiatów wydają się jej bardzo jaskrawe. Spogląda w dół i widzi, że ktoś położył wszystkie broszury nie tam, gdzie trzeba. Ich nierówny stos leży na półce w miejscu przeznaczonym na druczki meldunkowe. Będzie musiała to uporządkować. Kiedyś. Jednak nie w tej chwili. Kładzie ostrożnie słuchawkę na biurku, jakby była z bardzo delikatnej cienkiej porcelany.

Zatrzymuje się w oblanej ostrym światłem kuchni.

- J a k e - mówi. Ta pojedyncza sylaba jego imienia ma jednoznacznie ostateczne brzmienie, jak zatrzaśnięcie drzwi.

- Chodź tutaj - woła Jake ze spiżarni.

- J a k e - powtarza Stella. Czuje jakiś osobliwy, dławiący ciężar w splocie słonecznym. Wierzchem dłoni ociera wargi, szyję, policzki.

- Chodź wreszcie! - niecierpliwi się Jake.

- To do ciebie - mówi Stella. Bierze oddech. Powietrze wydaje się bardzo zimne. - Twoja żona.

Za otwartymi drzwiami spiżarni zalega cisza. Potem pojawia się Jake, ubranie w nieładzie, sterczące włosy, koszula częściowo na wierzchu, jedna dłoń przyciśnięta do czoła.

- Stella, posłuchaj... - Głos ma cichy, przerażony.

- Telefon. Do ciebie. - Stella ma wzrok wbity w podłogę. - W recepcji. - Pokazuje ręką. Wtedy sobie przypomina, że przecież on wie, gdzie jest recepcja. - Tamtędy - mówi mimo to.

Jake rzuca pod nosem przekleństwo i robi krok w jej stronę.

- Nie - powstrzymuje go Stella - tylko nie to.

Klnie ponownie, po czym rusza energicznym krokiem w stronę recepcji. Stella wymyka się na korytarz.

- Halo? - Jake rzuca w słuchawkę. Odwraca głowę. - Stella, poczekaj chwilkę, proszę, tylko poczekaj - woła.

I znów z pośpiechem w głosie. - Mel, jak się masz... Tak... Dobrze... Słuchaj, mogę oddzwonić później? - Mel najwyraźniej nie jest tym zachwycona, bo ostatnie, co Stella słyszy, biegnąc korytarzem, to metaliczne, uporczywe brzęczenie jej głosu.

Przemyka się pośród ciemnych brył mebli w salonie i wychodzi na taras. Zimne powietrze natychmiast wciska się pomiędzy jej ubranie i skórę. Oddała się pospiesznie od hotelu, idzie wprost przed siebie, nie ma pojęcia dokąd ani po co, niepewnym krokiem schodzi ze skarpy, przecina trawnik. Zanim dojdzie do rabatki, trzęsie się konwulsyjnie i szczęka zębami.

Jest żona? Zona? To on jest żonaty? Zaciska pięści. Ma swój ustalony pogląd na romanse z żonatymi mężczyznami - po prostu tego się nie robi, takich mężczyzn się unika i nie daje im omotać. Ale on, ten człowiek, przecież nie zachowuje się jak mężczyzna żonaty. Ani trochę. Skąd zatem miała wiedzieć? Jest rozdrażniona, bliska łez, przybita, zraniona. Zagryza wargi, kategorycznie zabrania sobie płakać. Chciałaby uderzyć w coś. Z całych sił. Najchętniej dzieliłaby Jake'a.

Słyszy, jak otwierają się z hukiem frontowe drzwi, a potem chrzęst kroków na żwirze. Jasna plama koszuli przesuwana przez dziedziniec.

- Stella! - woła Jake. - Stella?

Staje za wielką kamienną donicą. Jake wbiega na skarpe.

- Stella? - krzyczy w ciemność. - Jesteś tam?

Wstrzymuje oddech, patrzy, jak Jake okręca się w miejscu i biegnie wzdłuż bocznej ściany hotelu w stronę jej przyczepy.

Odwraca się ku rzece, ku jezioru i opiera plecy o pokrytą siatką mchu kamienną donicę. Osuwa się i przysiadła na piętach, związa się w kłębek i z wściekle zaciśniętymi zębami czeka.

Stella od razu zobaczyła, że nie były odpowiednio wyposażone. Wszystko było nieodpowiednie. Pozostałe dziewczęta, jakby się wcześniej umówiły, ubrane były w identyczne stroje; dres z materiału frotte w jakimś bladym, cukierkowym kolorze, białe adidas i plecak do kompletu. Dres Felicity był różowy jak pianka żelowa, Rebecki żółty niczym oranżada w proszku.

Ona i Nina miały na sobie sukienki, które Francesca uszyła według wykrojów przysłanych pocztą, rozpinane swetry zrobione na drutach przez Valerię i buty z klamerkami, które pobrzękiwały, kiedy Stella pomagała Ninie wspiąć się na stopnie autokaru. Stellę zachwycał szczotkowany aksamit, z którego uszyte były sukienki, z wijącym się wzorkiem, który ciągnął się bez żadnych przerw, ponieważ Francesca pieczołowicie dopasowała jego elementy przy szwach. Wzorek Niny różnił się nieco kolorem, miał mniej czerwieni. Spędziły z Francesca całą godzinę nad katalogiem, zanim wybrały ten deseń. Takie decyzje matka traktowała bardzo poważnie. Powiedziała wtedy, że czerwony kolor wydobędzie zieleń oczu Stelli, a zielony podkreśli rudy odcień włosów Niny. Stelli odpowiadała ta odwrócona symetria pomysłu.

W autokarze wszyscy wyciągnęli pudełka z lunchem. Panna Saunders nie powiedziała, że mogą to zrobić, ale też nikogo od tego nie odwozila. Nawet wtedy, rozejrzawszy się wokół, Stella zauważyła, że odstają od reszty. Dziewczęta miały stosowne plastikowe pudełka z rączką i z dopasowanym termosem, wypełnione czipsami, czekoladą i kanapkami z białego pieczywa z odkrojoną skórką. Pudełko, które Nina wyciągała ze swojej torby, było starym pojemnikiem po lodach z restauracji dziadków - nosiło ozdobny napis „Lody Iannelli” - i zawierało, czego Stella była pewna, płaską, nadziewaną oliwkami ciabattę, suszone morele i może jeszcze kilka migdałowych ciasteczek, upieczonych przez matkę poprzedniego wieczoru.

Stella swoje ciasteczka odda Ninie. Nie lubiła migdałów, a matka ciągle o tym zapominała. „Nigdy nie pamiętam, która z was czego nie lubi”, mówiła, kiedy się skarżyły.

Stella sięgała właśnie do swojej torby, żeby wyjąć identyczne jak siostry pudełko, kiedy kątem oka zobaczyła, że przejściem między fotelami zbliża się do nich Anthony Cusk. Przyjaciele zachęcali go okrzykami. Jego włosy odcinały się ogniście od białej jak mąka skóry, oczy tkwiły głęboko w nalanej twarzy. Stella nienawidziła w nim wszystkiego - jego wielkich mięsistych uszu, lepkich palców z poobgryzanymi paznokciami, bladych, bezbarwnych rzęs.

- Cześć - odezwał się tym swoim czarującym głosem, na którego dźwięk cała truchlała. Uwiesił się na oparciu fotela Niny, która patrzyła prosto przed siebie, na pojawiające się przed szybą nagie górskie szczyty.

Stella pomyślała, że popełniła błąd, pozwalając Ninie siedzieć przy przejściu, ale ponieważ były blisko panny Saunders, uznała, że wszystko będzie dobrze.

- Czego chcesz? - syknęła Stella. - Odejdź.

- To nieładnie - odpowiedział chłopak, jeszcze bardziej nachylając się nad jej siostrą. - Przyszedłem tylko zobaczyć, jak się macie. Jak się czuje nasza drżąca dziewczynka?

Zanim Stella zdążyła go powstrzymać, wyciągnął rękę, chwycił Ninę za nadgarstek i zaczął potrząsać. Miała to być okropna parodia dawnego stanu Niny.

- Jak widzę, nadal się trzęsiemy - oświadczył i odwrócił się, żeby powitać zachęcający rechot reszty klasy.

Pudełko Niny razem z całą zawartością wyleciało z jej rąk. Stella zobaczyła, jak paczuszka herbatników sunie po podłodze autokaru i ląduje gdzieś daleko.

- Puść ją! — Stella zerwała się, złapała pełną garść włosów Anthony'ego i szarpnęła. Zawył, nie przestając jednak potrząsać Niną, która wybuchnęła płaczem. Stella szarpnęła

mocniej i poczuła, jak druga ręka chłopaka zaciska się na jej szyi. Powietrze uwieźło w jej gardle niczym korek w butelce, a wszyscy wokół patrzyli i się zaśmiewali. Czuła, jak jej twarz czerwienieje, jak palą ją wypełnione płuca. W ostatnich tygodniach Anthony z dnia na dzień dręczył ją bardziej. Na początku wystarczały mu drwiny i szczypanie w rękę, ale kiedy Stella rozkrwawiła mu nos, zaczął pastwić się nad nią, unieruchamiając jej głowę pod ramieniem, wykręcając ręce, dotkliwie kopiąc w łydki, okładając po całym ciele. Zaczęła się go bać, nawiedzał ją w nocnych koszmarach, trzęsła się, kiedy znalazł się w pobliżu. Nie miała pojęcia, do czego jest tak naprawdę zdolny, czym to się może skończyć.

Wreszcie uwieszona drażka pod sufitem zjawiła się obok nich panna Saunders.

— Z tobą zawsze jest zmartwienie, Anthony. Natychmiast wracaj na swoje miejsce.

Stella poczuła, jak jego ręka zsuwa się z jej szyi, usłyszała, jak cichnie śmiech wokół.

— Upuściłaś swój lunch, Nino? - spytała panna Saunders stłumionym, śpiewnym głosem, jakiego zawsze używała, zwracając się do Niny, jakby jakiś głośniejszy dźwięk mógł wyrządzić dziewczynce krzywdę.

Stella nie znosiła tego głosu. Dlaczego ona nie mogła mówić do Niny w normalny sposób?

Nina skinęła głową, wierzchem dłoni otarła łzy.

-Ojej. - Panna Saunders podniosła pojemnik „Lody Iannelli” i włożyła do niego napoczętą ciabattę. - Bardzo proszę. Chcesz chusteczkę higieniczną?

— Nie, dziękuję - wyszeptała Nina, nie podnosząc wzroku.

— Co ona powiedziała? - Panna Saunders przeniosła spojrzenie na Stellę. - Potrzebuje chusteczki?

— Nie - odparła Stella. - Nie potrzebuje.

Ranek jest szary i wilgotny. Kominy i wieżyczki Kildoune House otula gęsta mgła, zupełnie jakby chmury dały za wygraną i opadały wyczerpane na ziemię. Nad głowami kraczą i zawodzą gawrony.

Jake obserwuje cętkowanego psa, który biegnie ścieżką tym swoim zabawnym krokiem, bokiem do przodu, od czasu do czasu zatrzymuje się z nosem przy ziemi. Kiedy zauważa stojącego na skraju lasu Jake'a, kładzie uszy po sobie i pędzi do niego długimi susami, a potem wciska mokry nos w jego dłoń, skamle z uciechy. Mało, że znalazł o tak wczesnej godzinie kogoś na dworze, to jeszcze ta osoba najwyraźniej nie ma nic do roboty. Długim, gorącym językiem liże palce mężczyzny i wpatruje się w niego swoimi żółtymi ślepiami.

Jake przesuwając dłoń po zgrabnym ciele zwierzęcia, czuje poruszane oddechem żebra, ciepło drgających mięśni. Bawi się jego aksamitnym uchem, kiedy za drzewami pojawia się Stella.

Dziewczyna ma na nogach wysokie kalosze, jedną ręką podciąga służbowy uniform, żeby go nie zabłocić, w drugiej trzyma buty. Pies rusza w jej kierunku, łasi się, wije, rozszadza go radość spowodowana spotkaniem aż dwojga ludzi na dworze. Jake widzi, jak Stella się schyla, wyciąga do psa rękę i przemawia cicho, zbliżając się coraz bardziej do miejsca, w którym on sam stoi.

Wychodzi jej naprzeciw. Stella ma twarz stężałą, surową.

- Od kilku godzin już jestem na nogach - zaczyna Jake - i czekam na ciebie. Nie byłem pewien, czy...

Stella omija go.

- Wiem - mówi, nie zatrzymując się. - Słyszałam cię obok przyczepy.

- O. - Idzie za nią. - No tak.

Nie spojrzała na niego, nie podniosła nawet wzroku.

- Posłuchaj, Stello - próbuje ponownie. - Usiłowałem cię znaleźć wczoraj wieczorem, ale...

- Wiem - powtarza Stella. Porusza się szybko, jej kalosze mlaszczą przy każdym kroku. Jake kroczy za nią.

- Stello, proszę. Nie możesz się na chwilę zatrzymać? Musimy o tym porozmawiać. Wiem, że powinienem był ci powiedzieć, ale...

- Owszem - przerywa mu - powinieneś.

- To nie jest tak, jak się wydaje, naprawdę. Gdybyś mi tylko pozwoliła...

- Spływaj, Jake - rzuca ostro i przyspiesza kroku.

- Posłuchaj. - Chwyta jej rękę, a to dotknięcie tak ją zaskakuje, że robi błyskawiczny zwrot w jego stronę.

Ich spojrzenia spotykają się na moment, a kiedy ona wyrywa mu dłoń, Jake z przerażeniem dostrzega, że dziewczyna wygląda, jakby miała się rozpłakać. Odwraca się od niego. Jake nieruchomieje, tkwi tam, gdzie się zatrzymał. Co on zrobił? Jak mógł do tego dopuścić?

Patrzy na oddalającą się sylwetkę i nagle uświadamia sobie, że nie może stracić jej z oczu, że jeśli teraz pozwoli jej odejść, w jego życiu coś pięknie i pozostawi ranę, która może się nigdy nie zasklepić.

- Stello, proszę! - krzyczy i wydaje mu się, że las się porusza, pochłaniając jego słowa. - Mogę wszystko wyjaśnić. Tylko mnie wysłuchaj, wystarczy dwa zdania. O to jedynie proszę.

Stella robi krok, jeszcze jeden, a potem się zatrzymuje. Jake widzi, że stoi przy rozwidleniu ścieżki, której jedna odnoga prowadzi do tamtego domku na polanie. Wokół las faluje i dyszy.

- J e d n o zdanie - mówi Stella, nie odwracając się.

- J e d n o? Dobrze. Niech będzie. Jedno zdanie. - Zagryza wargę, siedem stóp od niej, zastanawia się. — To nic nie zna-

czy - oświadcza wreszcie. - Zupełnie nic. - Słowa z trudem wydobywają się z jego ust. - Nie...

- To już było jedno zdanie! - przerywa mu Stella i rusza dalej. - Wystarczy!

Jake nie zwraca uwagi na jej słowa.

- Nie kocham jej - mówi i potykając się, idzie za nią - i nigdy nie kochałem. Słyszysz?

- Ożeniłeś się z nią, prawda? - Stella rzuca przez ramię, przyspieszając kroku.

- Nie miałem wyboru. - Jake zaczyna biec. - Musisz mi uwierzyć.

Stella parska śmiechem i też zaczyna biec.

- No tak, zgadza się. Zmusiła cię, co? Wielce przekonujące, Jake. Ona...

Oboje w tym samym momencie wypadają spomiędzy drzew. W jasnym świetle dnia pani Draper stoi na ich drodze ze skrzyżowanymi ramionami; jej wysokie obcasy chwieją się na nierównych kamieniach.

- Co wy wyrabiacie? - Przygląda im się z dezaprobatą. - Urządzacie sobie wyścigi? Nie za wcześnie na to? Wszędzie cię szukałam, Jake.

Stella wygładza uniform i umyka w stronę drzwi do kuchni. Ciało Jake'a odruchowo rusza za nią, ale męczyzna bierze się w garść.

Pani Draper obserwuje go z uniesionymi brwiami.

- No cóż - mówi dobitnie. - Nie zapytam, co się dzieje. Co to, to nie.

Zapada cisza. Kobieta najwyraźniej czeka, aż Jake się odezwie. On jednak milczy. Pociera dłonią twarz i patrzy za oddalającą się Stellą.

- A więc - mówi ostrym tonem pani Draper - mam dla ciebie na dzisiaj zajęcie. Chcę, żebyś skończył uprzętać tę szopę, pozbył się tych wszystkich...

- Myślałem, że mam pomóc St... - Milknie. - To znaczy myślałem, że dzisiaj zajmuję się pokojami.

- Nie. Chcę, żebyś wykonał kilka prac poza domem. Jeśli nie masz nic przeciwko temu — dodaje znacząco.

- Tak. Oczywiście. - Jake przełyka ślinę.

Ośrodek okazał się skupiskiem białych budynków o ścianach pokrytych tynkiem kamyczkowym, postawionych na części wysoko położonego wrzosowiska. Teren wokół został niedawno wykarczowany, dlatego przez okna można było zobaczyć jedynie pnie po ściętych drzewach i niedostępne, nagie zbocze góry. Nawet w tych domach było przejmująco zimno.

Stella odwróciła się od okna, przodem do Niny, która siedziała na niższym z piętrowych łóżek i wykładała na nie swoje ubrania. Pokój mieścił sześć łóżek, ale tylko jeszcze dwa inne były zajęte, przez Fionę i Sally. Fiona była dużą dziewczynką cierpiącą na egzemę, a Sally jej na ogół milczącą przyjaciółką, o drobnym, zdeformowanym ciele. Stella nieraz się zastanawiała, czy te dwie łączy prawdziwa przyjaźń, jak kiedyś ją i Rebeccę, czy też po prostu tolerują się nawzajem, bo kiedy, jak to zwykle bywa na początku szkoły, dziewczynki z tej samej klasy przechodzą przez ceremonię dobierania się w pary, akurat one dwie zostały pominięte.

Stella starała się nie myśleć o tym, że gdyby wycieczka ta doszła do skutku rok wcześniej, to dzieliłaby pokój z Rebecca i Felicity i całą tą resztą dziewcząt, które już wcześniej, w autokarze, planowały uczty o północy — obmyślały, kogo zaprosić, czyje łóżko zrobić miejscem spotkań, kogo postawić na straży. Nie chciała o tym myśleć.

Usiadła na łóżku obok Niny.

- Masz je? - wyszeptała Nina.

- Tak. - Stella wzięła na kolana misia, którego ze sobą przywiozły. Miał smętną minę i aksamitne łapki, a w brzuszku zapinany na zamek schowek. Tego ranka wyjęły obie buteleczki z brązowego szkła wypełnione lekarstwami Niny, które mama włożyła do kosmetyczki Niny i wcisnęły je do tej miękkiej, wyściełanej flanelą kieszonki. Teraz Stella wyjęła je ostrożnie, przycisnęła zabezpieczone przed dziećmi nakrętki, odkręciła je i już miała odliczyć właściwą liczbę pigułek (jedna różowa trzy razy dziennie, dwie żółte dwa razy dziennie, Stella powtarzała to sobie w kółko poprzedniego wieczoru przed zaśnięciem).

- Pozwól mi to zrobić. Chcę zrobić to sama - poprosiła ją nagle Nina.

Stella zawahała się. Ostatnim razem, kiedy Nina to robiła, chwycił ją - jak to się zdarzało często w najmniej odpowiednich momentach - nagły, gwałtowny atak i pastylki rozsypały się po całym pokoju. Stella z ojcem musieli szukać ich na czworakach, bo potoczyły się pod stół, wpadły w szpary pomiędzy deskami podłogowymi, jedna wylądowała nawet w bamboszu matki.

Podawała buteleczkę siostrze i z napięciem obserwowała, jak Nina wysypuje tabletki. Potem podała jej butelkę po wodzie sodowej, którą Francesca napełniła zwykłą wodą, i patrzyła, jak porusza się gardło siostry, kiedy przełyka to lekarstwo o zapachu, jaki, zgodnie z wyobrażeniem Stelli, mógłby mieć proch strzelniczy.

- Co ona robi?

- Bierze lekarstwo - odparła Stella, tak błyskawicznie, że nawet nie zdążyła zauważyć, czy to był głos Fiony czy Sally.

Sally leżała z rękoma założonymi pod głową na górnym łóżku pod przeciwległą ścianą pokoju. Przyglądała im się bacznie spod przymkniętych powiek skrzacich oczu. To ona się odezwała.

- Ja też muszę brać lekarstwo - oświadczyła Fiona z nieśmiałym uśmiechem. - Ale to moje jest u panny Saunders.

- O - Stella skinęła głową - no tak. - Na podłodze między nimi stała kosmetyczka Fiony, wypchana buteleczkami, które wyglądały, jakby mieściły wyłącznie lecznicze preparaty.

- Idę na kolację - mruknęła Sally, ześlizgując się jak wąż ze swojego łóżka.

Stella i Nina stanęły na końcu kolejki. Stella zabrała talerze Niny na swoją tacę, bo bała się, że Nina może nie dać sobie rady, i wiedziała, jak bardzo by się przejęła, gdyby coś jej spadło. Sama musiała uważać, żeby nie upuścić tej ciężkiej tacy, wolno i ostrożnie szła za siostrą, która niosła ich sztucce.

Usiadły na końcu stołu, pozostawiając dwa puste miejsca między sobą i innymi dziewczętami. A i tak po chwili zrobiło się wśród nich zamieszanie, chichocząc uniosły tace, hałaśliwie odsunęły krzesła i wszystkie przeniosły się do innego stołu. Została tylko mrugająca, zaczerwieniona Fiona, ale i ona po chwili zabrała tacę i nie patrząc im w oczy, chyłkiem się wyniosła.

- Nie mamy ochoty czegoś złapać, prawda? - Stella usłyszała głos Felicity.

- Nie złapiecie - krzyknęła do niej, unosząc się na krześle. - Jest zdrowa!

- Stella, przestań - szeptała za jej plecami Nina. - Przestań, Stel, usiądź.

- Jeśli jest zdrowa - Felicity ze spokojem patrzyła jej w oczy - to dlaczego bierze lekarstwa?

Stella spojrzała na Sally, na jej szczurzą twarz, chude ramiona i plamistą skórę. Siedziała obok Felicity, śmiała się, ale zbyt szeroko przy tym otwierała usta, była nazbyt gorliwa, a w jej śmiechu nie było wesołości.

Stella odwróciła się i usiadła. Zaczepiała stopy o nogi krzesła, odczepiała i macała w kieszeni, szukając kamyka, który Evie przyniosła dla niej w sobotę z ich ogródka. „Zawsze go trzymaj w kieszeni”, powiedziała Evie. „I jeśli ktoś w szkole będzie dla ciebie okropny, weź go do ręki i pomyśl o mnie”.

I teraz Stella dotknęła jego wygładzonej przez morze powierzchni, ale w tej jasno oświetlonej stołówce, cuchnącej nieświeżym jedzeniem i stłoczonymi ludźmi, nie potrafiła przywołać obrazu Evie.

- Chcę wrócić do domu - szepnęła Nina z drugiej strony stołu.

Stella zastanawiała się, jak powinna zareagować. Czy powinna udawać wesołość? Mówić, że wszystko świetnie się ułoży? Powiedzieć, że jej się tu niezwykle podoba?

- Ja też - oświadczyła.

- Myślisz, że jakbyśmy zadzwoniły do mamy, toby po nas przyjechała?

- N i e .

- A tata?

- Mama by mu zabroniła - odpowiedziała Stella po chwili namysłu.

- Evie?

- Nie wiem - odparła Stella i ponownie musnęła kamyk kciukiem. - Może. Tak. Ona pewnie by przyjechała.

- Ale mama by się na nas gniewała.

- T a k .

W holu wejściowym panna Saunders, w niebieskim dressie, zaklaskała w dłonie.

- Za chwilę macie wszyscy zebrać się w świetlicy, gdzie porozmawiamy o jutrzejszym marszu na orientację w górę rzeki Feshie. Jasne?

Stella z pasją atakuje brud, szoruje wanny specjalnym proszkiem, odkurza z furją, wpycha w paszcze pralek brudną bieleznię, wrzuca zatluszczone talerze do pokrytej pianą wody.

- Wielkie nieba - rzuca Pearl, zerkając na nią z ukosa - roznosi cię dziś energia.

Stella nie odpowiada, tylko zaczyna zapamiętałe ścierać jakąś ciemną plamę z czajnika. Unika Jake'a. A to pełnoetatowe zajęcie. Zadbała o to, żeby w ciągu dnia trzymać się daleko od kuchni. Zajmuje się pokojami na górze, porządkuje pokój rekreacyjny albo uzupełnia zapasy w barze. Przed południem musiała się schować w kabinie prysznicowej, bo przyszedł na górę, żeby jej szukać. Ten dom jest wręcz stworzony do ukrywania się - ma mnóstwo zakamarków i szaf, tajemne schodki za kotarami, pokoje, przez które można się wydostać z innych pokoi, klapy opuszczane w suficie, umożliwiające wejście na poddasze - a ona dobrze go poznała i potrafi wykorzystać wszystkie jego możliwości.

Późnym popołudniem stoi w pokoju w wieżycze i spogląda w dół, na Jake'a, który składa na stos ogniska szkielety starych kanap, gałęzie ogłowionych drzew, połamane krzesła. Czuje woń spalenizny, a może to tylko jej wyobraźnia? Ognisko strzela iskrami i nagle on klepie się po rękawie. Wczesny komar? A może dosięgnął go jakiś żarzący się węgielek? Patrzy na wygięcie jego szyi, linię barków, kiedy tak stoi wsparty na widłach.

Powinnaś wyjechać, mówi do siebie. Czas się ruszyć. Czy aby na pewno? Nie wie, czy odważy się żyć gdzieś indziej. Nie wie, czy potrafi skurczyć się na tyle, by dopasować się znowu do tamtego życia. Potrafi? Czy widzi się gdzieś indziej, w dużym mieście, jak robi audycje radiowe? Wydaje się niemożliwe, że kiedyś tak żyła, że mogła tak żyć. Stella nie wie, czego tu szuka i czego chce dokonać; ale wie, że nic jeszcze nie zrobiła, że nic się nie wydarzyło. Dlaczego miała-

by pozwolić przegnać się stąd jakimś mężczyźnie? Kij mu w oko, myśli sobie i odwraca się, udaje, że jej serce wcale nie jest zranione, że nie czuje żadnego bólu.

Tego wieczoru w szparze pod drzwiami przyczepy znajduje złożoną kartkę.

Stello,

Wiem, że mnie unikasz, i muszę przyznać, że jesteś w tym świetna. Gdzie się nauczyłaś takiej przebiegłości?

Muszę z Tobą porozmawiać. Jeśli nie będę miał szansy wytłumaczenia się w ciągu najbliższych godzin, to chyba oszaleję. Moje zdrowie psychiczne jest w Twoich rękach. Przyjdź do mojego chlewu. Zaraz. Proszę.

Jake x

Jego pismo nie wygląda tak, jak ona mogłaby sobie je wyobrazić. Patrzy na podpis, na *k* sięgające wyżej niż *J*. Ten jeden pocałunek. Stella czyta tekst dwukrotnie, potem zgniata kartkę w twardą kulkę i ciska ją do śmieci.

Kilka minut później podchodzi do kosza, nachyla się i przygląda kulce. Potem wyciąga ją, rozwija i rozprostowuje na ścianie. Chowa do kieszeni.

Idzie wąskim niskim korytarzem w najstarszej części domu, w kierunku najdalej położonego pokoju, gdzie trzeba zmienić pościel.

Znienacka ktoś wyskakuje z niszy mieszczącej głowę jelenia i chwyta ją. Stella wrzeszczy przeraźliwie i wpada bokiem na stolik, strącając na podłogę porcelanowy wazon. Ten ktoś trzyma ją mocno od tyłu, ściska, a ona rozpoznaje jeśli nie samego Jake'a, to przynajmniej jego zapach, masywność ciała.

- Co ty wyrabiasz? - woła. - Puszczaj. - Próbując się uwolnić, wykręca się i kopie.

Czuje, że jej stopy unoszą się nad podłogę, a on ją niesie w kierunku odwrotnym do tego, w którym szła.

- J a k e - tłucze z całych sił w jego ramię, naprawdę już wściekła - postaw mnie! - Zaciska dłoń w pięść i macha na oślep za siebie. - Jake.

- Przestań krzyczeć, proszę. Ogłuszysz mnie - mówi mężczyzna tuż przy jej uchu, kiedy zataczając się, taszczy ją korytarzem. Powtarzający się wzorek tapety, który przesuwają się szybko przed oczyma Stelli, przyprawia ją o zawrót głowy.

Dochodzą do drzwi pokoju pościelowego, które Jake otwiera kopniakiem. Stella chwyta z całych sił rękoma za framugę, co zatrzymuje ich w miejscu.

- Na miłość boską - szepcze Jake, odginając jej palce - naprawdę jesteś najbardziej upartą kobietą na świecie. Wiesz o tym? - Udaje mu się rozluźnić jej chwyt, zatrzaskuje drzwi i dopiero wtedy stawia ją na podłodze.

W tej samej chwili Stella rzuca się do przodu z jakimś głuchym pomrukiem, w kierunku drzwi i Jake'a. On ją znów chwyta, ściska jedną ręką obydwie nadgarstki, drugą przekręca klucz.

- To wszystko prawda, co opowiadają o ognistych Włoszkach - mówi i wyjmuje klucz z zamka. - I o ognistych Celtach. Jezu, co za mieszanka.

- Wypuść mnie. - Stella uderza go z całych sił w ramię.

- N i e .

- Wypuść mnie! - woła rozjuszona.

Jake kręci głową.

- Daj mi klucz, Jake. - Wyciąga do niego rękę. - Daj mi go natychmiast albo... albo podniosę wrzask.

- A wrzeszcz sobie do woli — mówi mężczyzna — nie ma tu nikogo. Pani Draper pojechała do hurtowni. Pearl już sobie

poszła. - Wsuwa klucz głęboko w kieszeń spodni, blisko pachwiny. - Jeśli go chcesz, to sama sobie weź.

Stella kopie stos czystych prześcieradeł, który przewraca się na podłogę.

- Boże - zgrzyta zębami - nienawidzę cię, nienawidzę cię, Jake u Kil...

- No dobrze. Skończ z tym. Próbowałem porozmawiać z tobą jak człowiek cywilizowany, ale ci to nie odpowiadało. Powiedziałem, że jestem na krawędzi szaleństwa, ale ciebie to zupełnie nie obeszło. No więc. Sytuacje ostateczne wymagają ostatecznych środków. To tutaj - zatacza ręką krąg, wskazując porządnie ułożone sterty ręczników, obrusów, prześcieradeł, poszewek na poduszki - okazało się jedynym rozwiązaniem.

- Jeśli sądzisz - Stella stoi przed nim z zaciśniętymi pięściami - że uprowadzenie mnie i uwięzienie w magazynie każe mi zapomnieć, jaki z ciebie tchórzliwy gnój, to...

Jake posyła jej uśmiech.

- Tchórzliwy gnój. Niezłe. A teraz posłuchaj...

- Nie — mówi Stella, podchodząc do niego - to ty posłuchaj. Nie należę do kobiet, które zadają się z żonatymi mężczyznami, jasne? I jeśli choć przez moment uważasz, że masz szansę to zmienić, to znaczy że...

- Ona umierała, Stello... - mówi spokojnie i wyraźnie.

Ona niemal go nie słyszy, ale te słowa docierają do niej, powodują, że głos więźnie jej w gardle.

- Na moich oczach - kończy Jake.

Stella marszczy brwi. Z tej niewielkiej odległości Jake widzi, jak jej ciemne, przejrzyste źrenice rozszerzają się niczym przesłona w aparacie fotograficznym.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Było to... to coś... co wydarzyło się... w Hongkongu. -

Jake przesuwa dłonią po włosach. - Kilka miesięcy temu. W chiński Nowy Rok. - Oddycha głęboko. Od bardzo dawna nie rozmawiał o tym z nikim, a już nigdy nie musiał nikomu tego opisywać. - Mogło być u was w wiadomościach, nie wiem. Był...

- Straszny ścisk? - pyta Stella.

- T a k . Skąd... - Spogląda na nią.

- Czytałam o tym w gazetach. - Stella cofa się o krok.

- No tak. - Jake bierze jeszcze jeden głęboki oddech. Do wypowiedzenia tych słów potrzeba więcej tlenu niż normalnie. - Byłem tam i... ona tam była. Jej przyjaciółka, najlepsza przyjaciółka, umarła. To znaczy, stratowano ją. A Mel... Mel była ciężko ranna. I leżała tam na łóżku, na oddziale intensywnej opieki, i powiedziała... - Jake pociera dłonią twarz — ...brzmi to tak dziwacznie, kiedy się teraz o tym mówi, ale powiedziała mi, że nie chce umierać, nie... nie będąc moją żoną.

Stella przygląda mu się bacznie. Zastanawia się, czy on mówi prawdę? Jake nie wie.

- Więc ją poślubiłeś - mówi.

- Taa. Tego samego wieczoru. To wszystko było zupełnie... surrealistyczne. Dopiero co znajdowałem się w okropnym, niewiarygodnym piekle, w czymś, co nawet trudno sobie wyobrazić, a cóż dopiero przeżyć, i miałem złamaną rękę, i ta dziewczyna, z którą przez kilka miesięcy się spotykałem, umiera i... i ja wiedziałem, że jej nie Kocham, ale ci wszyscy lekarze mówili, że ona nie przeżyje nocy, i...

- Ale przeżyła.

- Tak. - Jake kiwa głową. - Przeżyła. A ja byłem mężem tej dziewczyny, tej... niemal obcej osoby i przywozłem ją rodzicom... i właśnie dlatego tutaj jestem, w tym kraju i... — Jake nagle czuje w sobie pustkę - ...to tyle. Cała historia... mojego małżeństwa. Mojego tak zwanego małżeństwa.

Stella milczy, wciąż przygląda mu się bacznie.

- J a k ona się teraz czuje? - pyta w końcu.

- Już dobrze — odpowiada Jake. — Lepiej. O wiele lepiej. Będzie zdrowa. Chciałem ci to powiedzieć, żebyś zrozumiała... żebyś wiedziała, że ja nie jestem... - potrząsa głową, próbuje dojść do ładu ze swoimi myślami - nie jestem kimś takim, kto podrywa kogoś, mając żonę.

- J e d n a k podrywałeś - zauważa z naciskiem Stella. - Przecież właśnie to robiłeś.

- Tak, wiem, ja...

- Mając poważnie chorą żonę.

- Tak, tak. - Jake wzdycha. - Wiem. I nie masz pojęcia, jak bardzo tego żałuję. - Uświadamia sobie, jak zabrzmiały te słowa, dodaje więc jednym tchem: - To znaczy, że ci wcześniej nie powiedziałem. O mojej sytuacji. Tego żałuję. Nie... nie tego, co się stało. - Patrzy na nią badawczo. - Tego w ogóle nie żałuję.

Tymczasem Stella z wielkim zainteresowaniem wpatruje się we wzór na dywanie.

- Tak naprawdę, to ja nie jestem żonaty - mówi z naciskiem Jake. - Na pewno to rozumiesz. Naprawdę nie jestem. To znaczy formalnie owszem, prawnie czy jak tam, ale przecież nie w sensie, że mam jakiegokolwiek...

- Czy Mel zna twoje odczucia? - przerywa mu Stella; oplótła się ramionami jak łańcuchem.

Jake, zbity z tropu, milknie, zaciska usta. Skąd u kobiet bierze się ta wrodzona umiejętność trafiania w samo sedno? Wywęszenia tego, co najważniejsze? Jak one to robią?

- H m m - usiłuje grać na czas - nie tak do końca, to znaczy...

- Nie do końca? - dziwi się Stella.

- Ee - decyduje się na całkowitą szczerłość - nie. Nie, nie zna.

- No tak. - Stella wyciąga rękę. - Klucz. Daj mi klucz. Jake ani drgnie.

- J a k e ! Dawaj ten cholerny klucz.

- Nie - mówi mężczyzna; przemawia przez niego jakiś dziecięcy upór. - Nie chcę, ja...

- Guzik mnie obchodzi, czego chcesz. - Rzuca się na niego i Jake zastęga na moment, kiedy czuje poprzez tkaniny ich ubrań jej rozkołysane piersi. - Możesz sobie myśleć, że nie jesteś żonaty, ale jeśli osoba, którą poślubiłeś, uważa, że jesteś, to jesteś.

Chwila szarpaniny. Stella usiłuje włożyć mu rękę do kieszeni, on tę rękę próbuje odciągnąć.

- Masz prawdopodobnie rację - mówi Jake, czując bijące od niej ciepło - ale...

- Nie ma żadnego ale - odpowiada Stella. - Jeśli sądzisz, że będę chciała mieć z tobą do czynienia, kiedy masz żonę, chorą żonę na dodatek, to... - jej palce wsuwają się do kieszeni - chyba zwariowałeś. - On czuje, jak jej dłoń wślizguje się głęboko, i wydaje mimowolny jęk. Stella wyciąga klucz, triumfująca, a jednocześnie rozsierdzona. — Dewiant — szydzi.

- No dobrze - mówi Jake, gdy ona wkłada klucz do zamka. - Niech będzie. Masz rację. To oczywiste, że masz rację. Zrobię, co trzeba. Obiecuję. Porozmawiam z Mel.

Jej oczy płoną, kiedy zwraca na niego spojrzenie.

- Nie rób niczego z mojego powodu. - Zamek szczęką i Stella otwiera drzwi. - Dewiant - powtarza z naciskiem i wyślizguje się na korytarz.

Kiedy idzie ku niemu po peronie Waverley Station, Jake myśli, że na pewno już wie, że coś jest nie w porządku. Musi wiedzieć.

A może i nie. Macha do niego, rękę unosi wysoko, uśmiecha się szeroko. Ściska jakiś kolorowy magazyn, twarz ma rozjaśnioną radością i ufnością. Myśl o okrucieństwie, jakiego za chwilę się dopuści, dręczy go jak coś niestrawnego.

Zadzwonił do niej i powiedział, że musi się z nią zobaczyć

i chce przyjechać do Norfolk. Ona zaproponowała wspólny weekend w Edynburgu. Jest już o wiele silniejsza i dobrze jej zrobi jakaś zmiana, a Edynburg jest taki uroczy, świetnie by się tam zabawili.

Zarzuca mu ręce na szyję i obsypuje pocałunkami. Całuje w usta, policzki, szyję i on nie może się zmusić, żeby ją objąć, a przecież powinien to zrobić. Ona nie przestaje znaczyć go sobą, wargami, śliną i Jake musi się powstrzymywać, żeby się jej nie wyrwać.

Idą do kawiarni na bocznej ulicy przy dworcu, gdzie on kupuje jej kawę i żółte, trójkątne, obsypane cukrem kruche ciastko. Nazywają je tutaj rąbkami haleczki, informuje go Mel, popija kawę, rozgląda się wokół, spogląda na broszury na stojaku, na ludzi wchodzących do galerii obok, dziecko przy oknie pijące jakiś napój przez słomkę.

- Mel - mówi Jake. Musi to mieć za sobą, tymczasem nie wie, od czego zacząć. Jak się mówi coś takiego?

Ona odstawia filiżankę. Patrzy na niego. Jake widzi, że bardzo starannie ogląda jego twarz, jakby chciała zapamiętać każdy szczegół. W jego głowie, zupełnie nie przywoływany, pojawia się obraz Stelli. Stella z pochyloną w skupieniu głową, wbija jedną ręką jajko do miski z mąką. A on jest w Edynburgu. Mieście Stelli.

Splata palce pod blatem stolika.

- Chciałem się dzisiaj z tobą zobaczyć, ponieważ...

- Możemy później pójść do tej galerii, jeśli chcesz - rzuca nagle Mel, a Jake dostrzega na jej twarzy przeblysł popłochu. - Chciałbyś, prawda?

- J e s t coś, o czym muszę...

- Albo do zamku! - woła Mel i nachyla się, żeby dotknąć jego ramienia. — Od lat tam nie byłam. Byłoby miło, nie uważasz? — Teraz już niemal go błaga, ze skrzywioną twarzą, jakby miała się rozpłakać.

- Mel, nie mogę się z tobą ożenić. - Mówi to bardzo delikatnie. Kładzie rękę na jej dłoni. Mówi, że mu przykro.

Gdzieś z tyłu kelnerka z brzękiem stawia na tacy fdiżanki. Trzaskają drzwi i dwóch mężczyzn przechodzi obok niedbale krokiem, mówią coś o zgubionym bilecie na autobus.

Wzrok Mel wędruje w bok i w dół, w stronę pustego krzesła przy ich stoliku.

- Przecież już wzięliśmy ślub - mówi.

- Wiem. - Jake wpatruje się w obrączkę, którą ona nosi od tamtej nocy w szpitalu. Nagle uświadamia sobie, że nie ma pojęcia, skąd ona się wzięła na jej palcu. Ktoś, może któraś z pielęgniarek, ją przyniosła, a on nigdy się nad tym nie zastanawiał. - Chodzi mi o to, że ja nie mogę być twoim mężem.

Mel wysuwa dłoń spod jego ręki. Niemal natychmiast z jej oczu tryskają łzy, jakby już tam wcześniej były, czekały tuż pod powiekami. Spływają po policzkach, a ona odwraca twarz i wyciera je serwetką.

- Proszę cię, Mel - mówi zgnębiony Jake. - Proszę cię, nie płacz.

Rozgarnia opadające na jej twarz włosy, przyciska czoło do jej czoła. Ona się nie odsuwa. Ludzie zerkają na nich, odwracają wzrok, pokazują ich swoim towarzyszom.

- Tak mi przykro - mówi Jake. - Nigdy... nie chciałem, żeby tak się stało... nigdy nie chciałem... tak cię zranić. Po prostu...

- Mogę cię o coś zapytać? - Jej głos odrobinę drży.

- Naturalnie. O wszystko. - Widzi, jak ona z całej siły zaciska splecione dłonie, aż paznokcie wbijają jej się w ciało.

- Czy ty... — łzy zalewają jej twarz, wyciera je gniewnie mokrą już serwetką — ...czy ty mnie... — wydusza z siebie — ... czy ty mnie kochałeś?

Jake milczy. Ta rozmowa wiruje wokół niego i kotłuje się jak jakaś niebezpieczna topiel. Co powinien powiedzieć? Wie, że prawda nie zawsze jest najlepsza. Ale czy w tych okolicz-

nościach nie będzie jednak lepsza od kłamstwa czy półkłamstwa? Nie ma najmniejszego pojęcia.

- Kochałeś? Muszę wiedzieć. - Stara się być dzielna i uśmiecha się do niego przez łyżę.

Jake wpatruje się w blat z imitacji drewna tekowego.

- Tak - mówi ostrożnie - na początku. A przynajmniej myślałem, że tak się stanie. - Spogląda na nią, patrzy w jej zaczerwienione oczy, mokrą od łez twarz i widzi, ile wysiłku wkłada w to, żeby nie szlochać. - Rzecz w tym, że było to takie świeże i nowe uczucie, kiedy my... w ten chiński Nowy Rok. To, co się wtedy nam przydarzyło, było tak intensywnym przeżyciem, że... w jakiś sposób wpłynęło... - Jake milknie. - Nie jest tak, że ja nic do ciebie nie czuję i że żałuję tego, co... co zrobiliśmy tamtej nocy. To znaczy zrobiłbym to samo raz jeszcze, gdybyś... gdybyś...

- Gdybym umierała na szpitalnym łóżku - odpowiada mu Mel. - Wielkie dzięki.

- Nie - protestuje Jake. - Nie i nie. Nie o to chodzi. Nie wolno ci myśleć, że to, co zrobiłem, zrobiłem z litości czy... czy...

- Co teraz zamierzasz? - Mel prostuje się, patrzy na niego zmrużonymi oczyma, bawi się serwetką, rwie ją na strzępy.

- Co? Dzisiejszego popołudnia?

- Teraz w znaczeniu ogólnym. Wracasz do Hongkongu?

- Nie, wrócę do...

- Do tego hotelu?

- T a k .

Zapada milczenie. Mel wlepią w niego oczy, przesuwa wzrokiem po jego twarzy, a myśli kłębią się jej w głowie. Jake jest zaintrygowany i jednocześnie zbity z tropu tą nagłą zmianą, która w niej zaszła.

- Dlaczego...

- Poznałeś kogoś innego — oświadcza Mel. Wypowiada to zdanie z osobliwą precyzją.

Ponownie, wcale nie przywoływany, w jego myślach pojawia się obraz Stelli szarpiącej palcami końcówki włosów.

- Nie — kłamie — nie, wcale nie.

- Poznałeś.

- Nieprawda.

- Poznałeś. - Mel nachyla się nad stolikiem, ból wykrzywia jej twarz. - To ta dziewczyna, która odebrała telefon, prawda? Przecież widzę. Masz to wypisane na twarzy. Ty... ty gnoju.

Jake nie zauważa, jak Mel bierze zamach. Czuje jej rękę na swojej twarzy, głowa odskakuje mu w bok, a policzek przeszywa piekący ból.

- J e z u , Mel - mówi, zginając się z bólu, przyciskając rękę do twarzy, zdumiony, że jego głos brzmi tak łagodnie - dlaczego to zrobiłaś? - Przesuwa językiem w ustach, szuka luźnych zębów. Nie znajduje. Kiedy jednak spogląda na palce, widzi na nich krew. Musiała go zawadzić którymś ze swoich pierścionków.

- J e s t e ś g n o j e m - wybucha Mel - kompletnym i skończonym gnojem. Całe to... to pieprzenie o tym, że chcesz zobaczyć Szkocję, a przez cały czas tylko szukałeś... - Zrywa się tak gwałtownie, że jej krzesło przewraca się z hałasem na podłogę.

- Nie, nie - Jake usiłuje protestować, ale usta ma drętwe, gumowate.

Mel zrywa płaszcz z oparcia krzesła i trzaskając drzwiami, wychodzi z kawiarni, zostawia Jake'a, który stoi przy stoliku i trzyma się za twarz.

Stella leży na brzuchu, ukryta za blankami i osłonięta od wiatru kominem. Schodami przeciwpożarowymi weszła na poddasze, a potem po drabinie na dach. Poza nią nikt tu

nigdy nie przychodzi. Przepada za widokiem prostokątnych zębów wieńczących mury, za rozgrzaną przez słońce ołowianą blachą, za wiatrem łopoczącym flagą z krzyżem świętego Andrzeja, a nie sięgającym jej samej, jeśli tylko ułoży się dostatecznie nisko, za widokiem na rządęk aut na hotelowym parkingu, kręcących się ludzi, przecinającą trawnik Pearl, a wszystko to takie malutkie, że dosłownie mogłoby się pomieścić w dłoni.

Jest późne popołudnie, już niemal czas jej dyżuru, niedługo powinien wrócić Jake. A może nie. Może będzie musiał zostać dłużej. Może postanowi...

Stanowczym ruchem znów sięga po książkę. Czyta jeden akapit. Przerywa lekturę. Cofa się, czyta ponownie, a potem jeszcze raz. Dotyka palcami kartki od Jake'a, którą znalazła rano i wsunęła do kieszeni fartucha, a której teraz używa jako zakładki. Nie musi nawet na nią zerkać. Zna jej treść na pamięć: „Pojechałem spotkać się z Mel. Wrócę wieczorem. Bądź gotowa”.

Z trzaskiem zamyka książkę i wzdycha. Nie może przestać o nim myśleć. Nie ma w tym nic konstruktywnego, inteligentnego, spójnego. Po prostu czymkolwiek by się zajęła, jej umysł zaczyna błądzić i powtarza w kółko Jake, Jake. Nigdy dla nikogo nie straciła głowy tak jak dla niego. Czuje się odmieniona, osłabiona, niemal chora. On pozbawia ją siebie samej, każe jej żyć w jakimś odrętwieniu, oszołomieniu, w stanie Jakeowości.

Przecież to niedorzeczne, dochodzi nagle do wniosku. Jak mogło do tego dojść tak szybko? Jak mogło doprowadzić ją do takiego bezmyślnego zidiocenia? Coś podobnego nie zdarzyło się nigdy wcześniej. To powinno być zabronione, myśli sobie, kiedy słyszy nagle w oddali odgłos zbliżającego się samochodu. Może to taksówka? Z dworca?

Podnosi się, opiera o blanki i wychyliwszy, spogląda wzdłuż

linii drzew, gdzie pojawi się auto. Pomruk silnika jest coraz bliższy, a jej się wydaje, że widzi za pniami drzew błysk czerwieni, nie jest jednak tego pewna. To Jake, podpowiada jej umysł, to on, już jest tutaj. A czy ona jest gotowa? Nie wie. Zresztą na co gotowa?

A potem na oświetloną przestrzeń wypada auto; jedzie szybko, nieco za szybko jak na tę krętą drogę. Spod kół sypie się żwir. Stella wie, co to za samochód, rozpoznaje go, ale jej otumanionemu Jakiem umysłowi zajmuje kilka chwil, zanim uświadomi sobie rzeczywistość. W środku jest tylko jedna osoba, za kierownicą.

Stella mruga i przez chwilę myśli sobie, jak łatwo jest przyknięciem powiek odgrodzić się od tego świata. Spogląda w dół, na ziemię, a ta wydaje się jej odległa o całe mile, zupełnie jakby patrzyła na satelitarny obraz jakiejś innej planety.

Teraz widzi, że to było nieuniknione. Nieuchronne. A ona myślała, że jest bezpieczna, ukryta przed światem, myślała, że nic jej nie dosięgnie, jeśli tak się odizoluje. Odwraca się, osuwa na kolana i kryje za blankami.

Jake zbiega pospiesznie klatką schodową od tyłu. Szybciej byłoby przez hol wejściowy, ale wie, że pani Draper nie lubi, kiedy personel korzysta z tego skrótu. Jest jeszcze wczesnie, dochodzi szósta, Stella powinna być w kuchni, zajęta krojeniem warzyw, które szefowi będą potrzebne na wieczorny posiłek. Może ją złapie, kiedy będzie sama. Może nawet raz jeszcze zaciągnie do tej spiżarni.

Wpada do kuchni z szerokim uśmiechem, skaleczona warga pulsuje i szczypie, ale on nie przestaje się uśmiechać. Zgoda, nie ma co prawda papierów rozwodowych, które mógłby jej pokazać, ale na pewno sam fakt, że oni....

Staje jak wryty. Widzi przed sobą mniejszą Stellę, o ostrzej-

szych rysach, patrzącą na niego obojętnym wzrokiem nieznajomej osoby.

- Cześć, Jake.

Odwraca głowę w prawo i widzi stojącą za blatem Stellę, prawdziwą Stellę, jego Stellę. Ściągnięte rysy zarumienionej twarzy wskazują, że jest wzburzona albo coś w sobie tłumi.

- Jake, to moja siostra. Nina. - Wskazuje mu gestem tamtą kobietę.

Jake nawet nie patrzy na Ninę, kiedy ona podaje mu rękę. Przez kilka chwil nikt się nie odzywa.

- Przyjechałam w odwiedziny - mówi wreszcie Nina.

Jake kiwa głową. Jest coś dziwnego w tej atmosferze wokół obu siostr, coś niedostępnego i tajemniczego, jak niesłyszalny pisk nietoperza, coś równie delikatnego i kruchego, i pogmatwanego jak wata cukrowa. Wydaje mu się, że gdyby uniósł głowę i zaczął węszyć, mógłby poczuć zapach tego czegoś.

- Na jedną noc. Chociaż - odwraca się i patrzy na Stellę - mogłabym zostać i dłużej. Jeszcze się nie zdecydowałam.

- Nie musisz wracać do pracy? - pyta chłodno Stella.

Jake zauważa, że jej spoczywająca na blacie dłoń zwinięta jest w pięść.

- Nie. - Nina uśmiecha się i ogląda Jake'a od stóp do głów. - Przywilej wolnego strzelca. A czym ty się tutaj zajmujesz?

- Ja... ee... Wieloma różnymi sprawami. Naprawy, przekopywanie ogrodu, takie tam rzeczy. Stella?

- Wszystko brzmi bardzo po męsku - mówi kobieta, kiedy spojrzenia jego i Stelli spotykają się.

- Masz chwilkę? - Jake'owi się wydaje, że eksploduje, rozleci się na kawałki, jeśli z nią natychmiast sam na sam nie porozmawia.

- Aa - Stella spogląda na zegarek, po czym ponownie na Ninę - chyba tak. Muszę tylko...

W tym momencie z trzaskiem drzwi pojawia się szef kuchni. Przesuwa wzrok od jednego z nich do drugiego.

- Co się tu do cholery dzieje? — warczy. — Jakieś przyjęcie? Schodzą mu z drogi, kiedy idzie przez kuchnię.

- Pewnie miło się wam gawędzi, ale mamy dziś na kolacji osiemnaście osób i jeśli te jarzyny nie znajdą się w rondlu za, powiedzmy, dziesięć sekund, to będą kłopoty. A wy dwoje - chochłą mierzy najpierw w Jake'a, a potem w Ninę - lepiej się wyoście. Nie wiem, co sobie wyobrażacie, przesiadując w mojej kuchni o tej porze. - Spogląda gniewnie na Ninę. - Ciebie nawet nie znam.

Stella wznosi oczy do góry.

- J u ż dobrze, dobrze. Jake - odwraca się do niego, a on musi się powstrzymać, żeby nie wyciągnąć ręki i jej nie dotknąć - mógłbyś pokazać Ninie, gdzie jest przyczepa? Niin, przyjdę do ciebie, jeśli mi się uda, a jak nie, to będę wolna dopiero koło dziesiątej, muszę teraz... - Milknie, ze zmarszczonym czołem patrzy na Jake'a. - Co się stało z twoją twarzą?

- Powiem ci później. - Jake wzrusza ramionami i się uśmiecha.

- Mój Boże - Nina zaczyna grzebać w torebce, kiedy wychodzą tylnymi drzwiami - czy on jest zawsze taki uroczy?

- Kto?

- Kucharz.

- A. Kucharz. Tak - mówi Jake. - Na ogół.

Kiedy idą przez dziedziniec, Nina wkłada do ust papierosa. Na początku leśnej ścieżki zatrzymuje się, jakby na coś czekała. Patrzy na niego, wbija w niego te dziwnie znajome oczy.

- Masz ogień? - pyta w końcu.

- N i e .

Kobieta znowu grzebie w torebce i wyciąga pudełko zapałek. Staje tyłem do wiatru i pociera zapałkę.

- Duży dom — oświadcza, osłaniając płomyk złożonymi dłońmi. - Bardzo wyszukanie urządzone.

- Taa. Owszem.

- Długo tu jesteś?

- Kilka tygodni.

- Zatem nie tak długo jak Stella.

- Nie. - Jake wyciąga rękę. - Do przyczepy idzie się tędy. Pokażę ci... stąd jej nie widać.

Ruszają dalej, Nina machnięciem ręki gasi zapałkę i rzuca ją między omszałe kamienie. Kiedy idą obok siebie, Jake zauważa, że ona porusza się w dziwnie sztuczny sposób, jak ktoś, kto nauczył się tej umiejętności z rysunków w podręczniku.

- Z której strony jest rzeka? - pyta go niespodziewanie.

- Ee... - Jake musi się chwilę zastanowić. - Z tamtej. - Wskazuje ręką gdzieś za przyczepę.

- J a k daleko? - Nina zaciąga się głęboko.

- J a k i e ś pół mili. Może mniej.

Nina kręci głową.

- Znasz ten teren?

- Tak jakby. Nie.

- Tak jakby nie?

- Tak jakby tak.

Nina wybucha śmiechem.

Zapada milczenie. Jake czeka na bliższe wyjaśnienia. Nie wie dlaczego, ale ma wrażenie, że ociera się tutaj o coś, co od dawna już chciał wiedzieć.

- Byłyśmy tu kiedyś, raz - mówi Nina, a Jake słucha każdej wypowiedanej przez nią sylaby z lęku, że mogłby coś przeoczyć. Ona jednak po tym stwierdzeniu prostuje się, odrzuca do tyłu głowę, jakby się z czegoś otrząsała. - Właśnie się okropnie pożarłam z mężem - zwierza mu się tymczasem.

- O. - Jake jest zaskoczony jej otwartością. Potem wybuchą śmiechem. - Szczerze mówiąc, ja też. Tyle że oczywiście nie z mężem, z moją... hm...

- Zoną? - odpowiada Nina, odwracając się do niego.

To bardzo prosty scenariusz, zaczyna się jak jakaś bajka. Dwie siostry idą brzegiem rzeki. Ubrane są bardzo podobnie, trzymają się za ręce. Ścieżka wije się zgodnie z zakrętami i meandrami rzeki. Woda jest ciemna, głęboka i bystra. Kiedy tak idą, widzą znaki świadczące o tym, że całkiem niedawno poziom nurtu znajdował się wyżej, że nabrzmiała wtedy powodzią rzeka połknęła i brzeg, i ścieżkę. Teraz na ścieżce jest bezpiecznie i dziewczynki, nie puszczając rąk, idą dalej.

Słyszą, jak las wokół nich oddycha i wydaje westchnienia. Zostały z tyłu, daleko z tyłu, pozostawione przez tych, z którymi wyruszyły. Wyższa siostra, która w rzeczywistości nie jest tą starszą, pomaga mniejszej, gdy robi się bardziej stromo, a pod nogami pojawia się więcej luźnych kamieni. Nie bardzo wiedzą, co znajduje się przed nimi, ale zaczynają się domyślać. Słyszą bowiem stłumiony ryk, głuchy grzmot i widzą, jak tam dalej rozciąga się bezdenna, niebezpieczna toń.

Wyższa, młodsza siostra, podnosi kamień, bierze zamach i wysokim łukiem rzuca go do wody. Woda chwyta go z łapczywym mlaśnięciem.

- Słyszałaś? - pyta, rozglądając się dookoła.

- C o ?

- Echo. Posłuchaj. - Schyla się po kolejny kamień, tym razem jednak kamień leci dalej i wpada w ten dalszy głęboki, powolny nurt i rzeka pochłania go bezgłośnie.

Nieopodal, w jakimś innym momencie historii, ta sama siostra stoi w nagrzej, zaparowanej kuchni i tnie marchewki w słupki, które następnie przesypuje do stalowej miski.

W chwili, w której prostuje się nad deską do krojenia i wewnętrzną stroną nadgarstka ociera czoło, ta druga siostra, z butelką kradzionej wódki w ręce, puka do niskich, drewnianych drzwi dawnego chlewiku.

Jake był święcie przekonany, że to Stella stoi u jego drzwi, doznaje wstrząsu, widząc po raz kolejny twarz jej siostry.

- O. — Stoi jak wryty. Ona jest w jakiś dziwny sposób tak podobna i jednocześnie tak niepodobna do Stelli. - Cześć.

- Cześć. - Kobieta błyska zębami.

- Czy znalazłaś... czy nie mogłaś odnaleźć przyczepy?

- Owszem. - Kiwa potakująco głową. - Znalazłam.

- No tak.

- Co porabiasz? - pyta kobieta i próbuje zajrzeć do wnętrza.

- J a ? - Jake zaczyna odczuwać zaniepokojenie. Co ona tu robi? Czy dopiero co nie powiedział jej do widzenia? - Nic takiego. No wiesz. Cóż, tak naprawdę to czekałem na...

- Mogę wejść?

- Ee... rzecz w tym...

- Nie podoba mi się w przyczepie. Trochę tam straszno.

- T a k .

- Ten dziwny las. - Siostrę Stelli przechodzi dreszcz, na jego progę. - Nie wiem, jak Stella to wytrzymuje. Wejdę i posiedzę z tobą trochę. Jeśli nie masz nic przeciwko.

Przez jego mózg przemyka myśl, że gdyby jej nie wpuścił, to przecież odmówiłby swojego towarzystwa siostrze Stelli. Co by Stella na to powiedziała?

- Nie ma sprawy — kapituluje. — Jasne.

Odsuwa się na bok i Nina wchodzi do środka, siada na łóżku i zrzuca pantofle.

- Przyniosłam to — mówi, podnosząc butelkę, w której przelewa się przezroczysty płyn.

Idąc przez jadalnię, Stella upuszcza tacę z kieliszkami. Nie rozumie dlaczego. Taca po prostu wyślizgnęła jej się z rąk, jakby nie uchwyciła jej odpowiednio, a jedna z jej rąk okazała się słabsza.

Kieliszki roztrzaskują się na tysiące maleńkich drzazg. Musi iść po szczotkę i śmietniczkę i zamieść wokół nóg zerkaających na nią z dezaprobatą gości, a potem wynosi ten cały chrzęszczący, niebezpieczny bukiet do kuchni.

Ta nagła przemiana wydaje się czymś dziwnym. Jeszcze dwie minuty wcześniej były to kieliszki do wina. Błyskawicznie przeistoczyły się w okruchy przezroczystego szkła, które trzeba dobrze opakować, otulić papierem gazetowym.

- Z Richardem to jest tak - mówi Nina, nachylając się ku niemu i kładąc mu na ramieniu dłoń, w której tkwi zapalony papieros.

Jake nie lubi papierosów. Dlaczego pozwala jej palić w swoim pokoju? Nie przypomina sobie, żeby poprosiła o pozwolenie.

- Co to ja mówiłam? - pyta, wpatrując się w niego uważnie.

Jake czuje jej bliskość, kiedy tak sobie siedzi zwinięta na jego łóżku. Biję od niej zapach nikotyny i wódki.

— Richard - przypomina jej Jake. Powinien wstać. Bardzo tu duszno. Może należałoby otworzyć okno, wpuścić trochę powietrza. Z wysiłkiem odsuwa się od niej na skraj łóżka. Pozbawiona podpory, jakim było jego ramię, Nina osuwa się na materac. Chichocze.

Jake prostuje się i dopiero wtedy uświadamia sobie, jaki jest pijany. Czuje się otepiały i odurzony, a chlewik kołysze się i wiruje wokół niego. Kiedy on zdążył się tak urządzić? Ogląda się na butelkę wódki stojącą na nocnym stoliku. Dziwne, jest w połowie pełna. Po chwili przypomina sobie dzointy, któ-

re skręcała Nina. Ile ich było? Wypytywała go o Mel, cały czas krusząc żywicę w podściółkę z tytoniu. Kombinacja była mocniejsza od tego, do czego był przyzwyczajony, pamięta, że tak sobie wtedy pomyślał, znacznie mocniejsza.

Czyż szkła nie robi się z piasku? - myśli Stella, przyjmując zamówienie na deser od jakiejś rodziny z Glasgow. Jeszcze jedna dziwaczna przemiana. Bierze głęboki oddech i próbuje skupić się na tym, co mówi do niej kobieta przy stoliku - coś o alergii na krowie mleko. Trzymaj się, mówi sobie, byle do końca.

Wydaje mu się, że znowu leży na łóżku. W każdym razie jego głowa spoczywa na poduszce, a nad nim wisi sufit. Głos Niny płynie bez ustanku jak rzeka. Kobieta opowiada o swojej pracy, o ludziach, z którymi pracuje, pacjentach, których odwiedza, o tym, jakie to dziwne, znaleźć się znowu tutaj, gdzie wszystko wygląda tak samo, a wątki te przeplata mnóstwem informacji o swoim mieszkaniu.

Jake marzy o tym, żeby zasnąć. W miejscu, w które uderzyła go Mel, czuje tępy ból. Co chwilę zapada w drzemkę, ale za każdym razem, kiedy już-już ma zasnąć, coś każe mu się ocknąć. Jakiś głos w zakątku jego mózgu przypomina mu, że miał zrobić coś ważnego. Bardzo ważnego. Niestety, Jake nie może sobie przypomnieć, co to takiego. Wie jedynie, że ten głos nie pozwala mu zasnąć.

Jest noc i Stella biegnie przez las, stożek światła z jej latarki podskakuje i omiata łukiem teren dookoła. Zna drogę, ale mimo to czuje strach.

W przyczepie najwyraźniej nikogo nie było; jest zimno, nie pali się światło. Wraca, okrąża szarą bryłę hotelu, wychodzi na parking. Czyżby wyjechała, odeszła bez słowa? Nie. Auto Niny wciąż tam stoi.

Stella odwraca się. Gdzie też ona może się podziewać? Nie w hotelu, bo ona sama dopiero co stamtąd wyszła. Poszła na spacer? Przecież Nina nigdy nie wyszłaby o tej porze, sama, z dala od wszystkiego - ona nienawidzi ciemności.

Ma ochotę krzyknąć jej imię. Jak mogła tak przepaść? Od miesięcy unikała swojej siostry, ale w tej chwili oddałaby wszystko, żeby ją mieć tutaj, przy sobie.

Musi przecież gdzieś być, przekonuje samą siebie Stella. Obchodzi hotel z drugiej strony, mija patio, rośliny w donicach i idzie w kierunku szopy. Powietrze roi się od miniaturowych owadów, które kleją się do jej twarzy, włosów, rąk. Idzie dalej i natyka się na chlewik, zasłonki na jedynym oknie są zaciągnięte, przez szparę wokół drzwi wydostaje się światło. Stella nieruchomieje.

Splata i rozplata dłonie, zastanawia się. Potem powoli, bardzo powoli podchodzi na palcach do drzwi i przykłada ucho do drewna.

Z początku nie słyszy nic. Jedynie krew szumi w jej żyłach jak uwięzione w muszli morze. Uświadamia sobie, że jest jej zimno, że chłód nocy przenika przez cienką bawełnę służbowego uniformu. Wróci do przyczepy po sweter. I wtedy coś słyszy, jakieś poruszenie, przemieszczenie, tarcie materiału o skórę. I nagłe wciągnięcie powietrza, lekkie westchnienie, stłumiony okrzyk albo gwałtowny wdech.

Odskakuje od drzwi. Odwraca się i robi kilka kroków, dziesięć, może jedenaście. Potem zaczyna biec, potyka się co chwilę, rękoma zatyka uszy.

Jeśli dzielisz z kimś pokój przez osiemnaście lat, rozpoznasz każdy okrzyk, każde poruszenie, każdy oddech, każde

westchnienie tej drugiej osoby. To była jej siostra. Stella nie miała najmniejszych wątpliwości.

Jej siostra i Jake. Myśl o tym pali, jak oparzone miejsce.

Jake przygląda się swojemu ciału nieco zdziwiony. Leży na łóżku, przykryty do połowy. Odwraca się, żeby zobaczyć, która godzina, i jego głowę przeszywa gwałtowny ból.

- J a s n a cholera - mamrocze, przykładając rękę do czoła. Siada powoli. Czuje pieczenie w oczach i suchość w ustach. - O Boże - jęczy - umieram. Na pewno umieram.

I w tym momencie dostrzega przy drzwiach damski pantofel. Z czarnej skóry. Na wysokim obcasie. Wlepia w niego wzrok i im dłużej się wpatruje, tym dziwniejszy mu się on wydaje, jakby był jakimś starodawnym przedmiotem, którego nigdy wcześniej nie widział i nie może wykombinować, do czego miałyby służyć.

Przekręca się na bok - pod wpływem tego ruchu podskakuje zarówno łóżko, jak i odwrócone do niego plecami ciało. W jego łóżku leży kobieta. Umysł informuje go o tym obojętnie, jakby był to zwykły i łatwy do przyjęcia fakt. Przez chwilę nie potrafi wykoncypować, co się dzieje. Czy to Mel? - zastanawia się zakłopotany. Nie. Ta kobieta ma krótkie kasztanowe włosy. Kto to taki?

Stella. Jego umysł w przypływie optymizmu podsuwa mu to imię. Jake jednak wie, że to nie ona, ale sam fakt, że o niej pomyślał, pozwala mu wszystko sobie przypomnieć.

- A niech to szlag. - Wyskakuje z łóżka, jakby było skażone. - Szlag, szlag.

Jest zły na siebie, tak niewymownie i bezgranicznie wściekły, że ma kłopoty z włożeniem butów. Przez kilka chwil mści się na sobie, próbując stanąć sobie na nodze, zrobić sobie jakąś krzywdę i jednocześnie wcisnąć stopę w but.

Z zawiązaną tylko jedną sznurówką wypada za drzwi. Światło dnia poraża go, a on zamyka jedno oko i biegnie w stronę hotelu. W miejscu, w którym krzyżują się ścieżki, musi podjąć decyzję. Przyczepa czy hotel? Przyczepa czy hotel? Gdzie ją znajdzie? Zerka na zegarek, który jakimś dziwnym zrządzeniem losu nadal opasuje jego nadgarstek. Jest trochę po siódmej. Czy może ją obudzić? Tak, decyduje błyskawicznie, musi.

- Ty pieprzony półgłówku, ty pieprzony, pieprzony półgłówku, co jest z tobą nie tak? - mamrocze do siebie i rusza biegiem ścieżką prowadzącą do lasu. Jak mogło do tego dojść? W jednej chwili była u drzwi, w następnej już w środku, razem ze swoją wódką i ze swoim zielskiem, a potem...

Jake staje jak wryty, przyspieszony oddech porusza jego klatką piersiową. Pośrodku ścieżki z rękoma skrzyżowanymi na fartuchu, zastawiając mu przejście, stoi Pearl.

- Tam jej nie znajdziesz - oświadcza.

- Dlaczego? Gdzie ona jest? - Robi mu się nagle bardzo zimno.

- Odeszła.

- Odeszła? - To słowo jest jak cios w brzuch. - Dokąd?

- Odeszła. Wyjechała. Prysnęła. - Pearl podchodzi bliżej, a on się cofa. Pearl nie jest kimś, z kim Jake miałby ochotę zadzierać. Nie zdziwiłby się, gdyby go powaliła czarną magią czy czymś takim. - I ja się jej nie dziwię. - Omija go i odchodzi, zaskakująco szybko jak na tak małą osobę.

- Pearl, posłuchaj... - Jake gwałtownie się obraca, potyka o luźne sznurowadło i przewraca na ziemię. - Poczekaj chwilkę.

Pearl coraz bardziej się oddala. Jake podnosi się i rusza za nią pędem. Dogania ją.

- Co ona powiedziała, Pearl? Co ci powiedziała?

- Nic nie powiedziała. - Pearl strząsa jego rękę ze swojego ramienia. - Nie musiała. - Odwraca się do niego. Ta mała,

sięgająca mu do pasa kobieta wzbudza w nim lęk jak nikt i nic wcześniej w całym jego dotychczasowym życiu. - Po prostu mam oczy. Nie trzeba być geniuszem, by wiedzieć, co się dzieje. - Zbliży swoją twarz do jego. - Powinieneś się wstydzić, młodzieńcze.

- Posłuchaj - ścieżka jest wąska i Jake musi dreptać za nią - to nie jest tak jak... - Usiłuje nadać jakiś sens swoim słowom, cokolwiek to jest, co chce powiedzieć, co powinien powiedzieć, musi powiedzieć. - Nie jest tak jak myślisz - kończy nieprzekonująco.

Pearl prychna szyderczo.

- Dokąd pojechała? Pearl, proszę, powiedz mi. Błagam.

- Nie wiem. - Zatrzymuje się tak raptownie, że Jake omal na nią nie wpada. — A nawet gdybym wiedziała, to i tak bym nie powiedziała.

Jake patrzy za oddalającą się Pearl, której postać robi się coraz mniejsza, nie większa od skrzata. Kopie najbliższy kamień, raz, dwa razy, z całej siły. Potem osuwa się i siada na nim, ściska stopę rękami. Wydaje mu się, że jeszcze nigdy nie był tak zrozpaczony. I co on ma teraz robić?

Nagle podnosi głowę. Wiatr chwieje drzewami, przez rozkołysane gałęzie prześwieca słońce. W umyśle Jake'a zaczyna coś kiełkować, jakieś wspomnienie z minionej nocy. Ze zmarszczonymi brwiami wpatruje się w swoje leżące płasko na kolanach dłonie. Czuje lekkie pulsowanie w stopie. I wtedy ten obraz pojawia się jak wyświetlony na ekranie: Nina nachylona nad nim szepcze mu coś do ucha. I słyszy jej słowa: „Wiesz, ona kogoś zabiła”.

CZEŚĆ CZWARTA

Odchodząc, Jake powtarza sobie, że nie będzie się oglądał. Dopiero kiedy znajdzie się na końcu podjazdu. Stamtąd jest najlepszy widok, obejmuje bowiem całą połąć trawnika, większą część domu i rosnących za nim drzew. Wtedy widać też, chociaż Kildoune zwrócony jest frontem do jeziora, jego wieżyczki, nieprzeniknione okna, blanki oraz wiodący w głąb lasu kręty szlak.

Kiedy dochodzi do bramy, nie potrafi tego zrobić. Nie może się odwrócić. Zastyga na chwilę, dom ma za plecami, drogę przed sobą i ścisną mocno pasy plecaka. Potem rusza dalej, z rozmysłem stawia jedną nogę przed drugą, a oczy utkwione ma w ziemię.

Przecina dolinę, idzie krętą drogą, mija kościół, przechodzi przez most, wzdłuż brzegu jeziora, pod wiaduktem kolejowym. Staje przy głównej drodze, zdejmując z ramion plecak i czeka, przestępując z nogi na nogę. Przed oczami ma obraz z każdą sekundą coraz bardziej oddalającej się Stelli, wyobraża sobie, jak łącząca ich nić napina się, grożąc zerwaniem.

Nie czeka długo. Para w średnim wieku podwozi go do Pitlochry, dokąd jada, jak mu powiedzieli, żeby kupić swojej córce ślubny prezent. Zostawiają go przy A9 i Jake stoi z podniesionym kciukiem, drugą ręką osłania oczy przed słońcem i patrzy na srebrzyście połyskujący asfalt.

Kiedy zwalnia jakiś samochód i prowadzący go mężczyzna z wytatuowanym na ramieniu skorpionem pyta, dokąd

chce jechać, Jake nie jest pewien. Edynburg czy Londyn? Londyn? Edynburg? Dokąd mogła pojechać?

- Na południe - odpowiada. Zdecyduje po drodze.

Dopiero kiedy rzuca plecak na tylne siedzenie, uświadamia sobie, że zostawił rower. Czuje niemal fizyczny ból, za mostkiem. Nieruchomieje wychylony z samochodu, z ręką na klamce. Zagryza wargę i zatrzaskuje drzwi. I tak nie mógłby go zabrać.

- No to na południe - oświadcza człowiek skorpion. - W jakieś konkretne miejsce?

Nina wpada do mieszkania, pozbywa się kluczyków od auta, torebki i płaszcza, rozrzucając wszystko po meblach. Sprawdza automatyczną sekretarkę - żadnych wiadomości - po czym wkracza do kuchni.

Richard siedzi przy stole, w jednej ręce trzyma trójkątną grzanekę, w drugiej pismo medyczne.

- Skarbie - wykrzykuje - wróciłaś!

- J a k widać. - Nina odgarnia włosy z twarzy. - Słuchaj, widziałeś Stellę?

- Stellę? - powtarza mężczyzna. - Ależ , sądziłem, że jesteś...

- Byłam, byłam. Chodzi mi o dzisiaj. Dzisiejszy ranek.

- J a . . . ee.. - Richard mruga, lekko oszołomiony.

- T a k czy nie?! - wrzeszczy Nina. - To przecież proste pytanie.

- N i e .

- Dzwoniła moja matka?

- N i e .

- Ojciec?

- N i e .

- Dziadkowie?

- Nie. Nikt nie dzwonił.

- Cholera. - Nina przykładła dłoń do czoła. Jej spojrzenie pada na filiżankę stojącą na blacie. Myśli, żeby cisnąć ją na podłogę. Wyobraża sobie, jak porcelana z brzękiem rozpryskuje się na kamiennej posadzce. Poprawiłoby jej to samopoczucie, ale chyba nie powinna tego robić na oczach Richarda. Rezygnuje. - Cholera - powtarza i opada na krzesło.

Richard odkłada grzanekę i podchodzi do niej.

- Co się dzieje? - pyta z niepokojem.

Nina nie może mu odpowiedzieć. Myśli intensywnie, jak szalona rozważa wszelkie możliwości. Gdzie Stella mogła się wybrać?

Richard klęka przed nią.

- I co znowu zbroiła nasza sztukmistrzyni?

Nina mimo woli wybucha śmiechem, po chwili jednak znowu wpada w rozpacz.

- Och, Boże, Richard. - Pozwala sobie na okazanie słabości i zanurza twarz w klapach jego szlafroka. On, tak jak się spodziewała, przytula ją i Nina wdycha bijący od niego metaliczny zapach snu.

- Co się stało? - pyta ją szeptem. - Pokłóciłyście się? Możesz mi powiedzieć.

- N i e .

- Nie możesz?

- Nie mogę.

- Cóż, nie zamartwiaj się. - Gładzi ją po plecach. - Cokolwiek to jest, na pewno dobrze się skończy.

- Nie jestem taka pewna - mamrocze Nina.

Odchyła się, patrzy na nią badawczo, rękoma nadal obejmując ją w pasie.

- Przykro mi, że się kłóciliśmy - oświadczają.

- Mnie też.

- Cieszę się, że wróciłaś.

- Ja też. - Uśmiecha się do niego. - Muszę wziąć prysznic - mówi po chwili.

Jake jest pod wrażeniem własnych umiejętności detektywistycznych. Udało mu się dojechać do Londynu, dotarł do książki telefonicznej, wyszukał abonenta Gilmore S., zapisał adres, kupił plan miasta, odszukał właściwe miejsce, poradził sobie w metrze i wreszcie znajduje się na ulicy Stelli.

Kiedy zbliża się do jej domu, ogarnia go oszałamiające uczucie: mieszanina podniecenia i lęku. Ona pewno tam jest, któreś z tych okien musi być jej oknem. Co też mu powie? Jak zareaguje? Czy drugi raz w ciągu dwóch dni kobieta wymierzy mu policzek?

Budynek jest duży, ze schodkami prowadzącymi do drzwi frontowych. Jake stoi na chodniku i przygląda mu się. Nie ma pojęcia, co się wydarzy, kiedy już znajdzie się w środku - jeśli go w ogóle wpuszczą. Choć niewątpliwie to jego nagłe pojawienie się powinno przekonać ją o tym, że on... ma poważne zamiary.

Wsuwa plan miasta do tylnej kieszeni spodni i rusza w górę, przeskakując po dwa schodki naraz. Przygląda się przyciskom i przy środkowym odnajduje zamazany i rozmyty przez deszcz zielony napis „Gilmore”. Naciska. Gdzieś daleko, we wnętrzu budynku, rozlega się dźwięk dzwonka. Wysila słuch, żeby usłyszeć jakieś kroki, głosy, cokolwiek, i przepowiada sobie w głowie przygotowaną wcześniej mowę\

Nina czeka, jednocześnie przeprowadza oględziny zaparkowanych rzędem przy chodniku aut. Drzwi się otwierają.

- Kochanie - wita ją Evie i rozkłada szeroko ramiona - był już najwyższy czas, żebyś mnie odwiedziła. Jak się miewasz? Dopiero co o tobie myślałam, bo...

- Nie mam ani chwili - przerywa jej Nina.

- O .

- Szukam Stelli. - Nina pozwala sobie na krótką przerwę,

w trakcie której przygląda się bacznie Evie, ta zaś patrzy na nią z uniesionymi brwiami, a na jej nieporuszonej twarzy nie maluje się żadne uczucie. — Nie widziałas jej przypadkiem?

- Od miesięcy, skarbie. - Obwieszona bransoletami ręka Evie spoczywa na biodrze.

- I nie odzywała się? - Nina opiera się o kamienną futrynę drzwi. Wysoko, na drucie, podskakują i skrzeczą dwa ptaszki.

- N i e .

- Na pewno?

Kobiety mierzą się wzrokiem. Są niemal tego samego wzrostu.

- Jak najpewniej - odpowiada Evie. - Bo co? Coś się stało?

- Nic. - Nina odwraca się. - Muszę lecieć. - Macha telefonem komórkowym. - Zadzwoń, jak coś będziesz wiedziała.

Jake ponownie naciska dzwonek, tym razem dłużej przytrzymał palec. Ciągle nic. Przesłupuje z nogi na nogę, potem cofa się, żeby raz jeszcze popatrzeć na budynek. Przeciekająca rynna zostawiła na ścianie pomarańczowobrazową plamę. Jakaś wychylona ze skrzynki roślina powiewa na wietrze.

Może wyszła. Na pewno wyszła. Jake siada na najwyższym stopniu, stawia plecak obok siebie i opiera łokcie na kolanach. Poczeka.

Drapie się w nogę, w miejscu, gdzie ukąsił go jakiś owad, ściąga kurtkę i kładzie ją na torbie. Może dlatego, że siedzi na słońcu, zalewa go fala ogromnego znużenia. Bardzo chce mu się pić. Zawsze go suszy, kiedy ma kaca. Nie może jednak ryzykować i iść coś sobie kupić - nie teraz, nie kiedy już przebył całą tę drogę.

Opiera się o murek i rozgląda po ulicy. Jakiś dzieciak stuk kijkiem o chodnik, kobieta prowadzi rower, ktoś próbuje wcisnąć samochód tyłem w za małe miejsce.

Evie wspina się po schodach i wraca do siebie. Musi wreszcie kazać zreperować domofon, żeby nie odbywać tej męczącej wędrówki za każdym razem, kiedy ktoś zadzwoni. W mieszkaniu obrywa i rzuca na stół kiłka uschniętych kwiatów, reguluje przez chwilę pokrętło przy kaloryferze, poprawia poduszkę.

- To była twoja siostra - mówi do skulonej w fotelu postaci.

Francesca obiera właśnie nad miską ziemniaki, kiedy za drzwiami kuchennymi wyrasta Nina. Francesca najpierw podskakuje, potem wybucha śmiechem i nie wypuszczając z ręki nożyka, idzie jej otworzyć.

- Wystraszyłaś mnie! - mówi, ściskając córkę. - Wchodź, wchodź. Dlaczego tak się skradasz?

Ciało Niny wydaje się Francescę jakiegoś bezwolne, a kiedy odchyła się i przygląda twarzy córki, widzi, że jest bledsza niż zwykle.

- Co? - pyta natychmiast Francesca. - Co się stało?

Nina stawia torebkę na stole i krzywi się.

- Chodzi o Stellę - mówi.

- Co z nią?

- *Scarpata* — Nina rzuca tylkd jedno słowo.

- Znowu? - wykrzykuje jej matka, wznosząc oczy ku niebu.

- Aha.

- Dokąd?

- Nie wiem.

Francesca siada przy stole, z trzaskiem kładzie na nim nożyk. Zaledwie sekundę później wstaje. Już dawno zrezygnowała z prób zrozumienia relacji między siostrami, ciągle jednak te zawiłości doprowadzają ją do szału.

- Nie pojmuję - mówi. - Myślałam, że pojechałaś ją odwiedzić.

- Bo pojechałam.
- Skąd więc to? Dlaczego...
- Nie wiem! - krzyczy Nina. - Nie pytaj mnie!

Francesca krzyżuje ramiona. Co jest nie tak z jej rodziną, że coś takiego nieustannie się powtarza? Gdzie popełniła błąd? Macierzyństwo, jak jej się wydaje, nigdy się nie kończy. Urodziła to dziecko, które ma teraz przed sobą, trzydzieści lat temu; można by pomyśleć, że wystarczająco dawno, żeby przestać się o nie martwić. Ale nie. Nadal robią różne rzeczy, ni z tego, ni z owego, żeby zakłócić życie, zaskoczyć, zaniepokoić.

- Nie ma sensu złościć się na mnie - ciągnie Nina. - Ja cię po prostu informuję. Żebyś zachowała czujność.

Francesca kiwa głową, przyglądając się córce.

- Muszę już jechać. - Nina dzwoni kluczykami w kieszeni.

- Dobrze.

- Dam ci znać, jeśli coś będę wiedziała.

- *Si, si.* - Francesca odprawia ją machnięciem ręki.

Słucha, jak Nina zapala samochód, po czym podchodzi do telefonu.

- *Stella scarpata* - oświadcza, kiedy tylko jej matka podnosi słuchawkę.

Stella słyszy jazgot radia gdzieś z ulicy na dole, stukot wysokich obcasów na chodniku. W rogu pokoju śnieży ekran telewizora, skończyła się taśma wideo. Kot leży na boku przed kominkiem, drga mu koniuszek ogona.

Stella podnosi głowę, spogląda w puste, nijakie niebo. Nie jest pewna, jak długo tu przebywa. Może wiele dni. A może tylko kilka godzin. Przewraca się na bok, podciąga kolana pod brodę. Z braku ruchu własne ciało wydaje jej się drętwe i ociężałe.

Pojawiła się na progu mieszkania Evie wczesnym rankiem, tuż po świcie. Nawet jeśli Evie była zaskoczona jej widokiem, nie dała tego po sobie poznać. Rzuciła na nią okiem i wciągnęła do środka. Poprowadziła do kanapy, przykryła stosem kołder i koców, przynosiła pełne kubki kawy, doprawionej, jak podejrzewała Stella, whisky. Dała piżamę, termofor, pachnące lawendą chusteczki. Podrobiła posmarowaną masłem, okrojona ze skórki grzanek na maleńkie kawałki i słowem się nie odezwała, kiedy Stella nie tknąwszy ich, pozwoliła, żeby ostygły, pokryły się plamkami stężałego z powrotem masła, zrobiły się nieapetyczne. Włączyła na wideo czarno-biały film i Stella patrzyła apatycznie, jak blada kobieta z mocno podkreślonymi kredką brwiami czeka w dworcowym barze na ukochanego. Niewidoczna orkiestra dostarczała tła muzycznego.

— Kochana, czy mamy tu do czynienia z uszkodzoną głową czy ze złamanym sercem? - Evie zadała tylko to jedno pytanie..

— Nie wiem - odparła Stella. - Może z sercem.

— To dobrze — powiedziała wtedy Evie, przeciągając pilniczkiem krawędź paznokcia, podczas gdy kobieta na ekranie biegła peronem. - Serce łatwiej naprawić niż głowę.

- Zerwałam ze zwyczajem całego życia. - Evie pojawia się w fartuszku, który Stella widzi po raz pierwszy w życiu.

— Naprawdę? - Stella unosi głowę z poduszki.

— Zająłam się - ciągnie Evie, podając jej filiżankę herbaty - gotowaniem. Zrobiłam zupę!

— Co cię do tego popchnęło? - Stella stara się usiąść.

— Widok twojej bladej twarzyczki, kochanie. Nie mogłam tego znieść. Rozumiesz, że teraz będziesz musiała ją zjeść.

— Zjem - mówi Stella i dmucha na gorącą herbatę. - Obiecuję.

- Bo jeśli nie, to ryzykujesz, że nakarmię cię na siłę przez gumową rurę, jak głodującą sufrażystkę.

- Nie sądzę, by miało do tego dojść. - Stella się uśmiecha.

- Mam nadzieję.

Evie siada naprzeciw niej. Zapada długie milczenie. Kobieta ściąga fartuszek i kładzie na poręczu kanapy. Kot daje susa i sadowi się na jej kolanach.

- Muszę ci powiedzieć, kochanie - Evie masuje kocie uszy - że cała twoja rodzina wariuje. Dosłownie wariują, tak jak tylko oni potrafią.

Stella zaczyna bawić się bezmyślnie kablem stojącej obok lampy.

- Jeszcze im nie powiedziałam, że tutaj jesteś - ciągnie Evie - myślę jednak, że trzeba to zrobić, zanim matka poprosi biskupa o odprawienie mszy za ciebie, a ojciec wynajmie prywatnego detektywa.

Stella milczy.

- Moja kochana, nie mówię przecież, że musisz się z nimi spotkać, stanąć przed zgromadzeniem klanowym czy coś w tym sensie. Daj im tylko znać, że żyjesz, że nie zjechałaś autem z jakiegoś urwiska. Nie musisz się widzieć... - Evie milknie, dobiera słów - ...z nikim... jeśli nie masz ochoty.

Stella odczuwa ulgę, kiedy rozlega się dzwonek telefonu. Evie podnosi się i idzie do drugiego pokoju, żeby go odebrać, a Stella zostaje z kotem, który nastroszył sierść zirytowany tym, że usunięto go z kolan jego pani.

Evie wraca po chwili.

- To była Nina - mówi.

Stella odstawia filiżankę. Ma kłopot z przełknięciem herbaty i wydaje jej się, że zaraz się zakrztusi.

- Co powiedziała? - udaje jej się w końcu wykrztusić.

- Wie, że tu jesteś.

- Ale... myślałam, że powiedziałaś...

- Ja jej o tym nie poinformowałam. Podejrzała, że tu właśnie możesz być, więc objechała dzisiaj okoliczne ulice i znalazła twój samochód. - Evie celuje w nią palcem. - Następny razem pamiętaj, żeby ukryć gdzieś auto. W każdym razie ma dla ciebie wiadomość. Zapisałam sobie. - Evie wyciąga kartkę papieru na odległość ramienia. - „Nie spałam z nim” - czyta beznamiętnym głosem, jakby recytowała listę zakupów.

Stella siedzi bez ruchu, zapatrzona w mgiełkę unoszącej się z fdizanki pary.

- Aha - dodaje Evie - i ona siedzi teraz w restauracji w Musselburghu i chce się z tobą zobaczyć. Jedziemy? Twoim czy moim autem? Pomyślałam, żeby pojechać. Chyba moim. Twój pewnie jest pokryty skorupą brudu.

Stella siedzi naprzeciwko siostry w jednym z boksów restauracji dziadków. Siedziały już tak nieskończenie wiele razy i Stella doznaje dziwnego wrażenia, że nie może być pewna, w którym momencie ich życia one się tak naprawdę znajdują. Czy mają po sześć i siedem lat, a przed sobą desery lodowe z owocami i bitą śmietaną? A może są już nastolatkami, które próbują polubić espresso? Evie siedzi przy ladzie i jak zawsze rozmawia po swojemu z Valerią i z Dominikiem - po francusku z włoskim akcentem. Co dziwne, jest to całkiem skuteczna metoda.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, Stel? - Nina jest wściekła. Wściekłość jest typową otoczką, jaką nadaje trudniejszym sytuacjom. - Dlaczego po prostu nie powiedziałaś?

- Co niby miałam powiedzieć?

- Ze on ci się podoba. Gdybyś to powiedziała, trzymałabym się od niego z daleka. Wiesz, że tak by było.

Stella wzrusza ramionami, przygląda się džinsom, które

ma na sobie. Evie wyciągnęła je, mówiąc, że to pamiątka po pewnym mężczyźnie i że nie znajdzie nic innego, co mogłoby na nią pasować.

- Nie, żeby to robiło jakąś różnicę - prycha Nina. - Nic nie zaszło. - Wychyla się do przodu i dotyka dłoni Stelli. - Nic. Zwyczajnie się zaparł. Wypróbowałam swój cały repertuar - mówi z uśmiechem - fizyczny, narkotykowy, słowny, alkoholowy. Bez rezultatu. Z czego można wyciągnąć tylko jeden wniosek - mówi z ciężkim westchnieniem - że jest w kimś zakochany.

Stella milczy i unika wzroku siostry.

- Mówił o tobie przez sen - dodaje Nina.

- Co powiedział? - Stella podnosi oczy.

- Och, nie mam pojęcia. - Nina wykonuje szeroki gest, smużka dymu ciągnie się za jej ręką. - Nie możesz wymagać, żebym to pamiętała. Byłam na haju. Ale wiem, że w pewnym momencie wymamrotał twoje imię.

Stella stara się nie wzdrygnąć. Myśl, że tych dwoje spało tam obok siebie, jest ciągle nieznośna.

- Co u Richarda? - pyta.

- Och, świetnie. Bez zmian. No wiesz. - Nina upija łyk kawy. - Więc co zamierzasz zrobić?

- Nie mam pojęcia, Niin. - Stella szarpie koniuszki włosów. - Nie wiem. Mogłabym wrócić do Londynu i w ogóle, ale... - wzdycha - ...czuję po prostu...

- Miałam na myśli Jake'a - przerywa jej Nina.

- O. - Stella próbuje się zastanowić, zmusić mózg do myślenia. Co zrobić z Jakiem? Nie ma najmniejszego pojęcia. Jej umysł nie dostarcza żadnego rozwiązania, znów tylko ciągle powtarza to swoje Jake, Jake. Czy powinna do niego zadzwonić? Nie może sobie poradzić z biegiem wypadków. Mężczyzna, którego kocha, jest żonaty. Tyle że nie jest. Spał z jej siostrą. Tyle że nie spał. Ale przecież tę noc spędzili ra-

zem. Wygląda na to, że w tym samym łóżku. - Nie wiem - powtarza raz jeszcze. Nie cierpi tego żałostnego tonu, jaki pobrzmiwa w jej głosie. Najchętniej cofnęłaby czas do momentu, w którym wysyła Jake'a, żeby pokazał Ninie przyczepę, kiedy mogła się jeszcze przechylić przez ladę w kuchni i rozdzielić tych dwoje.

- Bo... ee... - Nina zaciąga się nerwowo papierosem - ... jest coś, co muszę ci powiedzieć.

- C o ?

- Coś się jednak wydarzyło. - Nina kołyszje nogą, skubie brzeg stolika.

- Nie chcę o tym wiedzieć - protestuje Stella, znów pełna obaw.

- N i e , nie, nic w tym sensie. Wydaje mi się... myślę... - Nina milknie, po czym wyrzuca z siebie resztę zdania - myślę, że mu powiedziałam.

- Powiedziałaś mu co? - Stella marszczy brwi.

- T o .

- T o ?

- No wiesz. To. - Nina nachyla się nad stolikiem. - O tej sprawie.

Stella nie słyszała tego wyrażenia w ustach Niny od tak dawna, że przez chwilę nie może sobie przypomnieć, czego dotyczy. Jakaś jej część jednak dobrze pamięta, bo czuje, jak skóra na głowie zaczyna jej cierpnąć, a chłód przenika ciało.

Siedzi tam odziana w ubranie kochanka Evie i wpatruje się w swoją siostrę. Czasami, kiedy na nią spojrzy, widzi w jej twarzy ducha samej siebie. Jednak nie teraz. Nina wydaje się jej dziwnie obca, zupełnie jakby jej prawie nie znała. Zupełnie jakby nigdy wcześniej nie patrzyła w tę twarz. Dostrzega miejsce na powiece, gdzie rozmazał się tusz, łuki brwi, kilka piegów na nosie, widzi trzepotanie powiek.

— Nie mówisz poważnie - Stella słyszy swój szept. - Nino. - Musi wręcz walczyć o oddech. - Dlaczego?

- Nie wiem. - Nina huśta nogą i łyżeczki stukają o porcelanę. - Nie... nie wiem dlaczego. Niechcący. - Pociera palcami czoło. - To było takie upiorne znów tam się znaleźć. Nigdy nie pojmę, co kazało ci tam wrócić. I byłam... byłam nawalona.

- J u ż nieraz wcześniej byłaś nawalona - mówi Stella i zaczyna się podnosić od stolika - i zawsze udawało ci się zachować tę informację dla siebie. Dlaczego więc teraz? I na miłość boską, dlaczego jemu, Nino? Dlaczego jemu?

Nazywam się Stella Gilmore. Mam dwadzieścia osiem lat. Zielone oczy i czarne włosy. Sto siedemdziesiąt siedem centymetrów wzrostu. Mam siostrę. Jestem p ó ł - Włoszką. Posiadam mieszkanie i samochód. Mieszkałam w jedenastu krajach. Nigdy nie złamałam żadnej kości, ale przeszłam zapalenie opłucnej. Kiedy miałam osiem lat, zabiłam kogoś.

To są fakty z mojego życia.

Stella przemyka przez salę restauracyjną. W lustrach widzi całą galerię Stelli, biegnących ku niej z rozwianymi włosami. Zauważa, jak dziadkowie, stryj i Evie odwracają się, żeby na nią spojrzeć. Szarpie drzwi i w jednej chwili jest na ulicy. Powietrze na zewnątrz wydaje się zaskakująco czyste i rześkie w porównaniu z zaduchem lokalu.

Natychmiast wyrasta obok niej Nina, łapie ją za rękaw.

- Dokąd idziesz, Stel? Zostań - błaga ją. - Przepraszam. Tak bardzo mi przykro. Proszę, nie odchodź. Przepraszam.

Stella wyszarpuje ramię.

— Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś — mówi przez zaci-

śnięte zęby. — Nie mogę uwierzyć. Ty mnie... ty mnie zniszczyłaś. - Odpycha Ninę i chwiejnie odchodzi chodnikiem.

Nogi ma miękkie, zupełnie jak pozbawione kości, niebo nad kamiennymi domami Musselburgha jest zbyt jaskrawe, zbyt białe, razi ją boleśnie. Ma wrażenie, jakby jej pole widzenia zawężyło się z obydwu stron naraz, wszystko przed jej oczyma roztapia się i faluje niczym linia horyzontu na pustyni. Powiedziała Jake'owi. Jake wie. I ona tego nie potrafi znieść, naprawdę nie potrafi. Przeżycie, które trzymała w tajemnicy, ukrywała głęboko w sobie, teraz zostało wyszarpnięte na światło dzienne. Świadomość, że ta wiedza może unicestwić miłość Jake'a, jest dla niej nieznośna. Bo coś innego może się stać? On poznał to najgorsze. Jak mógłby jeszcze kiedykolwiek chcieć na nią spojrzeć?

Nagle stawianie jednej nogi przed drugą wydaje się najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek robiła. Już po chwili potyka się i osuwa na ziemię, co przyjmuje z ulgą, bo nie musi starać się utrzymać na nogach, a z daleka dociera do niej głos Evie, która mówi, że już od wielu dni nie miała nic w ustach, i Stella myśli, że przecież minęło zaledwie kilka dni od czasu, kiedy go widziała, i słyszy, że jej siostra płacze i w kółko powtarza jej imię. Nina. Zanim było cokolwiek, była Nina.

- Co zrobimy, jeśli ich nie znajdziemy? - spytała Nina.

Stella chwyciła gałąź drzewa i podciągnęła się wyżej.

- Znajdziemy - zapewniła siostrę.

Wspinały się stromą ścieżką obok wodospadu. Mgiełka rozpylonych kropelek wody unosiła się ku nim, zwilżając twarze, włosy, ubrania. Stella czuła na wargach smak rzeki.

Kiedy odwróciła się, żeby pomóc Ninie pokonać ostatni fragment stromizny, coś przeleciało obok jej ucha. Cokolwiek

to było, wylądowało w ciernistym krzewie tuż obok. Luźny kamień? Osuwająca się ziemia? Kolejny pocisk przeszył powietrze i Stella poczuła ostry ból w ramieniu.

Odwróciła się. Zobaczyła stojącą przed nimi postać z nogami rozstawionymi na całą szerokość wąskiej ścieżki, tuż obok miejsca, w którym woda przelewała się przez urwisko. Anthony. Rzucił kamieniami równie bez troski i obojętnie jak ktoś, kto bawi się monetami. Zobaczyła, jak podnosi ramię i wykonuje szeroki zamach.

- Nie! - krzyknęła. - Nie rób tego! Nie celuj w jej głowę. Nie wolno!

Ośłoniła Ninę swoim ciałem. Po każdym uderzeniu w głowę stan siostry ulegał pogorszeniu, czasami na wiele dni. Byłoby czymś okropnym, niewyobrażalnym, gdyby coś takiego miało się zdarzyć tutaj. Kamień wylądował obok stopy Niny, potem jeszcze jeden, kawałek dalej.

Anthony stał z założonymi rękoma i patrzył na siostry. Ścieżka za nim była pusta. Gdzie reszta klasy? Anthony przecież lubił publiczność. Tymczasem był tylko on i ona, i Nina, i drzewa, i wodospad. Poczuła, jak dłoń Niny wsuwa się w jej dłoń.

- Gdzie są wszyscy? - usłyszała swój głos.

Chłopak wyszczerzył w uśmiechu swoje żółte, drapieżne zęby.

- Poszli. - Pokazał palcem. - Tam.

Stelli nie podobało się, że tak patrzy na Ninę, przez szparki zmrużonych oczu, z głową przechyloną na bok, bardzo jej się to nie podobało. Jeszcze bliżej przysunęła się do siostry.

- Czego chcesz?

- Nieładnie tak mówić. - Opuścił luźno ramiona. - Wróciłem, żeby was znaleźć.

- Po co?

Anthony nie odpowiedział, tylko rzucił się w stronę Niny.

Stella to przewidziała. Zdażyła postąpić krok do przodu i chłopak uderzył w nią z całym impetem. Nie pozwoli mu dopaść Niny, nie pozwoli. Gotowała się z wściekłości, krew tętniła jej w skroniach i szumiała w uszach. Nina krzyczała i czepiała się jej, a Stella poczuła, że oderwano ją od siostry i pchnięto z taką siłą, że świat przekreślił się jej przed oczyma.

Runęła głucho na ziemię. Całe ciało, od stóp do głów, przeszły ostry ból, zaparło jej dech, płuca domagały się powietrza, ręce miała unurzane w błocie, a nad nią świeciło białe, oślepiające słońce. Gdzieś szlochała jej siostra.

Wykręciła głowę. Anthony stał nad Niną jak kat, trzymał ją za kołnierzyk na karku.

- Więc nie należy jej bić po głowie - sztydził. - A to dlaczego? Co takiego się stanie? - Drugą dłoń zwiniętą w pięść podniósł wysoko nad pochyloną głową Niny. - Sprawdźmy, dobrze?

Stella dźwignęła się z ziemi. Spojrzała na urwisko i przeniosła wzrok na Anthony'ego. Zobaczyła, że jego rozwiązane sznurowadło wije się po ziemi. To było takie proste. Uniosła stopę i przydepnęła sznurowadło. Czuła jego obecność, czuła, że jest uwięzione pod jej podeszwą, wobec czego przyłożyła obie ręce do klatki piersiowej Anthony'ego Cuska i pchnęła.

Zrobiła to rozmyślnie. Nigdy nie przekona samej siebie, że było inaczej. Odchyłał się, oddalał od Niny, puścił jej kołnierzyk, rozwarł uniesioną do ciosu pięść i szarpnął dłonią do tyłu, walcząc o odzyskanie równowagi, zaczął wywijać rękoma. Obie z Niną usłyszały cichy okrzyk zdumienia. Patrzyły, jak zatacza się do tyłu i wpada do rzeki. Ślizgał się na mokrych, pokrytych szlamem kamieniach i grzązł pomiędzy nimi. Zobaczyły, jak zabiera go ze sobą czarna woda, tworząc wir wokół jego nóg.

Wydawało się, że tkwi przy tym urwistym spadku nieskończenie długo. Oczy miał szeroko otwarte, wargi rozciągnięte, twarz zadziwiająco obojętną. Przez chwilę trwał zaczepiony

stopą o ziemię jak tancerz albo człowiek szykujący się do ucieczki. Potem, nadal wywijając rękoma, przechylił się i runął w dół.

Pomiędzy chwilą, w której zniknął im przed oczu, a chwilą, w której usłyszały odgłos ciała odbijającego się o skały, Stella zdążyła pomyśleć, że może to się wcale nie wydarzyło, a on stroi sobie żarty, na pewno trzyma się krawędzi skały i lada moment wyskoczy, szczerząc zęby jak diabełek z pudełka.

Ale przecież słyszały ten jednoznaczny, przytłumiony odgłos, a po nim plusk wody. I znów była tylko ona i Nina.

Panna Saunders widzi je już z daleka. Biegną przez polanę, pośród zieleni falującej i skrzącej się w zmiennym świetle. Dostrzega w nich coś, co każe jej wstać, uciszyć mówiące właśnie do niej dziecko, wysilić wzrok pod słońce.

Siostry Gilmore biegną doliną. Stella z przodu, przebiera szybko nogami, wymachuje rękoma jak skrzydłami. Nina biegnie za nią, stara się dotrzymać siostrze kroku... i czy to tylko wyobraźnia panny Saunders, czy dziewczynka rozdierająco krzyczy?

Panna Saunders patrzy na nie, przenosi wzrok z jednej na drugą. Zaledwie za kilka sekund, może za minutę, dowie się, o co chodzi, a mimo to nie może znieść tej zwłoki. Doświadcza uczucia będącego zmorą wszystkich nauczycieli. Krzyki Niny docierają do niej urywanymi dźwiękami, jak zakłócany przekaz radiowy.

- Co się dzieje? - woła panna Saunders, instynktownie wiedząc już, że i tak jest za późno. - Co się stało?

Tylko Stella spojrzała. Położyła się na brzuchu, przeczołgała do samej krawędzi (nikt jej potem nie zapytał, dlaczego przód jej ubrania był taki przemoczony) i wyjrzała.

Nigdy nie przestała żałować, że to zrobiła.

Patrzył jej prosto w twarz, szeroko rozwartymi, czystymi oczyma. Leżał tam głęboko, pod wodą, ze wzrokiem wlepionym w Stellę.

Stella i jej siostra leżą na łóżku, głowa jednej przy stopach drugiej. Nina pozbyła się wszystkich. Przez chwilę panowało poruszenie, chaos, matka telefonowała, pojawili się ludzie z fdiżankami herbaty, chusteczkami higienicznymi, radami. Ninie udało się jednak wydostać siostrę z restauracji, wsadzić do samochodu i zawieźć do siebie, jak się wydawało w ciągu kilku zaledwie minut.

Nina gładzi siostrę po nodze w kostce i opowiada, jak to ona i Richard postanowili mieć dziecko.

- Uważa, że mnie to uspokoi. - Prycha. - Raczej już chyba przytłoczy. Nie pozwoli na szaleństwa. Co o tym sądzisz?

- Myślę... - mówi Stella, a własny głos brzmi w jej uszach dziwnie, pusto i odlegle. Nie bardzo pamięta, jak się tutaj znalazła, w sypialni Niny. To trochę tak, jakby poszła spać w jednym życiu, a obudziła się w innym. - Myślę, że jeśli chcesz dziecka, to powinnaś je mieć.

- No i tu jest właśnie cały kłopot - narzeka Nina. - Nie wiem, czy chcę. Bo skąd można wiedzieć, skoro się go nigdy nie miało?

Stella wzrusza ramionami. Zawsze ją zdumiewa fakt, że spory i rozłamny rodzinne odchodzą tak szybko w zapomnienie. W jednej chwili człowiek oskarża kogoś o zrujnowanie mu życia, a zaraz potem, jakby nigdy nic, leży sobie zwinęty na łóżku w towarzystwie tej samej osoby.

- To właśnie problem z dziećmi - ciągnie Nina. - Jedyнным sposobem na sprawdzenie, czy się chce mieć dziecko, jest sprawienie go sobie. A wtedy jest już za późno. Nie wci-

śniesz go sobie z powrotem, prawda? Powinien istnieć taki ośrodek, gdzie można by...

- Próbne macierzyństwo?

- Właśnie.

- A więc, co z tobą? - Nina przyciska dłoń do podeszwy stopy Stelli.

- Co niby ze mną?

- Co zamierzasz? Zostać w Edynburgu?

- Nie wiem. Chyba nie. Tak naprawdę nie chcę tu zostać.

- Bo tak naprawdę nigdy nie chciałaś tu zostać.

- Wiem.

- A Jake?

Stella unosi się i spuszcza nogi z łóżka. Cmi jej się w głowie, ale po chwili to wrażenie mija. Przez okno sypialni Niny widzi kobietę z czerwonym parasolem, wsuwającą jakąś ulotkę do skrzynki na listy domu po drugiej stronie ulicy.

- Uważam, że Jake... to sprawa przegrana. - Pochyliła głowę, zdejmując ze swetra kocią sierść i pozwala, by zabrało ją powietrze.

- Tego nie możesz wiedzieć, Stel.

- Wiem.

- Nie wiesz.

- Och, czyżby? - Stella odwraca się twarzą do siostry. - Czy chciałaś kogoś, o kim dowiedziałaś się, że... - Milknie, ucina w pół zdania, przypominając sobie, że gdzieś obok jest Richard.

- Musisz mu dać przynajmniej szansę, dowiedzieć się, czy on tak rzeczywiście myśli, bo ja nie sądzę, by tak było. To zdarzyło się tak dawno temu, Stel. - Nina potrząsa ją za ramię. - Wiele lat temu. Musisz zostawić to przeszłości. - Zagryza wargę. - Ja zostawiłam.

- Bo nie ty to zrobiłaś, Nino - szepcze Stella głosem ochryłym, jakby odzwyczajonym od używania.

- Ale była to tak samo moja wina.

- Nie, nie była.

- Była - upiera się Nina. - Gdyby nie ty, to ja bym to zrobiła.

Stella spogląda na nią. Trudno jej się pogodzić z faktem, że rozmawiają o tej sprawie.

- To nieprawda - mówi. - I dobrze o tym wiesz.

Zapada milczenie. Nina patrzy w bok, bawi się kosmykiem włosów.

- Wiesz, jaki jest twój największy problem? - pyta nagle.

- Nie. Jaki?

- Rzecz nie w tym, że nie potrafisz tego zapomnieć - zaczyna Nina - i że go wszędzie widzisz. Ty jesteś przekonana, że nie zasługujesz na normalne życie, na to, co mają zwykli ludzie...

- Pieprzenie - reaguje ostro Stella. - Wcale nie o to chodzi.

- Właśnie, że tak! - Nina wstaje i zaczyna chodzić w tę i z powrotem. - Dokładnie o to chodzi! Dlatego właśnie nie masz odwagi spojrzeć Jake'owi w oczy. Nie dlatego, że nie potrafisz znieść tego, że on wie. Ty uważasz, że należy ci się kara, której nigdy nie poniosłaś... za coś, za co ja sama nie pozwoliłam, by cię ukarano.

- Nino... - zaczyna Stella, ale jej siostra nie pozwala sobie przerwać.

- Z oślim uporem wmawiasz sobie, że rezygnacja z niego cię rozgrzeszy. Wiesz co? - Robi krótką przerwę. - Możliwe, że wyświadczyłam ci przysługę.

Zapada milczenie. Stella przygląda się siostrze z przerażeniem w oczach.

- Przysługę? - powtarza.

- A tak. - Nina zadziera wyzywająco brodę. - Mówiąc mu. Ty byś mu nigdy nie powiedziała... i brnęłabyś dalej, zamknięta w sobie i odizolowana. A dzięki temu przekonasz się, że to nie ma wpływu na jego uczucia do ciebie. Może nawet dotrze do ciebie, że wolno ci być szczęśliwą, że...

- Och, daruj sobie tę psychoanalizę.

- Nie daruję sobie. I nie pozwolę ci odrzucać takiej szansy jak Jake. Stello, proszę - nalega Nina. - To był wypadek. Zdarzył się. Pogódź się z tym.

Stella szarpie luźną nitkę z nakrycia łożka.

- Słuchaj, i tak to wszystko nie jest teraz istotne - szepcze. - To znaczy, przecież go tutaj nie widzę. - Gestem ogarnia pokój. - Nie zależy mu aż tak bardzo, żeby ze mną porozmawiać.

- Nie wie, gdzie jesteś - zauważa Nina z pełną sarkazmu cierpliwością w głosie.

- Są sposoby, żeby mógł mnie tu znaleźć. Jest... cóż, zaczniemy od tego, że mama i tata są w książce telefonicznej... i... ee... - Milknie.

- Do dzisiejszego ranka nawet ja nie wiedziałam, gdzie jesteś.

- No cóż, możliwe - mówi Stella - niemniej...

- Stel, nie widzisz tego? - Nagle siostra opuszcza się na kolana przed nią i ujmując obie jej dłonie w swoje. - Zapędziłaś się w kozłi róg. Musisz się z tego wyrwać. Jake cię kocha. - Stella wzdycha i próbuje się odsunąć, jednak Nina trzyma ją mocno. - Posłuchaj mnie. Naprawdę kocha. Guzik go będzie obchodziło coś, co wydarzyło się dwadzieścia lat temu.

- Tego nie wiesz.

- Wiem.

- Nie wiesz.

- Wiem jedno. Jeśli odrzucisz tę szansę, bo boisz się zmiany, boisz się wpuścić... wpuścić go do swojego życia, to znaczy, że jesteś głupia. Spieprzysz sobie życie na dobre.

Stella uwalnia dłonie, wstaje i podchodzi do okna. Przyciska czoło do zimnej szyby i rozgląda się po ulicy za kobietą z ulotkami. Ta jednak już zdążyła zniknąć.

Nina rzuca się na łożko, posapując z irytacją.

- Nie mam pojęcia, czemu zawracam sobie tobą głowę —

wścieka się, ciska po łóżku, okłada pięścią poduszki, żeby przywrócić im właściwy kształt. - Równie dobrze mogłabym gadać do pieprzonej ściany. Wiem, co zrobisz. Wiem dokładnie, co zrobisz.

- Rzeczywiście?

- Znów uciekniesz. I będziesz stale uciekała, tak jak do tej pory.

Stella zastanawia się nad jej słowami, przygląda się mgiełce, która od jej oddechu pojawia się na szybie i znika.

- Zapewne. - Kiwa głową. - Tak.

Jake wkłada kartę do bankomatu, osłania dłońią ekran, żeby móc odczytać zielone litery. Stoi pośrodku ogromnego dworca.

Mieszka w schronisku turystycznym, ponurym miejscu z dwunastoma łóżkami w każdej celi bez okien, gdzie duszący odór środków dezynfekujących nie całkiem eliminuje te inne, bardziej utrwalone zapachy, o których Jake woli w ogóle nie myśleć.

Przygląda się urządzeniu, które rozważa jego zamówienie. Wyobraża sobie, jak ta zaszyfrowana, elektroniczna informacja wymieniana jest pomiędzy tą maszyną na londyńskim dworcu a jego bankiem w Wanchai. Pozwoli mu je wziąć? Potrzebne mu co najmniej osiemdziesiąt funtów - by starczyło na opłacenie pobytu w schronisku, gdzie wzięli w zastaw jego paszport, oraz na kupno biletu do Edynburga. Odwraca głowę i zerka na tablicę odjazdów. Jest pociąg, który odjeżdża za kwadrans. Jeśli do niego wsiądzie, będzie w Edynburgu późnym popołudniem, a wieczorem, kto wie? Dom Stelli, restauracja? Jeśli jej nie znajdzie, to będzie w prawdziwych... ale o tym Jake nie ma ochoty rozmyślać.

Sprawdził wczoraj pocztę elektroniczną, pierwszy raz od wielu tygodni. Było dziewięć wiadomości od Chena, pisanych w coraz to większej panice. Scenariusz, nad którym pra-

cowali, otrzyma! niespodziewanie zielone światło i Jake potrzebny był z powrotem w Hongkongu. Natychmiast. Ostatnia, od agenta Chena, informowała, że jeśli Jake nie zamierza wracać, ma ich powiadomić, bo znaleźli kogoś, kto w razie konieczności przejmie jego obowiązki. Jake przez wiele minut siedział w kafejce internetowej, ściskając głowę w dłoniach. Po czym napisał: „Nie dawajcie nikomu mojej posady. Wracam. Dajcie mi trzy dni - najwyżej cztery”.

W Londynie sprawdził wszelkie możliwości, jakie mu tylko przyszły do głowy. Kobieta w mieszkaniu Stelli nie była Stellą. Przytrzymując jedną ręką drzwi, oświadczyła, że jest przyjaciółką i że od wielu tygodni nie miała od niej żadnych wiadomości. Dziewczyna z rozgłośni radiowej, z którą rozmawiał, miała podobnie rozdrażniony głos: Stella tam pracowała, ale już od jakiegoś czasu nie pracuje i nie, nie ma pojęcia, gdzie się teraz znajduje.

Odwraca się do bankomatu. Ten wypłuka właśnie jego kartę i wyświetla napis: Brak dostępnych środków.

— Osiemdziesiąt nędznych, pieprzonych funtów - mamrocze pod nosem i wyciąga inną kartę z portfela. - To nie jest wygórowana suma.

Wciska kartę w wąską szczelinę, zanosząc cichą modlitwę do boga bankomatów. Proszę, proszę. Osiemdziesiąt funtów. To wszystko. Oddam, obiecuję.

Maszyna długo się zastanawia. Jake przestępuje z nogi na nogę, patrzy, jak na zegarze dworcowym trwa odliczanie minut do odjazdu jego pociągu. Potem słyszy okropny chrzęst, kiedy automat pożera kartę. Karta zatrzymana.

- J a s n a cholera. - Jake tłucze pięścią w ścianę. - Szlag, szlag, cholera.

Przymyka na moment oczy. Trudno mu teraz zgłębić, w jaki sposób jego życie stało się takie niepewne. Latami unosił się z prądem, przez szkołę, przez różne zajęcia, znajo-

mości z różnymi kobietami, nie natykając się na nic, co by go zaskoczyło czy zmyliło. I nagle ni stąd, ni zowąd omal nie ginie, jest przymuszony do ślubu z kimś, kogo ledwie zna, jedzie na drugą półkulę, wyrusza na poszukiwanie ojca, którego w ogóle nie znał, i zamiast niego znajduje dziewczynę, popełnia ileś przerażających błędów, dziewczyna wyjeżdża, a on rusza za nią w pościg. Dość na kilka żywotów długości jego własnego. I jeszcze ktoś mu mówi, że ta dziewczyna, dziewczyna, którą kocha, kogoś zabiła.

Jake otwiera oczy i wodzi wzrokiem po słabo oświetlonej hali dworca. Wokół panuje zamęt, ludzie biegną do pociągów, wpatrują się w tablice odjazdów, siedzą na walizkach, czekają. Od czasu do czasu, jak snop światła z dalekiej latarni morskiej, w jego głowie błyska myśl o tym, co powiedziała Nina. Wydaje mu się, że powinien być bardziej tą informacją wstrząśnięty, poruszony. Tymczasem, co dziwne, zupełnie nie jest zaskoczony. Jest przecież w Stelli tyle rzeczy, których nie rozumie.

Próbuje wyobrazić sobie Stellę w wieku ośmiu lat. Widzi chude dziecko z przejętą twarzyczką i małymi, zaciśniętymi piąstkami. „Zrobiła to dla mnie”, szepnęła wtedy Nina. „Potrafisz to sobie wyobrazić?” Jake stwierdza, że nie potrafi, zupełnie nie potrafi sobie tego wyobrazić. Musiało ją do tego doprowadzić coś nieopisanego... nie jest nawet pewien, czy byłby w stanie udźwignąć taką wiedzę. I tamten szkolny dręczyciel. Na samą myśl ogarnia go wściekłość, ma ochotę ująć ją za rękę i zabrać gdzieś bardzo daleko stąd.

Najpierw jednak trzeba ją znaleźć. Wkłada portfel do kieszeni i opuszcza dworzec.

Stoi obok budki telefonicznej. Strumień ludzi płynie obok niego w kierunku tunelu metra. Słońce grzeje mocno, mocniej niż w Szkocji. Mężczyźni chodzą w samych koszulach z marynarkami przerzuconymi przez ramię. Odór gnijących śmieci przez jeden krótki moment przypomina mu o Hongkongu.

Odwraca się od budki. Odchodzi. Zatrzymuje się. Wraca. Stoi przez chwilę, przygryzając wargę. Nie może tego zrobić, nie może. Ma prawie trzydzieści lat - jak mógł do tego doprowadzić? Ale ssię go w dołku, jeszcze nic dzisiaj nie jadł, a w kieszeni ma niecałego funta. Mógłby skorzystać z auto-stopu, ale jest zupełnie zdezorientowany tą ogromną płacizną wychodzących z Londynu dróg. Nie wiedziałby, którą wybrać, a poza tym bałby się natrafić na jakiegoś miejscowego seryjnego mordercę.

Przyciska dłonie do skroni. Jakże ma inne wyjście? Czekanie dostanie dopiero za dwa tygodnie. Tak długo nie przetrwa.

Otwiera drzwi budki telefonicznej i wchodzi do środka. Panikuje i omal nie odwiesza słuchawki, kiedy słyszy jej głos, że oczywiście, zapłaci za połączenie ze Zjednoczonym Królestwem.

- Jakże? - pyta matka. - To ty?

- Taa. Cześć.

- Wszystko w porządku?

- Tak. - Przyciska słuchawkę do ucha. - Prawdę mówiąc, nie. Caro, potrzebuję trochę pieniędzy. - Nienawidzi dźwięku swojego głosu, kiedy wymawia te słowa. - Przepraszam, że cię o to proszę. Zwłaszcza kiedy wiem, że Lionel i ty nie bardzo możecie...

- Gdzie jesteś? - przerywa mu.

- W Londynie.

- W Londynie? - W głosie Caroline słyszy niedowierzanie. - Co ty tam robisz?

- Zwrócę wam - ciągnie - za kilka tygodni. Wszystko zwrócę, co do centa, obiecuję. Muszę mieć na bilet do Szkocji.

Pociera tenisówką o brudną metalową ściankę; wie, że matka intensywnie myśli.

- Co się dzieje, Jakey?

Jake bierze głęboki oddech.

- Chodzi o dziewczynę. Jeśli nie dotrę do Edynburga dzisiaj albo jutro...

- Ile ci potrzeba? - pyta, nie zwlekając, Caroline.

Nie było żadnej dyskusji na temat tego, gdzie Stella ma się zatrzymać. Nina zabrała jej torbę od Evie, wrzuciła do auta, a potem do swojej pakamery.

- Ręczniki w szafie - oświadczyła - czysta bielizna w mojej komodzie - i zaczęła jej pokazywać, jak działa koc elektryczny.

Kiedy w porze lunchu Nina idzie spotkać się z Richardem, Stella zostaje sama. Bierze długą kąpiel, zanurza się w parzącej niemal wodzie, patrzy, jak jej skóra nabiera wściekle różowego koloru, kiedy krew podpływa pod samą jej powierzchnię. Słucha piosenek ulubionej stacji radiowej Niny, gapi się w sufit, namydlą ustawionymi na półce kosmetykami. Później wacha skórę i stwierdza, że pachnie siostrą.

Kiedy się ubierze, wędruje z mokrymi jeszcze włosami po pustych pokojach, popijając z kubka herbatę. Mieszkanie Niny jest osobliwe. Gdziekolwiek spojrzy, widzi przedmioty, które pamięta z domu, w którym wyrosły - bibeloty, poduszki, komodę, wazon, obraz. Gzysms kominka zdobią srebrne czarki, ofiarowane każdej z nich z okazji chrztu. Na wewnętrznej stronie obrzeża jednej wryto Stella Giuditta Gilmore, na drugiej Nina Maddalena Gilmore. Przy łóżku Niny stoi jedna z dwóch identycznych lamp, które miały przy swoim piętrowym łóżku. Tę drugą Stella zauważyła na toaletce. Jest zaskoczona, że u Niny jest tyle rzeczy z domu rodziców. Ona nie wzięła nic. Niczego nie zatrzymała. O większości tych rzeczy w ogóle zapomniała.

W przedpokoju siada na stołeczku przy telefonie i spogląda na porcelanowe myszy, które Valeria dała im kiedyś na gwiazdkę. Bierze po jednej w każdą rękę; w momencie,

w którym ich dotyka, przypomina sobie ich twardą, gładką powierzchnię, ich kruchą lekkość i szorstkie spody.

- Cześć - szepcze - pamiętacie mnie?

Myszy odwzajemniają jej się uważnym, skupionym spojrzeniem. Stella myśli sobie, że to nie najmądrzejszy pomysł tak rozmawiać z porcelanowymi zwierzątkami. Odstawia je szybko na miejsce, dokładnie tak samo poufale przytulone, jak chciała Nina, i wyciąga szufladę.

Ze zdumieniem odkrywa w jej wnętrzu kolekcję staroci - szkolne zeszyty, jedne Niny, inne zapisane jej ręką, dawne wyblakłe fotografie z nimi dwiema, stare skórzane piórniki, stwardniałe od nieużywania, nadal jednak wypełnione na wpół wypisanymi ołówkami, cyrkłami, poszarzałymi gumkami. Stella wyciąga całą szufladę i ogląda wszystko po kolei, przesuwa opuszkami palców po okładkach zeszytów, zapisanych kartkach, obsadkach piór, po różnych zdjęciach ich obu, w ogrodzie, przed domem Evie, opartych o samochód. Rozkłada je w wachlarz wokół siebie na podłodze i siedzi jakiś czas, przyglądając się im.

Uświadamia sobie, że Nina jest kimś w rodzaju kustosa ich wspólnej przeszłości. Fakt, że siostra pragnie trzymać te wszystkie rzeczy, wywołuje u Stelli osobliwe ściskanie w gardle. I mimo że ona sama nie przywiązuje wagi do tych relikwów przeszłości, Nina je ocala, przechowuje i sprawuje nad nimi pieczę.

Przyjdzie czas, myśli sobie Jake, kiedy nie będzie się uganiał po Wielkiej Brytanii w poszukiwaniu ludzi. Musi to sobie nieustannie obiecywać - to, że jego życie nie pozostanie na zawsze szaloną gonitwą w tę i z powrotem po tym kraju w poszukiwaniu ludzi, którzy nie chcą być znalezieni.

Przestępuje z nogi na nogę i raz jeszcze spogląda na restaurację po drugiej stronie ulicy. „U Iannellich” głosi napis

ułożony z prostych, złotych liter. To musi być to miejsce. Długo chodził ulicami nad rzeką i wypytywał przypadkowych przechodniów, gdzie może znaleźć restaurację prowadzoną przez Włochów. Kilkoro z nich przyjrzało mu się podejrzliwie i w ogóle się nie zatrzymało - nie ma pojęcia dlaczego - natomiast ci, którzy zechcieli mu odpowiedzieć, twierdzili, że jest tylko jedna, „U Iannellich”. Przy głównej ulicy. Bez wątpienia Stella wspomniała Musselburgh. A może jednak jakieś inne miejsce. Czy jest pewien, że chodzi o Musselburgh?

Odrywa się od ściany, o którą stał oparty. Popada w szaleństwo. Przecież wystarczy wejść i zapytać. To bardzo proste. Zresztą nie ma innego tropu. Z zaciśniętymi szczękami, równym, zdecydowanym krokiem przechodzi przez jezdnię. Wszystko będzie dobrze. To się okaże całkiem łatwe. Po prostu powie, że szuka Stelli i czy nie wiedzą przypadkiem, gdzie mógłby ją znaleźć. Proste.

Traci jednak tę pewność siebie, kiedy zbliża się do drzwi lokalu. Przez okno widzi dwóch mężczyzn, starszego i młodszego; rozmawiają z klientem. Są wysocy, barczyści i wyglądają jak... no cóż, jak statyści w filmie o mafii. O Boże, myśli, zadałeś się nie z jedną, ale z dwiema dziewczynami z ich rodziny. Skończy na dnie rzeki w betonowych butach. Albo z końską głową w łóżku. Matka nigdy się nie dowie, co mu się przydarzyło.

Robi nagły skręt i mija restaurację przyspieszonym krokiem. Potem zawraca. To niedorzeczne. Musi przestać się wygłupiać. Ta restauracja to jedyny ślad, jaki mu pozostał. Uda się. Musi się udać. Popycha drzwi i wchodzi do środka. Mężczyźni za ladą kiwają na powitanie głowami, jeden się uśmiecha. Jest tam też stara kobieta, z filiżanką w ręce stoi przy ekspresie do kawy. Ona też się uśmiecha. Jake czuje się jak konfident w obozie nieprzyjaciela. Oni wszyscy zdają się na coś czekać.

- Hm — odzywa się Jake — ee... zastanawiałem się... — Coś każe mu odwrócić wzrok w prawo i widzi, że za kontuarem stoi i patrzy na niego kobieta, jaką Stella będzie za dwadzieścia lat. Czy członkowie wszystkich rodzin są tak do siebie podobni, czy może natknął się tutaj na coś wyjątkowego? - Gdybym... - Nagle cała odwaga go opuszcza. - Czy mógłbym poprosić o kawę?

- Francesca?

Francesca milknie i patrzy na przyjaciółkę z drugiej strony lady.

- Co? - Jest zirytowana. Właśnie jej opowiadała historię o pewnym wytwórcy zasłon z dzielnicy Joppa, a Evie zamiast słuchać, odwraca głowę i wyciąga szyję, najwyraźniej pochłonięta zupełnie czymś innym.

- To chyba on - syczy do niej Evie, pochylając się nad kontuarem.

- Kto? - Francesca jest zdumiona jej zachowaniem.

- On. No wiesz.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Owszem, masz. On.

Evie mruga znacząco i wreszcie to do niej dociera. Francesca odstawia pucharki do deserów lodowych, które wycierała.

- On? - Ręką pokazuje ciemnowłosego młodzieńca w kącie sali pochylonego nisko nad filiżanką kawy. Dotąd udało jej się tylko bardzo pobieżnie zorientować, czego dotyczyła ostatnia awantura pomiędzy jej córkami, ale jednego jest pewna: wszystko to wina jakiegoś młodego człowieka. - Skąd wiesz?

- Nina mi go opisała.

- Ale ja myślałam, że on jest, no wiesz... Chińczykiem. - To ostatnie słowo Francesca wymawia szeptem.

- Skądże. - Evie kręci głową. - To biały.

— O. - Francesca zerka ponad ramieniem Evie. — Wygląda na Włocha.

— Tak uważasz?

- T a k .

— A co? Wykrywa to ten twój rzymski radar?

— Nie ma wątpliwości. - Francesca obrzuca go jeszcze jednym szybkim spojrzeniem. - Przynajmniej ma jakąś domieszkę włoskiej krwi.

— Cóż, to możliwe. Muszę ci jednak powiedzieć — Evie uśmiecha się lubieżnie — że twoje córki mają dobry gust. Bo skoro już musisz kłócić się z powodu mężczyzny, to przynajmniej dopilnuj, żeby był...

— Milcz! - rzuca ostro Francesca. — Idę tam. — Ściąga fartuch. — Powiem, co o nim myślę - mamrocze pod nosem.

— Cesca - trzymając się rogu jej fartucha, Evie rusza za maszerującą przez salę Francesca - myślisz, że to dobry pomysł? Może powinnyśmy...

— Czy ma pan na imię Jake? — grzmi Francesca.

Jake podskakuje, rozsypując ziarenka cukru na stoliku, podnosi oczy na tę starszą Stellę, która na niego naciera.

— Tak — odpowiada — tak. — Zrywa się na równe nogi i niemal salutuje. Za nią stoi jakaś druga kobieta, wygląda, jakby się szykowała, żeby tę pierwszą powstrzymać. Nie zanosi się na dyskretną pogawędkę, o jaką mu chodziło. - Witam. Miło mi panią poznać. — Najwyraźniej wpojone przez Caroline dobre wychowanie zaczyna brać górę. — Czy pani jest...

— Jestem matką Stelli — oświadcza kobieta, prostując się. — I Niny — dodaje znacząco.

— Tak. Miło mi panią poznać — mówi Jake i zastanawia się, czemu się powtarza.

— Czy mogę spytać, co pan tu robi?

— Prawdę mówiąc, szukam Stelli. Czy pani przypadkiem...
— Tylko Stelli? - rzuca Francesca ostro. - Czy Niny też?
— Ee... - Jake waha się. Jaka odpowiedź byłaby tu właściwa? - Cóż...

— Francesca, może powiniśmy... — szepcze blondynka.

— Jeśli spróbuje pan znowu mieszać pomiędzy moimi córkami, to się pan doigra. - Francesca wygraża mu groźnie pięścią. — Jak pan śmie tu się tak wkradać? Mało już szkód pan wyrządził? Moje córki są...

Tymczasem przy stoliku zebrała się reszta towarzystwa zza lady. Starsza kobieta mówi coś do Franceski po włosku, Francesca odpowiada jej krótko. Jake nie ma pojęcia, o co chodzi, ale nie brzmi mu to pochlebnie. Choćby to słowo *brutto*, które usłyszał.

— To on — mówi ta niewysoka blondynka, głosem, jakim można by powiedzieć „to diabeł”.

Odzywa się starszy mężczyzna i kobieta, jego żona, jak zakłada Jake, odwraca się do niego, szykując do sprzeczki. Jake ma ochotę zamknąć oczy. Czy już teraz zwiążą go i zawloką do pomieszczenia na zapleczu? Chciałby spytać, czy ma prawo do ostatniego telefonu. Czy nie ponosi go przypadkiem wyobraźnia? Być może.

— On tylko chce wiedzieć, gdzie ona jest! — mówi blondynka. — To wszystko! Musimy mu powiedzieć. Jeśli ona się dowie, że...

— Evie! - Francesca odwraca się do niej i przekonuje, jak to na nim nie można polegać, jaki to z niego gracz i że absolutnie nic o nim nie wiedzą.

- J a k o ś nie przeszkadza ci to go osądzać - odparowuje blondynka i Jake dochodzi do wniosku, że już darzy ją sympatią, że jest po prostu wspaniała.

Starszy mężczyzna wskazuje go palcem, a jego żona kiwa głową potakująco. Drugi mężczyzna ze skrzyżowanymi ra-

mionami opiera się o ladę i wlepia w Jake'a wzrok. Jake'owi on się nie podoba. Ani trochę.

Czuje na ramieniu czyjąś rękę i wzdryga się. Ale to tylko ta blondyna nachyla się ku niemu.

- Na twoim miejscu poszłabym stąd - szepcze Jake'owi do ucha.

Jake idzie przez salę. Nagle wydaje mu się bardzo długa, droga do drzwi trwa całą wieczność. Zerka w bok i widzi fragmenty samego siebie zwielokrotnione w całym mnóstwie odchylonych od pionu luster; odwraca głowę w drugą stronę i zauważa zbiór pocztówek przypiętych na tablicy za ladą.

Potem jest już na zewnątrz, gdzie nie dochodzi do niego gwar ich sporów. Uświadamia sobie, że jest bliski płaczu. Przechodzi jakaś kobieta, zerka na niego zaciekawiona, a on przyciska oczy nasadą dłoni. Oddala się stamtąd, nie mając pojęcia, dokąd zmierza.

Doszedł właśnie do bocznej uliczki i już zamierza ją przejść, kiedy słyszy czyjś głos.

- Hej! - dochodzi go wyraźnie z tyłu.

Odwraca się. Dziadek Stelli, bez marynarki, w samej koszuli, stara się go dogonić.

- Hej - powtarza i Jake czeka nerwowo, aż starszy pan do niego podejdzie.

Co się teraz zdarzy?

- Stella? - pyta dziadek.

- Tak - odpowiada Jake, kiwając głową niczym jedna z tych zabawek, które ludzie wożą w samochodzie. - Stella, tak.

Mężczyzna nachyla się ku niemu i coś mówi. Jedno słowo. Jake nie ma pojęcia, co to takiego.

- Słucham? - mówi.

Starszy pan je powtarza. Dwukrotnie, za każdym razem przyglądając się bacznie Jake'owi, żeby sprawdzić, czy ten

rozumie. Jake wyteża słuch, ale akcent tamtego jest ciężki i zupełnie Jake'owi nie znany.

Słowo zaczyna się na p... tyle wychwytał. Na myśl, że właśnie przekazują mu informację, której nie rozumie, pot występuje mu na czoło. Stary człowiek powtarza to słowo raz za razem, klepiąc jedną dłonią o drugą, potem pokazując w głąb ulicy. Jake spogląda w tamtym kierunku, zastanawia się, ponownie patrzy na mężczyznę. Co to może znaczyć i dlaczego, do diabła, nie nauczył się nigdy ani trochę włoskiego? Mężczyzna chwytą go mocno za ramię, siłą woli zmuszając do zrozumienia, i nagle z chaosu dźwięków coś się wynurza.

- Portobello? - Jake czepia się tego słowa. Pamięta, że w drodze tutaj widział je na tablicy stacji kolejowej i pomyślał wtedy, jaka to nie pasująca do Szkocji nazwa. - Stella jest w Portobello?

- *Si, si*. - Dziadek się uśmiecha. — Portobello. Stella w Portobello. - Łapie Jake'a za łokieć i popycha w stronę przystanku autobusowego. - *Capisce?* - Upewnia się jeszcze, kiedy podjeżdża autobus. - Ty rozumieć?

- Tak - Jake uśmiecha się i wsiada do pojazdu - dziękuję. Bardzo dziękuję.

Dziadek Stelli jednym machnięciem ręki kwituje jego wyrazy wdzięczności. Jake mówi to magiczne słowo kierowcy, płaci, odbiera bilet, siada w pierwszym rzędzie i dopiero wtedy coś sobie przypomina. Zrywa się, energicznym ruchem odsuwa szybę okna.

- Gdzie w Portobello? - pyta.

Dziadek kiwa głową i uśmiecha się.

- Portobello, *si*.

- Tak, ale gdzie?

Autobus rusza z szarpnięciem i starszy pan macha mu na pożegnanie. Jake prosi kierowcę — dwukrotnie — żeby poin-

formował go, kiedy dojadą do Portobello, a potem już tylko patrzy, jak rozwija się przed nim wstęga drogi. Ruch się zwiększa, kiedy zbliżają się do miasta, i coraz więcej ludzi wsiada do autobusu: starszy mężczyzna, kobieta z psem w koszyku, dwóch nastolatków, którzy zapewne powinni o tej porze być w szkole.

Jake wygląda przez okno, dłońmi ściska kolana. Przejeżdżają przez coś, co wygląda na przedmieścia. Duże domy z piaskowca, z rozległymi, położonymi na stoku ogrodami, przycięte żywopłoty, w przerwach między nimi prześwituje morze, tablice z wymalowanymi białymi literami napisami „noclegi ze śniadaniem”. Na chodniku widzi idące równo z autobusem dwie kobiety.

Pierwsze, co go uderza, to fakt, że idą bardzo blisko siebie. Widzi, że idą pod rękę i że mają splecione dłonie. Idą jak starsze osoby, które muszą się wzajemnie podtrzymywać. Po chwili jednak w wygięciu szyi tej wyższej Jake zauważa coś znajomego.

- Stella! - krzyczy. Zrywa się raptownie, wali głową w sufit.

Wszyscy pasażerowie odwracają się ku niemu. Kobieta z psem podskakuje, a Jake przyciska twarz do szyby, bije w nią pięściami.

- Stella! - wrzeszczy. - Stella!

Ludzie na chodniku zatrzymują się i odwracają ku niemu twarze. Tylko nie Stella i Nina. Są pogrążone w rozmowie. Stella mówi coś do siostry, a Nina kiwa potakująco głową. Autobus przyśpiesza, pozostawiając w tyle obie kobiety. Jake raz jeszcze uderza w okno, po czym rzuca się do dzwonka. Dzwoni, starając się jednocześnie nie stracić z oczu sióstr.

- Czy mógłby się pan zatrzymać? - mówi. - Proszę.

Kierowca zerka na niego w lusterku wstecznym, ale autobus turkocze dalej, za oknami migają domy, ludzie i ulice.

- Proszę mnie wypuścić — błaga Jake, szarpiąc ponownie dzwonek. — Proszę.

Kierowca rzuca pod nosem przekleństwo, ale na najbliższych światłach otwiera drzwi.

Jake wyskakuje z pojazdu i w momencie, w którym jego stopy stykają się z ziemią, odwraca się i rusza biegiem w przeciwnym kierunku. Widzi, jak głowy pasażerów autobusu odwracają się za nim. Ocenia, że dość szybko powinien do nich dotrzeć - ostatecznie on biegnie, a one idą w jego kierunku - ale nigdzie nie dostrzega ani śladu po obu kobietach. Spogląda na drugą stronę, na wypadek gdyby przeszedł przez jezdnię, potem ogląda się przez ramię i nic. Zatrzymuje się w miejscu, w którym zobaczył je pierwszy raz, obraca się w jedną, potem w drugą stronę. Ulica ciągnie się prosto w obydwu kierunkach, ale widzi jedynie matkę ciągnącą za rękę małe dziecko, mężczyznę niosącego dywan, dziewczynkę prowadzącą rower. Żadnej idącej pod rękę pary.

Rozpłynęły się. Puls Jake'a jest tak szaleńczo przyspieszony, jego serce tak się tłucze, że musi wyciągnąć rękę i wesprzeć się na ścianie. Dokąd mogły pójść? Czy weszły do któregoś z tych domów? A może to była tylko jego wyobraźnia? Czy będzie musiał czekać w tym miejscu z nadzieją, że się ponownie pojawią? Zrobi tak, postanawia, poczeka jeśli trzeba całą noc, przymurowany do tego miejsca obok latarni z przyklejoną nieaktualną już informacją o jakimś kiermaszu dobroczynnym.

Musi się powstrzymywać, żeby na cały głos nie wołać jej imienia. Ponownie sprawdza ulicę w obu kierunkach. Ciągle nic. Spogląda badawczo w boczną uliczkę, naprzeciw której stoi. Po obu jej stronach ciągną się rzędy domów z kamienia, a na końcu widać morze. Obejmuje wzrokiem wielokolorowy krajobraz: szary pas promenady, brunatnoczerwona plaża, zielonoszare morze z krztyną bieli, brązowawy poszarpany masyw przeciwległego brzegu zatoki, a to wszystko zwieńczone rozciągającym się od horyzontu i biegnącym szerokim łukiem nad jego głową błękitnym niebem.

Rusza pośpiesznie środkiem jezdni. Kiedy wychodzi zza rogu na promenadę, morze dmucha mu w twarz słoń bryzą. Zatrzymuje się. Stoi przez dużą wiktoriańską budowlą z czerwonej cegły mieszczącą pływalnię. Plaża to rozległa płaszczyzna przemieszanej z kamykami piachu, poznaczonej bajorkami, w których odbija się niebo. Wzdłuż plaży, częściowo zatopione w wodzie, ciągną się falochrony ze szerniałyh drewnianych pali.

Po prowadzących na plażę betonowych schodkach schodzi Nina. Jake rusza biegiem w jej stronę. Ona usiłuje zapalić papierosa, odwraca się plecami do morza, połą kurtki osłania zapalniczkę.

- Cześć - mówi Jake, kiedy jest już na tyle blisko, że może go usłyszeć.

Nina podnosi wzrok. Powoli wyjmuje z ust papierosa. Otwiera usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale ostatecznie tylko wskazuje, papierosem, w stronę, gdzie betonowa krawędź promenady opada w kierunku plaży.

Jake podchodzi do balustrady. Stella jest zaledwie kilka metrów od niego, idzie wzdłuż falochronu, ręką przesuwając po drewnie. Jake jednym ruchem przesadza balustradę i ląduje na plaży. Kamyki i muszle trzeszczą mu pod stopami. Jest pewien, że ona się odwróci, kiedy go usłyszy, tymczasem Stella tego nie robi. Przygląda się czemuś na morzu, głowę ma przechyloną i kiedy Jake jest tuż za nią, słyszy jej głos.

- Więc uważasz, że powinniśmy... - mówi Stella.

- Stella? - odzywa się Jake.

Dziewczyna odwraca się. W ręce ma kamyk. Jake dostrzeżga na nim szmaragdową nitkę wodorostu. Nie wie, co powiedzieć, od czego zacząć. Jej wzrok wędruje w dół, do jego stóp, po czym wraca do twarzy, jakby chciała upewnić się, że to rzeczywiście on. Ulga, że ma ją przed sobą, na wyciągnięcie ręki, jest tak ogromna, że Jake znów czuje wzbierające

pod powiekami łązy. Wpada w panikę - co u diabła jest z nim nie tak? - i na wszelki wypadek wlepia wzrok w piasek wokół ich ustawionych naprzeciw siebie stóp, pokryty deseniem wyżłobionym przez przesuwane falami kamyki.

- Chcę przeprosić - mówi. - Za... Mel i... - Daje jakiś nieokreślony znak ruchem głowy za siebie. - Byłem idiotą. - Zaciska pięści w kieszeniach. Tak długo ćwiczył tę przemowę, że można by oczekiwać, że wyjdzie mu lepiej, tymczasem bliskość Stelli powoduje, że gubi się zupełnie i nie wie, co ma mówić. Zapomniał, jak ona na niego wpływa, zapomniał, że przy niej przestaje myśleć racjonalnie. - Wiem... - brnie dalej - ...że nie ma dla mnie usprawiedliwienia... że... że nic, co powiem, nie może... Rzecz w tym, że odkąd cię poznałem, to... to... - Podnosi na nią wzrok. Ona przygląda mu się z zakłopotaniem, dłonie zaciska na kamyku. Surowe piękno tej wyrazistej twarzy... też je zapomniał. - Co to ja mówiłem?

- Odkąd mnie poznałeś - podpowiada mu Stella.

- Aha. - Spogląda na linię horyzontu, tam szukając natchnienia. - Tak. Odkąd cię... - słyszy siebie, jak zaczyna raz jeszcze od początku. W końcu wzdycha, opuszcza ramiona i robi krok w jej stronę. - Boże, Stello - mówi swoim zwykłym głosem. - Wszędzie cię szukałem.

- Szukałeś?

- Tak. Wszędzie. W Londynie i...

- Pojechałeś do Londynu?

- T a k .

- Ale mnie tam nie było.

- Wiem o tym - mówi - teraz.

Stella milczy. Przekłada kamyk do drugiej ręki, a on orientuje się, że ona patrzy gdzieś ponad jego ramieniem. Na siostrę? Możliwe. Nie odwraca się, żeby sprawdzić.

- Słuchaj - mówi do niej - przejdiesz się ze mną brzegiem?

Ona ponownie spogląda ponad jego ramieniem.

- Dobrze - zgadza się.

Idą obok siebie. Co kilka kroków Jake czuje, jak jej rękaw ociera się o jego rękaw. Zastanawia się, czy ona też to zauważyła. Nadal jest ogromnie przejęty jej obecnością, tym, że ją odnalazł i że są razem na tej wielkiej plaży pod bezkresnym niebem.

- Jak długo byłeś w Londynie?

- Kilka dni.

- I podobał ci się bardziej niż poprzednim razem? - Zerkna na niego z ukosa.

- Nie bardzo. - Jake uśmiecha się. - Mieszkałem w miejscu przesiąkniętym najgorszymi smrodami i nie umiałem nigdzie trafić, i skończyły mi się pieniądze. I w końcu okazało się, że tej jedynej osoby, którą chciałem tam znaleźć, nie ma w Londynie.

Stella podnosi rękę, żeby odgarnąć z oczu kilka opadających kosmyków. Bryza natychmiast zwiewa je z powrotem i musi odwracać twarz pod wiatr, żeby się ich pozbyć. Jake zatrzymuje się, więc i ona staje i spogląda na niego wyczekująco.

- Stello - mówi Jake i dotyka jej ramienia - to szaleństwo, że nie jesteśmy ze sobą.

Ona podnosi wzrok, przygląda się badawczo jego twarzy.

- Ja... - zaczyna, po czym opuszcza wzrok. - Ja chyba wyjadę - mówi.

- Wyjedziesz? - Jake jest w rozpacz. - Dokąd?

- Jeszcze nie wiem - szepcze Stella. - Jest ta posada w Bostonie, którą...

- Do diabła z Bostonem. Stella, proszę. Chcę... Chcę po prostu... - Zaraz, zaraz. Czego on chce? Musi pomyśleć. Po czym, nagle, już wie. - Chcę, żebyś pojechała ze mną do Hongkongu.

- Co? - Stella wybucha śmiechem.

- Do Honkongu - powtarza, a w jego głowie ten pomysł przybiera realne kształty. - Chcę, żebyś była ze mną, w Hongkongu.

- Nie mówisz poważnie.

- Owszem - przekonuje ją. - Nigdy w życiu nie byłem bardziej poważny.

- Sądzisz, że tak po prostu pojechałabym z tobą do Hongkongu?

- Czemu nie? Przecież powiedziałaś, że i tak wyjedziesz. Spodoba ci się tam. Nie przypomina niczego, co dotąd widziałaś. Jest tam wszystko, o czym mogłabyś zamarzyć - wielkie miasto, góry, piękne plaże, parki narodowe. Hm. Co jeszcze? Najlepsze jedzenie, jakie można sobie wyobrazić. O tej porze nie jest zbyt upalnie ani zbyt parno. Ee. Mój najbliższy przyjaciel pracuje w rozgłośni radiowej... możemy z nim porozmawiać o pracy dla ciebie.

Stella patrzy na niego i kręci ze zdumieniem głową.

- Przekonałem cię już? Możesz jeździć na jednodniowe wycieczki do Chin. Mamy też te wspaniałe tramwaje. Można się wybrać na nocną przejażdżkę z jednego końca wyspy na drugi, popatrzeć na te wszystkie neony. Spodoba ci się - powtarza raz jeszcze. - A poza tym masz wobec mnie obowiązek.

- Obowiązek? Niby dlaczego?

Jake wzrusza ramionami.

- Jeśli nie wrócę w ciągu dwóch dni, stracę posadę i wykopią mnie z mieszkania, a bez ciebie nie mogę wyjechać. Uratujesz mnie więc przed nędzą i... i hańbą.

Stella opiera się o nasiąknięty słońcą wodą falochron, przesuwając palcami po nakrapianych pąklach.

- Musisz pojechać - przekonuje Jake.

- Czyżby? - Stella obraca na niego oczy.

- Tak. Bo jeśli nie pojedziesz... - Jake przysuwa się bliżej. Niewiele myśląc, obejmuje ją i tam, na plaży Portobello, podnosi do góry. - Bo jeśli nie - szepcze ściśniętym głosem prosto w jej szyję — będę musiał spędzić resztę życia na poszukiwaniu drugiej ciebie. A nie sądzę, by taka istniała.

Stella wyrywa się i śmieje, i powtarza jego imię, mówi, że brak jej tchu, zarzuca mu jednak ręce na szyję i splata palce na jego karku. Jake całuje jej policzek, czoło, ucho, wargi, wszędzie tam, gdzie może sięgnąć, a usta ma pełne jej włosów i przez chwilę uważa, że wszystko już ustalili, że wszystko będzie dobrze.

Ona jednak kręci się, odwraca twarz, próbuje się od niego oderwać.

— Są pewne rzeczy - mówi — które muszę zrobić.

— Jakie rzeczy? Nie ma żadnych rzeczy.

— Obiecałam. — Przyciska dłoń do policzka, z roztargnieniem. — Obiecałam babci, że ten tydzień popracuję u niej.

— Świetnie. Pojedziemy za tydzień.

— Przecież powiedziałaś, że musisz wyjechać w ciągu dwóch dni.

— Tydzień, dwa dni, cóż za różnica? Obiecuj tylko, że pojedziesz.

Stella spogląda w dół, czubkiem buta kreśli w piasku zawijasy. Potrząsa głową.

— Obiecuj - nalega Jake.

— Nie mogę. - Jej głos zamiera. Stella podciąga się i siada na falochronie, zakrywa dłońmi twarz. - Nie mogę.

Jake nachyla się i opiera ręce na drewnie po obu jej bokach.

— Dlaczego nie?

— Po prostu nie mogę. Przykro mi - szepcze i wyciąga do niego ramiona, obejmuje za kark i przyciąga do siebie.

Jego twarz jest przytulona do jej twarzy, jej czoło wsparte na jego policzku. Jake nie jest w stanie się odezwać. Oboje drżą. Jake odnosi wrażenie, jakby miał pod stopami ruchome piaski i mógł się zapaść albo przesunąć w bok. Obejmuje ją i trzyma się jej mocno. Pozostają tak czas jakiś, jej palce błądzą po jego włosach. Poprzez tkaninę ubrań on czuje trzepotanie jej serca.

— Przykro mi — mówi mu do ucha. — Tak bardzo mi przykro. Nie gniewaj się na mnie.

— Stello - Jake wdycha zapach jej skóry - powiedz mi, dlaczego nie możesz. Czy to... czy nie... — Musi się zmusić do wymówienia tych słów. - Czy ty nic... do mnie nie czujesz? Czy o to chodzi?

— Nie! — Stella przyciąga go mocniej do siebie. — Nie myśl tak, nigdy tak nie myśl. Ja po prostu... po prostu nie sądzę, bym się do tego nadawała.

— Ależ tak - zapewnia ją Jake. - Z całą pewnością się nadajesz.

— Nie. Tylko bym cię unieszczęśliwiła.

— W żadnym razie. - Odsuwa się i ujmuje jej twarz w dłonie. — Wprost przeciwnie. Czy nie widzisz, że cię kocham?

Łzy tryskają z jej oczu i spływają po policzkach, a ona wyciera je kciukiem.

— Kocham cię — powtarza Jake. — Naprawdę. - Po czym coś nagle przychodzi mu do głowy. — Stello, czy nie chodzi przypadkiem o... o to, o czym powiedziała mi twoja siostra? Co... stało się, kiedy byliście małże.

Widzi, jak jej zalane łzami policzki płoną, jak wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczyma i nie może w to uwierzyć.

— Jeśli przychodzi ci do głowy, że mogłoby to zmienić moje uczucia do ciebie — potrząsa nią — to jesteś w wielkim błędzie.

Stella pociąga nosem, pociera policzki, na jej twarzy maluje się wzburzenie i trwoga.

— Naprawdę? — pyta niemal niesłyszalnym głosem.

— No nie! — wrzeszczy Jake. - Jezu, jak w ogóle mogłaś mnie o to podejrzewać. To niedorzeczne, niemal obraźliwe.

— Ale, Jake...

— A co by było, gdyby było odwrotnie? Gdybym to był ja? Czy miałoby to wpływ na twoje uczucia do mnie?

Stella milczy.

— Miałoby? — nalega Jake.

— Nie — odpowiada Stella cichutko.

- Właśnie. - Uderza dłonią pokryte pąklami drewno. -
Dziękuję. A teraz pojedziesz ze mną do Hongkongu?

Stella kręci głową.

Jake wzdycha i zgrzyta zębami.

- Pojedziesz ze mną do Hongkongu?

Stella spogląda na niego, po czym odwraca wzrok.

- N i e .

- Stello Gilmore, doprowadzasz mnie do szaleństwa. Dlaczego nie?

Dziewczyna siedzi skulona, dłonie trzyma na kolanach. W wyrazie jej twarzy jest coś takiego - rezygnacja, zamknięcie w sobie — co mu mówi, że ona już podjęła ostateczną decyzję. Zna ją na tyle dobrze, by wiedzieć, że nic, co powie, nie przełamie tego uporu. Nie pojedzie z nim. Jake prostuje się, odsuwa i rusza przez plażę. Wiatr szarpie jego kurtkę. Po kilkunastu krokach zatrzymuje się.

- Nie wiem, co mam ci powiedzieć - krzyczy do niej. - Nie rozumiem. Tego właśnie chcesz, tak? Ja wracam do Hongkongu, a ty zostajesz tutaj i to już wszystko?

Schyla się, bierze garść kamyków i ciska jeden po drugim pod wiatr. Plaża jest poznaczona wypełnionymi wodą zagłębieniami i on rzuca w nie kamykami, chcąc zmaćić ich szkliscie połyskujący błękit.

Po chwili Stella pojawia się u jego boku.

- Wiesz... — zaczyna niepewnie — ...mogłabym do ciebie zadzwonić. Jeśli chcesz.

- Do Hongkongu? — Jake bierze szeroki zamach i z wściekłością ciska kolejny kamyk.

- T a k .

- I czemu miałoby to służyć?

Stella nie odpowiada, pochyła jedynie głowę. Jake przesypuje kamyki z jednej ręki do drugiej. Wypuszcza jeden, i kiedy opada, kopie w kierunku stosu wysuszonych wodorostów.

— Czy to już wszystko — pyta, starając się, by jego głos brzmiał spokojnie — na co mogę liczyć?

— Przykro mi. — Stella potakuje głową.

Jake stoi przy oknie swojego mieszkania i patrzy w dół na ulicę. Nic się nie zmieniło, zupełnie jakby w ogóle się stąd nie ruszał, a raczej cofnął się w czasie. Kiedy przyjechał, w kuchni znalazł srebrną bransoletkę Mel, a w łazienkowej szafce zwinęty w rulon temblak, którego używał. Ma wrażenie, że w każdej chwili mógłby skrócić za róg i zderzyć się z tą osobą, którą przed chińskim Nowym Rokiem był on sam.

Otwiera okno i w twarz uderza go biały, palący żar lata. Uśmiecha się. Na dworze jest trzydzieści pięć stopni, a on jest tym zachwycony.

Wrócił trzy dni temu. Cztery, jeśliby liczył dzisiejszy. Mija już zmęczenie spowodowane długą podróżą samolotem — minionej nocy spał pełne siedem godzin - i jego umysł zaczyna powoli pracować w sposób pasujący do tego miejsca. Musi zatem pójść na targ, kupić warzywa, powinien też posprzątać. Potem mógłby wsiąść na prom do Koulun, spotkać się z Hing Taiem na *dim sum*. Hing Tai powiedział, że Mui ma ochotę pójść później popływać, może i Jake miałby ochotę? Wczorajszy dzień spędził na spotkaniu z Chenem i z szefem od plenerów, wybierając miejsca, w których mogliby kręcić początkowe sekwencje nowego filmu; Chen chciał też, żeby obejrzał różne zdjęcia próbne.

Jest zdumiony łatwością, z jaką można powrócić do dawnego życia. Ludzie zadają kilka pytań na temat „jego wycieczki”, jak to nazywają, i przechodzą do innych spraw. Hing Tai był trochę bardziej dociekliwy. Być może rozmawiał z Caroline. Zapytał o Mel, a potem zmrużył oczy i domagał się czegoś więcej. Jake tylko wzruszył ramionami. Byli

w mieszkaniu matki Hing Taia, otoczeni przez różnych ludzi, krewnych i znajomych i Jake nie miał najmniejszej ochoty wdawać się w szczegóły.

Zamyka okno. Pójdzie najpierw na targ, potem wsiądzie na prom. Ona nie zadzwoniła. Ale to przecież dopiero trzy dni. Cztery, jeśliby liczyć dzisiejszy. Ale Jake tego nie robi. Jeszcze nie.

Stella siedzi przy kasie z podciągniętymi wysoko kolanami. Za jej plecami babka rozmawia z wujem. Mówi coś o konieczności zajęcia się lodami za pięć minut i o potrzebie zreperowania kilku krzeseł i wtrąca coś jeszcze o liście z Włoch.

Z tego swojego punktu obserwacyjnego rozgląda się po sali. Nina i Richard siedzą w boksie, między nimi weekendowa gazeta. Lokal jest wypełniony, tak jak należałoby oczekiwać w letnią sobotę. Stelli czasami wydaje się to dość osobliwe: tylu ludzi zajętych jedzeniem. Przy oknie, w głębi sali, pod ścianą, wszędzie stoliki, a wokół nich ludzie, którzy bez ustanku kroją potrawy, podnoszą kawałki do ust, zamykają usta i żują; żują, a potem przełykają, posyłają to jedzenie w dół do żołądków. Wyobraża sobie, jak hordy, które przeszły dzisiaj przez tę restaurację, rozlewają się po Musselburghu i Edynburgu, i Lothian, jak zajmują się swoimi sprawami, a tymczasem jedzenie Iannellich przesącza się przez ich ciała.

Do lady podchodzi jakaś kobieta i Stella zapisuje, czego sobie życzy. Zapiekankę i cappuccino. Znosi zamówienie wujowi, a potem zdejmuje filiżankę, żeby nalać cappuccino.

Kiedy tak stoi przy ekspresie do kawy, zauważa, że zza chmur wychynęło słońce. Trzaskają drzwi i ktoś wchodzi do lokalu. Nina wkłada do ust papierosa i naciska zapalniczkę. Richard miesza cukier w filiżance z kawą. Za oknem jakaś dziewczynka z dwoma bochenkami chleba przyciśniętymi do piersi zaśmiewając się, biegnie tyłem.

Stella myśli: są w życiu takie rzeczy, które na zawsze już pozostają niezmiennie niestrawne. Dziewczynka za oknem wpada na mężczyznę niosącego siodło i upuszcza jeden z bochenków, mimo to nie przestaje się śmiać. Wstęga dymu z papierosa Niny ciągnie się pod sufit.

Wiele dni później siedzi w samochodzie Niny.

_ Musisz wiedzieć, że robię to jedynie dlatego, że jesteś moją siostrą - oświadcza Nina.

_ W porządku.

_ Ma być jasne, że jestem zdecydowanie przeciwna.

_ Dobrze już, dobrze.

_ Że uważam to za głupi, gówniany, niedorzeczny pomysł.

_ W porządku, Nina, rozumiem.

Nina pędzi pod górę stromą, prostą Royal Mile, opony klaszczą o bruk, a już po chwili siostry zjeżdżają łukiem ze wzgórza i przed nimi rozciąga się widok na New Town. Stella ma ochotę westchnąć. Jaka szkoda, że nie potrafi się zmusić do pozostania w tym mieście. Może kiedyś.

_ Nie zgadzam się z tym, co robisz - ciągnie Nina, prowadząc nieco niepewnie, bo właśnie zaczęła ściągać celofan z paczki papierosów.

_ Wyraziłaś się jasno. - Stella wzdryga się, kiedy o mało co nie zawadzają o słupek. - Nie mogłabyś trzymać obu rąk na kierownicy?

Stoją na światłach przy Princess Street.

- Mówię jedynie...

_ Całkiem sporo - mamrocze Stella.

Nina nie zwraca najmniejszej uwagi na jej słowa.

_ Zadzwoń do niego — mówi.

- Nie.

— Po prostu zadzwoń.

- Nie. - Stella kręci głową.
- Dlaczego?
- No bo... - Stella usiłuje wymyślić jakiś powód. Po chwili rezygnuje. - Nie mogę.
- No to ja zadzwonię. - Nina posyła jej szyderczy uśmiešek. - Bez trudu mogę podawać się za ciebie.
- Nie rób tego. - Stella kieruje wzrok na siostrę.
- Nina wzrusza ramionami i uśmiecha się.
- Nina, ja nie żartuję. - Stella jest rozzłoszczona. - Nie masz prawa.
- Może powinnam. Dla twojego dobra.
- Jeśli to zrobisz... to... to naprawdę już nigdy się do ciebie nie odezwę.
- Owszem, odezwiesz się.
- Nie, nie odezwę.
- Ależ tak. - Dmucha dymem w twarz Stelli.
- Stella opuszcza szybę.
- Nie odezwę się. Nie waż się.
- Nina wzdycha i bębni palcami po kierownicy.
- Proszę cię, Stello, zadzwoń. - Zmienia teraz ton na błagalny.
- N i e .
- Proszę.
- Nino, daj już temu spokój, proszę. - Stella wzdycha.
- Dlaczego?
- Bo po pierwsze, nie wiem, co powiedzieć, po drugie, on pewnie nadal jest na mnie wściekły i...
- I po trzecie, wcale tego nie wiesz.
- Cóż, a ty nie wiesz, że tak nie jest.
- Wiem.
- Nie wiesz.
- Wiem. On cię uwielbia. To oczywiste. Siostrzana intuicja.
- Taa, faktycznie. - Rzuca Ninie szybkie spojrzenie. - Ta twoja siostrzana intuicja świetnie się ostatnio sprawdziła.

- Myślałam, że już więcej o tym nie wspomnisz. - Nina gasi papierosa w popielniczce i wyrzuca niedopałek przez okno.

- Nie chciałam. - Stella podnosi do góry ręce. - Posłuchaj, mówię ci jedynie, że to jest moje życie i że chcę sobie sama z nim radzić.

- Uciekając do Ameryki?

- Po prostu... daj mi spokój.

Nina zatrzymuje się z piskiem hamulców i staje przed biurkiem podróży w miejscu objętym zakazem parkowania.

- Poczekam w aucie. Nie guzdrz się tam. Za dwadzieścia minut musimy być u mamy.

Stella wysiada z samochodu i przebiega chodnik. Spogląda na listę lotów umieszczoną w witrynie: Madryt, Barcelona, Sydney, Praga, Los Angeles, Miami, Nowy Jork. Bilety w jedną stronę albo powrotne. Odczuwa zawrót głowy, jak zawsze kiedy ma przed sobą mapę świata, ten oszałamiający wybór możliwości. Mogłaby pojechać gdziekolwiek, stać się kimkolwiek, przeobrazić swoje życie samym wejściem na pokład samolotu. Jedyne, co musi zrobić, to przekazać pewną sumę pieniędzy. Czasami podróże robią na niej wrażenie podejrzenie łatwej transakcji: nowe życie za gotówkę. Ale chyba musi być w tym coś bardziej faustowskiego, bardziej obligującego? Jak mogłoby to być takie łatwe?

Odwraca się i widzi, że siostra spogląda na nią gniewnie przez przednią szybę, a dym unosi się z jej ust jak jakimś smokowi.

Kiedy wraca, kładzie połyskującą okładkę z biletem lotniczym na desce rozdzielczej.

- Zobacz - mówi do Niny.

- Nie widzę powodu. - Nina wciska kluczyk w stacyjkę. - Jak już powiedziałam, jestem zdecydowanie temu przeciwna.

- Ale tylko zerknij. — Stella podsuwa zachęcająco bilet. — No już.

Nina wzdycha, sięga po niego, otwiera i przebiega wzrokiem drobny druk. Stella widzi, jak siostra marszczy brwi, zbliża twarz do biletu, znowu marszczy brwi, wreszcie odwraca się i spogląda na nią.

- O mój Boże - mówi powoli.

Jake doszedł do wniosku, że praca jest najlepszym antidotum na boleść. Przychodzi zatem do biura przed ósmą i nie wychodzi przed jedenastą wieczorem. Zajmuje się wszystkim - plenerami, przeróbkami scenariuszy, zdjęciami próbnymi, samymi próbami, kostiumami. Poszedł nawet na naradę z pracownikami firmy cateringowej. „Zwolnij trochę”, powiedział wczoraj Chen, kładąc mu rękę na ramieniu, „bo się wykończysz”.

Dwukrotnie kazał sprawdzać linię telefoniczną. Poprosił matkę, żeby oddzwoniła, bo chciał się upewnić, że połączenie międzynarodowe działa. Ale to już dwa tygodnie. Właśnie minęły. Do Jake'a zaczyna docierać, że ona może nie zadzwonić.

To idiotyczne, ale taki scenariusz nigdy nie przyszedł mu do głowy. Nie wie, co robić. Ma ochotę polecieć z powrotem do Wielkiej Brytanii albo do Bostonu czy gdziekolwiek się wybrała, żeby jeszcze raz ją zobaczyć i spróbować wpłynąć na nią. Ale teraz nie ma pieniędzy, a Hing Tai oświadczył, że jeśli usłyszysz, że Jake choćby dowiaduje się o połączenia lotnicze, to skonfiskuje mu paszport. Nie uganiaj się za nią, powiedział, niech ona przyjedzie do ciebie. A co, jeśli tego nie zrobi, Jake zapytał go wtedy, ale Hing Tai nie znalazł odpowiedzi.

Jake podnosi do ust łyżeczkę *zcongee*, po czym ją odkłada. Je śniadanie w barze niedaleko miejsca pracy. W długiej, jaskrawie oświetlonej sali rzędy stolików ciągną się i ciągną. Okna są zaparowane, a od lady do drzwi wije się kolejka klientów. Stłoczeni przy stolikach ludzie jedzą i piją herbatę.

>

Pracownik za ladą wykrzykuje zamówienia do kuchni, potem pokrzykuje na chłopca, który przesuwając burym mopem po kafelkach. Z radia sęczy się muzyka. Przy stoliku Jake'a siedzi czterech mężczyzn, prawie wciskając go w ścianę. Jeden rozprawia o wadach ich szefa, pozostała trójka słucha. Siedząca na stołku w kącie sędziwa kobieta dłubie w zębach.

Jake przysłuchuje się opowieściom o szefie, po czym, znużony się, nastawia ucha na słowa dochodzące go z tyłu. Dwójka nastolatków rozmawia o swoich telefonach komórkowych. Jake zjada jeszcze trochę *congee*, ale bez przyjemności. Zastanawia się, czy ma dobrze w głowie, przychodząc do biura w sobotę. Wmawiał sobie, że jest mnóstwo rzeczy, które można zrobić, kiedy panuje tam spokój i cisza, ale teraz, kiedy już tu jest, nawet nie pamięta, co takiego miał na myśli.

Siedzi z dłońmi na blacie stolika. Ludzie przepływają za oknami, niektórzy zerkają na niego. Chłopak z mopem podnosi rękę i zmienia stację w radiu. Z pobliskiego wiaduktu dobiega łoskot pojazdów. Mężczyźni obok niego dolewają sobie herbaty, popijają ją małymi łydkami i rozmawiają. I nagle Jake zamiera w bezruchu.

Słyszy głos Stelli.

Przechyla głowę, nie dowierzając. To ona. Nie ma najmniejszych wątpliwości.

Obraca się na stołku i rozgląda wokół. Nic... jedynie stoliki i ludzie jedzący śniadanie. Zrywa się, stołek pada z hałasem na podłogę. To ona. Mówi coś. Jakby była tu, gdzieś w tym lokalu albo uwięziona w ścianie, albo w jego głowie. Jak szalony odwraca się w jedną, potem w drugą stronę, szukając źródła dźwięku.

Teraz już ludzie mu się przyglądają, temu zwariowanemu *gweilo*, który szuka czegoś lub kogoś, ale Jake nie zwraca na to uwagi. Gdzie też ona może być? Wydaje mu się, że za chwilę postrada zmysły, bo ona jest gdzieś blisko, a on nie

może jej znaleźć. A jeśli to tylko wyobraźnia płata mu figle? Czyżby wreszcie udało jej się odebrać mu rozum? Przygląda się przez okno ludziom na chodniku. Potem odwraca głowę i zaczyna kluczyć pomiędzy stolikami.

- Zatrzymano dzisiaj trzech podejrzanych — mówi Stella — jednak policja nie wydała jeszcze w tej sprawie oświadczenia.

Jake wlepia wzrok w radioodbiornik, przykręcone do ściany małe czarno-chromowe pudełko. To stamtąd płynie głos Stelli, która właśnie informuje go o rozbiciu gangu handlarzy narkotyków. Ma wielką ochotę stanąć na palcach i pocałować odbiornik, ale się powstrzymuje. Rzuca się do stojącego na ladzie telefonu. Chwilę trwa, zanim przypomni sobie numer. Słyszy, że ktoś podnosi słuchawkę już przy pierwszym dzwonku.

- *Wai-ee?*

- To ja, słuchaj...

- J i k - a h ?

- T a k , tak. Słuchaj...

- Cieszę się, że zadzwoniłeś - mówi Hing Tai zachęcającym do pogawędki głosem - bo właśnie wczoraj wieczorem spierałem się z bratem i...

- Słuchaj, nie mogę teraz rozmawiać, ja...

- O, dziękuję. Wielkie dzięki. Dzwonisz do mnie, by mi powiedzieć, że nie możesz rozmawiać. To naprawdę bardzo miłe z twojej strony. Gdybym to ja zadzwonił do ciebie i...

- Przymknij się, przymknij się choć na chwilę. To naprawdę ważne.

- Co? Co jest ważniejsze od...

- Hing Tai. Mówię poważnie. Jeśli się nie zamkniesz i nie posłuchasz, to całe moje życie może legnąć w gruzach.

- Cholera - mówi Hing Tai niezbyt przejęty. - W takim razie mów, o co chodzi.

- Dobra. - Jake bierze głęboki oddech. - Gdzieś w twoim budynku ktoś czyta wiadomości.

Hing Tai prycha zniecierpliwiony.

- I ty dzwonisz, żeby mi to powiedzieć? - dziwi się. - Czy ci się już zupełnie pomieszało w...

- Chcę cię prosić - ciągnie Jake, nie zważając na reakcję przyjaciela - żebyś wyświadczył mi wielką przysługę.

Kiedy Stella z tekstem wiadomości w ręku opuszcza studio i zamyka delikatnie grube, dźwiękoszczelne drzwi, widzi, że za plecami realizatora stoi jakiś mężczyzna. Jest ubrany w dżinasy i koszulę z szerokim kołnierzykiem, a koniuszki włosów ma utlenione na biało. Stella zastanawia się, jak można dokonać tej sztuczki, kiedy zdaje sobie sprawę, że mężczyzna zwraca się do niej.

- Pani ma na imię Stella? - pyta.

- T a k .

- Proszę - wykonuje ruch ręką - pójść za mną.

Rusza za nim zaintrygowana, oddala się od studia, najpierw długim korytarzem, przez hol z windami, klatką schodową kilka pięter w dół. Co kilka kroków mężczyzna odwraca się... żeby sprawdzić, czy ona nadal tam jest. A może chodzi mu o coś innego. Stelli wydaje się, że on ją ogląda dokładnie od stóp do głów, obserwuje i ocenia.

- Czy mogę się dowiedzieć, o co chodzi? - próbuje Stella.

- Proszę iść za mną - odpowiada mężczyzna.

Budynek powoli odsłania się przed nią. Jeszcze nie zdążyła opanować jego rozkładu, nie orientuje się do końca w jego wnętrzu. Co zresztą w tej chwili dotyczy całego miasta. Docierają do sali, gdzie w oddzielnych boksach siedzą setki osób. Mężczyzna ponownie wykonuje zachęcający gest i wchodzi do jednego z boksów. Kiedy Stella tam dociera, on już czeka ze słuchawką telefonu w wyciągniętej ręce.

- Do pani - oświadcza.

- Do mnie? - Stella ociąga się. - Od kogo?

Mężczyzna przykładła słuchawkę do ucha, rozpromienia się i mówi coś po chińsku.

- Mówi, żeby przestała się pani upierać i wzięła wreszcie słuchawkę. - Ponownie podaje Stelli słuchawkę.

Stella jest tak zaskoczona, że potulnie robi, co jej każą.

- Halo? - odzywa się.

- Od tygodni wpatruję się w telefon - słyszy głos Jake'a tuż przy uchu.

- Naprawdę? - pyta i przez jej głowę przelatuje myśl, że może nie dosłyszeć, co on teraz powie, bo ogłusza ją własny puls.

- Nie wierzę - ciągnie Jake. - Nie mogę uwierzyć, że do mnie nie zadzwoniłaś, i nie mogę uwierzyć, że tutaj jesteś.

- No cóż - Stella zaczyna z wahaniem - jestem.

- Usłyszałem cię w radiu.

- T a k ?

- Dobra byłaś. Tak uważam. Choć pewnie nie jestem bezstronny. W każdym razie chciałem je ucałować, co chyba daje ci jakieś pojęcie...

- Chciałeś je ucałować? - Stella wybucha śmiechem. - Radio?

Widzi, jak mężczyzna udaje, że nie słucha, zajęty swoim komputerem, ale jednocześnie uśmiecha się i kręci głową.

- Słuchaj, jadę do ciebie. Chyba nie zdążysz rozpłynąć się czy gdzieś zniknąć, co?

- J a k e , nie musisz tu przyjeżdżać. Przecież mogę...

- Nie, nie. Zostań tam, gdzie jesteś. Hing Tai dostał ściśle instrukcje, żeby nie spuszczać cię z oczu. Nie ruszaj się stamtąd na krok i nawet nie drgnij.

Jake wypada z restauracji. Właśnie zaczęło padać, ciemne cętki znaczą chodnik. Biegnie ulicą, jego tenisówki klaszczą o be-

ton. Kiedy skręca za róg, deszcz się gwałtownie wzmacnia, cętki wilgoci łączą się ze sobą i cała ulica staje się gładka i błyszcząca jak focze futro. Właściciele licznych barów osłaniają markizami stojące na zewnątrz stoliki, mężczyźni trzymają nad głowami złożone gazety, kto może, umyka do bram, pod drzewa albo kieruje się do pobliskiej stacji kolei miejskiej.

Jake biegnie. Bołą go mięśnie nóg, a deszcz przedostaje się strużkami pomiędzy zlepionymi włosami i ścieka po twarzy. Łapczywie chwyta powietrze i woda wpływa mu do ust. Lawirując, omija mężczyzn w garniturach, kobietę ciągnącą metalowy wózek, całą rodzinę biegnącą w przeciwnym niż on kierunku, mężczyznę uginającego się pod ciężarem wiadra pełnego skorupiaków, dwie roześmiane dziewczyny, które wyciskają wodę z długich, sklejonych w postronki włosów.

Biegnąc, dostrzega, w jaki sposób miasto radzi sobie podczas deszczu. Woda chlusta z rynien, ścieka z dachów po ścianach budynków, pianistą falą spływa z nachylonych chodników na jezdnię, gdzie tworzy wiry wokół studzienek, a potem, niewidocznymi kanałami, pędzi pod powierzchnią ulic. Autobusy i taksówki rozchlapują kałuże przy krawężnikach, zalewając chodniki i nogi przechodniów.

Krople deszczu żądają mu skórę, a on zmusza się do jeszcze szybszego biegu, zeskakuje na jezdnię, byle dalej od tłumu na chodniku, ma już przemoczone na wylot tenisówki, dzinsy, skarpetki. Przebiega pod szerokim wiaduktem, gdzie ukrył się tłum ludzi, i kiedy wybiega ponownie na pełne światło, widzi przed sobą budynek rozgłośni radiowej, w jego wejściu Hing Taia, a tuż za nim Stellę.

Hing Tai patrzy w niewłaściwą stronę, na przeciwległy chodnik, ale Stella natychmiast go zauważa. Wychodzi prosto w deszcz i podnosi rękę, jak ktoś, kto osłania oczy przed światłem albo zgłasza się do odpowiedzi.